

A photograph of a person from the waist down, wearing a dark blue kimono with a large white circular motif and floral patterns. They are walking on a light-colored path, holding a white circular object, possibly a fan or a small bag. The background is a soft-focus landscape with greenery and a building with a green lattice facade.

JUNICHI WATANABE

Za  
kwietnymi  
polami

Podziękuję i Soko

**JUN'ICHI WATANABE**

# **Za kwietnymi polami**

**Przełożył Ludwik Stawowy**

**Tytuł oryginału BEYOND THE BLOSSOMING FIELDS**

## 1.

Tone to najdłuższa rzeka na równinie Kantō. Gdy dociera do Tawarase na północy prefektury Saitama, jest już potężną, lecz spokojną drogą wodną, wezbraną od śniegów topniejących na skalistych stokach okolicznych gór.

Po rzece sunęły z wdziękiem łodzie z białymi żaglami. Stojąc na brzegu i patrząc na jej bezmiar, można ich było naliczyć aż czternaście. Zbyt odległe, żeby do obserwatora dotarły miarowo skandowane komendy dla wioślarzy, w łagodnych promieniach wiosennego słońca wyglądały jak nieruchomy obraz.

Rzeka płynęła przez trawiaste moczary, za którymi wznosiły się wysokie wały ziemne. Za wałami, aż po obsadzone drzewami ulice Tawarase, rozciągały się zielone pola pszenicy.

W samym środku tych pól leżała posiadłość naczelnika wsi Ayasabury Ogino. Otoczone murem okazałe domostwo miało od frontu stróżówkę, za nim wznosiły się białe zabudowania gospodarcze okalające ogród, któremu cień dawały brzoźtownice i palmy. Znad rzeki wyglądało jak zamek na równinie.

Rejon ten zamieszkiwały liczne rodziny o nazwisku Ogino. Wszystkie, choć nie bezpośrednio, wywodziły się z klanu Ashikaga, a ich herby wieńczył taki sam krąg z dwiema poziomymi liniami. Spośród wielu rodzin Oginów rodzina Ayasabury wyróżniała się tym, że zwano ją Oginami Górnymi. Oni i Oginowie Dolni byli najbardziej szanowani w klanie i aż do czasów współczesnych należeli do tych bardzo nielicznych rodów chłopskich, które miały przywilej posiadania nazwiska i prawo noszenia miecza.

Owego roku u schyłku dziewiętnastego wieku Ayasaburo skończył pięćdziesiąt dwa lata. Od trzech lat cierpiał na zapalenie stawów i większość czasu spędzał w łóżku, w pokoju w głębi domu. Jego najstarszy

syn, dwudziestoczteroletni Yasuhei, był kawalerem i przejawiał niewielkie zainteresowanie rolnictwem, wszystkie sprawy gospodarstwa spadły więc na barki Kayo, czterdziestopięcioletniej żony Ayasabury.

Kayo, drobna kobieta o pięknych oczach, dobra żona nie zmanierowana wysokim statusem rodziny, prowadziła dom pewną ręką. Każdego wieczoru, kiedy wszystkie prace były już wykonane, pilnowała, żeby mąż wykąpał się pierwszy, po nim dwaj synowie, a potem cała służba, aż do najmniej ważnej pomocy domowej. Sama kąpała się na końcu. Troszczyła się o wszystko i uważała to za rzecz zupełnie naturalną. Miała tylko dwóch synów, Yasuhei i Masuhei, i pięć córek. Wszystkie córki, bystre jak matka, umiały czytać i pisać i słynęły z inteligencji i urody. Wszystkie były zamężne.

W okolicy często można było usłyszeć powiedzenie „Bierz przykład z Górnych Oginów”. Wszyscy mieszkańcy wsi lubili ich i szanowali. Ostatnio zaczęła jednak krążyć o nich plotka.

Trzy lata wcześniej piąta córka, Gin, wyszła za Kanichiro, najstarszego syna bogatej chłopskiej rodziny Inamurów z pobliskiej wsi Kawakami. Teraz ludzie mówili, że Gin wróciła do Tawarase. Ale nie po to, żeby urodzić dziecko albo odwiedzić rodziców. Wróciła sama, z jednym tobołkiem w ręku. Od tej pory minęły już dwa tygodnie.

Nikt z rodziny ani ze służby nic o tym nie mówił, ale co najmniej trzech mieszkańców wsi widziało Gin, jak samotnie szła nad rzeką w kierunku domu rodziców.

Była to wieś, w której niewiele się działo, jeśli akurat nie wylała Tone. Inaczej niż w Tokio, gdzie niedawno powstał rząd Meiji i dokąd przeniósł się z Kioto cesarz. Jednak skutki tych zmian do północnej Saitamy jeszcze nie dotarły.

Wieśniacy się nudzili i pragnęli plotek. Wszystko jedno, czy o nowej panience młodej, czy o pogrzebie - każda była dobra. Dzięki

niespodziewanemu powrotowi córki najbardziej poważanej rodziny w okolicy ludzie mieli o czym gadać.

- Może to z powodu rodziny jej męża?

- Podobno nie ma zamiaru wracać.

- Wszystkie dziewczęta Oginów są ładne, ale ta z pewnością najładniejsza - i mówią, że też mądra.

- Już jako dziesięciolatka znała cztery księgi i pięciu klasyków konfucjanizmu.

- Co ją tu trzyma?

- Naturalnie nie wiem tego z pierwszej ręki, ale powiadają, że wpadła w melancholię i wróciła dla odpoczynku.

- Ale w drodze z Kawakami nikt jej nie towarzyszył.

- Właśnie! To przecież dziwne.

- Może źle się układa między nią a teściową? Albo nią a mężem?

- Cóż, to jest niewątpliwie rodzina o rygorystycznych zasadach. Inamurowie z Kawakami byli od pokoleń zastępcami naczelników. Słyszałam, że Sei, jej teściowa, jest jeszcze w pełni sił i rządzi domem żelazną ręką.

- Ale rozvodu z tego chyba nie będzie, co?

- U Górnych Oginów? Oczywiście, że nie. Jej matka nigdy by na coś takiego nie pozwoliła.

- No tak. Zepsuliby sobie opinię.

W przestrzegającej tradycji, konserwatywnej wiosce pierwszych lat okresu Meiji byłoby czymś niebywałym, żeby młoda żona uciekła od męża i wróciła do domu rodziców. Plotki rozeszły się szybko i stały przedmiotem najdziwniejszych domysłów. Jednak i Yasuhei, i Kayo zachowywali się tak, jakby się nie działo absolutnie nic złego. Ludzi spotkanych na ulicy, domokrażców i dzierzawców, którzy przychodzili do domu, witali jak zwykle dobrodusznym uśmiechem. Goście nie mieli

powodu do przypuszczeń, że coś jest nie w porządku.

- Może wróciła do Kawakami. W domu nikt jej nie widział.
- Nie. Wszyscy wiedzą, że Gin nie ma w domu jej męża.
- Pewnie pojechała do gorących źródeł, żeby poratować zdrowie.
- Jest u Oginów. Gdyby wyszła, ktoś by ją na pewno widział. Musi

przebywać w którymś z pokoi w głębi domu.

Mieszkańcy małych rolniczych wiosek byli spostrzegawczy. Choć Kayo bardzo się starała ratować pozory, plotki nie cichły. Prawdę mówiąc, z każdym dniem się nasilały. Czuła na sobie wzrok sąsiadów patrzących po części ze współczuciem, po części z ciekawością. Niektórzy nawet delikatnie próbowali w niby przypadkowej rozmowie czegoś się od niej dowiedzieć. Minęło już trzydzieści lat, od kiedy weszła do rodziny Oginów, ale coś takiego nigdy się wcześniej nie zdarzyło. Jednak milczała jak głaz. Nie chciała, by dobre imię rodu poniosło uszczerbek - przecież mieli obowiązek świecić przykładem.

2.

Więc gdzie jest Gin?

Tomoko, nie bawiąc się w zbytnie subtelności, przystąpiła do rzeczy od razu po przyjeździe. Była czwartą córką Kayo, starszą od Gin o cztery lata, od pięciu lat zameżną z najstarszym synem kapłana szinto z Kumagayi. Otrzymała od matki list w pilnej sprawie i następnego ranka wyruszyła z Kumagayi do Tawarase. Chodziło oczywiście o Gin.

- W pokoju w głębi, koło korytarza.
- Leży w łóżku?
- Od czasu do czasu wstaje, ale ciągle ma gorączkę.
- Był u niej lekarz?
- Tak, doktor Mannen.

Tomoko kiwnęła głową. Mannen Matsumoto, badacz kultury chińskiej, przed dziesięciu laty przybył do Tawarase wraz z córką Ogie i

założył prywatną wiejską szkołę. Gdy Tomoko była dzieckiem, pozwalano jej chodzić z bratem na lekcje. Jak wielu ówczesnych znawców Chin, doktor Mannen był również specjalistą od chińskiego ziołolecznictwa, więc pełnił we wsi funkcję zarówno nauczyciela, jak i lekarza.

- I co powiedział?

- Powiedział - Kayo rozejrzała się, żeby mieć pewność, że nikogo nie ma w pobliżu, podeszła bliżej do Tomoko i dokończyła przyciszonym głosem - że to *norin*.

- *Norin*?

Kayo ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

Słowo *norin* oznaczało w chińskiej medycynie rzeżączkę. Chorego na nią męczyła wysoka gorączka, silny ból w zainfekowanym miejscu i ból przy oddawaniu moczu. Dziś rzeżączkę można wyleczyć penicyliną i innymi antybiotykami, lecz w tamtych czasach nie było jeszcze nawet sulfonamidów i uważano ją za chorobę nieuleczalną.

- Dawno ją ma?

- Mówi, że już dwa lata.

- To znaczy, że jej mąż...

Kayo milczała.

- Więc nabawiła się tego wkrótce po ślubie... - Tomoko była zaskoczona. - Jak długo potrwa leczenie?

- Nie wiadomo. Doktor Mannen powiedział, że to się nawet może nie dać wyleczyć.

- Słyszałam, że kobieta chora na *norin* może nigdy nie mieć dzieci.

- To właśnie mówi doktor Mannen - potwierdziła Kayo cichym, zmęczonym głosem.

Tomoko ciężko westchnęła.

- Co na to Inamurowie?

- Nie dają znaku życia. Kiedy Gin opuszczała ich dom, z nikim nie

rozmawiała; powiedziała tylko służącej, że idzie do Tawarase wypocząć.

- I co teraz zrobi?

- Przypuszczam, że nie zamierza wrócić do Kawakami.

- Nie wierzę. - Tomoko zastygła w bezruchu ze zdziwienia. - I mówisz, że przyszła do Tawarase sama? - Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby opuścić dom męża, nie mówiąc o tym nikomu, a Gin weszła przecież do jednego z najbogatszych rodów w północnej Saitamie. - Nie do wiary, że nam to zrobiła! - Ucieczka siostry od męża odbiłaby się na całej rodzinie. - Jak mogłaś pozwolić jej tu zostać? Wiesz, że powinnaś ją odesłać. - Tomoko nie miała wątpliwości, że matka rozpuściła młodszą córkę, pozwalając jej w dzieciństwie robić, co się jej podobało.

- Wiem o tym, ale trzeba ją było widzieć, kiedy przyszła - rozpalona od gorączki, zgięta wpół z bólu. Dopiero od dwóch albo trzech dni czuje się trochę lepiej.

- W takim razie była chora, zanim się tu zjawiała.

- Mówi, że leżała w łóżku od zimy. Pisała, że jest przeziębiona, prawda, ale to mnie nie zaniepokoiło. Oddaliśmy ją Inamurom jako pannę młodą i przeziębienie to nie był powód, żeby się o nią dopytywać.

Tomoko zrozumiała, co matka chciała powiedzieć, i uważnie słuchała dalej.

- Gin czuła się upokorzona i miała nadzieję, że wyzdrowieje, zanim ktokolwiek zauważy, że jest chora. W lutym dostała gorączki, ale nadal robiła wszystko w domu jak zwykle. Później jednak tak osłabła, że rano nie miała siły wstać z łóżka, i tak jest do dzisiaj.

Tomoko zaczynała pojmować, dlaczego siostra postanowiła uciec. Kayo od razu zgodziła się na małżeństwo młodszej córki, nie pytając jej o zdanie. Gin zrobiła, co jej kazano, i wszystko potoczyło się zgodnie z przyjętymi normami społecznymi.

Kayo wiedziała, że Gin nie można obwiniać; o małżeństwie



zdecydowali ona i pośrednicy.

- Wszystko moja wina. - Zasłoniła oczy.

- Zrządzenie losu - zaczęła Tomoko, chcąc pocieszyć matkę, ale nie potrafiła powiedzieć więcej, uświadomiwszy sobie, co to znaczyło dla Gin.

Kayo sięgnęła po żelazny czajnik i naląła gorącej wody do dzbanka.

- Co na to ojciec?

- Kazał mi ją natychmiast odesłać.

- Do Kawakami? - Tomoko sama już nie wiedziała, co ma myśleć.

Była zła na siostrę za ucieczkę od męża, ale usłyszawszy, że ojciec kazał ją odesłać do człowieka, który ją zaraził, oniemiała.

- A co powinna zrobić Gin twoim zdaniem, matko?

- Jeśli zostanie tutaj, spowoduje przeróżne kłopoty. Najlepiej by było, dla wszystkich, gdyby jak najszybciej odeszła... - Kayo się zawahała.

- Ale pewnie będzie miała własny pogląd na ten temat.

- Zwłaszcza jeśli nie uda się jej wyleczyć - odpowiedziała Tomoko.

- Poprosiłam cię, żebyś przyjechała, bo chcę, żebyś z nią porozmawiała i dowiedziała się, co o tym wszystkim myśli.

Gin była najmłodszym dzieckiem, a ponieważ Tomoko najmniej się od niej różniła wiekiem, zawsze trzymały się razem. Kiedy miało być wesele Gin, Tomoko przyjechała w przeddzień i przegadały całą noc. Gin nie miała do zamążpójścia zastrzeżeń. Dopiero szesnastoletnia, była pełna dziewczęcych oczekiwań. Teraz Tomoko nie mogła uwierzyć, że po zaledwie trzech latach jej pogodna, bystra siostra wróciła do domu w takim stanie.

- Wkrótce będziemy się musieli skontaktować z Inamurami.

- Kto mógł przypuszczać, że on się okaże takim człowiekiem? - Tomoko próbowała sobie przypomnieć narzeczonego Gin z okresu przed ślubem. Miał piękną jasną skórę, aż za gładką dla jego płci, kontrastującą ze zdrową, rumianą cerą Gin. - Chyba nigdy nie zrozumieję mężczyzn.

Nie wiedziała, co mogłaby jeszcze powiedzieć.

Tomoko zajrzała do pokoju w głębi korytarza, za pokojem ojca. Gin leżała w łóżku i czytała.

- Tomoko! - Gin odłożyła książkę i zaczęła się podnosić na posłaniu.

- Nie wstawaj. - Gin jednak poprawiła kimono i usiadła.

- Jak się czujesz?

Kiedy Gin opuszczała dom jako panna młoda, miała delikatną, okrągłą buzię. Teraz jej twarz była koścista i przypominała odwrócony trójkąt, a skóra miała niebieskawy odcień, charakterystyczny dla chorych na rzeżączkę.

Zamiast odpowiedzieć, zapytała:

- Co ty tu robisz?

- Miałam coś do załatwienia w pobliżu, więc pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, jak się miewa matka. A tu taka niespodzianka - ty też tutaj jesteś! - Udawana nonszalancja Tomoko jednak nie zwiódła Gin.

- Matka poprosiła, żebyś przyjechała, prawda? - Tomoko nie odpowiedziała. - Chciała z tobą porozmawiać o mnie.

Tomoko wreszcie kiwnęła głową.

- Tak. Chyba tak.

- Masz mi coś do powiedzenia? - Gin czekała. Jej oczy, zaczerwienione od gorączki, patrzyły czujnie. Tomoko wiedziała, że nie ma wyboru - musi być z siostrą szczerą.

- Matka mi wszystko powiedziała. Tak mnie to zaskoczyło, że nie wiem, co myśleć.

- Jesteś na mnie zła, prawda?

- Nie. - Schorowana Gin jakby zmaląła i wyglądała na starszą, niżby to wynikało z jej wieku. Tomoko była bardziej wstrząśnięta niż zła. - Ale musisz wiedzieć, że nie możesz tu tak po prostu zostać. Jeśli trzeba ci czasu na powrót do zdrowia, jedź do gorących źródeł. Albo wracaj do

domu i wypoczywaj - nie możesz się tu schować w najdalszym pokoju i oczekiwać, że nikt tego nie zauważy.

- Takie jest twoje zdanie?

- Cóż... wiesz, że chcę dla ciebie jak najlepiej.

- Więc mam natychmiast wracać do Kawakami?

- Nie, nie. Nie to chciałam powiedzieć. Matka mnie poprosiła, żebym się dowiedziała, co zamierzasz.

- Mogę mówić szczerze?

- Oczywiście, przecież jestem twoją siostrą.

- W takim razie powiem. - Gin spojrzała jej w oczy. - Nie wrócę do Inamurów.

- Jesteś pewna?

Zdecydowanie kiwnęła głową.

- Podjęłam taką decyzję, kiedy opuszczałam ich dom. - Tomoko znów zaniemówiła. Gin bynajmniej nie wyglądała na zawstydzoną. Przeciwnie - to, co powiedziała, najwidoczniej przyniosło jej ulgę i teraz miała niemal pogodny wyraz twarzy. Tomoko poczuła się, jakby to ona była młodszą siostrą. - Zastanawiam się, kiedy poinformować o tym matkę i ojca.

- Gin. - Tomoko wiedziała, że musi coś powiedzieć, ale nie miała pojęcia co. - Więc masz zamiar się rozwieść? Czy tak to trzeba rozumieć?

- Tak. - Gin się wzdrygnęła, słysząc bezceremonialne pytanie siostry.

- A czy wiesz, że jeśli to zrobisz, prawdopodobnie nigdy nie będziesz mogła znowu wyjść za mąż? Możesz zostać sama do końca życia.

- Wcale mnie to nie martwi. - Gin spojrzała przez okno na ogród, gdzie pod baldachimem z liści pojawiły się promienie słońca. Na jej twarzy malowała się jeszcze większa ulga. Nie była to twarz młodej kobiety stojącej w obliczu katastrofy życiowej, jaką jest rozwód.

Wzruszenie Tomoko zaczęło ustępować irytacji.

- Nie obchodzi cię, że twoje zamążpójście tyle kosztowało? Nie czujesz żalu?

- Już na to za późno.

- Jesteś samolubna!

- Ja? Samolubna?

- Tak! Opuściłaś dom męża bez jego zgody, wróciłaś do domu rodziców i zostałaś, jakby tu było twoje miejsce! Tak nie postępuje godna szacunku mężatka! - Tomoko nie potrafiła się opanować.

- Nie zależy mi na szacunku.

- Co sobie ludzie pomyślą?

- Na szacunek nie zasługuje tu tylko mój mąż. Mam pełne prawo zaprzestać spełniania powinności wobec niego, bo bez wątplenia on pierwszy zapomniał o swoich wobec mnie.

- Gin! - Tomoko spojrzała na siostrę groźnym wzrokiem. W oczach Gin widać było determinację. Jako dziecko zawsze starała się postawić na swoim, ale Tomoko nie przypuszczała, że posunie się tak daleko. W tym drobnym ciele była teraz Gin, jakiej wcześniej nie znała.

- Nie chcę mieć więcej do czynienia z mężczyznami! Nie zależy mi na tym, żeby jeszcze kiedyś znowu wyjść za mąż. Samotność będzie dla mnie największym szczęściem.

- No cóż, wszyscy robimy błędy. Nie musisz podejmować od razu takiej decyzji.

- Choćby nawet jego błąd był drobny i jednorazowy, nie da się ukryć, że to on mnie zaraził.

- Jak kobieta może tak mówić!

- Więc jeśli kobieta nabawiła się choroby od mężczyzny i nie będzie mogła mieć dzieci, musi się z tym pogodzić? Powinnam była mimo gorączki wstać z łóżka, wykonywać każde polecenie teściowej i robić

wszystko, żeby tylko zadowolić męża?

Tomoko nic na to nie potrafiła powiedzieć. Wcześniej myślała, że ma więcej zrozumienia niż matka, ale teraz się przekonała, że również się stara zmusić Gin do postępowania zgodnie ze staroświeckim pojęciem kobiecych powinności.

- Ale wiesz, jak na to będą patrzeć - spróbowała przemówić siostrze do rozsądku.

- Trudno. - Gin odwróciła głowę, żeby spojrzeć na białe kwiaty gardenii w ogrodzie. Od kiedy wyszła za mąż i opuściła rodzinny dom, drzewo urosło.

- I pomyśleć, że weszłaś do takiej zamożnej rodziny. - Tomoko wiedziała, że zaczyna robić Gin wymówki. Z pięciu siostr to ona miała najbogatszego męża. Wszystkie jej tego trochę zazdrościły, co właściwie nie mogło dziwić. Nikt by nie opuścił takiej rodziny z własnej woli. Na samą myśl o tym, co powiedzą mieszkańcy wsi, Tomoko czuła się upokorzona. - Dlaczego w ogóle nie bierzesz pod uwagę powrotu? - Bała się, że może przeciągnąć strunę, ale musiała o to zapytać.

- Nie obchodzi mnie, że są bogaci. Nie chcę się do końca życia zajmować domem.

- Nie chcesz się zajmować domem? - Gin znów patrzyła na ogród. W świetle odbitym od błyszczących zielonych liści jej cera wyglądała na jeszcze bardziej niezdrową. - To właśnie robią młode żony.

- Ale ja nie chcę. - Gin spojrzała na siostrę. - Rozpalić ogień, posprzątać dom, ugotować ryż - nigdy ani chwili na czytanie.

- To znaczy, że czytasz książki? Nie słyszałam, żeby jakaś żona rolnika czytała książki! Coś ty wymyśliła?

- Chodzi mi o te kilka minut, kiedy już wszystko, co było w ciągu dnia do zrobienia, jest zrobione. Nawet wtedy musiałabym się chować przed teściową.

- Nic dziwnego!

- Ale dlaczego?

- Mówisz, jakbyś straciła rozum.

- Nie martwię się, że jestem chora. Przeciwnie - ja się cieszę! Bo teraz wiem, jak samolubni są mężczyźni i jak niewiele znaczy małżeństwo.

- Gin!

- Ty się też nie martw. A teraz mnie zostaw. - Położyła się na posłaniu i ukryła twarz w dłoniach. Wyczerpała całą energię, jej szczupłe ręce drżały. - Nigdzie już nie pójdę.

Patrząc na wychudzoną siostrę, Tomoko widziała, do czego prowadzi zajmowanie się przez trzy lata wielkim domem pod okiem wymagającej teściowej i mężowska zdrada.

- Nie poddawaj się, Gin. Wkrótce poczujesz się lepiej.

Masując siostrze plecy, czuła jej smutek. Coraz silniej i silniej, aż stał się i jej smutkiem, wspólnym smutkiem dwóch kobiet.

3.

Gin przebywała w swym wyłożonym tatami przestronnym pokoju. Na ogół leżała w łóżku, ale gdy czuła się lepiej, siadała na posłaniu. Patrząc stąd przez okna po drugiej stronie korytarza, które sięgały od podłogi do sufitu, widziała ogród. W ogrodzie były latarnie i staw z kępą palm na brzegu. Bawiła się tam jako dziecko, więc znała każdy centymetr tego miejsca. Mogła z zamkniętymi oczami wymienić nazwy wszystkich drzew i krzewów i powiedzieć, gdzie rosły.

Z domu Inamurów nie potrafiła sobie przypomnieć nic. Pamiętała tylko rozkład tamtejszego ogrodu, podobnego do ogrodu rodziców. Z jednego z pokoi mogła patrzeć na ogród. Była pewna, że spędziła na tym więcej czasu niż na przyglądaniu się czemukolwiek w domu.

Tu całe dni czytała książki. W domowej bibliotece było ich wiele.

Kiedy ojciec czuł się dobrze, często w niej przebywał, ale teraz prawie nikt z nich nie korzystał. Gin miała je wszystkie dla siebie. Czasem niespodziewanie ogarniał ją strach, że ktoś może ją obserwować, ale po chwili uświadamiała sobie, że jest w rodzinnym domu, daleko od Sei, teściowej.

Doktor Mannen Matsumoto przyjeżdżał do domu Oginów konno, z dość daleka, piątego, piętnastego i dwudziestego piątego każdego miesiąca, i uczył brata Gin Yasuhei i kilku jego kolegów z okolicy. Pewnego wieczoru powiew wiatru przyniósł do jej pokoju głos Mannena, który głośno czytał. Nie przypominała sobie tych słów; widocznie była to książka, której jeszcze nie czytała. Jako dziecko siadała za plecami braci i przysłuchiwała się lekcjom. Teraz chciałaby robić to samo, ale Mannen znał tajemnicę jej choroby, więc się wstydziła poprosić, by ją znowu uczył.

Po lekcji Mannen przyszedł do Gin.

- Jak się czujesz?

Gin krótko opowiedziała, jakie miała objawy w czasie ubiegłych dziesięciu dni. Mannen ją wysłuchał, zalecił nowe lekarstwo, a potem spostrzegł książkę, którą wcześniej czytała.

- Czytanie trudnych książek, takich jak ta, pewnie cię męczy.

- Czytam po trochu, kiedy mi się nudzi.

- Niedawno sam napisałem książkę. W takim razie ci ją dam.

- Jaki ma tytuł?

- „Bunsai zassho”. To moje przemyślenia na temat życia na wsi.

- Bardzo chętnie ją przeczytam! - Rozmawiając z nim, zapomniała, że to jej lekarz. Znow był nauczycielem, a ona małą dziewczynką.

- Nie powinnaś ciągle siedzieć w tym pokoju jak zamknięta w klatce. Kiedy się dobrze czujesz, idź na spacer.

- Tak, wiem - odpowiedziała, ale nie miała ochoty wychodzić. Wystarczyło, że w domu było dziesięcioro służących. Gdyby się odważyła

wyjść na teren posiadłości, napotkałaby dzierżawców i sąsiadów, a nawet gości z Tokio. W domu nikt z rodziny, a tym bardziej służba, nie okazywał zdziwienia jej obecnością. Matka powiedziała im tylko, że Gin dochodzi do siebie po chorobie. Mijani na korytarzu, pozdrawiali ją cichym głosem, ale nikt nie pytał o zdrowie ani o Inamurów.

Służący po prostu dyskretnie nad nią czuwali. Wobec kobiety, która opuściła dom męża, nie mogli się zachowywać taktowniej. Gin była im wdzięczna za życzliwość, lecz jednocześnie czuła, że atmosfera jest gęsta. Sąsiedzi oczekiwali jakiegoś sygnału, który by ostatecznie wyjaśnił jej pobyt w domu. Zachowywali się, jakby chodziło im tylko o jej dobro, ale wiedziała, że pali ich ciekawość. Co by powiedzieli, gdyby się okazało, że bezpłodna kobieta chora na rzeżączkę wróciła do rodziców i robi, co jej się podoba? Nawet uparta Gin nie była gotowa stawić im czoła.

- Na pewno się tu nudzisz, ale ludzie gadają. Pewnie masz rację, że na razie nie wychodzisz. - Mannen spojrzał ciepło na Gin, która siedziała przed nim jak grzeczna dziewczynka. - Przyznam się, że nie mam nic przeciwko obecności takiej zdolnej młodej kobiety w pobliżu. - Uśmiechnął się. - Powinnaś pomyśleć o dalszej nauce.

- To by było wspaniałe! - Teraz tylko nauka mogła ją podnieść na duchu.

- Niedługo wrócisz do zdrowia i wtedy będziemy mogli przystąpić do pracy. - Mannen najlepiej wiedział, ile czasu potrzeba, żeby wydobrzała. Gin zdawała sobie sprawę, że stara się jej poprawić nastrój, ale mimo wszystko była mu wdzięczna.

- Powiem Ogie, żeby cię odwiedziła. Jest jak dawniej uparta, wciąż niezamężna. Myślę, że się będziecie dobrze rozumieć. - Wcześniej kilka razy się spotkały. O osiem lat starsza od Gin, Ogie czasem uczyła dzieci, zastępując ojca, kiedy musiał wyjechać. Sama była oczywiście jego uczennicą i w wieku dziesięciu lat miała już za sobą lekturę wyboru pism



Konfucjusza. - Tak jak ty jest sama tutaj na wsi.

Wykształcona kobieta budziła podziw i szacunek, lecz Ogie musiała wiedzieć, że za plecami ludzie nazywają ją dziwaczką. W dodatku była panną, choć skończyła dwadzieścia pięć lat, więc niemal na pewno nigdy już nie miała wyjść za mąż.

- Pytała o ciebie.

- Bardzo bym się chciała z nią zobaczyć.

Ogie zawsze miała surowy wyraz twarzy, być może dlatego, że jako kobieta wykształcona starała się wyglądać poważnie.

- Każę jej przynieść ci lekarstwo.

- Proszę jej nie narażać z mojego powodu na kłopot.

- Nie martw się. Jeśli dzięki temu obie poczujecie się trochę lepiej, ja upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu. - To rzekłszy, Mannen poszedł powiedzieć ojcu Gin o tej decyzji, po czym opuścił dom Oginów.

Nadeszło lato. Wczesnym rankiem cykady urządały wśród sumaków koncerty dla wstających wcześniej, którzy właśnie zaczęli się kręcić po domu.

Gin wciąż się budziła ze strachem, że się spóźni do swych obowiązków. Jakiś głos uparcie jej przypominał, że musi być na nogach przed teściową i że ma wybiec kuchennymi drzwiami, żeby obmyć twarz. Lecz choć głos ją popędzał, ociężałe ciało nie chciało go słuchać.

Kiedy dziś po przebudzeniu Gin rozejrzała się niespokojnie, ujrzała słońce świecące przez szpary w drzwiach. Wąska smuga światła padała spoza jej ramion w kierunku stóp. U Inamurów słońce świeciło pod innym kątem, przypominała sobie. Była w Tawarase i nie musiała wcześniej wstawać. Odetchnęła z ulgą.

Od powrotu do rodziców przybierała po trochu na wadze. Jej twarz przypominająca odwrócony trójkąt z wolna odzyskiwała swój owalny kształt. Jednak choroba nie ustępowała i Gin nadal nie miała apetytu,

więc przyczyną tej zewnętrznej poprawy musiał być odpoczynek w domu, w którym spędziła dzieciństwo.

Po kolacji Kane, pokojówka, przyniosła do pokoju Gin miednicę z ciepłą wodą.

- Czy mam zmoczyć ręcznik?

- Sama to zrobię. - Gin odłożyła książkę. Na ciemniejącym niebie świecił biały księżyc.

- Widzę, że się czujesz dużo lepiej.

- Tak myślisz? - Gin musiała przyznać, że jej odbicie w lustrze co rano świadczyło o poprawie. Szara, obwisła skóra na twarzy robiła się coraz jędrniejsza.

- Pewnie woda z Tawarase lepiej ci służy. - Kane zajmowała się Gin, kiedy ta była małą dziewczynką, i zawsze traktowała ją z wielką czułością.

- Zostaniesz?

- Słucham?

- Tak by było dla ciebie najlepiej. - Kane zaśmiała się cicho, a Gin pomyślała, że może coś wie.

Usiadła, zmoczyła ręcznik w miednicy i go wyżeła. Nadal miała gorączkę, więc nie mogła się kąpać, ale kiedy tylko czuła się lepiej, wycierała ciało mokrym ręcznikiem. Żeby zmyć pot, gdy było parno, musiała to robić przynajmniej raz dziennie. Co pięć dni wietrzyła pościel, żeby w pokoju nie zrobiło się wilgotno i nieprzyjemnie.

Weszła za parawan, żeby się umyć. Jeśli matka miała czas, często jej w tym pomagała. „Pozwól, że dziś ja to zrobię”, mówiła wtedy. Dokładnie, lecz delikatnie tarła ciało Gin mokrym ręcznikiem. W domu Inamurów Gin się kąpała z teściową, która nawet myła jej plecy, ale to było zupełnie co innego. Myjąc córkę, Kayo czasem zamierała w bezruchu; Gin czuła wtedy niepokój i zastanawiała się, o czym inatta myśli. Potem Kayo wychodziła z pokoju, żeby wylać wodę, a Gin wracała do łóżka. Teściowej

Gin zawsze dziękowała za każdą, nawet drobną przysługę, lecz czuła, że wobec matki byłaby to niezręczność.

Pewnego wieczoru Kayo skończyła już po zmroku. Cykały nocne owady, księżyc świecił coraz jaśniej. Zapaliła lampę i składając bieliznę Gin, zaczęła mówić, jakby sobie właśnie coś przypomniała.

- Idę jutro do Inamurów. - Usłyszawszy niespodziewanie nazwisko męża, Gin podniosła głowę. Od kiedy się pojawiła w domu, żadna z nich ani razu go nie wymówiła.

- Czy słusznie się domyślam, że nie zamierzasz do nich wrócić? - Gin milczała. - Nie można tej sprawy tak po prostu zostawić.

Gin spuściła oczy. Oczywiście nie miała ochoty wracać do Kawakami, ale chciała usłyszeć, co o tym myśli matka. Była pewna, że woli, żeby wróciła do męża.

- Jak mam postąpić, matko?

- Pytam, czego ty chcesz. Ja nie muszę iść. Ty owszem.

- Gin skuliła się pod wzrokiem matki. - Wszystko w twoich rękach. - Głos Kayo brzmiał stanowczo.

- Ale...

- Nie martw się tym, co mówią sąsiedzi. Plotki mnie nie obchodzą. Chcę wiedzieć, co naprawdę czujesz.

Gin już się miała odezwać, ale przypomniła sobie o ojcu.

Kayo jakby jej czytała w myślach.

- Ojcem i wszystkimi domownikami ja się zajmę. - Była wobec córki zupełnie szczerą. Czuła się odpowiedzialna za to, co się stało, a tylko tak potrafiła to wyrazić. Traktowała Gin w specjalny sposób nie tylko z powodu jej choroby. Małżeństwo zaaranżowane przez Kayo, Ayasaburo i pośredników przyniosło Gin jedynie ból i teraz uważała, że ma obowiązek dać córce wolny wybór. - Jaka jest twoja decyzja?

- Pozwól mi... zostać tutaj... proszę...

- Więc nie wrócisz?
- Nie - powiedziała z przekonaniem Gin, patrząc matce w oczy.
- Za trzy dni ma tu przyjść twój pośrednik i ktoś od Inamurów.

Poprosimy o rozwód.

- Rozwód? - To słowo, użyte w końcu w rozmowie z matką, wprawilo Gin w zdenerwowanie.

- Jeśli poprosimy, Inamurów nie powinni się sprzeciwiać. Zgodzisz się? - Gin milczała. - Przypieczętujesz rozstanie? - Gin się zawahała, lecz raczej ze strachu niż z braku pewności. - Zrobisz to?

- Tak. - Zamknęła oczy i kiwnęła głową.

- Więc idę powiedzieć ojcu. - Kayo wstała i bezszelestnie wyszła.

Gin próbowała się oswoić z myślą, że będzie rozwódką. Wymawiała po cichu to słowo, lecz wciąż nie czuła, żeby się odnosiło do niej. Przez następne kilka dni gnębił ją niepokój. Oczekiwanie na rozwód, którego pragnęła, lecz zarazem się obawiała, było udręką.

- Rozpoczynamy oficjalnie postępowanie rozwodowe - oznajmiła Kayo trzeciego dnia wieczorem. W uszach Gin nadal brzmiało to, jakby chodziło o kogoś innego. Letnie słońce chyliło się ku zachodowi. Patrzyła na światło przesączające się przez papierowe drzwi *shoji* i myślała o nadchodzącej wielkiej zmianie w jej życiu.

\*\*\*

Dziesięć dni później, w upalne popołudnie, dostarczono do Tawarase rzeczy Gin. Słyszała wypowiedane w pośpiechu słowa i parskanie koni. Była ciekawa, kto przyjechał od Inamurów, lecz nie udało jej się rozpoznać głosów.

- Położymy to tutaj. Potem możemy przejrzeć i co niepotrzebne przenieść gdzie indziej. - Kayo wydawała polecenia dwóm pracownikom Oginów. Wnieśli wszystko oprócz sprzętów kuchennych. Gin siedziała i patrzyła, jak pokój wypełnia się komódkami, toaletkami, kuframi.

- Ubrania obejrzymy później. Nie ma pośpiechu - powiedziała Kayo i wyszła. Gin słyszała, jak mówi do kogoś, ale głos drugiej osoby do niej nie docierał. Myślała, że może zajrzy do niej ktoś od Inamurów albo zawoła ją matka, ale harmider na zewnątrz ucichł, a w pokoju nikt się już nie pojawił. Najwidoczniej ani Kanichiro, ani Sei nie przyjechali.

Rozejrzała się po pokoju, teraz pełnym mebli. Czy spędzi w nim resztę życia, odgradzona od świata?

Kwadrans po dziewiątej Kayo skończyła się kąpać i poszła do córki. Gin zdążyła już przejrzeć większość odzieży.

- Zimowe możesz włożyć tutaj - powiedziała Kayo, wniósłszy do pokoju wielkie pudło. Wśród ubrań były kimona, których Gin nigdy jeszcze nie używała. Przebywszy drogę z Tawarase do Kawakami i z powrotem, wrócili w takim stanie, w jakim je zabrała. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała okazję je założyć. Nietrwiała krepa i delikatne jaskrawe sploty *ichiraku* mogły jeszcze przeżyć pięć do sześciu lat. Właściwie miała pewność, że nie będzie już paradować w tych wspaniałościach. Żal jej było kimon prawie jak siebie samej.

- Inamurowie powiedzieli, co mówią ludziom - odezwała się Kayo, składając kimono. Gin spojrzała na matkę. - Powodem rozwodu było to, że jesteś słabowita i nie możesz mieć dzieci. Myśmy na to przystali. To na razie wystarczy. Rozumiesz?

Gin wiedziała, że to, co ona czuje, się nie liczy. Wszystko zostało ustalone.

- Im też z pewnością zależy na zachowaniu pozorówciągnęła Kayo, dając do zrozumienia, że pozory są ważne również dla Oginów. - No i tak będzie najlepiej.

Gin musiała przyznać, że rzeczywiście jest słabowita. Nie mogła spełniać obowiązków żony i synowej, ponieważ była chora. Ale to mąż ją zaraził. Ona była ofiarą. Mówienie, że jest niezdrowa, było tuszowaniem

rzeczywistej sytuacji, lecz przypuszczała, że każdy, kto widzi, jak bardzo schudła i osłabła, bez trudu w to uwierzy. Inamurowie wymyślili wygodny powód rozwodu.

Piętno tej, która nie może mieć dzieci, było dla Gin bolesne. Pamiętała zdanie przeczytane w poradniku dobrych obyczajów dla kobiet: „Kobieta, która nie może mieć dzieci, opuszcza dom męża”. W tamtych czasach etykieta „bezpłodna” była powszechną przyczyną rozwodów, jednak poniżała, pozbawiała kobietę wartości. Gin nie była pewna, czy naprawdę jest bezpłodna, lecz książka nawet wyznaczała nieprzekraczalny termin urodzenia dziecka: trzy lata. Im więcej Gin o tym myślała, tym silniejsza ogarniała ją złość. Mąż nie tylko zrujnował jej zdrowie, ale i pozbawił ją kobiecości. W oczach społeczeństwa nie była już prawdziwą kobietą.

- Przeprasili - odezwała się znowu Kayo. Dla Gin nie była to żadna pociecha. Mężczyźni wystarczyło przeprosić. A co miała zrobić kobieta? Uznać to za zrządenie losu i się poddać?

- Matko. - W głosie Gin słyhać było stanowczość. Kayo przestała składać kimono. - Matko, ja nigdy...

- Wiem, co chcesz powiedzieć, i to rozumiem. Ale już jest po wszystkim i tylko tak można to było rozwiązać.

A więc liczy się tylko honor, tak? - pomyślała Gin.

- Mężczyźni robią takie rzeczy. O ile wiem, nie folgował sobie częściej, niż to zwykle bywa.

- Ale...

- Należy do bogatej rodziny. To całkiem naturalne, że od czasu do czasu jechał do Kumagayi, żeby się zabawić. Jestem pewna, że nie zdawał sobie sprawy, że jest chory.

- To jednak nie znaczy... - Gin chciała powiedzieć, że wcale nie musi się godzić z tym, że ją zaraził nieuleczalną chorobą. Zresztą już dawno

czuła od niego zapach innych kobiet i nie zamierzała mu tego wybaczyć.

- Przykro mi, że cię to spotkało. Przepraszam cię jako moją córkę.

- Matko! - Gin nie myślała, że sprowokuje Kayo do takich słów.

- Po prostu udawaj, że to był tylko zły sen, i staraj się jak najszybciej o wszystkim zapomnieć.

Mając szesnaście lat, Gin wyobrażała sobie przyszłego męża w marzeniach. Kiedy już jechała brzegiem rzeki do nowego domu, owe marzenia były piękne i szczegółowe. Opuszczała matkę ze smutkiem, lecz pełna nadziei. Teraz patrzyła na tamtą dziewczynę z pogardą i niedowierzaniem. Jakaż była głupia, jaka naiwna!

- No, czas do łóżka. - Ponaglona przez Kayo, Gin ułożyła się na pościeli i przykryła kołdrą, naciągnawszy ją aż na twarz. - Przestań o tym wszystkim myśleć i śpij.

Po wyjściu matki się rozplakała. Nie czuła smutku, ale łzy nie przestawały płynąć. W pokoju było wilgotno i duszno. Przez *shoji* sączyła się z nocnego nieba blada poświata. Patrzyła na ledwie widoczne światło i myślała, jak to źle, że w takiej sytuacji muszą cierpieć tylko kobiety.

4.

W odwiedzinie do Gin przysłała Ogie. Uczesana w kok, ubrana w ciemnoniebieskie kimono i szerokie spodnie *hakama*. Podobnie nosili się uczeni mężczyźni, lecz na wsi był to dla kobiety strój niezwykle nowoczesny. Miała jasnokremową cerę jak Gin, lecz przewyższała ją o pół głowy. Jej wysoką, szczupłą sylwetkę wieńczyła pociągła twarz.

Ludzie często mówili, że Ogie jest niemila i zachowuje się jak mężczyzna, ale rozmawiając z nią, Gin niczego takiego nie zauważyła. Ogie była uczoną kobietą, lecz także licencjonowaną nauczycielką sztuki parzenia i podawania herbaty, układania kwiatów, a nawet szycia kimon. Gin przypuszczała, że może być uważana za nieprzystępną, bo ludzi onieśmielał jej perfekcjonizm.

- Co dobrego daje małżeństwo, słuchanie poleceń teściowej i męża, a potem uwiązanie przy dzieciach? - Błysk pasji widoczny w oczach Ogie, gdy to mówiła, nadawał jej wygląd zwierzęcia przyglądającego się ofierze.

Od powrotu Gin do domu wszyscy byli dla niej mili i pełni współczucia. Wszyscy jej radzili, żeby zapomniała o złej przeszłości, ale nikt nie mówił, czego się może spodziewać. Z pewnością uważali, że czekają przyszłość nieszczęśliwa i pozbawiona nadziei. Każdy, kto ją zobaczył, rzucał kilka uprzejmych słów i znikał najszybciej, jak potrafił. Gin zdążyła już do tego przywyknąć, więc słowa Ogie były dla niej ożywczą niespodzianką. Piła je niczym chłodną wodę.

- Nie zamierzam wychodzić ponownie za mąż.

- Ja nigdy nie miałam takiego zamiaru! - Ogie nie przebierała w słowach. Jako dwudziestosiedmiolatka już dawno przekroczyła wiek stosowny do zamążpójścia. Jej ojciec mówił, że taką znajdowała przyjemność w nauce, iż całkiem zapomniała o założeniu rodziny, i że już jest na to za późno. To jednak niezupełnie była prawda. Dorastająca Ogie uważnie obserwowała, jak w wiejskich domach traktowano młode żony, i nie potrafiła dostrzec w małżeństwie żadnego sensu. Nie przypuszczała, żeby przestrzeganie domowych zasad i zwyczajów małej, zamkniętej społeczności mogło jej coś dać. Ogie nie zapomniała o zamążpójściu - ona miała co do niego przemyślane zastrzeżenia.

- Może to szczęście, że zachorowałaś i wróciłaś do domu. - Ogie wiedziała od ojca wszystko o chorobie Gin i nie wahała się o niej mówić.

- Szczęście? - W głosie Gin było słychać zaskoczenie.

- Oczywiście. Teraz, kiedy już nic cię z tamtym domem nie łączy i nic z ich strony nie ogranicza, możesz bez przeszkód wykorzystać swoje zdolności.

- Moje zdolności? - Dla Gin te słowa brzmiały obco. Nigdy nie myślała, że jest utalentowana. Nigdy się nie uczyła w jakimś określonym



celu - robiła to z zamiłowania.

- Ojciec powiedział, że rzadko się zdarza, żeby ktoś w twoim wieku rozumiał książki, jakie czytasz. Nawet niewielu mężczyzn by je zrozumiało. Powiedział, że szkoda by było, żeby taka dziewczyna musiała spędzić życie, dbając o dobry humor męża.

Gin słuchała zdumiona.

- Nie ma powodu, żebyś się kryła w tym pokoju.

- Ale jestem rozwódką.

- No to co? - Ogie się serdecznie, po męsku roześmiała. -

Chcesz powiedzieć, że rozwód wpłynął na twój umysł? Zaszкодził umiejętności czytania i rozumienia? Że zapomniałaś coś, co dotychczas umiałaś? - Pochyliła się i zbliżyła twarz do twarzy Gin. - Nie można się dręczyć myślą o tym, że się jest rozwiedzionym. Brak męża nie zmniejsza twojej inteligencji.

- Masz rację. - Ogie wyraziła słowami niejasne myśli krążące już wcześniej w głowie Gin.

- Nie musisz się przejmować tym, co sądzą inni.

- Ale kim mnie widzą, tym jestem. Istnieję jako odbicie w oczach innych ludzi, czyż nie?

- Tak cię zawsze uczono. - Ogie spojrzała na Gin na poły z irytacją, na poły ze współczuciem.

- To źle?

- Czasy się zmieniają. Tokugawowie utracili władzę, rząd został całkowicie zreformowany. - Ogie patrzyła nieobecny wzrokiem. - Lepiej znam Tokio niż większość tutejszych. Wszystko tam jest w ruchu, wszystko się zmienia. Z szybkością, która zapiera dech w piersiach.

Gin wyobraziła sobie, jak rzeka Tone płynie do rzeki Edo, a ta do Tokio. Podążwszy ich śladem, mogłaby znaleźć sobie miejsce do rozpoczęcia nowego życia.

Ogie mówiła dalej.

- Okazja w końcu się nadarzy. A tymczasem powinnaś doskonalić swoje talenty.

- Ja?

- Oczywiście. Jesteś ode mnie młodsza, a to znaczy, że masz większe możliwości. - Gin nagle się wydało, że jak we śnie leci na skrzydłach gdzieś w przestrzeń. - Najważniejsze to się nie poddawać.

Gin spojrzała w pełne przekonania oczy Ogie i kiwnęła głową.

Doktor Mannen przekroczył pięćdziesiątkę, jego żona od pięciu lat nie żyła. O dom i ojca dbała Ogie. Oprócz tego uczyła młodych mężczyzn, którzy przychodzili, kiedy on wyjeżdżał, żeby uczyć gdzie indziej albo odwiedzać pacjentów. Nawet gdyby chciała wyjść za mąż, byłoby to dla niej trudne.

Chociaż miała dość zajęć, znajdowała czas, żeby dwa albo trzy razy w miesiącu zajrzeć do Gin. Przychodziła w męskich spodniach *hakama* i prostym kimonie i zawsze przynosiła pod pachą nową książkę.

- Nauczycielka idzie do Oginów, żeby się zobaczyć z ich rozwiedzioną córką - szeptali kochający plotki mieszkańcy wsi, kiedy ich mijala. - Obie są bystre i samotne. Z pewnością mają wiele wspólnych tematów.

- Znów jestem. - Ogie zawsze wchodziła przez ogród, nie od frontu. Widząc ją, Gin czuła się tak szczęśliwa, jakby nagle zakwitły wszystkie kwiaty, a słońce pojaśniało.

Podobnie czuła się Ogie. Gin, choć młodsza, była jedyną kobietą, z którą mogła swobodnie rozmawiać, okraszając konwersację wersami klasycznej chińskiej poezji. W obecności wszystkich innych musiała dbać o pozory i mimo że była córką doktora Mannena, nauczycielką i kobietą uczoną, co jej zapewniało wysoką pozycję, nie potrafiła szczerze rozmawiać z mężczyznami. Przy Gin nic jej nie krępowało.

W czasie tych wizyt Ogie przez pierwszą godzinę uczyła Gin nowych znaków kanji, potem dyskutowały o książkach i wydarzeniach w Tokio, a następnie przechodziły do tematów bardziej kobiecych, jak szycie.

W towarzystwie Ogie Gin była ożywiona i radosna, jakby ktoś rzucił na nią czar. Gdy tylko Ogie wychodziła, na powrót popadała w letarg. Każdy, komu zdarzyło się widzieć je gawędzące i Gin wtedy pełną życia i pewności siebie, nie uwierzyłby własnym oczom, gdyby ją ujrzał chwilę później - apatyczną i posępną.

W samotności zadreślała się myśleniem o tym, jak można by nazwać kobietę w jej sytuacji: przewlekle chorą, bezpłodną, rozwódką, pasożytem. Pograżona w melancholii, pozostawała w tym stanie aż do następnych odwiedzin Ogie za dziesięć dni.

Nie musiała się przejmować rodzicami, braćmi ani służącymi. Mogła wstawać, kiedy chciała, i kłaść się, gdy miała ochotę. Posiłki jej przynoszono, nawet jeśli o to nie prosiła. Takie życie można by z pewnością uznać za wygodne, ale Gin ono nie cieszyło. Potrzebowała kierunku, celu, i niewiele ją obchodziło, czyjego osiągnięcie będzie trudne albo połączone z cierpieniem. Teraz żyła spokojnie i bezbarwnie, lecz pragnęła do czegoś dążyć. Nie mogła znieść podobnych do siebie nijakich, wygodnych dni bez nadziei na przyszłość.

Będąc z Ogie, widziała promyk światła i czuła, że skoro raz na nią padł, nie przestanie jej oświecać. Jednak gdy Ogie odchodziła, czar jej inspirujących słów natychmiast pryskał i Gin nie mogła dostrzec wokół żadnych zmian. Nadal była na wsi, w pokoju w rodzinnym domu. Tokijska energia jeszcze tu nie dotarła. Zaczęła myśleć, że nim pojawi się szansa, by mogła jej zakosztować, pokona ją choroba i starość.

Minęło lato, nadeszła jesień. Gin wciąż parokrotnie w miesiącu męczyła gorączka, za każdym razem przykuwając ją na cztery, pięć dni do łóżka. Ból i upławy nie ustępowały. Pod koniec października znów leżała,

ale ciepłe jesienne słońce zachęciło ją do wstania. Przetarła na mokro tatami, lecz nawet ten niewielki wysiłek nie wyszedł jej na dobre. Była zdumiona swym brakiem sił.

*Moje ciało wciąż trawi choroba, którą mnie zaraził.* W gorączce przyśniło się jej, że pod wpływem trucizny zamienia się w podziurawioną czarną kolumnę. Obudziła się i usłyszała świst wiatru. Był środek nocy, w domu panowała całkowita cisza. Co kilka minut w drzwi uderzał podmuch. Słyszała trzeszczenie gałęzi brzoźownic i palm.

Kayo spała w sąsiednim pokoju. „Mamo!”, zawołała cicho Gin, lecz jej słaby głos zagłuszyły odgłosy burzy. Spróbowała przypomnieć sobie sen, ale w jej pamięci stracił już spójność i pozostał tylko jako upiorne uczucie. *Co zrobię, jeśli coś się stanie matce?* Umysł Gin wypełnił niepokój o przyszłość, odbierając jej sen na następne kilka godzin. Dopiero tuż przed świtem zapadła w drzemkę.

Kiedy się obudziła, wiatr i ulewa były jeszcze silniejsze. Usłyszała pospieszne kroki i przestraszone głosy. Musiało się dziać coś złego. Wstała i otworzyła *shoji*. Lało jak z cebra, wiatr dął z ogromną siłą. Przez szpary w oknach deszcz dostawał się na korytarz. Ogród zamienił się w wielką kałużę, w której wciąż przybywało wody; ziemi już w ogóle nie było widać.

- Wstałaś? - Korytarzem nadbiegła służąca Kane. Trzymała rąbek kimona w ręku, stopy miała bose. - Straszna burza! - dodała w miejscowym dialekcie.

- Wały nie puściły?

- Twoja matka i brat poszli nad Dokanbori sprawdzić.

- Gin spojrzała na drzewa gnące się szaleńczo na wietrze.

- Podobno dziś nad ranem wylała Ono. A to znaczy, że koło południa to samo może się zdarzyć tutaj. Dlatego wszyscy mamy się przenieść na piętro. Zaniosę twoją pościel.

Gin zdjęła nocną bieliznę i włożyła ubranie. Nie było czasu do stracenia.

Wieś Tawarase zajmowała niewielki trójkąt terenu między rzekami Tone na wschodzie i Fuku na południu. Dokanbori, dopływ Fuku, przepływał przez Tawarase i wpadał do Tone. W epoce Edo i w pierwszych latach okresu Meiji na przeciwległym brzegu Fuku biegł wał, który dla Tawarase oznaczał większe zagrożenie powodzią. Po tawaraskiej stronie Tone nie było niczego, co mogłoby przed nią chronić. Z tego powodu mieszkańcy sąsiednich wiosek nazywali Tawarase wodnym miejscem.

W południe nic nie wskazywało na to, by deszcz i wiatr miały zelżeć. Usadowiwszy się na piętrze, zwykle zajmowanym tylko przez jedwabniki, Gin patrzyła na pola i drogi zalane białą wodą. Drogi były puste, gdzieś tam tylko pojawiały się od czasu do czasu cztero - lub pięcioosobowe grupki ludzi spieszących ku brzegowi rzeki. Niektórzy nieśli długie drągi, inni dźwigali worki z piaskiem. Odziani w słomiane peleryny, szybko nikli w oddali.

- Powinnaś się położyć.

Gin spojrzała na drzwi. Weszła matka; miała mokre włosy.

- Jak wygląda sytuacja?

- Myślę, że do wieczora wytrzymamy. - Kayo zwróciła zatroskaną twarz ku oknu. Posiadłość zewsząd otaczała woda. - Jeśli nie zacnie przybierać szybciej... - Deszcz wciąż walił w szybę. Wydawało się, że niebo oszalało. - A teraz kładź się do łóżka. Znowu dostaniesz gorączki!

- Ale...

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. - Słowa matki przyniosły Gin ulgę. - Wzięłaś lekarstwo?

- Tak, niedawno.

Kiedy Gin się położyła, Kayo delikatnie poprawiła jej pościel.

- Na obiad mogą być tylko kulki z ryżu - powiedziała.

W tej samej chwili z dołu dobiegł tupot i usłyszały wołanie:

- Pani Ogino, proszę pani! - To był Gensuke, jeden z parobków. - Jeszcze metr i wyleje!

- W składzie zostało trochę worków z piaskiem. I przygotuj łódź! - odkrzyknęła Kayo i zbiegła po schodach.

Zapadł mrok. Deszcz nie ustawał. Zagłuszył nawet dźwięk dzwonu bijącego w świątyni tuż za kanałem. Od popołudnia kucharze przygotowywali zapas jedzenia - kulki ulepione z ryżu, których miało wystarczyć na dwa dni. Wieczorem wszyscy domownicy byli już na piętrze, stłoczeni wśród jedwabników.

Dokanbori wylała zaraz po ósmej. Pomimo ciemności widzieli mętną, wirującą wodę płynącą ku wsi.

Deszcz padał przez cały następny dzień, wieczorem zaczął słabnąć, lecz Tone przyniosła wcześniej tyle wody, cofając się ku źródłu, że Tawarase wciąż było zalane. Wschodzące słońce, widoczne po raz pierwszy od trzech dni, pokryło zatopione pola czerwienią. Kayo spojrzała w dół. Tu i ówdzie na powierzchni wody unosiły się kłosa zbóż i sandały *geta*. Wszyscy domownicy stali bez słowa przy oknach.

Ciszę przerwał Yasuhei, brat Gin.

- Przepadła całoroczna praca. Co ja takiego zrobiłem w przeszłym życiu, że musiałem się tu urodzić? - Gensuke z rozpaczą w oczach pokiwał głową, a Yasuhei mówił dalej. - Istne spustoszenie! Tyle wysiłku na nic. I to się może zdarzyć zawsze.

- Co ty mówisz? - odezwała się karcącym tonem Kayo. - Jak możesz się skarżyć, że się urodziłeś w takim miejscu? Woda daje nam życie.

Yasuhei milczał. Choć to się mogło wydawać dziwne, słowa Kayo miały sens. Nikt nie mógł powiedzieć o Tone, że jest samym złem. Płynęła przez środek równiny Kant i była ważną drogą wodną, która wraz z Edo

łączyła północne prefektury z Tokio. Zboża uprawiane na jej obu brzegach dostarczano na stołeczne targowiska wielkimi żaglowcami, które regularnie kotwiczyły w portach wzdłuż jej biegu, przyciągając do nich tłumy kupców i podróżnych.

Czasem letnie plony niszczyła powódź, ale w roku bez powodzi zarówno wiosenne, jak i letnie zbiory były obfite dzięki żyznej ziemi, którą nanosiła rzeka. Rejon Tawarase należał do tych bardzo nielicznych, które mogły się całkowicie utrzymać z plonów - warzyw, zbóż, indygo i jedwabiu. Dlatego trudno było potępiać rzekę za zniszczenia wywoływane przez nieczęste powodzie. Kayo święcie wierzyła, że przeznaczeniem ludzi, którzy się tu urodzili, były radości i smutki nierozzerwalnie związane z wodą.

Gdy tylko deszcz ustał, mieszkańcy wsi wsiedli do łodzi i popłynęli do domostw odciętych przez wodę, żeby im dostarczyć jedzenie i karmę dla kur. Choć na takie katastrofy wszyscy tu byli przygotowani, zdarzali się ludzie głodni i chorzy albo kobiety, które właśnie zaczynały rodzić.

Gin spędziła noc na piętrze, z rodziną i służbą. Dom stał na lekkim wzniesieniu i nie groziło mu zabranie przez wodę, lecz parter był w takim stanie, że jeszcze nie można było tam wrócić. Dość miejsca, by się mogli położyć do snu, dano tylko Gin i jej ojcu. Reszta spała zawinięta w kołdry, opierając się o tobołki z rzeczami albo o ścianę. W dzień, ku wielkiemu wstydomi Gin, również tylko ona i ojciec leżeli i odpoczywali. Inni mieli w tym czasie co robić.

Następnego ranka powitało ich bezchmurne niebo. W ciepłych promieniach jesiennego słońca woda szybko się cofała. Pola, które jeszcze kilka dni wcześniej pięknie się zieleniły, teraz były pokryte mułem i kamieniami. Patrzyli na zniszczone uprawy w milczeniu.

- No dobrze, znosimy tatami na dół - zwróciła się Kayo do oniemiałych mężczyzn.

Niedługo po południu Gin usłyszała, że parter jest już oczyszczony, i zaczęła składać pościel. Gorączka minęła, jakby ją burza odegnała, więc postanowiła, że przynajmniej z posłaniem poradzi sobie sama. Wyjrzała przez okno. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się pokryte mułem pola, tu i ówdzie w popołudniowym słońcu połyskiwały na nich kałuże.

W oddali dostrzegła pracującą postać. Widziała, jak się zgina i prostuje, zgina i prostuje. To była matka. Ubrana w bawełniany roboczy strój, z twarzą osłoniętą od słońca białą chustką, zbierała kamienie, które na pole niosła rzeka. Kayo była drobna, lecz pracowała bez wytchnienia. Raz na jakiś czas pokazywała coś ręką, najwidoczniej wydając polecenia pracującym z nią mężczyznom. Jej zachowanie świadczyło o tym, że wcale nie jest zniechęcona; przeciwnie, wydawała się pełna energii.

*Jestem córką swojej matki.* Gin pamiętała, że tak jak matka urodziła się i wychowała w wodnym miejscu.

- Może powinnam pojechać do Tokio i znaleźć lekarza, który by mnie potrafił wyleczyć. - Na początku listopada, kiedy wieś zaczęła wracać do normalnego życia po powodzi, Gin powiedziała matce, co jej chodziło po głowie.

- Też się nad tym zastanawiałam. Porozmawiam z doktorem Mannenem. - Kayo była pewna, że doktor robi dla Gin, co tylko może, lecz mimo to kilka dni później się do niego wybrała.

Mannen przywitał Kayo i z uwagą ją wysłuchał.

- Czy to pomysł Gin? - zapytała. - Czy kiedykolwiek o tym napomknęła?

- Nie powiem, że jestem całkiem zaskoczony - odparł z uśmiechem. - Prawdę mówiąc, myślałem, że powinna pojechać do szpitala Juntendo, do doktora Shochu Sato.

- Sato?



- Tak. To naczelny lekarz cesarstwa, jeden z najlepszych medyków w kraju.

- Ale czy taki sławny lekarz zgodzi się przyjąć Gin?

- Jeśli pani pozwoli, z przyjemnością napiszę list polecający. Poznałem Sato, kiedy byłem na praktyce.

- Nie wiem, jak się panu odwdzięczę, jeśli dzięki panu przyjmie Gin.

- Kayo bardzo chciała podtrzymać tłącą się w córce iskrę energii.

- Musi pani jednak wiedzieć - ciągnął Mannen - że nawet jeśli doktor Sato zgodzi się leczyć Gin, może jej nigdy nie wyleczyć całkowicie.

- Rozumiem. Ale wszyscy się pogodzimy z rezultatem, wiedząc, że była pacjentką najlepszego lekarza w Japonii.

- Dobrze. W takim razie od razu do niego napiszę. Kiedy dostanę odpowiedź, będziecie mogły zaplanować wyjazd.

- Tylko że ona jest ciągle taka słaba.

- Proszę się nie martwić. Ta gorączka jest jak wulkan - wybucha od czasu do czasu. Za jakieś dziesięć dni Gin będzie się czuła na tyle dobrze, żeby móc pojechać.

- Niech więc tak będzie - zgodziła się Kayo. - Pozostawiam decyzję panu. - Mannen był jedynym człowiekiem, na którym mogła polegać, jeśli chodziło o Gin.

- Serce mnie boli, kiedy widzę Gin zamkniętą w pokoju, bez nadziei na wyleczenie. Zawsze ją zaliczałem do swoich ulubionych uczniów.

- Bardzo się ucieszy, kiedy się o tym dowie. - Kayo się uśmiechnęła.

- Nie jestem pewien, ile to wszystko będzie kosztowało - ostrzegł Mannen.

- Poradzę sobie. Jej powrót do zdrowia na pewno będzie tego wart.

- Kayo oczywiście nie miała pojęcia, o jakiej kwocie myśli Mannen, ale byli najbogatszą rodziną w Tawarase, a ona wiedziała, że mąż zgodzi się pokryć wydatki.

- W porządku. Gdy tylko przyjdzie odpowiedź od doktora Sato, natychmiast dam pani znać.

- Bardzo dziękuję. Będę cierpliwie czekała.

Kayo czuła, że bez względu na to, czego się można spodziewać, powinna pozwolić Gin pojechać do Tokio. Pomijając wszystko inne, byłby to gest świadczący o tym, że bardzo pragnęła zmienić na lepsze godny pożałowania stan, na jaki została skazana córka.

5.

Gin przyjęto do tokijskiego szpitala Juntendo w połowie grudnia 1870 roku, w towarzystwie Kayo. Dogodniej byłoby rozpocząć leczenie po obchodach nowego roku, lecz wyruszyły do Tokio natychmiast po otrzymaniu wiadomości, że w szpitalu zwolniło się łóżko.

Szpitałem kierował doktor Shochu Sato, chirurg, znany i szanowany w całym regionie Kantō, urodzony w 1827 roku w rodzinie lekarza sądowego.

Przybył do Edo - teraz noszącego nazwę Tokio - w wieku dziesięciu lat, żeby poznać chińską literaturę i medycynę, a jako szesnastolatek rozpoczął u Daizena Sato naukę medycyny zachodniej. Gdy w 1843 roku Daizen Sato przeniósł się do rodzinnej Sakury z zamiarem utworzenia tam szpitala Juntendo, Shochu pojechał razem z nim. Daizen tak cenił niezwykle utalentowanego ucznia, że po dziesięciu latach wyznaczył go na swego następcę i adoptował, choć miał już pięcioro dzieci. Shochu został głową rodu Sato, który w 1864 roku wysłał go do Nagasaki na naukę u znanego holenderskiego lekarza Johannesesa Pijdiusa Catharinusa Pompego van Meer der Voorta, poufale nazywanego przez Japończyków Pompem. Uczył się tam dzień i noc i choć inni studenci byli znakomici, wyróżniał się zdolnościami. Podobno na koniec nauki Pompe obdarował go, i tylko jego, kilkoma medycznymi książkami autorstwa doktora Georga Stromeyera, jednego z najbardziej postępowych lekarzy owych

czasów.

Po powrocie do Sakury Shochu zreformował system opieki medycznej rodu, zbudowawszy szpital i ustanowiwszy wydział zdrowia. Jednak jego największym osiągnięciem było, naówczas rewolucyjne, zastąpienie chińskiego ziołolecznictwa medycyną zachodnią. Kiedy o doktorze Shochu Sato dowiedział się szogunat Edo, zażądał jego usług, lecz ród doktora owo żądanie stanowczo odrzucił. Nowy rząd Meiji nadał Sato liczne tytuły, w tym naczelnego lekarza cesarstwa. Rok później, po scysji z pewnym ważnym urzędnikiem rządowym, doktor jednak zrezygnował z wysokich stanowisk i zajął się organizowaniem Hongo Juntendo, własnego szpitala w północno-wschodnim Tokio.

Gin zobaczyła doktora Sato drugiego dnia pobytu w Juntendo. Był to niski, prawie zupełnie siwy mężczyzna o poważnej twarzy i przeszywającym wzrokiem. Przeczytawszy list polecający od doktora Mannena, przejrzał wyniki wstępnych badań wykonanych przez personel szpitala i dopiero wtedy zwrócił się do Gin. Za jego plecami stało kilkunastu studentów medycyny, których miał pod opieką. Gin, skrzepowana obecnością tylu mężczyzn, patrzyła w podłogę.

- Jak się miewa doktor Mannen?

- Dobrze - zdołała wyjąkać.

- Cieszę się. - Na tym uprzejmości się skończyły. Doktor Sato skinął głową, wręczył wyniki studentom, żeby się z nimi zapoznali, i zaczął mówić obco brzmiącym językiem, którego nie rozumiała, choć była pewna, że chodzi o objawy jej choroby. Siedziała sztywno na taborecie dla pacjenta.

Kiedy zakończył wyjaśnienia, znów spojrzał na Gin.

- Zobaczmy, jak to wygląda.

Gin nie miała pojęcia, co to znaczy. Podniosła głowę i ujrzała idącego ku niej mężczyznę w kitlu z podwiniętymi rękawami,

pokazującego gestem, żeby się zbliżyła. Poszła za nim do małego pomieszczenia za białą zasłoną.

- Wejdz na to - powiedział.

Na widok pokrytego skórą stołu z czarnymi strzemionami Gin zabrakło powietrza.

- Doktor cię zbada - wytłumaczył bezbarwnym głosem. - No wchodź.

Wspięła się z wahaniem na stół i skuliła w obronnej pozycji. Słyszała zbliżające się kroki lekarza.

- Chcę zbadać chore miejsce.

Zamknęła oczy i zagryzła wargę, aż poczuła smak krwi. Była pewna, że wolałaby umrzeć, niż się tu przy nich obnażyć. Czy lekarzom naprawdę wolno robić takie rzeczy? Co innego, gdyby lekarz był kobietą, ale pokazać się tak mężczyźnie było dla niej nie do pomyślenia.

- Chcę tylko zobaczyć, co ci dolega. - Doktor Sato skrzyżował ręce i czekał. Powinna się temu poddać z własnej woli. Spojrzała błagalnym wzrokiem na człowieka, który ją tam zaprowadził.

- Pozwól się doktorowi zbadać. Przecież chcesz wyzdrowieć, prawda?

Poczuła, że traci reszki energii. Jej ręce i nogi powoli się wyprostowały, kolana rozwarły. Spod bielizny wyłoniły się blade uda.

- Jeszcze trochę.

Nogi Gin nie posłuchały.

- Wybacz, ale w takim razie...

Poczuła na kolanach zimne męskie dłonie. Automatycznie spróbowała zacisnąć uda i usiąść, lecz już ją trzymało kilku silnych mężczyzn i nie mogła się ruszyć.

Przez następnych kilka minut czuła się tak wstrząśnięta i poniżona, że kompletnie je wymazała z pamięci. Gdy już było po wszystkim, ktoś

klepnął ją lekko w stopę, żeby się ocknęła, ale nadal leżała, nie otwierając oczu. Kiedy wreszcie zdołała poprawić ubranie i sięść, cała się trzęsła. Pomocnik doktora pomógł jej zejść ze stołu i wrócić na taboret. Była blada jak ściana.

- To bardzo boli, prawda? - Doktor Sato, który jeszcze przed chwilą wydawał się tak okrutny, mówił teraz łagodnym głosem. - Obawiam się, że leczenie potrwa długo. Ale jeśli chcesz się poczuć lepiej, musisz mu się poddać.

Odwrócił się w stronę studentów i znów mówił w niezrozumiałym języku, oni zaś słuchali pilnie, patrząc to na niego, to na Gin, która tymczasem sobie uświadomiła, że wszyscy ci młodzi mężczyźni, jej rówieśnicy, najprawdopodobniej stali za doktorem Sato, kiedy ją badał. Leczenie przestało ją obchodzić; pragnęła tylko wrócić do swojego pokoju. Dlaczego ja?- krzyczała w myślach. - Czemu to mnie spotyka taka kara? Nie miała wątpliwości, że wołałaby śmierć.

W pokoju zalała się łzami.

- Co się stało? - spytała Kayo. - Doktor cię zbadał, prawda? Co powiedział?- Gin rozszlochała się jeszcze bardziej i szelniej otuliła kołdrą. - Zbeształ cię? Dlaczego? - Gin nie odpowiadała. Kayo zwróciła się do jednej z kobiet, które dzieliły pokój z Gin: - Przepraszam za to całe zamieszanie z jej powodu.

Kobieta miała trzydzieści kilka lat i była żoną właściciela sklepu z kimonami w Nihonbashi.

- To jej pierwsza wizyta tutaj? Musiała to bardzo przeżyć - odezwała się ze zrozumieniem.

- Przejechałyśmy szmat drogi, żeby ją umieścić w tym świetnym szpitalu, przyjął ją sławny lekarz, więc czemu u licha teraz płacze? - Kayo, nie wiedząc, co czuła Gin, złościła się na córkę za jej zachowanie.

- Przypuszczam - ciągnęła kobieta - że może płakać, bo nigdy

wcześniej nie miała tak przykrego badania. Choćby chora nie wiedzieć jak bardzo chciała wyzdrowieć, rzadko potrafi znieść takie poniżenie. To musiało być okropnie krępujące. Po pierwszym badaniu przez dwa dni nie mogłam jeść.

Po trudnym porodzie trafiła do szpitala z powodu utrzymującej się gorączki. Przeszedłszy wcześniej takie badanie, była prawie pewna, że odgadła przyczynę cierpienia Gin.

- Czy o to chodzi? - Kayo przeniosła wzrok na córkę, która wciąż szlochała.

- Lepiej ją zostawić na trochę w spokoju. Pocieszenie nic teraz nie pomoże. Niedługo sama się z tym pogodzi.

Gdy Kayo w końcu zrozumiała, że Gin została poniżona, poczuła dla niej jeszcze większe współczucie.

- Moja znajoma, żona właściciela sklepu z lalkami, strasznie krwawiła, ale nie mogła się zdecydować, żeby się poddać badaniu. Kurowała się chińskimi ziołami od lekarza z sąsiedztwa. Kiedy się w końcu zebrała na odwagę i poszła do szpitala, było już za późno. Zmarła, nim minął miesiąc.

Żona właściciela sklepu z kimonami, choć wciąż miała gorączkę, z przyjemnością gawędziła, a jej otwartość świadczyła o tym, że należy do postępowego tokijskiego kupiectwa. Poprawiła się na posłaniu, żeby móc wygodniej rozmawiać z Kayo.

- Zachodnia medycyna każe doktorowi poznać problem, żeby mógł rozpocząć leczenie. Inaczej niż chińska. W każdym razie trudno dojść do siebie, jak człowiekowi rozkłada nogi jakiś młody lekarz.

- To oni tak robią?

- A jak inaczej mogliby tam zajrzeć?

Kayo całe życie spędziła na wsi i czegoś takiego nawet nie próbowała sobie wyobrazić.

- Nie ma innego sposobu? - Zachodnia medycyna zaczęła jej się wydawać diabelskim wynalazkiem.

Nadszedł wieczór, do pokoju wkradła się wczesna zimowa noc. Gin, zmęczona płaczem, w końcu podniosła głowę.

- Zjedz coś wreszcie.

- Nie mam ochoty.

W świetle lampy Kayo widziała przekrwione oczy córki.

- Zadręczysz się w ten sposób. Jeśli chcesz, żeby doktor cię wyleczył, musisz pokonać wstyd. - Próbowała przekonać i siebie, i córkę. - Lekarstwo masz zażywać po jedzeniu, więc zjedz chociaż trochę. - Napełniła miseczkę ryżowym kleikiem.

Gin leżała na pościeli rozłożonym na tatami, Kayo siedziała na drewnianej podłodze. Na lewo od Gin leżała żona właściciela sklepu z kimonami, a za nią kobieta cierpiąca na bóle stawów, z wyglądu pięćdziesięcioletnia. Pokój, o powierzchni około piętnastu metrów kwadratowych, w świetle lampy wydawał się zaokrąglony. Co my robimy w tym dziwnym miejscu? - pomyślała nagle Kayo.

Gin udało się zjeść miseczkę kleiku. Leżała i patrzyła, jak na przesuwanych drewnianych drzwiach to rośnie, to maleje cień chodzącej matki.

- Oto twoje lekarstwo. - Kayo podała Gin papierową torebkę z szarym proszkiem. - Podobno zachodnie.

Proszek był bezwonny, całkiem inaczej niż pachnący spalenizną czarny ziołowy lek, do jakiego przywykła Gin.

- Nie ma się co zastanawiać.

Ponaglona przez matkę, wsypała sobie zawartość torebki do ust. Poczowała gorzki smak, po chwili proszek się bez śladu rozpuścił.

- No i jak?

Gin przechyliła głowę i zastanowiła się nad pytaniem matki. W

ustach miała jeszcze odrobinę goryczy i wiedziała, że ta dziwna cudzoziemska substancja rozchodzi się po jej ciele. Czowała się, jakby fala westernizacji zalewająca stolicę zaczęła przenikać również do jej życia.

6.

Dziesięć dni po przyjeździe do Tokio Kayo z zadowoleniem stwierdziła, że Gin na tyle zadomowiła się w szpitalu, że jej codziennymi potrzebami może się zająć wynajęta dziewczyna, ona sama zaś może wrócić do Tawarase. Był dwudziesty piąty grudnia, zbliżał się koniec roku. Dla pacjentów Nowy Rok znaczył jednak niewiele. Szpital Juntendo każdego dnia był pełen ludzi, którzy czekali, by ich przyjął sławny doktor Shochu Sato. Gin została przyjęta tak szybko tylko dzięki listowi polecającemu od doktora Mannena.

Doktor Sato rano przyjmował pacjentów dochodzących, a po południu wizytował leczonych w szpitalu. Codziennie odwiedzał wszystkie sale. Co trzy dni Gin była badana na pokrytym skórą stole w osobnym pokoju. Kiedy taki dzień nadchodził, stawała się małomówna i traciła apetyt. Myślała o tym na różne sposoby, ale wciąż nie mogła zaakceptować konieczności pokazywania się mężczyźnie w takiej pozycji.

- Gin, przyszedł sprzedawca *karinto*! Mam wielką ochotę na coś słodkiego. Czy mogłabyś kupić trochę dla nas obu? - Żona właściciela sklepu zauważyła ponury nastrój Gin i robiła, co mogła, żeby ją czymś zająć i rozweselić. - Przestań się przejmować badaniami! Lekarz po prostu stara się cię wyleczyć. Nie robi tego dla własnej przyjemności.

Dla Gin nie było to jednak takie proste. *Dlaczego ja?* Dlaczego to ona została wtrącona do owej otchłani poniżenia? Dlaczego nie jej były mąż? To niesprawiedliwe. Na nowo ogarnął ją gniew, zastąpiwszy smutek, w którym przed chwilą była pogrążona.

- Nie ma sensu za dużo o tym myśleć.

- Ale ja tego nie cierpię. Po prostu już nie wytrzymuję.



- Tak, byłoby łatwiej, gdyby lekarz był kobietą.  
- Kobieta? - Gin podniosła głowę.  
- Mam na myśli to, że nie byłoby źle, gdyby badania przeprowadzała kobieta.

- Lekarz kobieta... - Gin kilka razy powtórzyła w myślach to obco brzmiące określenie. *Żeby lekarz był kobietą, a nie mężczyzną. Właśnie! Gdyby mnie przyjmowała kobieta, chętnie bym się poddawała każdemu leczeniu!*

- Ale oczywiście choćbyś przeszukała cały kraj, nigdzie nie znajdziesz lekarza kobiety - dokończyła ze śmiechem żona sklepikarza.

Gin już nie słuchała. *Gdyby istnieli lekarze kobiety, mnie i mnóstwu innych chorych kobiet byłby oszczędzony okropny wstyd... A jakbym tak ja została lekarką i im pomagała?*

Ta nagła myśl poruszyła ją do głębi. Wypełniła pustkę w sercu, sercu dziewczętnastolatki, której małżeństwo się rozpadło, a przyszłość rysowała się w czarnych barwach.

Nadszedł Nowy Rok. Gin spędziła go w szpitalnym pokoju. W przeddzień poprosiła o kluski *soba*, a pierwszego stycznia rano zjadła zupę *zoni* - to było jej całe świętowanie. Drugiego stycznia nadeszła z Tawarase wysłana przez matkę paczka ze specjalnymi noworocznymi smakołykami *osechi*. Każdy kęs budził w Gin tęsknotę. Gdy współpacjentka poczęstowała ją otrzymanym z domu solonym łososiem, zjadła go jednak z apetytem.

Przez trzy pierwsze dni stycznia szpital był nieczynny dla pacjentów z zewnątrz, w tym czasie doktor Sato nie robił też codziennego obchodu. Spoza bezlistnych drzew rosnących w szpitalnym ogrodzie i na otaczających go uliczkach dobiegały odgłosy noworocznych dziecięcych zabaw. Choć nie była już dziewczynką, słuchała ich z przyjemnością.

Czwartego stycznia szpital działał normalnie. Marzenie, które się

kilka dni wcześniej zrodziło w umyśle Gin, zaczęło nabierać kształtu. Zrazu nieśmiały pomysł, żeby zostać lekarzem, przerodził się w niezłomne postanowienie. Tylko o tym teraz myślała. Nie miała pojęcia, jak tego dokona ani czy jej się uda, ale wiedziała, że ze wszystkich sił będzie się starać. Nie miała już nadziei na zwykłe kobiece szczęście, mogła się więc bez reszty skupić na dążeniu do celu.

- Rozłóż nogi. - Na dźwięk oschłego głosu lekarza Gin przeszły dreszcz. Zaciśnęła powieki i spróbowała myśleć o czymś, co by jej pozwoliło nie zwracać uwagi na to, co robił. Poczła męską rękę na kolanie, a potem w środku, badającą jej wnętrze, jakby była zepsutym urządzeniem.

Wcześniej powtarzała w kółko w myślach: *Matko, proszę, niech się to jak najszybciej skończy!*, dopóki nie było po wszystkim. Nie czuła bólu, ale oczy zawsze miała pełne łez. Teraz było inaczej. Głos lekarza się nie zmienił, lecz Gin nie wzywała już matki na pomoc. Gdy tylko poczuła ręce na kolanach, krzyknęła sama do siebie: *Zostanę lekarzem! Zobaczysz!*

Słyszała dźwięk metalu uderzającego o metal, czuła zimno płynu do dezynfekcji. Mężczyzna oczyszczał tę część jej ciała. *Zrobię to! Przekonasz się!*

Nie kierowała gniewu ku komuś konkretnemu - mężowi, który ją zaraził, bezdusznemu lekarzowi czy mieszkańcom wsi uśmiechającym się ze wzgardą za jej plecami. Był to raczej gniew przeciw własnej kobiecości. Nie potrafiła chłodno analizować swych uczuć i skupić się tylko na wytkniętym celu.

- Staraj się odprężyć. - W głosie lekarza brzmiało zniecierpliwienie.

Żył tylko jej umysł; reszta była martwa. W swym upokorzeniu zrobiła z ciałem, co kazał lekarz, lecz tylko umocniło ją to w przekonaniu, że jej zamiar jest słuszny. Choć badanie trwało zaledwie kilka minut, zdawało się ciągnąć bez końca.

- To wszystko.

Po tych słowach nogi Gin natychmiast się zwały, jakby je przyciągnęła do siebie sprężyna. Zakłęcia przestały być na razie potrzebne. Zeszła ze stołu i poprawiła ubranie. Przewiązując się szarfą, czuła rosnące pragnienie, by zostać lekarzem, jakby to było dziecko oczekujące w niej na narodziny.

\*\*\*

W połowie stycznia starszy brat Gin, Yasuhei, ożenił się z Yai Takamori, córką bogatej rodziny rolników z Nibu. Yai, jak Gin, miała dwadzieścia lat.

Gin oczywiście nie mogła pojechać na ślub, a zresztą nie odważyłaby się na to, nawet gdyby czekał na nią palankin. Byłoby rzeczą niewłaściwą, żeby w takiej uroczystości brał udział ktoś z jej chorobą. Wy tłumaczyła sobie, że to dla wszystkich lepiej, że jest w szpitalu, a nie w domu. Już niebawem miała jednak tego żałować. Pod koniec stycznia, gdy w rodzinie wciąż jeszcze panował radosny nastrój, zmarł nagle ojciec.

Zanim wieść o tym do niej dotarła, minął cały dzień. Późną nocą, gdy już spała, nadeszła wiadomość, że we wczesnych godzinach rannych Ayasaburo miał zawał. Jego zdrowie pogarszało się od kilku lat. W 1868 roku, pierwszym roku epoki Meiji, zrezygnował z funkcji naczelnika, którą członkowie jego rodziny pełnili od pokoleń. Wiele czasu spędzał w łóżku, nikt więc się nie spodziewał, żeby dane mu było dożyć sędziwego wieku, lecz nikt też nie przypuszczał, że koniec nadejdzie tak szybko i niespodzianie.

Po raz ostatni Gin widziała ojca, gdy zegnały go z matką przed wyjazdem do Tokio. Jej kontakty z nim ograniczały się do oficjalnych rozmów, ale był jej ojcem i wiedziała, że się o nią martwił. Wystarczyły jego skąpo wypowiedane słowa. *Nie byłam przy nim, gdy umierał!* Pierwszy raz poczuła tak dotkliwie, że choroba uniemożliwia jej

spełnianie obowiązków córki.

Wiosna zawitała do Tokio nieco wcześniej niż do Tawarase. Gdy zrobiło się ciepło, Gin poczuła się lepiej. W kwietniu przestała gorączkować, a oddawanie moczu już jej nie sprawiało bólu. Zniechęcone badania odbywały się tylko raz na pięć dni. Nadal nie wolno jej było opuszczać szpitala na dłużej, lecz w słoneczne popołudnia mogła spacerować po okolicznych ulicach.

W połowie kwietnia żona właściciela sklepu z kimonami zakończyła szpitalną kurację.

- Uważaj na siebie. Rób wszystko, żeby całkiem wyzdrowieć - powiedziała, żegnając się z Gin. Na pamiątkę podarowała jej ozdobną bukszpanową wsuwkę do włosów. - I czasem nie płacz - dodała stanowczym tonem.

- Postanowiłam zostać lekarzem. - Gin doszła do wniosku, że to dobry moment, żeby o tym powiedzieć.

- Lekarzem? - Kobieta skończyła się ubierać. - Naprawdę?

- Tak.

- Jeśli ci się uda, musisz mi dać znać. - Rzuciła Gin długie, badawcze spojrzenie i się uśmiechnęła. - Będę twoją pierwszą pacjentką.

Szpital Juntendo składał się z kilku sąsiadujących ze sobą drewnianych budynków. Naprzeciwko w podobnych budynkach były mieszkania. W dzień na ulicę zaglądali wędrowni handlarze, artyści, czasem żebracy.

„Flance! Flance! Powój! Nasiona! Ogórki!” - krzyczał handlarz. Rankiem pierwszy był sprzedawca tofu, po nim przychodzili następni, ze słodkim groszkiem, parowanymi batatami, cybuchami do fajek, gotowaną fasolą. Kolejny oferował pastę rybną *kamaboko* i dopiero potem Gin słyszała: „Kwiaty! Kwiaty! Świeże kwiaty!”. Nie potrafiła sobie odmówić kupowania co kilka dni kwiatów do dekoracji pokoju. Na ulicę

przychodzili też handlarze, którzy najwidoczniej nie wiedzieli, że mijają szpital - oferujący lekarstwa na popękane pięty, odmrożenia i inne dolegliwości skórne. Wieczorami pojawiały się wózki z kluskami. Wszystko to sprawiało Gin przyjemność. Wystarczyło wyjrzeć przez okno, żeby poczuć tokijską atmosferę.

W lutym następnego roku, nieco ponad czternaście miesięcy od przybycia do Juntendo, Gin pozwolono wrócić do Tawarase. W czasie pobytu w szpitalu nie przeszła żadnej operacji, chociaż choroba dotarła przez cewkę moczową do pęcherza i jajników.

Kuracja zastosowana przez doktora Sato polegała na oczyszczaniu zewnętrznych zaatakowanych obszarów, czego nie zapewniały chińskie medykamenty, i zwalczaniu infekcji środkami nowocześniejszymi niż zioła. Dziś pobyt Gin w szpitalu wydaje się niezwykle długi, ale wtedy tak długotrwałe leczenie ciężkich przypadków rzeżączki było całkowicie uzasadnione.

Doktor Sato zdawał sobie sprawę, że choroba Gin nie została wyleczona, lecz jedynie przejściowo zahamowana.

- Nie wiadomo, kiedy objawy powrócą - powiedział otwarcie. - Na razie bierz lekarstwo i pamiętaj, że nie wolno ci się męczyć ani marznąć. - Od ostatniego ataku gorączki minęły dwa miesiące, a podczas oddawania moczu prawie nie czuła bólu. Nie ustąpiła tylko ciężkość w dolnej części pleców, ale i tak czuła się dużo lepiej, niż gdy ją przyjmowano do szpitala.

- Czy będę kiedyś mogła mieć dzieci? - chciała się upewnić.

- Przykro mi, ale to niemożliwe.

Domyślała się tego, ale ów smutny fakt już nie budził w niej emocji. Pustkę w sercu, jaką wcześniej powodował, dawno wypełnił cel, jaki sobie wyznaczyła - zostać lekarzem.

7.

Chociaż od wyjazdu Gin minęło niewiele więcej niż rok, dom się w

tym czasie przeobraził. Ojca, który od długiego czasu leżał w jednym z pokoi, już tam nie było, a jego nieobecność odmieniła rodzinę.

Przez te wszystkie lata, gdy Ayasaburo był przykuty do łóżka, Kayo pracowała za dwoje. Teraz nagle się postarzała. Początkowo Gin była pewna, że skoro matka nie jest już potrzebna na każde zawołanie, będzie jej lżej, ale okazało się, że się myliła. Jak to często bywa z małżonkami, śmierć jednego odebrała drugiemu hart i młodość.

Pośrodku domowego ołtarza, między tablicami upamiętniającymi dziadków, umieszczono tablicę ojca z wygrawerowanym imieniem pośmiertnym, które było dla niego najodpowiedniejsze. Gin uklękła, złożyła ręce i zaczęła go w myślach wspominać. Ojciec często spędzał czas, coś pisząc albo czytając książki, o których nic nie wiedziała. Kiedy przechodziła obok jego pokoju, na palcach, żeby nie przeszkadzać, słyszała pochrząkiwanie. Tylko tyle zdołała sobie przypomnieć. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek rozmawiała z nim zwyczajnie, po przyjacielsku.

W rodzinie matka zawsze stała ponad Gin, a ojciec jeszcze wyżej. I Gin stosownie do tego go traktowała. Mieszkali w jednym domu, poza tym nic ich nie łączyło. Dlatego nigdy jej się nie podobało to, co dla niego robiła matka. Szybko się miała przekonać, że choć go już nie ma, nadal wpływa na jej pozycję w domowej hierarchii.

- Czas powitać brata. Jest w dużym pokoju - oznajmiła Kayo, wszedłszy do pokoju Gin.

- Yasuhei?

- Chodź ze mną. - Poszła przodem.

Ilekcóż Gin przyjeżdżała do domu, przez grzeczność zawsze najpierw witała się z ojcem, lecz nigdy nie zawracała sobie głowy witaniem się z bratem. Nawet gdy przyjeżdżała po wyjściu za mąż, ograniczała się do zdawkowego pozdrowienia przy wspólnym posiłku.

Teraz jednak powitanie Yasuhei stało się nagle rzeczą pierwszorzędnej wagi i miała w tym uczestniczyć matka. Gin zdała sobie sprawę, że brat zajął miejsce głowy rodziny. To było zupełnie naturalne, ale czuła się dziwnie.

Yai, młoda żona Yasuhei, miała piękną cerę, była wysoka i mocnej budowy. Oginowie zawsze byli szczupli, o drobnej kości, i Yasuhei, średniego wzrostu, lecz chudy i wąski w ramionach, nie był w rodzinie wyjątkiem. Yai miała natomiast grube kości i pewnie dlatego sprawiała wrażenie o kilka lat starszej od Gin, chociaż były rówieśnikami.

- Właśnie przyjechałam. - Najpierw oficjalnie przywitała się z bratem. Był od niej o pięć lat starszy i nigdy nie mieli zbyt wiele tematów do rozmowy. Jako następca ojca zawsze był uprzywilejowany. Nawet jadł co innego niż reszta dzieci.

Skinął głową i odwrócił wzrok, a ona nie była pewna, czy nie z zakłopotania. Wychowany wśród pięciu siostr, nigdy nie miał silnej osobowości.

Następnie Gin ukloniła się Yai, która siedziała obok męża.

- Jestem Gin, młodsza siostra Yasuhei. To dla mnie zaszczyt, że mogę cię poznać.

- Jestem Yai. Dla mnie też. - Yai mówiła spokojnie, tonem pasującym do jej postury, lecz Gin czuła, że rodzi się między nimi napięcie. Wcześniej czy później Yai miała objąć po Kayo rolę pani domu, lecz Gin jeszcze nie zdawała sobie z tego sprawy. - Więc jesteś już wyleczona?

- Tak, dziękuję. - Gin sama nie wiedziała, dlaczego zwraca się z taką rewerencją do kogoś, kto dopiero niedawno został członkiem rodziny.

Wieczorem poczuła jeszcze większy mętlik w głowie. Do tej pory przy stole ojciec siedział na honorowym miejscu i jadł z osobnej tacki, jego synowie Yasuhei i Masuhei siedzieli po bokach, a Kayo i pozostałe

kobiety na końcu. Tak było zawsze. Teraz Yasuhei zajmował miejsce ojca i jadł z jego lakowej tacki.

Patrząc ze swojego kąta niedaleko kuchni, Gin czuła się, jakby miała przed sobą jakąś całkiem inną rodzinę, nie tę, w której się wychowała. Wszystkim innym jednak nowy układ wydawał się w zupełności odpowiadać.

W pokoju zajmowanym przez Gin, zanim wyjechała do Tokio, mieszkali teraz Yasuhei i Yai. Gin spała w mniejszym, wcześniej używanym do przechowywania różnych rzeczy, jak poduszki i ogrzewacze *hibachi*, gdy nie były potrzebne. Posprzątany i zapełniony jej meblami, okazał się ładny i przytulny. Jego położenie - na załamaniu skrzydła domu w kształcie litery L i w pobliżu łazienki - nie było najlepsze, ale Gin miała za to widok na ukochany ogród.

Wiedziała, że to ma sens, że najstarszy syn z żoną zajmują największy pokój, a ona, rozwiedziona młodsza siostra, mniejszy. Jednak wprowadzane przez Kayo inne drobne zmiany nie przypadły jej do gustu.

Jak dawniej, Gin większość czasu spędzała w pokoju. Jeśli nie sprzątała i prała, pochłaniało ją czytanie książek. Kayo pilnowała, czy czasem nie wpada w depresję, bo nie wiedziała o jej postanowieniu.

W miesiąc po powrocie Gin do Tawarase odwiedziła ją Ogie. Zamiast jak zawsze, przez ogród, weszła do domu frontowymi drzwiami. Najwidoczniej nawet ona chciała okazać szacunek żonie Yasuhei.

- Wyglądasz bez porównania lepiej. - Widok zaokrąglonych, różowych policzków Gin ją zaskoczył. - Dobrze się czujesz?

- Doktor powiedział, że nadal jestem chora i muszę uważać, żeby objawy nie powróciły.

- Naprawdę?

Gin kiwnęła głową. Nie mogła powstrzymać śmiechu, widząc nieskrywane niedowierzanie Ogie.



- Dla mnie wyglądasz na zdrową.

- W Tokio podjęłam pewną decyzję. - Gin już dawno nie mogła się doczekać, kiedy się wreszcie podzieli sekretem z przyjaciółką.

- Jaką?

- Obiecuję, że się nie będziesz śmiała. - Spojrzała na kalendarz, który sobie powiesiła w pokoju. Zapisała w nim, czego się zamierzała uczyć tego dnia: klasycy literatury chińskiej, historia, matematyka. - Chcę być lekarzem.

- Lekarzem? Ty?

- Tak, ja.

- Naprawdę?

Gin znów kiwnęła głową. Ogie wpatrzyła się w nią bacznie swymi niedowidzącymi oczami.

- Myślałam o tym w szpitalu. Doszłam do wniosku, że jest tam potrzebny ktoś, kto się zajmie chorymi, kobietami... takimi jak ja.

- Jak ty?

- No tak. Kobietami, które mają chore wstydlive miejsca. - Wreszcie udało jej się to spokojnie powiedzieć. - Myślisz, że to dziwne?

Ogie przypatrywała jej się jeszcze przez chwilę i pokręciła głową, a Gin mówiła dalej.

- Z pewnością wiele kobiet choruje na to co ja, ale nie wszystkie trafiają do lekarzy. Kto wie, ile się nie leczy, bo się wstydzą badania? Chcę coś dla nich zrobić. To, co się dzieje teraz, jest po prostu złe. Kobiety nie są winne, tylko najbardziej poszkodowane.

Ogie jeszcze nigdy nie widziała Gin takiej rozpromienionej. Doktor Mannen powiedział kiedyś, że Gin ma piękne oczy, i teraz Ogie sama zobaczyła, jak potrafią błyszczeć.

- Rozumiesz, co mam na myśli?

- Rozumiem.

- Wyglądasz na zaskoczoną.
- Nieprawda.
- Prawda. Widzę to po twojej minie.

Ogie potrząsnęła głową.

- Nic podobnego.
- Więc mnie poprzysz?

- Naturalnie. - Wymówiła to słowo bez trudu, ale dopiero gdy zamknęła usta, w pełni sobie uświadomiła, co zamierza Gin. Nagle poczuła, że nie jest pewna, czy determinacja i wysiłek wystarczą, żeby kobieta została lekarzem. - Co na to twoja matka?

- Jeszcze jej nie powiedziałam. W Tawarase tylko ty o tym wiesz.

Ogie poczuła się zaszczycona. To nie był jakiś mało ważny sekret.

- Zgodzi się?

Kayo była mądra, ale konserwatywna. Już to, że córkę bardzo interesowały książki, wprawiało ją w zakłopotanie. Gin wiedziała, że nigdy jej nie pozwoli na coś tak niestosownego jak wyjazd do Tokio z zamiarem zostania lekarzem, i że najprawdopodobniej nie uda jej się nawet przekonać matki, że to poważny zamiar. Żyły w czasach, gdy naukę, nie mówiąc już o wykonywaniu jakiegoś fachu, uważano za rzecz dla kobiet niewłaściwą. Na dodatek zawód lekarza był tak zaszczytny, że nawet spośród mężczyzn tylko nieliczni mogli się ubiegać o jego zdobycie.

- Nie wiem, co powinnam zrobić. - Gin podjęła decyzję, lecz nie miała pomysłu, jak ją zacząć realizować.

- Czekać. - Nawet gdyby matka się zgodziła, nic by to teraz nie dało. Ogie też nie wiedziała, co Gin powinna zrobić, ale była pewna, że najpierw musi pogłębić wiedzę. - Nie ma sposobu na to, żeby kobieta została lekarzem medycyny zachodniej.

- Wiem, ale chciałabym porozmawiać z doktorem Mannenem.
- Powiem mu, jak wrócę do domu.

- Jeśli nie będzie miał nic przeciwko temu, natychmiast do niego pójde.

Ogie skinęła głową, wciąż nieprzekonana, czy jest jakaś możliwość, żeby Gin zrealizowała swoje marzenie.

W tamtych czasach w Japonii było niewiele dróg do uzyskania dyplomu lekarza, a jeszcze mniej - lekarza medycyny zachodniej. W całym kraju istniały tylko trzy instytucje mogące nadawać medyczne stopnie naukowe: w Tokio, Nagasaki i Chibie.

W Nagasaki znajdowała się państwowa klinika Seitokukan. Jej kadra naukowa składała się z Holendrów, którzy uczyli studentów teorii i praktyki medycznej. W Tokio miała siedzibę Daigaku Higashiko, później przekształcona w Szkołę Medyczną Uniwersytetu Tokijskiego. W Chibo mieściła się Sakura Juntendo, prywatna szkoła medyczna założona przez Daizena Sato, uważana za najlepszą w dziedzinie chirurgii. Gin leczyła się w jej tokijskim oddziale, który założył następca Daizena, doktor Shochu Sato.

Szkoły te miały po dwadzieścia albo trzydzieści miejsc, więc wśród kandydatów panowała zaciekle konkurencja. Było powszechnie wiadomo, że przyjmowały tylko mężczyzn z koneksjami w nowym rządzie. Ponadto, żeby móc rozpocząć praktykę lekarską, absolwenci musieli zdać dwustopniowy egzamin dyplomowy.

Przed Gin stała jeszcze większa przeszkoda: żadna z tych szkół nie przyjmowała kobiet, a nie było nawet mowy, żeby ktoś został dopuszczony do egzaminu dyplomowego, jeśli nie skończył którejs z nich.

Postanowienie Gin wydawało się więc czystym szaleństwem.

Później Ogie i Gin rozmawiały o tym jeszcze wiele razy, a pod koniec lata Gin w końcu wyjawiała swe marzenie matce. Jak się można było spodziewać, Kayo wprawilo ono w zdumienie.

- Zwariowałaś?

- Nic podobnego. Proszę tylko, żebyś mi pozwoliła pojechać do Tokio. - Oczy Gin rozbłysły.

Kayo już wcześniej się martwiła, że Gin za dużo czasu spędza zamknięta w pokoju, a teraz była pewna, że popadła w szaleństwo wywołane depresją. Z bólem serca patrzyła na klęczącą przed nią córkę.

- Przestań, proszę, mówić jak wariatka.

- Nie jestem wariatką.

- W naszym świecie jedne rzeczy są możliwe, inne nie. Patrz na życie realnie. - Kayo pomyślała, że Gin pewnie opętał duch lisa i jej zamącił w głowie i że czas przywróci córce rozum.

Gin nie przyjęła zdania matki potulnie.

- Skąd wiesz, co jest możliwe, a co nie? Pozwól mi najpierw spróbować.

- Nie pozwolę.

Dla kobiety niestosowne było choćby otworzyć książkę. W czasie postępowania rozwodowego Kayo ze zrozumieniem słuchała, jak Inamurowie się uskarżali na zamięłowanie Gin do nauki.

Postanowiła o tym nie mówić, ale teraz po prostu im współczuła. Gin zaprzepaściła szanse na utrzymanie małżeństwa i nie dość, że nie wyraziła skruchy, to jeszcze oznajmia, że chce być lekarzem!

- Czy to wstyd chcieć pomagać cierpiącym? - Gin nie ustępowała.

- Od tego są lekarze mężczyźni. Ucinanie rąk czy nóg, patrzenie na krew to nie sprawa kobiet. Za to są inne rzeczy, które tylko one mogą robić.

- Pewnie zajmowanie się domem i rodzenie dzieci?

- Tak, między innymi.

- To akurat nie jest mi pisane. - Kayo przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. - Wiesz, że to prawda.

- Ale to nie znaczy, że możesz robić, co tylko zechcesz. Jesteś

kobietą!

- Nie ma przepisu zakazującego kobietom uczenia się.

- Tak, a im więcej się uczysz, tym mniej jesteś w swoich poglądach kobieca. Nikt cię nigdy nie pokocha.

- Nie potrzebuję mężczyzn.

- Nie żyjesz na świecie sama. - Kayo posłała Gin surowe spojrzenie.

- Musisz brać pod uwagę nie tylko własne pragnienia. Trzeba myśleć o rodzinie, o wszystkich ludziach, z którymi się stykamy. Nawet jeśli nie ma przepisu uniemożliwiającego ci robienie tego, na co masz ochotę, to istnieją obyczaje. Pomyśl tylko, jak by się śmiali mieszkańcy wsi, gdyby się dowiedzieli, że się wybierasz do Tokio, żeby się uczyć i zostać lekarzem. Wytykaliby cię palcami, mówili wariatka. Jak stąd wyjedziesz, nikt nie będzie utrzymywał z tobą kontaktu. Nigdy nie będziesz mogła wrócić. Tobie może to nie przeszkadzać, ale pomyśl o braciach i bratowych. Wszyscy będą szeptać, że Oginowie mieli w rodzinie szaloną kobietę, która tylko czytała książki. Odczuje to duch twojego ojca, odczują wszyscy krewni. Czy nadal obstajesz przy swoim pomysłe?

Gin milczała. Wiedziała, że w słowach matki jest trochę prawdy. Prawdy dyktowanej jedynie zdrowym rozsądkiem, lecz twardej, bezkompromisowej. Nie mogła tego znieść. Przypomniał jej się tokijski zgiełk i zamęt, na który miała okazję rzucić okiem, będąc w szpitalu. To był świat zupełnie odmienny od jej rodzinnej wsi.

- Brat powie ci to samo. Kobiety mają swoje miejsce i tam powinny zostać. Inaczej społeczeństwo się rozpadnie. Skończ już z tymi głupstwami i przestań myśleć o wyjeździe.

- Nie!

- Gin! - Kayo podniosła głos, ale się pohamowała i wróciła do łagodnego tonu. - Błagam cię, przestań mi przysparzać zmartwień. - Spojrzała na córkę, a Gin zauważyła, że jej ramiona lekko drżą. Smutek

matki sprawił jej ból.

- Spróbuj mnie zrozumieć, proszę - powiedziała Kayo błagalnie.

Gin jednak nie zamierzała się poddać. Matka nie zdawała sobie sprawy, jak wielki wstyd musiała znosić w szpitalu. Wciąż mając odrobinę nadziei, poszła porozmawiać z bratem. Niestety, Yasuhei był tego samego zdania co Kayo. Teraz Gin wiedziała, że liczyć na jego zrozumienie to był błąd. Czegóż się mogła spodziewać po swym nijakim bracie?

Znając zamiary córki, Kayo tym bardziej miała ją na oku. Zachowywała się wobec niej jak zawsze, ale Gin wiedziała, że jest obserwowana i że informatorem matki jest pokojówka Kane. Udawała, że się niczego nie domyśla, lecz jej stosunek do matki się zmienił.

Do tej pory Gin brała każde słowo matki za dobrą monetę i była jej posłuszna bez zastrzeżeń. Teraz już nie.

*Różnimy się z matką jak dzień i noc.*

Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna.

\*\*\*

Wiedząc już, że droga do spełnienia marzeń to nie rozmowa z matką, Gin znalazła na początku jesieni okazję do przedyskutowania tej sprawy z doktorem Mannenem.

- Matka się nie zgadza. Czy mógłby pan z nią porozmawiać? - wypaliła ze łzami w oczach, zrelacjonowawszy mu swą wymianę zdań z Kayo.

- Mnie o to prosisz? - Mannen był zaskoczony.

- Tak, bo jak to usłyszy od pana, da się przekonać.

Mannen westchnął. Chciał pomóc Gin. Spośród jego uczniów, których przez lata miał wielu, wyróżniała się zarówno inteligencją, jak i urodą. I wciąż była taka młoda - odzyskała zdrowie i ledwie przekroczyła dwadzieścia lat.

- Błagam! O nic więcej nie będę pana prosić!

Mannen zdawał sobie sprawę, że przyczynił się do rozbudzenia w niej szczytnych marzeń, i bał się reakcji Kayo, która nigdy by mu tego nie wybaczyła, gdyby się domyślała. Poza tym nie mógł zlekceważyć faktu, że zawód lekarza był dla kobiet właściwie niedostępny. Spełnienie prośby Gin nie mogło przynieść dobrego efektu, lecz z drugiej strony wiedział, że nie może jej tak po prostu odmówić.

- Chyba lepiej na razie zrezygnować z tego zamiaru.

- Wolę umrzeć! - W głosie Gin zabrzmiała rozpacz. Mannen był jej ostatnią deską ratunku. - Nie kieruję się egoizmem. Długo chorowałam i przekonałam się na własnej skórze, jak bardzo są potrzebne lekarki. Ja muszę studiować medycynę. Chcę pomagać chorym kobietom, dla których leczenie przez mężczyznę jest niemal tak okropne jak sama choroba. Niczego więcej nie pragnę. Co w tym złego?

- Jeszcze nigdy kobieta nie została lekarzem. To jest zabronione. Twój zamiar sprowadzałby się do złamania prawa. Nie dziwi mnie, że matka się nie zgadza. Jeśli pojedziesz teraz do Tokio, bo chcesz zostać lekarzem, nie postąpisz ani o krok naprzód.

Nie masz tam żadnych kontaktów, a dla kobiet nawet droga do podjęcia studiów medycznych jest zamknięta.

Mannen mówił prawdę. Gin nie miała pojęcia, co zrobi po przyjeździe do Tokio.

- Żeby zostać lekarzem, będziesz musiała wiedzieć mnóstwo rzeczy. Na pewno ci nie zaszkodzi, jak na jakiś czas pozostaniesz przy książkach. Może poproszę matkę, żeby ci pozwoliła pojechać do Tokio na naukę? Kto wie, czy na to nie przystanie.

Gin zrozumiała, że to mądra rada. Przecież nawet pomysł zostania kobietą naukowcem był ekscentryczny i ledwie tolerowany społecznie, czego przykładem była choćby Ogie.

- W tej chwili matka nie bierze pod uwagę twojego wyjazdu. Jesteś

dużo zdrowsza, ale nie wiadomo, kiedy zachorujesz na nowo. Nie mogę jej potępić za to, że cię nie chce wysłać do Tokio. Ona nie chce, żebyś została lekarzem czy naukowcem. Prawdopodobnie jeszcze ma nadzieję, że znajdzie dla ciebie dobrą partię, i woli, żebyś się stąd nie ruszała.

- Nie nadaję się do małżeństwa. Nie mam zamiaru znowu wychodzić za mąż, nawet gdyby jakiś mężczyzna zgodził się mnie wziąć za żonę.

- Wiem, co czujesz, i myślę, że masz do tego prawo. Lecz matka jest inna i nigdy nie przestanie się o ciebie martwić. Ona chce cię zatrzymać w domu, żeby mieć na ciebie oko.

- Ale ja muszę wyjechać szybko.

- Dlaczego?

- Głową rodziny jest teraz mój brat, a niedługo zacznie sobie rościć pretensje do roli pani domu jego żona Yai. Szwagierce bez męża nie będzie łatwo żyć z nimi pod jednym dachem.

- Ale twoja rodzina zajmuje wysoką pozycję.

- Wcale mnie to nie cieszy.

- No dobrze, rozumiem. Nie mów więcej, że chcesz być lekarzem. Przekonajmy matkę, żeby ci pozwoliła wyjechać do Tokio na naukę. Matka najlepiej wie, jaka jesteś zdolna, i cię kocha. Jesteś jej najmłodszym dzieckiem i widzę, co czuje, kiedy o tobie mówi.

- Wszystko jedno, co mówi; i tak opuszczę dom. - Gin starała się przekonać samą siebie, a także Mannena, że jest zdecydowana. Zrobić to wbrew matce, do której czuła głębokie przywiązanie, nie było rzeczą łatwą.

- Nie bądź w gorącej wodzie kąpana. Jeśli liczysz, na to, że dostaniesz pieniądze, których będziesz potrzebowała na życie, musisz przekonać matkę. - To był słaby punkt. Doskonale wiedziała, że jeszcze nigdy nie zarobiła choćby jednego rina. - Ale miejmy nadzieję, że



wszystko się uda. Kiedy już znajdziesz się w Tokio, możesz się rozejrzeć za możliwością studiowania medycyny.

- Nie wiem, czy ten dzień kiedyś nadejdzie. - Trochę ochłonawszy, zaczęła widzieć swą sytuację jako niemal beznadziejną.

- Przypuszczam, że to się nie stanie z dnia na dzień, ale wszystko jest możliwe. Po trzystu latach upadła dynastia Tokugawów. Kto wie, co się jeszcze zdarzy.

Gin przypomniał się tokijski zgiełk. Chwilowa niepewność minęła, wróciła determinacja.

- Kiedy pan porozmawia o mnie z matką?

- Mogę jutro.

- W takim razie ją tu przyprowadzę.

- Nie, wolę ją odwiedzić. Dość długo u niej nie byłem. I minęło już ponad pół roku od pierwszej rocznicy śmierci twojego ojca.

Gin zaczęła się zastanawiać, co by było, gdyby ojciec żył. Czyby się sprzeciwiał? Pewnie by ustąpił szybciej niż matka.

- U kogo powinnam się uczyć w Tokio?

- Hm, kiedyś było tam sporo nauczycieli, ale większość rozjechała się po kraju. Słyszałem, że odkąd zaczęły się reformy, powstało trochę nowych szkół. Może jednak poczekajmy z tym, dopóki matka się nie zgodzi.

Gin zdała sobie sprawę, że musi powściągnąć niecierpliwość, więc pokornie przyznała mu rację i się pożegnała.

Doktor Mannen był teraz dla niej ojcem i nauczycielem.

8.

Gin wreszcie dostała od matki zgodę i w kwietniu 1873 roku, mając dwadzieścia dwa lata, wyjechała do Tokio. Żeby Kayo w końcu uległa uporowi Gin i perswazjom Mannena, trzeba było ponad roku, a i tak była to zgoda bez przekonania: niesłabnąca determinacja córki mimo łez i

blagań Kayo zaskoczyła ją i wprawiła w złość. Czuła się, jakby Gin przestała być jej dzieckiem, jakby się stała innym człowiekiem.

Gin wyruszyła o ósmej rano. Brat na słowa pożegnania jedynie kiwnął uprzejmie głową. Wśród domowników nie było nikogo, kto by jej okazywał życzliwość, nie mogła nawet liczyć na pokojówkę Kane, tak jej dawniej oddaną.

Miała na sobie kimono z wzorem *kasuri*, a na stopach białe *tabi*. Gdy pojawił się palankin i z domu wyniesiono wiklinowe kufry, zrazu ogarnęło ją podniecenie, jakby była dzieckiem wyjeżdżającym na wycieczkę, a potem niepokój. Spędziła w Tokio około roku, ale widziała je przeważnie z okna szpitala. Niespodziewanie poczuła żal, złość na samą siebie za lekkomyślność, strach przed tym, co ją czeka.

Kane, Yai i Tomoko odprowadziły Gin aż do bramy posiadłości. Tomoko przyjechała z Kumagayi, żeby spędzić z siostrą ostatni wieczór.

- Czas się żegnać - powiedziała.

- Dziękuję ci, że specjalnie przyjechałaś.

Tylko Tomoko wspierała ją w zamiarze wyjazdu do Tokio. To dzięki niej Kayo się zgodziła, żeby Gin opuściła dom frontowymi drzwiami, a nie musiała się wykradać w środku nocy przez ogród.

- Uważaj na siebie.

- A ty pamiętaj o matce.

- O nic się nie martw. - Tomoko starała się dodać Gin otuchy. - Mam nadzieję, że wiesz, jakie masz szczęście.

- Ja?

- Tak. To ty ruszasz drogą, która sobie wybrałaś. - Tomoko poczuła, że zaczyna zazdrościć siostrze, która zdołała zmusić otoczenie do zaakceptowania jej zamiaru.

Kayo pojawiła się przy bramie ostatnia. Gin pożegnała się ze wszystkimi i jeszcze raz spojrzała na matkę. Wydawało się, że Kayo chce

coś powiedzieć, lecz odwróciła oczy. Gin pomyślała, że matka jest blada, ale odepchnęła niepokój i wsiadła do palankinu.

- Do widzenia. Uważaj na siebie! - zawołały Tomoko i Kane. Kayo stała z boku, w cieniu sosen. Po chwili cała grupa została za zakrętem.

Kiedy palankin dotarł do głównej drogi, Gin wyjęła zza pazuchy sakiewkę. Było w niej trzydzieści jenów, które jej wręczył Yasuhei jako głowa rodziny, zaznaczywszy, że uważa, iż to powinno wystarczyć na rok. Dał jej przy tym do zrozumienia, że jest to okres, przez jaki jeszcze zamierza poczuwać się do odpowiedzialności za siostrę. Gin opuszczała dom, zakładając, że już nigdy nie wróci. Wiedziała, że pieniądze od rodziny dostała za sprawą matki. Niewielkie kwoty podarowali jej Tomoko i Yai, a także doktor Mannen i Ogie. W sakiewce był też pakiecik z kilkakrotnie złożonej kartki papieru, który matka wręczyła Gin ukradkiem tuż przed jej wyjściem z domu. Nic na nim nie było napisane. W środku znajdowało się pięć jenów.

Poruszona hojnością podarunku, Gin zacisnęła monetę w dłoni, jakby się chciała upewnić, że to nie złudzenie. Przed oczami pojawiła jej się blada twarz matki. Na dnie pakieciku leżało coś jeszcze, osobno zapakowane, małe i twarde. Ostrożnie rozwinęła papier. To był amulet ze srebra i złota, z wytłoczoną świątynią Tawarase.

„Dziękuję”, wyszeptała. Palankin się kołysał, Gin się zastanawiała, co matka mogła chcieć jej powiedzieć w ostatniej chwili.

\*\*\*

Wynajęła pokój w dzielnicy Hongo Kanazawa, w pobliżu szkoły Yorikuniego Inoue. Choć zaledwie trzydziestopięcioletni, był on jednym z najlepszych znawców literatury Japońskiej w Tokio. Mieszkał w solidnym piętrowym domu z drewna.

Gdy Gin udała się tam po raz pierwszy, pokojówka zaprowadziła ją od razu do gabinetu na piętrze. Było to pomieszczenie zavalone

książkami i papierami, wśród których stało wielkie cyprysowe biurko. Za biurkiem leżała poduszka do siedzenia. Pokojówka spokojnie odsunęła stos papierów, wyciągnęła spod książek drugą poduszkę i wskazała ją Gin.

Gin usadowiła się wygodnie i rozejrzała dookoła. Książki były wszędzie, wspinały się stertami na ściany. Czekaając na Inoue, czytała tytuły. Żadnego nie знаła.

W głębi gabinetu usłyszała jakiś dźwięk i nagle ujrzała wysokiego, pulchnego mężczyznę o flegmatycznych ruchach. Trudno jej było uwierzyć, że to może być profesor Inoue, ale mężczyzna uśmiechnął się szeroko i ciężko opadł na poduszkę za biurkiem. Włosy na czubku głowy zaczynały mu rzednąć, ale jego oczy miały ujmujący dziecinny wyraz. Doszedłszy do wniosku, że to jednak musi być Inoue, Gin się wyprostowała i złożyła mu głęboki powitalny ukłon.

- Jestem Gin Ogino.

- Tak, wiem. Masz list od doktora Mannena. - Yorikuni przeczytał list polecający i rzucił go na biurko. Gin jeszcze nigdy nie widziała kogoś zachowującego się tak naturalnie i bezpretensjonalnie. - Jak on się miewa?

- Dziękuję, dobrze.

- Cieszę się. Od lat go nie widziałem. - Mówiąc to, Yorikuni zaczął wyjmować zza pazuchy książki. To dlatego jego kimono wygląda tak nieporządnie - pomyślała Gin, a on tymczasem ułożył książki jedną na drugiej i mówił dalej.

- Więc chcesz być uczoną. Naprawdę tak cię pociągają książki?

- Tak. Przyjechałam, żeby się nauczyć od pana, ile tylko można.

- Ale ja wielu rzeczy nie wiem. Tak wielu, że nigdy nie jestem pewien, od czego zacząć. Na tym zresztą polega wiedza - im więcej się uczysz, tym lepiej widzisz, ile jeszcze cię czeka nauki.

Gin milczała. Yorikuni był innym typem uczonego niż powściągliwy

Mannen. Patrząc na jego szeroką, szczerą twarz, zastanawiała się, czy to nie wpływ wielkiego miasta, Tokio.

- Byłabyś moją pierwszą uczennicą.

- Bardzo chcę nią zostać. - Skłoniła głowę. Był jedyną osobą, do której mogła się zwrócić w Tokio.

- Taka ładna dziewczyna. Rzadko się zdarza, żeby kogoś takiego pociągała nauka.

Zakłopotana Gin zaczerwieniła się i spuściła oczy. Nie wiedziała, czy powinna jego słowa traktować poważnie. - Jesteś pewna, że to właśnie chcesz robić? *Co on ma na myśli?*

- Nie sądzisz, że lepszym pomysłem byłoby zamążpójście?

- Nie, tego nie chcę.

- Rozumiem. Mówisz, co myślisz, prawda? - Zaśmiał się, ukazując żółte zęby. Gin zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna mu powiedzieć, że już miała męża, ale doszła do wniosku, że to nie ma nic wspólnego z nauką.

- Dobrze. Zanim podejmiemy decyzję, czy zostajesz, czy nie, przeczytasz tę książkę. - Yorikuni odwrócił się i zdjął z półki za plecami „Nihon gaishi”, dzieło o historii Japonii. - Przede wszystkim musisz czytać. Z książek można się wiele nauczyć. Książki mówią też, czego ludzie w dawnych czasach nie rozumieli. Naszym zadaniem jest przynajmniej niektóre z tych starych zagadek rozwiązać. Na tym polega nauka.

Yorikuni skrzyżował ręce na piersiach. Teraz mówił poważnie. Słuchając go, Gin przestała zauważać jego zaniedbany wygląd.

\*\*\*

Dziesięć dni później Gin została oficjalnie przyjęta do szkoły Yorikuniego. Liczyła ona trzydziestu uczniów w wieku od dwunastu do prawie pięćdziesięciu lat: byłych samurajów służących dawniej szogunowi

Tokugawie, mieszczan, a nawet młodych ludzi bardziej przypominających opryszków niż przyszłych naukowców.

Wśród tej barwnej mieszaniny Gin zaczęła się szybko wyróżniać uzdolnieniami. Dzięki Mannenowi i Ogie miała świetne podstawy z klasycznej literatury chińskiej, a teraz mogła szlifować wiedzę w bardziej wymagającym otoczeniu. Talenty doskonalone od dzieciństwa ujawniły się w całej pełni.

Yorikuni, który uczył właśnie tego, czego potrzebowała, mówił, że wiedzę należy nie tylko przyswajać i zapamiętywać, lecz także kwestionować. Poczula wtedy, jakby jej umysł pokonał nagle ogromną barierę. Jednak rozkwitła w Tokio nie tylko z tego powodu. W tym wielkim mieście po raz pierwszy doświadczyła tolerancji. Nie musiała się już kryć przed wścibskimi oczami członków małej, zamkniętej społeczności ani czytać książek ukradkiem, w pełnym dezaprobaty, wrogo nastawionym otoczeniu. Mogła się uczyć do woli, mogła robić, na co miała ochotę. Nikt jej w tym nie przeszkadzał. Nikt by się na nią nie gapił ani jej nie wytykał palcami, choćby się nawet ubrała w granatowe kimono i spodnie, jak mężczyzna. Była wolna duszą i ciałem.

Potrafiła zapomnieć, że jest rozwódką. Wszyscy ją uważali za młodą samotną dziewczynę. Nikt o nic nie pytał, z niczego nie musiała się tłumaczyć. Najważniejsza była nauka. Nic innego nie musiała robić. Odzyskała werwę również dlatego, że choroba się nie ujawniała. Wszystko się toczyło po myśli Gin.

Gdy przyszła do szkoły po raz pierwszy, inni uczniowie patrzyli na nią z ciekawością. Z biegiem czasu ciekawość przerodziła się w szacunek dla jej inteligencji. „Tyle zdolności w dziewczynie, ale strata”. Nawet Yorikuni chwalił ją bez zastrzeżeń. Gin rzeczywiście była zdolna, ale też dużo się uczyła. Im lepiej się czuła, tym więcej pracowała, a im więcej pracowała, tym bardziej nabierała pewności siebie.

Wystarczyło kilka miesięcy, by Gin zakasowała innych uczniów w klasie i znalazła się wśród najlepszych w szkole, a jako śliczna dziewczyna o jasnej cerze i inteligentnej, subtelnej twarzy robiła też wrażenie swoją urodą. Nim minęło pół roku, nazwisko Gin Ogino stało się znane w tokijskich kręgach akademickich.

Na początku 1874 roku Gin odwiedził na stacji niespodziewany gość. Gdy zeszła na parter, w drzwiach czekała postawna kobieta w kimonie z tkaniny o splocie *yuki* i pasiastym żakiecie *haori*. Wyglądała na czterdzieści kilka lat. Upewniwszy się, że ma przed sobą Gin, przedstawiła się jako Masuko Naito, kierowniczka Szkoły Naito w Kōfu.

Gin słyszała o niej wcześniej jako o świetnej nauczycielce kobiet.

- Przyjechałam, żeby się przekonać, czy prawdziwe są plotki, jakie do mnie dotarły. Cieszę się, że mogę cię poznać. - Masuko mówiła poufale, jakby się znały od lat.

Gin, która nie potrafiła się poczuć aż tak swobodnie, przeprosiła, że może przyjąć gościa tylko w swoim pokoju.

- W takim razie przejdę od razu do rzeczy - odparła Masuko. - Niedawno straciłam dwie nauczycielki, bo ze względów rodzinnych musiały wrócić do Tokio. Szukam kogoś na ich miejsce. Znajomy ze szkoły Inoue powiedział mi o tobie. Chciałabym, żebyś uczyła w mojej szkole. - Patrzyła na Gin bystrymi, jasnymi oczami kobiety, która się poświęciła uczeniu innych.

- Jestem pewna, że bym nie potrafiła... - Propozycja Masuko wytrąciła Gin z równowagi. Od jej przyjazdu do Tokio nie minął nawet rok. Wiedziała, że robi postępy, ale jeszcze przed sześcioma miesiącami wiodła samotne życie w wiejskich rejonach Saitamy. Była przekonana, że nie jest jeszcze gotowa, by uczyć w jakiegokolwiek szkole.

- A ja jestem pewna, że się mylisz. Wychwała cię sam profesor Inoue. To dziwny człowiek i niełatwo go zadowolić, więc jeśli zrobiłaś na

nim wrażenie, to nie bez powodu. No i jesteś taka śliczna. Moje uczennice będą zachwycone, mając taką nauczycielkę.

- Więc rozmawiała pani o tym z profesorem?

- Ależ skąd. Nigdy by mi nie pozwolił cię porwać, więc nic mu nie powiem, póki się nie zgodzisz. Chyba się do ciebie przywiązał. - Masuko lekko się uśmiechnęła. - Celem mojego życia jest poprawa sytuacji kobiet. Choćby niewielka. Nie chcesz mi pomóc?

Opór Gin zaczął słabnąć. Z własnego doświadczenia wiedziała, że polepszenie statusu społecznego kobiet jest konieczne.

- Jeśli mam spełnić jakieś warunki, mów bez wahania. Chciałabym, żebyś oprócz uczenia miała pod opieką internat. Takie rozwiązanie byłoby korzystne dla wszystkich, bo mniej by cię kosztowało utrzymanie.

Gin zrozumiała, że po warunkach, w jakich mieszka, Masuko domyśliła się stanu jej finansów.

- Co o tym myślisz? Przyjedziesz do Kōfu?

Dla Gin był to zaszczyt. Choć czuła, że nie zasługuje na pochwały, jakimi ją obsypała Masuko Naito, miała ochotę się zgodzić. Lecz wtedy usłyszała płynący z głębi serca głos.

*Czyi nie przyjechałaś do Tokio, żeby zostać lekarzem? Po to przecież walczyłaś z własną matką i porzuciłaś rodzinny dom. Zapomniałaś o doznanych upokorzeniach? Żeby zostać lekarzem, najlepiej jest być w Tokio, dalej się uczyć i czekać na szansę. Wszystko, co do tej pory zrobiłaś, wszystko, o co walczyłaś, było po to, żebyś mogła studiować medycynę.*

Nie była jednak jeszcze gotowa, by z kimś o swym ostatecznym celu rozmawiać, i nie chciała tracić energii na odpowiadanie na pytania, jakie by to nieuchronnie zrodziło.

- Przykro mi, ale sama niedawno rozpoczęłam naukę i w żadnym wypadku nie ośmielę się nikogo uczyć.



- Jestem pewna, że dałabyś sobie radę, a ponieważ prowadzę szkołę, możesz polegać na moim zdaniu.

- Naprawdę nie czuję się na siłach, że wziąć na siebie taki obowiązek.

- Czy coś cię trzyma w Tokio?

- Nie. - Gin żałowała, że nie udało jej się rozmawiać z Masuko szczerze. W milczeniu wpatrywała się we własne stopy.

Masuko próbowała jeszcze coś wskórać, lecz w końcu zrezygnowała.

- W takim razie wracam. Ale niedługo do ciebie napiszę i mam nadzieję, że zmienisz zdanie. - Kiedy się żegnała, widać było, że jest zawiedziona.

Podobnie jak pierwszy nauczyciel Gin doktor Mannen, Yorikuni Inoue był nie tylko świetnym znawcą japońskich klasyków, lecz znał się także na chińskiej medycynie. U schyłku epoki Edo uczeni na ogół czytali zarówno klasyków, jak i chińskie dzieła medyczne, mieli więc pewien zasób wiedzy medycznej.

Z nadejściem okresu Meiji nastąpił zwrot ku medycynie zachodniej, co z kolei spowodowało powstanie Ruchu na rzecz Przywrócenia Medycyny Chińskiej. Mogło się wydawać, że japońskie społeczeństwo przyjmuje myśl zachodnią z otwartymi rękami, lecz w rzeczywistości w pewnych kręgach napotykała ona gwałtowny opór ze strony przeciwników wszystkiego, co nie wyrosło na gruncie rodzimej kultury. Ruch na rzecz Przywrócenia Medycyny Chińskiej był wyrazem owej niechęci do zagranicy, a jego celem było propagowanie chińskiej sztuki medycznej, która od wieków stanowiła element kultury Japonii.

Yorikuni z niechęcią obserwował rosnącą popularność medycyny zachodniej i zastanawiał się nad przystąpieniem do ruchu. Pewnego dnia powiedział na lekcji:

- Wciąż się dziś słyszy o myśli zachodniej. Przejmują ją masowo

nawet lekarze, jako tak zwaną nową medycynę japońską, choć to przecież wszystko barbarzyństwo.

Gin natychmiast wstała i zapytała:

- Ale czy medycyna zachodnia nie jest lepsza i bardziej logiczna?

- Japońskie procedury medyczne są dostosowane do tutejszego klimatu i naszych obyczajów - odparł Yorikuni. - Słyszałem, że w medycynie zachodniej praktykuje się sekcję zwłok. Na coś takiego mogą sobie pozwolić tylko barbarzyńcy. To nigdy nie będzie dozwolone w Japonii.

Zachowawcze stanowisko Yorikuniego, wybitnego znawcy chińskiej literatury i teorii medycyny, nie mogło dziwić. Dla Gin, upartej młodej kobiety, było jednak nie do przyjęcia.

Nadeszła wiosna. Gin zaczęła nosić cienkie kimono. Z Tawarase wyjechała z czterema i od tamtej pory nie musiała kupować nowego.

Gorzej miały się sprawy z jedzeniem. W domu rodziców ani w domu męża nigdy nikomu nie doskwierał głód - obie rodziny były bogate. Teraz sytuacja wyglądała inaczej. Gin jadła skromnie, zwykle miseczkę zupy *miso* i jakieś danie warzywne na śniadanie połączone z lunchem, a na obiad suszoną rybę albo znów warzywa. Zaczynało jej jednak brakować pieniędzy i na to.

Połowę przywiezionej sumy wydała na zakwaterowanie, a teraz została jej już tylko niecała jedna trzecia. Brat obiecał opiekować się nią przez rok, ale nie dawał znaku życia, więc była coraz bardziej niespokojna. Dobrze wiedziała, że wyjechawszy z domu wbrew rodzinie, nie będzie miała podstaw do narzekania, nawet gdyby mieli zerwać z nią wszelki kontakt.

Oprócz konieczności oszczędzania na jedzeniu Gin doskwierały również wydatki na olej rzepakowy, którego używała do ogrzewania pokoju, ucząc się do późnej nocy. Żeby zaoszczędzić i na tym, zaczęła

używać oleju rybnego, który kupowała na miseczki. Jedna miseczka wystarczała na dwie noce.

- Widać, że co noc kładziesz się późno - odezwał się kiedyś przyjaźnie sprzedawca oleju. - Zajmujesz się szyciem? - Każdy, kto kupował olej co drugi dzień, zużywał go więcej niż przeciętny klient.

- T... tak - odparła Gin niepewnie. Choć to było Tokio, wołała się nie przyznawać, że ona, samotna kobieta, uczy się codziennie długo w nocy. Chciała uniknąć kłopotliwych pytań i wścibskich spojrzeń.

- Tyle pracy noc w noc. Trochę ci doleję.

- Bardzo dziękuję. - Gin, pochodząca z zamożnej rodziny, pierwszy raz w życiu skorzystała z miłosierdzia obcej osoby.

Pewnego dnia, gdy już zawięła notatki w kawałek materiału i zamierzała pójść do domu, podszedł do niej Yorikuni.

- Czy mogłabyś zostać trochę dłużej? Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Kiedy wszyscy wyszli, Gin związała rękawy kimona na plecach i zaczęła zamiatać podłogę. Tego od niej oczekiwano. Wprawdzie najlepiej się uczyła, ale była dziewczyną. Dwa lata wcześniej żona Yorikuniego zachorowała i zmarła. Nie ożenił się ponownie, więc dwójką jego dzieci i domem zajmowała się dochodząca starsza kobieta. Sprzątanie należało do uczniów, którzy mieszkali z Yorikunim, ale od czasu do czasu pomagała im Gin. Gdy skończyła, pojawił się, jakby na to czekał.

- Może pójdziemy razem na kolację?

- Na pewno?

- Czemu nie?

Yorikuni skrzyżował ręce na piersiach i wyszedł z domu pierwszy. Minęli kilka przecznic i zatrzymali się przed restauracją, której specjalnością była potrawka z gęsiny. Gin była już tam w grudniu, zaproszona przez Yorikuniego wraz z dziesięcioma innymi uczniami, lecz

tym razem byli tylko we dwoje. Czuli się z tego powodu trochę nieswojo, ale Yorikuni nie wyglądał na speszonego. Światła w witrynie już się paliły, oświetlając słowo „potrawka” wypisane czerwonym kolorem pod rysunkiem gęsi.

- Macie też pomieszczenia na piętrze, prawda? - Yorikuni niedbałym ruchem głowy wskazał schody.

- Zapraszamy.

Parter był zatłoczony. Gin z ulgą poszła za Yorikunim, który wspinał się po schodach z miną stałego bywalca. Usiedli na tatami po obu stronach stołu, oddzieleni od reszty sali drewnianym parawanem.

Dla Gin, która ostatnio nie miała zbyt wiele do jedzenia, taki posiłek był prawdziwą ucztą. Zachęcając ją, by sobie nie żałowała, Yorikuni sączył sake.

- Może się napijesz? - spytał, wzięwszy do ręki drugą czarę.

- Nie mogę pić.

- Odrobina nie zaszkodzi. Spróbuj.

- Przepraszam, źle znoszę alkohol.

- Rozumiem. - Niechętnie odstawił czarę.

Gin mogłaby wypić trochę sake, ale pamiętała, że doktor Sato powiedział, że przy jej chorobie alkohol jest niewskazany.

Opróżniwszy dwie butelki, Yorikuni poprawił kołnierz kimona i się wyprostował, co wywołało uśmiech Gin, bo nigdy przedtem nie widziała, żeby zwracał choćby najmniejszą uwagę na swój wygląd.

- Jest coś, co chciałbym z tobą omówić - zaczął.

- Słucham.

- To nic takiego, ale... - Skrzyżował ręce na piersiach.

- Ale?

- To znaczy, mówię poważnie, ale... - Zwykle pewny siebie, nagle wydał jej się zakłopotany.

- O co chodzi?

- O moją *nochizoe*.

- *Nochizoe*?

- To znaczy drugą żonę.

- Rozumiem.

- Myślę, że byłbym w lepszej sytuacji, gdybym miał żonę.

Gin pokiwała głową. Zgadzała się z nim w zupełności.

- I chciałbym... - znów skrzyżował ręce, kaszlnął, spojrzał w bok, kiwnął głową - ... chciałbym, żebyś to była ty, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Ja?

Yorikuni otworzył małe oczy najszerzej, jak potrafił, i mówił dalej.

- Proszę cię, żebyś została moją żoną. Wyjdiesz za mnie?

Gin patrzyła na niego oniemiała.

- Jestem pewien, że przy swojej mądrości prowadziłybyś dom bez trudu. Co ty na to? - Wciąż nie potrafiła wykrztusić słowa. - Będę wdzięczny, jeśli odpowiesz mi od razu.

- Panie profesorze... - Musiała przyznać, że wykazał się nie byle jaką odwagą. Wciąż jeszcze były to czasy, gdy niemal wszystkie małżeństwa we wszystkich klasach społecznych oprócz najniższych aranżowali pośrednicy. Chociaż nie miał państwowej posady, należał do najbardziej znanych tokijskich uczonych. Był też od niej znacznie starszy i miał dzieci wymagające opieki. Więc albo odznaczał się wielką odwagą, albo był niewybaczalnie zuchwały.

- Słucham?

Gin nie wiedziała, jak się zachować. Oświadczyzny Yorikuniego wytrąciły ją z równowagi.

- Wiem, że jestem o dwanaście lat starszy - spróbował inaczej - i że to może niektórym przeszkadzać, ale to nie powód, żeby się nie żenić. - W

tym momencie doszedł najwidoczniej do wniosku, że już poruszył najważniejsze kwestie, bo nalał sobie nową czarę sake. - Obiecaj, że to rozważysz.

- Ja... ja...

- Powiedz, co myślisz.

Gin już miała mu odmówić, ale ugryzła się w język. W końcu był jej nauczycielem. Czy można tak po prostu odmówić nauczycielowi?

- Zrobisz to?

- Ja...

- Zadbam o wszystkie twoje potrzeby.

- Ale ja nie jestem gotowa.

- Nie musisz się zaraz wprowadzać.

Gin kiwnęła głową i to widocznie przekonało Yorikuniego, że wszystko idzie zgodnie z planem.

- Nie mogłabym... nie od razu.

- Z pewnością masz inne propozycje.

- Nie o to chodzi. - Nie wiedziała, co powiedzieć. Yorikuni nie znał jej przeszłości. - Przepraszam, ale już muszę iść.

- Będę czekał na odpowiedź.

Gin straciła apetyt. Wyszła z restauracji i szybko wróciła do domu. W nocy nie mogła zasnąć. Ledwie wierzyła, że to się mogło zdarzyć. Zaczęła się zastanawiać, czy Yorikuni mówił serio, ale przypomniała sobie szczerść w jego oczach.

Nie wyobrażała sobie romantycznego związku z Yorikunim, ale to samo mogła powiedzieć o wszystkich innych mężczyznach, których знаła. Wiedziała, że nigdy nie będzie żywić specjalnych uczuć do darzonego szacunkiem nauczyciela. A poza tym nie miała ochoty zajmować się mężczyzną, wychowywać mu dzieci czy spełniać jakieś obowiązki towarzyskie.

Wróciły niemiłe myśli o mężu, chociaż sądziła, że go już wykreśliła z pamięci. Według niej wszyscy mężczyźni byli despotyczni, samolubni i zepsuci. Nie zamierzała poświęcać się dla żadnego.

*Mam być lekarzem.*

Podjęła decyzję. Teraz musiała się tylko zastanowić, jak odmówić Yorikuniemu.

Na drugi dzień, gdy wzeszło słońce, zaczęła pisać.

*Szanowny Panie Profesorze, dziękuję za wczorajszą kolację. Jeśli idzie o temat, który Pan poruszył na koniec, to mogę tylko powiedzieć, że był to dla mnie zaszczyt, ale jednocześnie ogromne zaskoczenie, i że zdaję sobie sprawę, iż wyszedłszy tak nagle, zachowałam się niegrzecznie.*

*Po powrocie do domu dalej o tym myślałam. Owszem, mam pewną wiedzę naukową, lecz we wszystkich innych sprawach jestem niemal jak dziecko i nigdy bym się nie zdobyła na to, żeby służyć panu inaczej niż w charakterze uczennicy. Nie tylko sprawiłabym panu mnóstwo kłopotu i wprowadziła w pana życie zamęt, ale mogłoby również z mojego powodu ucierpieć pana dobre imię.*

*Bardzo proszę, by mi Pan wybaczył moje liczne słabości i postępował tak, jakby wczorajsza rozmowa nigdy się nie odbyła.*

*Z poważaniem,*

*Gin Ogino*

Poprosiła pokojówkę gospodyni, żeby dostarczyła list profesorowi, i zamknęła się w pokoju.

Minęły dwa dni, minął trzeci, a Yorikuni się nie odzywał. Szóstego dnia po południu przysła służąca ze szkoły.

- Zachorowałaś?
- Trochę.
- Byłaś u lekarza?

- Już mi lepiej. A jak się miewa profesor Inoue?

- Jest w bardzo złym humorze. Nie mamy pojęcia dlaczego. Wszyscy się starają schodzić mu z drogi. - Gin była pewna, że ta prosta dziewczyna przysłała ją wybadać. - Przecież wiesz, że za nieusprawiedliwioną nieobecność grozi ci wydalenie ze szkoły. Może przyjdiesz i się wytłumaczysz?

- Przyjdę jutro - zgodziła się Gin, ale irytowała ją myśl, że znów ją czekają katusze.

W tamtych czasach zdarzało się niezmiernie rzadko, by nauczyciel oświadczył się uczniowi. Bardziej prawdopodobne było to w dużych szkołach publicznych, lecz Inoue prowadził małą szkołę prywatną, w której ściśle dbano o zachowanie dystansu między nauczycielem a uczniem. Jednak jeszcze rzadziej się zdarzało, by w tych warunkach kobieta propozycję małżeństwa odrzuciła.

Teraz Gin musiała sobie odpowiedzieć na pytanie, czy ma wrócić, czy nie. Przez kolejne trzy dni nie mogła się zdecydować, dziesiątego dnia w końcu poszła do szkoły. Gdy się tam zjawiała, otoczyli ją zaciekawieni uczniowie, ale nic nie mówiąc, weszła od razu na piętro. Yorikuni siedział jak zwykle za biurkiem zavalonym książkami. Oparty plecami o ścianę, patrzył w okno.

- Przepraszam za tę długą nieobecność i proszę o wybaczenie - odezwała się bez żadnych wstępów. - Spojrzała na niego i spuściła głowę.

- Martwiłaś się w związku z tym, co zaszło? - Yorikuni przemówił po chwili milczenia. Gin podniosła wzrok. - Nie martw się.

Patrząc na jego szeroką twarz, Gin niespodziewanie poczuła, że ma ochotę się rozplakać. Jego okrągłe oczy, oczy człowieka zwykle ostrego, surowego, były teraz przyjazne i wyrozumiałe. Więc tak się dzieje, gdy się wyzna miłość - pomyślała, zaskoczona własnym odruchem serca.

- Postąpiłem bezmyślnie, zwracając się do ciebie z taką prośbą.



Zapomnijmy, że to się w ogóle zdarzyło.

Gin milczała. Miała wrażenie, że coś ważnego wymyka jej się z rąk. Przed chwilą była zdenerwowana, że musi się tłumaczyć przed Yorikunim, zła, że coś takiego jej się przytrafiło. Po jego słowach nagle poczuła się osamotniona. Wcześniej była taka nieczuła.

Musiała sobie teraz poradzić z inną stroną własnej osobowości, chwiejną, mimo okazywanej pewności siebie. Słuchała wykładów i wciąż była niezdecydowana. Imponowało jej, że Yorikuni potrafi uczyć, jakby się nic nie stało. Zazdrościła mu tej umiejętności. W głowie kotłowały jej się różne myśli. Co by było, gdyby przyjęła jego propozycję? Jak by zareagowali inni uczniowie? Co by powiedziała matka?

Ją i jej nauczyciela, który właśnie dźwięcznym głosem czytał fragment książki, łączyła tajemnica. Z czasem miała przestać być ciężarem, zamieniwszy się w ciepłe wspomnienie, ale teraz Gin nie potrafiła się skupić.

Zamęt w myślach Gin trwał przez następne dni. Wciąż niezdecydowana, unikała kontaktu z Yorikunim. Przedtem z radością wchodziła do jego gabinetu, pożyczając książki, bez wahania sprzątała albo coś reperowała jego dzieciom. Teraz nie była w stanie tego robić. Wszystko się jej kojarzyło z owym wieczorem w restauracji. Czuła, że zachowuje się nienaturalnie; nic nie było łatwe.

Mniej więcej po miesiącu zdała sobie sprawę, że przestała robić postępy. Yorikuni też musiał to widzieć, lecz jej nie karmił. *Mężczyźni strasznie utrudniają naukę.* Wiedziała, że tak dalej być nie może. W końcu doszła do wniosku, że niestety nauczyciel i uczennica nie mogą sobie na coś takiego pozwolić i że nie ma innego wyjścia: musi opuścić szkołę Yorikuniego.

Pod koniec lipca, prawie dwa miesiące po oświadczeniach Yorikuniego, Gin przeniosła się do Kōfu i została nauczycielką w szkole

Masuko Naito. Sama nie mogła uwierzyć, że po stanowczej odmowie sprzed sześciu miesięcy puka do drzwi Masuko i prosi o przyjęcie.

Gdy mu powiedziała, że wyjeżdża do Kōfu, Yorikuni tylko kiwnął głową.

- Postanowiłam pomagać kobietom w zdobywaniu wykształcenia - oznajmiła.

- To pewnie dobry pomysł - odparł. Wiedząc, dlaczego naprawdę wyjeżdża, niewiele więcej mógł powiedzieć.

- Przepraszam za egoizm - ciągnęła.

- Dbaj o siebie. - To rzekłszy, pochylił głowę nad książką.

Gin zaskoczyła jego widoczna obojętność. *Może właśnie to dzieli nauczyciela i ucznia?* Był to również w jej oczach kolejny dowód siły i arogancji mężczyzn.

Szkoła Naito była miniaturą współczesnej prywatnej szkoły dla dziewcząt. Miała tylko około setki uczennic. Oprócz przedmiotów teoretycznych uczyła również szycia, układania kwiatów, sztuki parzenia i podawania herbaty oraz gry na cytrze *koto*, czyli tradycyjnych umiejętności dobrze wychowanej kobiety.

Uczennicami były przeważnie niezamężne szesnasto- bądź siedemnastolatki mieszkające w internacie. Kilka mężatek dojeżdżało z domu. Gin uczyła klasycznej literatury chińskiej i historii, pełniła też funkcję kierowniczkę internatu. Jak przewidywała Masuko, uroda i rozległa wiedza szybko zjednały jej sympatię uczennic. Nim minął miesiąc, nadały jej przezwisko Księżniczka.

Choć Księżniczka była popularna jako nauczycielka, wzbudzała strach mieszkankę internatu jako surowa kierowniczkę. O siódmej wieczorem wszystkie musiały być na miejscu, nawet latem, mimo że o tej porze było jeszcze jasno. Gin nie tolerowała żadnych spóźnień, choćby o minutę. Groziły za to kary, na przykład utrata przywileju wychodzenia

poza teren szkoły czy obowiązek sprzątanania przez tydzień korytarzy i toalet. Uczennice narzekały, że kary są zbyt dotkliwe, ale po kilku tygodniach spóźnienia odeszły w przeszłość. Gin zresztą nie zwracała na narzekania uwagi - zachowywała wobec dziewcząt dystans, tkwiła w książkach, czytała do późnej nocy. Początkowo szeptały między sobą, że ma humory i nie sposób jej zadowolić, lecz gdy się przekonały, że jest po prostu sumienna, stopniowo przestały utyskiwać.

Wczesną jesienią, dwa miesiące po objęciu przez Gin obowiązków kierowniczką, uczennica Ai Kanazawa wróciła do internatu o wpół do dziewiątej wieczorem, przeszedłszy przez mur. Na jej nieszczęście w tym samym czasie Gin wyszła na wieczorny obchód. Co gorsza, kimono Ai było całe w błocie i słomie. Kobięca intuicja natychmiast podpowiedziała Gin, w co się wdała dziewczyna.

- Co ty wyprawiasz? - Ai zamarła w bezruchu. - Panna Kanazawa, prawda? - Pozostałe dziewczęta dyskretnie wyglądały przez okna. Nie zanosilo się na to, by owo pogwałcenie dyscypliny zostało puszczone płazem, zwłaszcza że odkryła je sama Gin.

- Gdzie byłaś?

Ai milczała, jej piękne usta drżały.

- Nie możesz powiedzieć. W takim razie chodź ze mną. - Gin zaciągnęła Ai za rękaw do swego pokoju i kazała jej uklęknąć na podłodze.

- Kobiety się różnią od mężczyzn. Bez względu na sytuację zawsze musisz się bronić. Kobieta, która się nie potrafi obronić, nie będzie traktowana jak istota ludzka.

W oczach Ai ładna twarz Gin wyglądała jak oblicze okrutnego kata.

- Wiesz, co to znaczy?

Tydzień wcześniej Ai dostała ni mniej, ni więcej, tylko list miłosny, co wywołało w internacie sensację. Jej blada twarz o dziecięcych rysach podobała się mężczyznom.

- Zostaniesz tu, dopóki nie zaczniesz mówić. - To powiedziawszy, Gin usiadła za biurkiem i wzięła do ręki książkę.

Minęła godzina, potem druga. Gin siedziała wyprostowana, trzymając książkę przy lampie, żeby móc czytać.

Koleżanki Ai z pokoju czekały na nią, dopóki mogły, ale w końcu zasnęły. Gin i Ai nie spały całą noc. Gin już się to zdarzało, lecz dla Ai był to nie lada wyczyn.

- Przepraszam! - Ai skapitulowała o świcie. - Byłam na przystani Shingen.

- A po co tam poszłaś?

Ai znów nie mogła wykrztusić słowa.

- Poszłaś się spotkać z mężczyzną, prawda?

Ai kiwnęła głową, potargane włosy zasłoniły jej oczy.

- Wiedziałam. - Oczy Gin rozbłysły. Ta dziewczyna, choć bardzo młoda, poszła się spotkać z mężczyzną, wróciła późno, musiała przejść przez mur. Co sprawiło, że aż tak pragnęła spotkania? Poddała się woli mężczyzny, przynosząc wstyd wszystkim kobietom. - On cię zwodzi. Bawi się tobą.

Ai nie odpowiadała.

- Mężczyźni chcą twojego ciała i używają miłych słówek, żebyś im uległa. A naprawdę wszyscy oni to samoluby, które nawet nie myślą o tym, że jesteś kobietą. Są wstrętni!

- Nie! - Ai podniosła głowę i odgarnęła włosy. - On jest inny. Na pewno!

- Cicho bądź! Nic nie wiesz o mężczyznach. Sprawiają kobietom ból bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Nie masz pojęcia, ile kobiet płacze przez mężczyzn.

- To nieprawda. On by nigdy...

- Odpowiadam za internat i jestem od ciebie starsza. I więcej wiem

o tych sprawach niż ty.

- Ale... ale on... - Ai zalała się łzami. Podniosła dłoń do oczu i rękaw kimona odsłonił jej jasną skórę. Gin czuła emanującą z niej namiętność. Przepelniona głęboką niechęcią, wybuchnęła.

- Jesteś uczennicą! To nie pora na romansowanie. - Mówiąc to, próbowała przekonać również samą siebie, bo czasem łapała się na myśleniu o mężczyznach.

Świadomość, że dzieli z Ai tę kobiecą słabość, wprawiła ją we wściekłość. - Czy tylko to się dla ciebie liczy w życiu: robić sprośne rzeczy z mężczyznami? Tak?

Nagle poczuła ból w dole brzucha. Wiedziała, że brak snu może spowodować zaostrzenie choroby i ów tępy ból jeszcze wzmógł jej złość.

- Masz zdobyć wykształcenie - ciągnęła. - Dzięki dobremu wykształceniu możesz zostać kobietą, której nikt nie obmawia. Rozumiesz? Co ma znaczyć wykradanie się nocą, uciekanie, żeby robić te wstrętne rzeczy z mężczyzną?

Czy tak postępuje dobrze ułożona dziewczyna z dobrego domu? Czy ty w ogóle zasługujesz na miano uczennicy Szkoły Naito?

Trudno jej było mówić dalej. Niewiele brakowało, a sama by się rozpląkała. *Dlaczego muszę besztać uczennice, skoro mi z tym źle? Co ja tu robię?* Ta myśl jeszcze bardziej wyprowadziła ją z równowagi.

- Wstań - rozkazała szorstko. - Jej jasne, duże oczy zwięzły się w szparki. Popchnęła Ai, która chwiejnie podnosiła się z klęczek. - Uwolnij serce od tych pożałowania godnych rzeczy.

Korytarz zaczynały oświetlać pierwsze promienie słońca. Gin prowadziła Ai niczym kat więźnia na szubienicę. Na końcu korytarza znajdowała się duża sala zazwyczaj używana do wykładów na temat moralności i dyskusji ze specjalnymi gośćmi. Teraz było w niej pusto i cicho.

- Spędzisz dzień tutaj, żeby przemyśleć swoje zachowanie. - Ai nie miała już siły protestować. - Nie wybaczę ci, dopóki się nie pozbędziesz tej czarnej plamy z serca. - Zamknęła drzwi i przekręciła klucz w zamku. Brzuch bolał ją coraz bardziej. Poszła do toalety.

Zaczął się rok 1875. Od rozwodu Gin minęło ponad pięć lat. Miała teraz dwadzieścia cztery lata.

Zaraz po świętach dostała list od Tomoko. Spośród całego rodzeństwa zawsze ją szanowała najbardziej. Była pewna, że gdyby Tomoko pozwolono kontynuować naukę, zaszłaby dalej niż ona.

Tomoko skarżyła się w liście, że dom w Tawarase po trochu martwieje. Pisała, że Yasuhei zachowuje się coraz bardziej arogancko, a Yai więcej czasu poświęca na własne rozrywki niż na prowadzenie gospodarstwa domowego. Tomoko była przekonana, że z tego powodu rodzina zaczyna być coraz bardziej wyobcowana. Gin nie przyjmowała opinii Tomoko bezkrytycznie, lecz wiedząc, że ludzie rzadko krytykują rodzinę, uznała, że w jakiejś mierze musi to być prawda. Przypomniała sobie, jak żona Yasuhei szybko poczuła się u siebie w nowym miejscu. Chociaż było rzeczą zupełnie naturalną, że żona najstarszego brata obejmuje rolę gospodyni, Gin wciąż pamiętała wrażenie, jakby dom opanował ktoś obcy.

*Nigdy nawet nie przyszło mi do głowy, że mogłabym zostać panią domu u Inamurów. Nigdy się do tego nie nadawałam. W porównaniu z jej słabością tupet Yai był wręcz uderzający. Po prostu należę do innego gatunku kobiet.* Gin z niepokojem zdała sobie sprawę, że nie pasuje ani fizycznie, ani psychicznie do roli kobiety.

W połowie listu Tomoko pisała: „Kanichiro nadal jest bezzenny”. Imię byłego męża wyróżniało się w tekście, zwracało uwagę Gin. Rodzina, do której weszła Tomoko, prowadziła świątynię szinto i miała powiązania z większością wpływowych rodów w okolicy. Gin się domyślała, że siostra

musi wciąż utrzymywać kontakty z Inamurami. Jednak o Kanichiro nie myślała teraz jak o człowieku, który kiedyś był jej mężem i któremu oddała dziewictwo. Był kimś obcym. *Czy to możliwe, że od ślubu minęło już osiem lat?*

„Ucz się dalej i zostań lekarzem. Wiem, że to niewiele, ale przyjmij te pięć jenów”.

Rodzina Tomoko była zamożna, lecz Gin miała pewność, że siostra musiała prosić o pozwolenie na wysłanie jej takiej sumy. Tylko Tomoko stała zawsze po jej stronie. Gin nie wiedziała, dlaczego się tak dobrze rozumie z siostrą, ale domyślała się, że Tomoko miała pragnienia, których nigdy nikomu nie wyjawiała i które porzuciła, by wyjść za mąż. I że może chciała, by niektóre z nich zrealizowała Gin.

„Matka nagle stała się słabsza - pisała dalej Tomoko - i prawie nie wychodzi. Kiedy pojechałam do niej w Nowy Rok, próbowała mnie zatrzymać na dłużej, żebym jej opowiadała, co wiem o tobie. Chyba się o ciebie martwi i chociaż nic o tym nie mówi, wiem, że wszystko ci przebaczyła”.

Gin uniosła głowę znad listu. Przypomniała sobie twarz Kayo stojącej w Tawarase nieco z dala od reszty żegnających. *Jak mogłam tak bardzo chcieć zostać lekarzem, żeby aż unieszczęśliwić matkę?* Poczula, że jej determinacja słabnie.

Nadeszło lato. Wiązy i miłorzęby wokół szkoły stały w pełnej krasie, okryte gęstym listowiem połyskującym w promieniach gorącego słońca. Uczennice zmieniły kimona na lżejsze.

Gin siedziała na trawie, mrużąc oczy, bo wiał lekki wiatr, i patrzyła, jak jej podopieczne biegają wśród zieleni. Zdała sobie sprawę, że będąc w ich wieku, wychodziła za mąż. Czas najwidoczniej robił swoje: wspomnienia z przeszłości nie wywoływały już w niej takiego smutku.

Jedna z uczennic podbiegła do Gin.

- Pani Ogino, przyjechał do pani ktoś z Tokio.

- Z Tokio?

- Bardzo wysoka kobieta. Czeka przy głównym wejściu.

W Kōfu rzadko się zdarzali goście z Tokio. Ostatni byli jesienią, pięcioro uczniów Yorikuniego, którzy przyjechali zbierać winogrona, będące lokalną specjalnością. Gin szybko poszła do głównego wejścia.

- Ogie! - Spostrzegłszy z daleka przyjaciółkę i mentorkę, Gin zaczęła biec. Ogie Matsumoto stała z parasolką w prawej ręce, w lewej trzymała pakunek zawinięty w tkaninę.

- Gin! - Objęły się. Minęły trzy lata, od kiedy się widziały ostatni raz. Uczennice patrzyły ze zdziwieniem - Gin rzadko okazywała taką wylewność.

- Wyglądasz wspaniale. Dziękuję, że przyjechałaś z tak daleka, żeby się ze mną zobaczyć. - Gin zaprowadziła Ogie do pokoju.

- Jakie urocze, spokojne miejsce. - Ogie usiadła wygodnie i rozejrzała się dookoła, umywszy przedtem ręce i stopy.

- Co słyszeć u twojego ojca?

- Czuje się dobrze i przesyła ci pozdrowienia.

Gin stanęła przed oczami łagodna twarz doktora Mannena. Nawet wspomnienie jego dużych okrągłych okularów budziło w niej nostalgię. Przez chwilę rozmawiały o Tawarase, a wreszcie Gin zapytała:

- Ale dlaczego wybrałaś się w taką drogę?

- Chciałam cię zobaczyć. - Ogie uśmiechnęła się figlarnie.

- Przyjechałaś aż z Tawarase, żeby mnie zobaczyć? - Taka podróż wymagała trzech dni; z Tokio do Kōfu były dwa dni drogi.

- Mieszkam teraz w Tokio, razem z ojcem.

- Nie wiedziałam.

- Prawdę mówiąc, przyjechałam też po to, żeby porozmawiać z panią Naito o nowej szkole. - To jeszcze bardziej zaskoczyło Gin, a jej



zaskoczenie jeszcze bardziej rozbawiło Ogie. - Nie wiedziałaś, że w Tokio powstaje szkoła nauczycielska dla kobiet?

- Słyszałam o tym od pani Naito.

- Mam tam uczyć.

- Ty?

- Tak jest. - Ogie uśmiechnęła się nieśmiało, a Gin otworzyła szeroko oczy. - Pewnie myślisz, że zwariowali.

- Skądże - będziesz świetną wykładowczynią.

Gin sama sprawdziła się jako nauczycielka w prowincjonalnej szkole, a w Tokio się przekonała, że najważniejsze były podstawy otrzymane od doktora Mannena. Skoro jej udało się tyle osiągnąć, o ileż więcej musiała mieć do zaoferowania Ogie.

Spojrzała na przyjaciółkę jeszcze raz. Z gładko zaczesanymi włosami, w skromnym kimonie w stylu Oshima, zachowała młodzieńczość, którą większość kobiet po trzydziestce traciła. Radość życia miała wypisaną na twarzy.

- A co do szkoły - zaczęła Ogie - to budują ją w Hongo. Zajęcia zaczną się jesienią.

- To szkoła państwowa?

- Tak. W końcu się zdecydowali otworzyć nauczycielstwo przed kobietami. Absolwentki tej szkoły - Tokijskiej Szkoły Normalnej dla Kobiet - będą mogły pracować.

- To wielki krok naprzód.

- Wieść niesie, że doradzający Ministerstwu Edukacji Amerykanin David Murray podpowiedział to wiceministrowi Tanace. A Tanaka zapoznawał się z systemem edukacji za granicą i słyszałam, że jest bardzo postępowy. Mówią, że to on przedłożył petycję w tej sprawie wielkiemu ministrowi stanu Sanjo.

Gin pomyślała o Tokio i nagle poczuła niepokój. Wiedziała, że nie

może zostać w tym zaścianku na zawsze. Ogie mówiła dalej.

- Przyjechałam do ciebie, bo chcę, żebyś się tam uczyła.

- Ja?

- Musisz. Nadal przyjmują zgłoszenia na pierwszy rok, więc jeszcze zdążysz.

W oczach Gin zalśniły łzy. Ogie przyjechała z tak daleka, tylko żeby jej to powiedzieć.

- Nie martw się, wiem, jaki jest twój ostateczny cel. W końcu i szkoła medyczna otworzy się przed kobietami, to tylko kwestia czasu. Ale nie możesz beczynn timer czekać. Jeśli skorzystasz z tej szansy, dyplom nowej szkoły będzie twoim atutem, no i nauczysz się więcej. Nie powtarzaj tego pani Naito, ale nie mogę patrzeć, jak tak tkwisz tutaj. Pora wrócić do Tokio i wykorzystać okazję.

Gin była pewna, że Ogie ma rację. Zdawała sobie sprawę, że bez względu na to, co zaszło między nią i Yorikunim, pozostanie w Kōfu byłoby nierozsądne. Oto pojawiło się coś, na co czekała: sposobność powrotu do Tokio.

- Przyjmą cię na pewno. Wstąp do Tokijskiej Szkoły Normalnej dla Kobiet, zdobądź kwalifikacje nauczycielskie i poszerz wiedzę naukową.

- Tak, proszę pani.

- Też coś! Cokolwiek się stanie, jesteśmy siostrami. Złożyłyśmy sobie obietnicę w Tawarase, nie pamiętasz? - Ogie po chłopięcemu klepnęła Gin w ramię.

9.

Tokijską Szkołę Normalną dla Kobiet - obecnie Ochanomizeński Uniwersytet dla Kobiet - otworzono w listopadzie 1875 roku.

Na pierwszy rok przyjęto siedemdziesiąt cztery kobiety, wśród nich Gin. W ceremonii otwarcia wzięła udział cesarzowa wdowa, która na tę okazję ułożyła wiersz:

Kryształowym kulom i lustrom

Wartość daje szlif

Tak samo jest z umysłami

Wcześniej istniała tylko jedna placówka edukacyjna dla kobiet, Tokijska Szkoła dla Dziewcząt w Takebashi, założona w 1872 roku, w okresie, gdy rząd Meiji centralizował kształcenie w całym kraju.

Dyrektywa na temat nauczania mówiła, że „z wyjątkiem szkół podstawowych uczniowie płci męskiej i żeńskiej muszą być kształceni osobno”. Było to nieomal ograniczenie z epoki Tokugawów, stanowiące, że „chłopcy i dziewczęta w wieku powyżej siedmiu lat nie mogą przebywać razem” - mające utrzymać podporządkowanie kobiet mężczyznom, włączone do polityki rządu Meiji bez większych zmian. Pozostało ono w mocy aż do ustanowienia po drugiej wojnie światowej obecnie obowiązującej konstytucji Japonii.

Wydawało się, że musi stać się cud, by w panującej wówczas atmosferze wrogości wobec kształcenia kobiet mogła powstać instytucja, którą dziś byśmy nazwali żeńską szkołą nauczycielską. A jednak powstała, choć początkowo uczennice nie miały mundurków ani tarcz i większość chodziła w codziennych strojach z bawełny bądź zwykłego jedwabiu, ze szkolnymi rzeczami zawiniętymi w kawałek materiału.

W pierwszych latach wszystkie owe młode kobiety bez wyjątku musiały, podobnie jak Gin, stawić czoło oporowi ze strony rodzin. Chociaż był to czas obwołany epoką cywilizacji i oświecenia, dawało się je zauważyć tylko wśród części społeczeństwa Tokio i Jokohamy. Gdzie indziej wciąż królował głęboko zakorzeniony stary sposób myślenia.

O tym, jaki wówczas przeważał stosunek do edukacji kobiet, świadczyły na przykład takie powiedzenia: „dziewczynka, która lubi się uczyć, przynosi wstyd całej rodzinie”, „służba, nie nauka”, „kobieta ma siedzieć w domu”. Absolwentka żeńskiej szkoły nauczycielskiej siłą rzeczy

musiała więc być typem kobiety wcześniej nie do pomyślenia.

Z tych i innych powodów wszystkie dziewczęta były w szkole wbrew woli rodziców, a niektórzy nawet się swych córek wyparli. Ambitne i obdarzone silną wolą, były odważnymi pionierkami, przekonanymi, że od nich zależy przyszłość kobiecej edukacji w Japonii. Wspólną cechą owej grupy hardych młodych kobiet było nastawienie na rywalizację i silna motywacja do nauki. Gin rzecz jasna czuła się wśród nich jak ryba w wodzie.

Wstąpiwszy do szkoły, skorzystała z okazji i zmieniła sobie imię na Ginko; od tej pory była Ginko Ogino. Już od jakiegoś czasu nie podobał jej się zwyczaj nadawania kobietom imion krótkich i łatwych do wymówienia, prawie jak psom. Nie mogła się pogodzić z obowiązującym przekonaniem, że imię jest potrzebne kobiecie tylko dlatego, że się przydaje, gdy mąż lub teściowa chcą jej wydać polecenie. Uważała też, że kobiece imiona powinny być zapisywane tak samo jak męskie - za pomocą pełnych dostojeństwa chińskich znaków.

Umocniła się w swej opinii, gdy przeczytała listę uczennic w szkole w Kōfu. Wszystkie miały żałośnie krótkie imiona w rodzaju Yai czy Sei. Był to tylko jeszcze jeden przykład świadczący o dominującym wtedy przekonaniu, że mężczyzn należy podziwiać, a kobiety poniżać. Im więcej o tym myślała, tym bardziej narastał w niej gniew. Imię Gin nie robiło wrażenia; nie było to imię kobiety, która zamierzała wprowadzić społeczeństwo na nową drogę. Przemyślawszy to dokładnie, dziesięć dni po rozpoczęciu semestru zaczęła używać imienia Ginko.

- To które jest właściwe? - spytał zdziwiony nauczyciel, kiedy go poprawiła.

- W dokumentach rodzinnych jest Gin, ale teraz o wiele bardziej odpowiada mi Ginko. W księdze mojego życia odwracam nową kartę i chcę iść dalej jako inna kobieta.

- Rozumiem.

Tokijska Szkoła Normalna dla Kobiet miała pięcioletni program nauki, podzielony na dziesięć semestrów. Obejmował on wiele przedmiotów: geografie, historię, fizykę, chemię, etykę, lektury, kaligrafię, dyktanda, wypracowania, matematykę (arytmetykę, algebrę, geometrię), ekonomię, przyrodę, pedagogikę, buchalterie, ochronę zdrowia, roboty ręczne, śpiew, gimnastykę, metody uczenia i zajęcia praktyczne.

Duża liczba przedmiotów oznaczała wiele nauki na pamięć, co było wówczas typową cechą programów szkolnych. Ponadto wszyscy nauczyciele, ludzie bardzo pracowici, pałali chęcią przekazania uczennicom jak najwięcej wiedzy, więc nauki było dużo. Zdarzało się, że nauczyciel matematyki zadawał dwieście zadań do rozwiązania, ale uczennice nie protestowały. Dzięki wrodzonej inteligencji i nadzwyczajnej pracowitości Ginko wkrótce wyprzedziła innych. Wszystkim ciągle brakowało czasu, bez względu na to, jak pilnie się uczyli.

Pokoje w internacie były pięcioosobowe. Pośłania znajdowały się z dwóch stron, w środku były biurka ustawione naprzeciw siebie. Wieczorem światło dawały lampki na olej rzepakowy. Ginko miała na roku silną konkurencję i szybko doszła do wniosku, że aby utrzymać prymusostwo, na naukę nie wystarczy jej czas przed zgaszeniem światła. W głowach każdego łóżka stała niewysoka szafka, do której na dzień wkładano pościel. Ginko wstawiała więc w nocy, wchodziła z lampką do szafki i tam, skulona, czytała, gdy jej koleżanki spały w najlepsze. Cień jej drobnej sylwetki rysował się na ścianie szafki, w błyszczących oczach odbijał się płonący knot, który wystarczał na dwie godziny.

Ginko robiła tak co noc. Nim minęły dwa tygodnie, zauważyły to koleżanki i poszły w jej ślady. Nowy zwyczaj szybko się przyjął w innych

pokojach. Po miesiącu wezwała ją kierowniczka internatu.

- To się od ciebie zaczęło, prawda? Nie mam nic przeciwko uczeniu się, ale powinnaś pamiętać, że noc to pora na sen. No a przede wszystkim, co będzie, jeśli zaśniesz z lampką w tym ciasnym miejscu i wzniesiesz pożar?

- Przepraszam.

- Nie dziwi mnie twój zapał do nauki, ale muszę cię prosić, żebyś tego więcej nie robiła. - Kierowniczce internatu najwidoczniej bardziej zależało na porozumieniu z Ginko niż na jej skarceniu.

- Obiecuję, że to się już nie powtórzy. - Rywalizacja między uczennicami, jaką wywołał jej niewinny pomysł, wywołała w niej niepokój.

Przez jakiś czas robiła w nocy to, co powinna: spała. Często jednak budził ją zły sen, a im bardziej się starała zasnąć, tym bardziej była rozbudzona. Wpadła więc na nowy pomysł. Teraz, obudziwszy się w nocy, brała książkę, która leżała obok poduszki, i szła do toalety, gdzie o tej porze panowała zupełna cisza, a na środku paliła się lampa. Nie pachniało tam wprawdzie zbyt ładnie, ale mogła stać pod lampą i czytać, czekając, aż znów poczuje senność.

Na początku 1876 roku, gdy już przywykła do szkolnego życia, Ginko złożyła noworoczną wizytę Yorikuniemu Inoue. Choć się rozstali w cokolwiek niezręcznej atmosferze, uprzejmość nakazywała, by go poinformowała o swych dalszych losach.

Odczekała, aż minie dziesięć dni nowego roku, kiedy będzie już miał za sobą odwiedziny innych gości, w cukierni Shitaya Eisendo kupiła mu ulubione wafle przekładane słodzoną masą z fasoli i poszła w stronę jego domu.

W zimowym chłódzie żywopłot utracił trochę jaskrawej zieloności, lecz poza tym wszystko wyglądało jak dawniej. Otworzyła frontowe drzwi

i zawołała:

- Dzień dobry! - Nikt nie odpowiedział, więc niepewnie zawołała jeszcze raz.

- Słucham - odezwał się kobiecy głos i pojawiła się stara gospoia. -  
O, to pani Ogino!

- Przepraszam, że tak długo nie dawałam znaku życia.

- Podobno była pani w Kōfu?

- To prawda. Czy zastałam *sensei*, pana Inoue?

- Tak, jest w domu. Zaraz mu powiem, że pani przyszła. Ale się ucieszy!

Obróciła się szybko na pięcie i znikła. W korytarzu na nowo zapadła cisza.

W przestronnym wejściu stała tylko jedna para butów - duże męskie sandały *geta*, jakie nosił Inoue. Nie było ani śladu niczego ładnego, co by mogło należeć do kobiety. Musiał nadal żyć samotnie. Ginko poczuła ulgę.

Yorikuni był jak dawniej wielki i pulchny. Miał na sobie eleganckie kimono z jak zwykle rozchełstany kołnierzem.

- Więc jesteś w Szkole Normalnej dla Kobiet?

- Już pan wie?

Kiwnął głową.

- Świat nauki jest niewielki - powiedział żartobliwym tonem.

Ginko się zaczerwieniła. Choć nie był już jej nauczycielem, powinna przyjść z wiadomością wcześniej. Na szczęście nie wydawał się obrażony.

- Chyba mamy gdzieś te *karinto*, które pani Ogino tak lubi, prawda? - zawołał do gospoia.

- Proszę sobie nie robić kłopotu...

- Nie ma o czym mówić. Niedawno je kupiłem. To nie są moje ulubione słodczyce, ale kiedy zjawia się handlarz, kupuję je wbrew sobie -

zachichotał.

Tylko raz się kiedyś zdarzyło, że spytał ją, co lubi. Powiedziała, że *karinto*, a on to wciąż pamiętał. Tak samo jak ona pamiętała o waflach z masą fasolową.

- Na pewno masz tam co robić.

- Jest mnóstwo przedmiotów.

- Ale nie wątpię, że świetnie sobie dajesz radę. Przepraszam na chwilę, pójdę do toalety. - Kiedy schodził na dół, schody skrzypiały jak dawniej. Nic się nie zmieniło - ani dom, ani jego mieszkańcy.

- Proszę bardzo. - Stara gosposia przyniosła na tacy słodycze i talerzyk.

- Profesor Inoue nie ożenił się ponownie? - zapytała ją Ginko. Chciała mieć pewność.

- Nie, jeszcze nie.

- A są jakieś kandydatki?

- Coś się tam mówiło, ale powiada, że żadna mu się nie podoba, a właściwie to chyba nie chce sobie tym zawracać głowy. Wygląda na to, że ani trochę go to nie interesuje.

- Doprawdy? Ale chyba byłoby lepiej, żeby się pospieszył i kogoś sobie znalazł, czyż nie? To musi być męczące również dla ciebie. - Ginko powiedziała to z troską w głosie, lecz w duchu była zadowolona, że Yorikuni jest nadal sam.

Chociaż nauka wymagała wiele wysiłku, uczennice Tokijskiej Szkoły Normalnej dla Kobiet znajdowały czas na inne zajęcia. Po kolacji albo w dni, kiedy miały mniej pracy domowej, na przykład w niedzielne popołudnia, zbierały się i dyskutowały o ostatnich posunięciach rządu Meiji lub o roli kobiet w społeczeństwie. Inaczej niż większość młodych kobiet, rzadko poruszały tematy związane z modą bądź mężczyznami.

Jedna ze współmieszkanek Ginko, filigranowa Shizuko Fumichi,



była znacznie cichsza i bardziej powściągliwa niż inne, na ogół wypowiadające się bez ogródek. Dwudziestopięciolatka Ginko należała do najstarszych na roku, a ponieważ Shizuko miała dwadzieścia trzy lata, Ginko czuła się z nią związana trochę bardziej niż z młodszymi koleżankami. Czasem próbowała nawiązać z nią rozmowę, lecz Shizuko zawsze ograniczała się tylko do niezbędnych słów. Twarz miała stale bladą, a w jej wiecznie spuszczonej oczach malowało się głębokie cierpienie.

Pewnego niedzielnego popołudnia Ginko poszła do Ogie pożyczyć pierwszy tom szeroko dyskutowanego nowego dzieła Yukichiego Fukuzawy „Nauka jako bodziec”. Wróciwszy do pokoju, zastała Shizuko siedzącą samotnie za biurkiem.

- Dużo pracujesz, prawda? - Ginko podeszła bliżej, żeby zobaczyć, czego Shizuko się uczy w niedzielę, a ona spojrzała na nią zdziwiona. Z podkrążonych oczu płynęły jej po policzkach łzy. - Co się stało?

Ginko się bała, że może coś się zdarzyło, kiedy nikogo nie było w pobliżu, ale Shizuko pokręciła głową i utkwiała wzrok w oknie. Miłorząb, okryty zielonymi liśćmi, gdy jesienią rozpoczynały naukę, teraz stał w słabym zimowym słońcu nagi i skurczony.

- Martwię się o ciebie. Powiedz, co się stało. - Patrząc na smukłą szyję Shizuko, Gin poczuła się nagle, jakby była jej starszą siostrą. - Chciałabym ci pomóc.

- To niemożliwe.

- Skąd wiesz, skoro nawet nie dałaś mi szansy? - Odpowiedź koleżanki jeszcze bardziej utwierdziła ją w przekonaniu, że musi się dowiedzieć, co jest powodem jej cierpienia. Pomimo skupienia się wyłącznie na nauce, w Ginko odezwała się jej niemal zapomniana szlachetność charakteru.

Widząc zaniepokojenie Ginko, Shizuko zaczęła opowiadać. Arinori

Mori, japoński poseł w Stanach Zjednoczonych, zakończył misję i wrócił do kraju. Gdy został ministrem edukacji, rozpoczął rewolucję w tej dziedzinie, będąc wówczas dobrze się zapowiadającym politykiem. Miał postępowe poglądy i pomysły, które przywiózł z zagranicy, a ostatnio zaskoczył wszystkich, postanowiwszy zerwać ze starą japońską tradycją zawierania małżeństw i pobrać się z niejaką Tsuneko Hirose na podstawie dokumentu o następującej treści:

*Tsuneko Hirose z prefektury Shizuoka, mająca dziewiętnaście lat i osiem miesięcy, niniejszym zawiera związek małżeński z Arinorim Morim z prefektury Kagoshima, mającym lat dwadzieścia siedem i osiem miesięcy. Za zgodą rodziców obu stron dziś - szóstego marca 2535 roku od wstąpienia na tron cesarza Jimmu - w obecności gubernatora Tokio Ichio Okubo oraz przyjaciół i rodziny obie strony złożą przysięgę małżeńską. Ustalono następujący kontrakt małżeński:*

*Artykuł 1: Arinori Mori weźmie Tsuneko Hirose za żonę, a Tsuneko Hirose weźmie Arinoriego Moriego za męża.*

*Artykuł 2: Dopóki obie strony tego kontraktu będą pozostawać przy życiu i od postanowień kontraktu nie odstąpią, będą się wzajemnie kochać i szanować jako mąż i żona.*

*Artykuł 3: Jeśli idzie o dobytek państwa Mori, to nic z niego nie zostanie wypożyczone ani sprzedane stronie trzeciej bez ich obopólnej zgody.*

*Jeśli któraś ze stron złamie którekolwiek z postanowień tego kontraktu, druga strona będzie się mogła domagać zadośćuczynienia prawnego.*

*Tokio, 6 marca 1875 roku*

*Arinori Mori i Tsuneko Hirose*

*Świadek: Yukichi Fukuzawa*

Nie różnił się on wiele od dzisiejszych kontraktów małżeńskich, lecz

w tamtych czasach był wielką innowacją, a to, że mieli świadka - samego Yukichiego Fukuzawę - sprawiało, że wzbudzał jeszcze większe zainteresowanie.

Owo małżeństwo zostało zawarte wiosną poprzedniego roku i Ginko o nim słyszała. Większość nieudanych japońskich małżeństw zwykle rozpadała się z powodu niewierności męża, jego okrucieństwa lub egoizmu, o czym Ginko, odarta z młodzieńczego idealizmu i zapału, doskonale wiedziała. Dlatego w pełni zgadzała się z duchem kontraktu i była pod wrażeniem odważnej postawy i prawości Arinoriego Moriego. Jednak kryło się za tym coś całkiem innego.

- Trudno mi o tym mówić, ale byliśmy zaręczeni i łączył nas fizyczny związek.

- Jak to?

Ginko była zaskoczona, ale nie wierzyła, żeby Shizuko mogła powiedzieć coś takiego, gdyby to nie była prawda. Kto by się domyślił, że to szeroko dyskutowane wydarzenie miało związek z kobietą, która, porzucona, postanowiła żyć samotnie i teraz się uczy, żeby zostać nauczycielką i zarabiać w ten sposób na utrzymanie? Dla Ginko był to wstrząs, bo uważała Arinoriego Moriego za nowoczesnego męża stanu.

- Wszystko jedno, jakie zajmuje stanowisko w rządzie, takiego traktowania człowieka nie można mu wybaczyć. Czy jego żona, ta Tsuneko, wie o tobie?

- Myślę, że tak.

- W takim razie oboje są okropni. - Ginko powiedziała to gwałtownie, jakby ją samą spotkała krzywda. Własny rozwód zniosła spokojnie, przekonana, że nie ma innego wyjścia i że to ją obciąża jako kobietę, ale teraz sprawy wyglądały inaczej. Przez sześć lat Ginko nabrała pewności siebie i odwagi.

- Idziemy. Razem.

- Dokąd?

- Do Moriego.

Shizuko oniemiała. Po co? Cały świat wiedział, że Mori już jest żonaty.

- Nie musisz się z tym godzić i sama się gryźć. Spotkamy się z nim osobiście i omówimy warunki.

- Ale czy nie jest za późno?

- On teraz świata nie widzi poza Tsuneko, więc tego uczucia prawdopodobnie nie da się zmienić. Ale powinniśmy poprosić o jakiś dowód jego uczciwych intencji.

- Uczciwych intencji?

- Jak to się nie uda, przynajmniej powinien ci dać na przeprosiny trochę pieniędzy. Na Zachodzie to rzecz oczywista.

- Ale... - Shizuko nie potrafiła jeszcze zdobyć się na to, żeby spojrzeć na sytuację tak jasno jak Ginko. Wciąż była w nim zakochana i mimo wszystko nie umiała przekonać samej siebie, że ma go nienawidzić.

- Jeśli nie możesz się do tego zmusić, zostań sprawę mnie. Obiecuję, że nie pogorszę sytuacji.

Ginko była tak wzburzona, że postanowiwszy, co zrobi, nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Dwukrotnie bezskutecznie odwiedzała oficjalną siedzibę Arinoriego Moriego, za trzecim razem się jej udało. Jego sekretarka początkowo zbywała studentkę Tokijskiej Szkoły Normalnej dla Kobiet pragnącą spotkać się z Morim dla omówienia jakichś spraw osobistych, lecz gdy ta przyszła po raz trzeci, poddała się i ją zaanonsowała.

- Ciekawe, o co jej chodzi. Dobrze, niech wejdzie.

Sekretarka wspomniała, że dziewczyna jest śliczna, i to wzbudziło zainteresowanie Arinoriego. Ginko stanęła przed nim w nowym jedwabnym kimonie i czerwonawobrazowych spodniach *hakama*. Był to

strój kupiony za pieniądze zarobione w Kōfu.

- Proszę usiąść - powiedział. Miał na sobie modny granatowy garnitur i muszkę.

Przedstawiwszy się, Ginko spojrzała mu w oczy i od razu przystąpiła do rzeczy.

- Nie przychodzę we własnej sprawie, lecz w sprawie koleżanki, która ze mną mieszka.

- Koleżanki? - spytał nieufnie i sięgnął po zachodniego papierosa.

- Shizuko Fumichi.

- Shizuko? - Skrzywił się.

- Przypuszczam, że nie muszę panu o niej opowiadać, bo sam ją pan zna najlepiej.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Ona wciąż o panu myśli i płacze. Dała panu wszystko, co może dać kobieta, a teraz gaśnie. Będzie samotna do końca życia. Gaśnie przez pana. - Ginko zupełnie zapomniała, jaką ma pozycję siedzący przed nią człowiek. Łajała byłego męża i wszystkich mężczyzn jemu podobnych.

- Shizuko postanowiła, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Myśli tylko o tym, żeby zostać nauczycielką i dzięki temu móc się utrzymać jako samotna kobieta. Zniszczył jej pan życie. A sam przeciwnie - na nic się nie oglądając, uwił pan sobie gniazdko z inną, ukrywając kłamstwo za kontraktem małżeńskim.

Arinori patrzył ze zdumieniem na strofującą go z pasją porywczą kobietę, która nie dawała mu dojść do słowa.

- Pańska hipokryzja to hańba. Jest pan wrogiem wszystkich kobiet.

- Ginko przerwała, żeby nabrać powietrza.

Z emocji miała zaróżowione policzki, a Arinori był oczarowany. Takie kobiety lubił - samo patrzenie na jej twarz sprawiało mu przyjemność. Szkoda, że nie mogę jej ujrzeć nagiej, byłaby jeszcze

atrakcyjniejsza - pomyślał. Choć właśnie zasypała go inwektywami, nie czuł się obrażony. Jej odwaga i pasja wzbudziły w nim podziw. Gdyby była mężczyzną, zostałaby wyrzucona za drzwi albo nawet wsadzona za obrazę do więzienia. Miał słabość do pięknych kobiet.

- Więc czego pani w związku z tym ode mnie oczekuje? - spytał, opamiętawszy się.

- Proszę pomóc Shizuko.

- Pomóc?

- Ożenić się z nią.

- Doskonale pani wie, że nie mogę tego zrobić.

- Więc niech jej pan przynajmniej pomoże finansowo.

- Rozumiem, pieniądze na pocieszenie. - Nie był już związany z Shizuko, nie była jego kochanką, nie istniało prawo, które mogłoby go zmusić do wywiązania się ze słownej obietnicy.

- Mam nadzieję, że chociaż zgodzi się pan jej pomagać, dopóki nie skończy szkoły.

Choć robiła to tak gwałtownie, w gruncie rzeczy nie prosiła o wiele. Arinori Mori był u szczytu kariery, a Shizuko, zwykła studentka, miała pozycję nieporównywalnie niższą. Interwencja Ginko wymagała jednak odwagi.

- Dobrze, zgadzam się.- Arinori z przesadą, po amerykańsku wzruszył ramionami i lekko się uśmiechnął, zdradzając tym swą młodość. To miłe zamiast na sztywnego urzędnika ze sprawozdaniem móc tu popatrzeć czasem na coś tak ładnego - powiedział w duchu i wyrwał sobie włos z nosa.

Ginko pomyślała, że podróże na Zachód mimo wszystko wywarły na niego dobry wpływ.

- W takim razie idę. Proszę mi wybaczyć ostry język.

Ponieważ doszli do porozumienia, dalsza rozmowa nie miała sensu.

Wstała i uprzejmie się ukloniła.

Ginko pomogła Shizuko i od tej pory były jak siostry, ale sama też miała kłopoty finansowe. Świetnie rozumiała potrzeby koleżanki związane z opłatami za naukę przez kilka lat, bo gnębiła ją sprawa własnych wydatków.

Ginko zarabiała, gdy pracowała w Szkole Naito w Kōfu. Jej pensja nie była wysoka, ale mogła odłożyć dwa albo trzy jeny miesięcznie. Kiedy znów zaczęła się uczyć, ponad połowę oszczędności wydała na nowe kimono i książki. Zastanawiała się, czy nie podjąć jakiejś pracy, którą by mogła wykonywać w internacie, ale brakowało jej na to czasu. Na pokrycie chesnego dostawała stypendium, a opłata za internat wynosiła tylko dwa jeny miesięcznie, lecz na nową odzież czy drogie książki już jej brakowało pieniędzy. W połowie pierwszego roku nauki z jej oszczędności prawie nic nie zostało.

Gdyby poprosiła o pieniądze rodzinę w Tawarase, mogłaby pewnie liczyć na trzy do pięciu jenów miesięcznie. Ale wyjechała z domu prawie wydziedziczona. Już widziała, jak brat i jego żona narzekają: „A nie mówiliśmy, że tak będzie?”. Duma by jej nie pozwoliła prosić ich o pomoc, choć nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić.

W końcu postanowiła napisać do Tomoko i poprosić o trzy jeny miesięcznie przez trzy lata. Ponieważ Tomoko weszła do rodziny kapłana szinto, powinna móc sobie na to pozwolić. Tomoko natychmiast odpisała, że się zgadza i żeby Ginko pod koniec każdego miesiąca szła po pieniądze do rodziny Kinów, z którą jej rodzinę łączyły interesy. Kinowie mieszkali w dzielnicy Monzen-Nakacho.

Na końcu listu Tomoko napisała: „Nigdy nie wyrzekaj się marzeń!”. Ginko poczuła wzruszenie. Siostra nigdy jej nie zawiodła, teraz też się o nią troszczyła, chroniła ją.

Przemęczenie ciężką pracą powodowało, że co roku wykruszało się

około dziesięciu dziewcząt. Większość studentek miała za sobą jedynie szkołę podstawową i domową naukę klasycznego języka chińskiego wraz z ojcami i braćmi. Nie wszystkie chciały zostać nauczycielkami; liczne zapisały się do szkoły tylko z braku innego miejsca, gdzie mogłyby się uczyć kobiety. Te pochodziły z bogatych domów i nie potrzebowały pilnie dyplomu ani uprawnień nauczycielskich. Rezygnacja z ukończenia studiów miała niewielki wpływ na ich życie; rodzice często byli wręcz zadowoleni, że mogą szybko wydać córkę za mąż.

Również Ginko nie zamierzała zostać nauczycielką. Niezmiennie pragnęła być lekarzem i zdobywała wiedzę jako podstawę do studiów medycznych. Tym się różniła od koleżanek traktujących naukę mniej poważnie, których droga ucieczki przez małżeństwo była dla niej zamknięta. Nie miała wyboru - musiała iść naprzód.

W lutym 1879 roku Ginko ukończyła Tokijską Szkołę Normalną dla Kobiet jako prymuska. Spośród siedemdziesięciu czterech dziewcząt, które początkowo były razem z nią na roku, do dyplomu dotrwało tylko piętnaście.

Podczas ceremonii wręczenia dyplomów dyrektor szkoły profesor Nagai pytał je po kolei o dalsze plany.

- Chcę być lekarzem.

Ginko za bardzo się wstydziła, żeby to powiedzieć głośno, gdy się uczyła u Yorikuniego, lecz teraz przyszło jej to bez trudu. Po części dlatego, że nabrała odwagi, po części - bo czasy się zmieniły na tyle, że kobieta mogła mieć ambicje, nie narażając się na pogardę.

- Naprawdę? Lekarką? - Profesor Nagai pogładził wąsy i na chwilę się zamyślił. - Jak zamierzasz tego dokonać?

- Chcę iść do szkoły medycznej.

- Rozumiem.

Powstawały pierwsze państwowe uniwersytety, istniało kilka



prywatnych college'ów medycznych, ale wszystkie były niedostępne dla kobiet.

- Dotychczas uczyłam się tylko w jednym celu - żeby zostać lekarzem.

- Ale musisz wiedzieć, że jeśli zechcesz ten zamiar zrealizować, grozi ci, że rodzina się ciebie wyrzeknie.

- Już się wyrzekła.

- Rozumiem.

- Czy jest jakiś sposób, żeby mój cel osiągnąć? - Ginko wiedziała, że ta uroczystość nie jest dla niej końcem nauki. Miała prawie dwadzieścia osiem lat i czas naglił.

- Przeszkodą jest rząd, więc naukowiec jak ja nie na wiele się tu przyda. Znam jednak kogoś, kto być może potrafiłby pomóc. Dam ci list polecający. Zgoda?

- Naprawdę chce pan to dla mnie zrobić?

- List będzie gotowy jutro. Oby odniósł skutek.

- Dziękuję, jestem panu bardzo wdzięczna. Na pewno z niego skorzystam.

- Z twoim umysłem mogłabyś zostać lekarzem. Szkoda, że jesteś kobietą. - Profesor Nagai przyjrzał się inteligentnej twarzy Ginko i westchnął.

Adresatem listu polecającego był Tadanori Ishiguro, dyrektor Wojskowego Szpitala Chirurgicznego, mający w tamtych czasach duże wpływy w świecie medycznym. Ginko nie była pewna, czy powinna się udać do jego gabinetu, który się mieścił w Ministerstwie Spraw Wojskowych i gdzie z pewnością wciąż przychodzili i wychodzili wojskowi. W końcu zdecydowała, że złoży mu wizytę w domu. Zastała go, gdy poszła tam po raz drugi, i udało jej się z nim spotkać.

Ishiguro był mężczyzną o surowym spojrzeniu i wydatnych

szczękach. Przeczytał list od profesora Nagai, mruknął „rozumiem” i kiwnął głową.

- Więc pani jest Ginko Ogino? - Jak przystało na człowieka, który przetrwał zamieszanie początków okresu Meiji i zrobił karierę, mówił głębokim głosem niosącym się echem po domu. - Cieszę się, że panią poznałem.

Jego imponujący wygląd wytrącił Gin z równowagi. Tadanori Ishiguro zupełnie nie przypominał profesorów ze szkoły.

- Muszę się z panią zgodzić. Kobiety są na ogół wstydliwe i nie lubią badań ginekologicznych. Nieraz sobie łamałem głowę, jak by temu zaradzić. Z lekarki byłby wtedy ogromny pożytek. Nic, czego uczą szkoły medyczne, nie jest za trudne dla kobiet, więc nie ma powodu, żeby kobieta nie mogła zostać lekarzem.

Ginko z ulgą zauważyła, że jej rozmówca, już znający wciąż jeszcze nową dziedzinę medycyny zachodniej, chętnie przyjmował nowatorskie pomysły.

- A o której szkole medycznej pani myśli?

- Z radością przyjmę miejsce w każdej, która mi je zaoferuje.

- Jak pani wiadomo, w tej chwili wszystkie szkoły medyczne są dla kobiet zamknięte. Nie wiem, czy zdołam znaleźć miejsce dla pani szybko, ale będę próbował.

- Myśli pan, że jakieś się znajdzie?

- Nie wiem. Ale ponieważ nie wiem, zacznę się dowiadywać.

Ginko, bardzo wdzięczna za jego otwartość, podziękowała mu i wyszła.

Odezwał się tydzień później, na początku marca. Od razu się z nim spotkała, a on swym dudniącym głosem oznajmił:

- Próbowałem w kilku miejscach, ale nigdzie nie chcą przyjąć kobiety.

Ginko przyjęła niepomyślną wiadomość w milczeniu. - Tylko w Kojuin, w Shitayi, powiedzieli, że panią przyjmą.

Ginko zerwała się z krzesła.

- Naprawdę?

- Czy pani siedzi, czy stoi, mam do powiedzenia to samo, więc proszę siadać!

Ginko pośpiesznie usiadła.

- Początkowo odmówili, tłumacząc się kwestią dyscypliny moralnej wśród studentów płci męskiej i innymi niedogodnościami dla kobiety, ale ostatecznie powiedzieli, że ponieważ prośba pochodzi ode mnie, nie mają wyboru i muszą dać za wygraną. - Ishiguro, nie bez powodu, był z siebie wyraźnie zadowolony.

- Bardzo dziękuję.

- Dobrze znam Tsunenoriego Takashinę, rektora tej szkoły. To niezwykle człowiek, tylko wymagający.

Ginko wreszcie była o krok bliżej celu. Oszołomiona, patrzyła na Ishiguro błyszczącymi oczami.

- Powinna się pani z nim spotkać w ciągu paru dni.

- Nie będę zwlekać. - Złożyła mu bardzo głęboki ukłon.

\*\*\*

Ginko poszła do Yorikuniego zawiadomić go o zamiarze wstąpienia do Kojuin. Dowiedziałby się o tym i bez niej, bo rektor Takashina był lekarzem dworu cesarskiego, a Yorikuni często bywał na dworze, ale Ginko wybrała się do niego nie tylko po to, żeby wymienić uprzejmości i powiedzieć, że zaczyna studia - chciała też się dowiedzieć, jak się jej dawny nauczyciel miewa.

- Naprawdę? Chcesz zostać lekarzem medycyny zachodniej? - Mówiła Yorikuniemu o swoim zamiarze po raz pierwszy, a on słuchał z powagą, skrzyżowawszy ręce na piersiach. Nawet on, zwolennik

medycyny chińskiej, musiał przyznać, że do nowych czasów lepiej pasowała zachodnia. - Ale to potrwa tak długo - mruknął.

- Słucham?

- Mówię, że czekają cię jeszcze lata studiów. - Kiedy Ginko skończyła Szkołę Normalną dla Kobiet, Yorikuni postanowił, że oświadczy się ponownie - a nawet, że będzie to robił, aż uzyska zgodę - lecz teraz wiedział, że jego szanse zmały.

- Tak, lecz jestem na to przygotowana.

- Oczywiście - stęknął.

Ginko jeszcze nigdy nie widziała go tak zmartwionego. *Chyba z mojego powodu.* Żałowała go, a jednocześnie czuła zadowolenie - był wspaniałym człowiekiem i pragnął właśnie jej.

Szkoła Medyczna Kojuin mieściła się w Shitaya-Neribei, niedaleko Juntendo, gdzie Gin była w szpitalu, więc wiele z tych okolic pamiętała.

Rektor zgodził się ją przyjąć, ale bez żadnych szczególnych przygotowań - specjalnych pomieszczeń, udogodnień, zasad postępowania. Jeśli chce studiować, jej obecność będzie tolerowana, lecz nic poza tym. Od pierwszego dnia Ginko spotykały same nieprzyjemności.

Miejsca w szkołach medycznych były w zasadzie dostępne tylko dla synów znanych starych rodów samurajskich albo dla mężczyzn zarekomendowanych przez ważne osobistości.

Studenci mieli od niecałych dwudziestu do czterdziestu kilku lat, wśród nich było wielu nieokrzesanych osobników, którzy uczestniczyli w niedawnych zajściach zbrojnych związanych z rewolucją Meiji. Nie wolno im już było nosić mieczy, ale swą atmosferą szkoła przypominała gromadę opryszków mających pretensje do całego świata.

Pierwszego dnia Ginko załatwiła formalności i nie wiedziała, co ma robić dalej, ale nikt nie zamierzał jej udzielać wskazówek. Gdy zapytała

któregoś z pracowników biura, gdzie powinna pójść, odpowiedział chłodno, że nie ma pojęcia. Z ich min jasno wynikało, że uważają, iż sama jej obecność przynosi ujmę reputacji szkoły. Nie mając innego wyjścia, ruszyła przed siebie, żeby się rozejrzeć na własną rękę. Szkoła mieściła się w pokrytym dachówką budynku o białych ścianach. W środku, wzdłuż korytarza, znajdowały się niezbyt liczne sale wykładowe i laboratoria. Zajrzała do jednej z sal, pełnej studentów.

- Laleczka! - usłyszała nagle okrzyk. Wszyscy wstali, zaczęli tupać drewnianymi sandałami *geta* i klaskać. Niespodziewanie otoczyło ją kilkunastu zaniedbanych mężczyzn o szczeciniastych brodach. Wyglądali jak złoczyńcy. Wybiegła z sali przestraszona, ale tamci, gwizdząc, pobiegli za nią. Od siódmego roku życia dziewczynki i chłopców wychowywano osobno, więc nawet dorośli mężczyźni nie wiedzieli, jak się zachować przy kobiecie. Już sama obecność dziewczyny nadającej się do małżeństwa wystarczała, by wywołać wrzawę.

- Ładna, prawda?

- Noo. Pewnie będzie sprawdzać tętno mężczyznom.

- I oglądać ich nagich!

Posypały się zaczepki i obelgi. Miała ochotę uciec, ale gdyby to teraz zrobiła, zmarnowałyby wszystkie swe dotychczasowe starania. Przez głowę przemknął jej obraz jasno oświetlonego pokoju badań w szpitalu Juntendo, z jej bladym ciałem na stole; przypomniła sobie męskie ręce siłą rozkładające jej nogi. Policzki jej płonęły. Upokorzenie, jakiego teraz doznawała, było niczym w porównaniu z tym, co przeżyła wtedy. Śmiało podniosła głowę.

Nie zwracając uwagi na mężczyzn, poszła zająć miejsce bliżej końca sali. Tamci szli tuż za nią, niczym stado wilków za samotnym jagnięciem. Do siedzenia służyły kilkusobowe ławki z pulpitemi. Kiedy Ginko usiadła, studenci zgromadzili się wokół niej. Na podium dla wykładowcy

wskoczył nagle potężny, śniady mężczyzna, wzniosł do góry pięść i rozpoczął tyradę.

- Panowie, to nie do przyjęcia, to wprost niewyobrażalne, że ta sławna szkoła medyczna, pod kierownictwem samego lekarza dworu cesarskiego, przyjęła dzisiaj kobietę. Z jakiego powodu? Nasz cieszący się szacunkiem zawód zostanie sprowadzony do pozycji pracy dla kobiet i dzieci. Nie dość, że wykształcone kobiety to upadek rodziny, teraz chcą jeszcze zniszczyć zawód medyka. To skandal!

Inni studenci natychmiast zaczęli bić brawo i wznosić dzikie okrzyki aprobaty. Ginko miała ochotę zatkać sobie uszy. Z jednej z ławek zerwał się mężczyzna z wielką brodą.

- Panowie, oto dziś pojawiła się studentka. Będziemy musieli uczyć się medycyny z kobietami, wraz z nimi słuchać wykładów i robić doświadczenia. Innymi słowy, zostaliśmy zdegradowani do poziomu kobiet. Kto jest temu winien? - To rzekłszy, brodacz zaczął z wściekłością walić w pulpit.

Pięćdziesięciu studentów wzniosło pięści w górę i zaczęło krzyżeć. Ginko siedziała z rękami na kolanach i zamkniętymi oczami, czekając, aż skończą.

Od następnego dnia wychodziła z domu o szóstej rano, żeby w sali wykładowej móc usiąść na dobrym miejscu z przodu. Zmieniła strój na podobny do męskiego - na kimono wkładała czerwonawobrazowe spodnie *hakama*, a na gołe stopy sandały *geta*.

Oczywiście zrezygnowała z wszelkich kosmetyków, pudru i szminki, dbała też o to, żeby kołnierz kimona i wyloty rękawów ukazywały jak najmniej. Chodziło jej o to, żeby pozbawić swój wygląd wszelkiej kobiecości.

Te starania okazały się jednak nie całkiem skuteczne. Jej delikatne rysy i jasna cera powodowały, że wyglądała na młodszą, niż była, a bijąca

z twarzy inteligencja jeszcze jej dodawała urody. Na dodatek spodnie podkreślały wąską talię, co czyniło jej figurę pociągającą dla męskiego oka.

Gdy tylko się pojawiała, studenci walili w pulpity i tupali, żeby jej zrobić na złość. Niektórzy syczeli „Do domu, kobieto”. Do ich ulubionych zabaw należało potrząsanie jej ławką albo odsuwanie pulpitu tak daleko, że sami z trudem do niego dosięgali. Ginko wtedy kładła sobie na kolanach książki, na nich zeszyt, i tak robiła notatki. Profesorowie nie okazywali jej otwarcie wrogości, ale do pomysłu, żeby kobieta została lekarzem, podchodzili bardzo sceptycznie. Byli postępowi, lecz nie aż tak, żeby do wyłącznie męskiego zawodu lekarza chcieli dopuścić kobietę.

Ginko przyjęto do szkoły, gdyż pozwolił na to, aczkolwiek niechętnie, rektor. Zgodził się tylko ze względu na prośbę Tadanoriego Ishiguro i był mocno niezadowolony z poruszenia, jakie zapanowało w związku z tym wśród studentów. Integracja społeczności szkoły medycznej, której studenci od dzieciństwa żyli w świecie podzielonym według płci, wydawała się zagrożona.

*Nie mogę tu liczyć na niczyją pomoc.*

Ginko musiała wszystko znosić sama, odseparowana od innych tylko dlatego, że była kobietą. Jej los jeszcze nigdy nie wydawał jej się tak gorzki. Były to czasy, gdy kobiety jadły dopiero wtedy, kiedy skończyli jeść mężczyźni, szły kilka kroków za nimi i zawsze się do nich zwracały z szacunkiem. Gdy mężczyzna miał coś do powiedzenia, od kobiety oczekiwano tylko, że odpowie „Tak, rozumiem”. Kobiety miały się zajmować wyłącznie pracami domowymi i wychowywaniem dzieci.

Takie były realia społeczne, gdy Ginko, kobieta, niespodziewanie pojawiła się w sali wykładowej pełnej mężczyzn. W dodatku chodziło o medycynę, dziedzinę dostępną tylko dla nich. Większość ludzi byłaby wtedy po stronie wstrząśniętych i wściekłych studentów, których zawsze

uczono, że kobiety to istoty niższe.

W tym okresie choroba prawie nie dawała się Ginko we znaki. Ginko nie miewała gorączki, ale czasem czuła ból i często musiała siusiać. Na każdej przerwie szła do ubikacji. W Kojuin nie było ubikacji dla kobiet. W męskiej znajdowała się tylko jedna zamykana kabina, tuż obok rzędu pisuarów. Stojący przy nich mężczyźni rozmawiali, śmiali się. Dla Ginko to była najgorsza chwila. Starła się niepostrzeżenie prześliznąć obok nich. Początkowo byli zakłopotani, i tylko patrzyli z zainteresowaniem, kiedy wchodziła, ale szybko do tego przywykli i zaczęli ją nękać.

W połowie maja, półtora miesiąca po tym, jak pierwszy raz przyszła na wykłady, na przerwie jak zwykle ruszyła szybko do ubikacji. W środku było około dziesięciu mężczyzn. Wszyscy głośno rozmawiali. Gdy przyspieszyła kroku, żeby ich minąć i wejść do kabiny, jeden się nagle odwrócił do niej przodem, obnażony.

- Och! - krzyknęła bezwiednie, przysiadła skulona i zakryła dłońmi oczy.

- Nie, masz patrzeć! Jestem mężczyzną!

Jego towarzysze wybuchnęli ordynarnym śmiechem.

- Coś takiego, pani studentka chyba się zdenerwowała.

- Mówiąc to, machał penisem przed twarzą Ginko.

Jej widoczne zaszokowanie tylko ich zachęciło do haniebnego zachowania. Zrozumiała, że nie może tracić pewności siebie i musi przechodzić koło nich jakby nigdy nic, bez względu na to, co będą robili. Z tym postanowieniem następnego dnia spokojnie przeszła przez tłum, kierując się do kabiny.

Wyciągnęła rękę, by otworzyć drzwi, i w tym momencie zauważyła na nich świeżo namalowane słowa „Szanowna Pani Ginko Ogino”. Nie tracąc panowania nad sobą, weszła do środka. Mężczyźni czekali pod



drzwiami. Kiedy wyszła, zaczęli bić brawo i gwizdać.

Zdarzało się, że przykładali uszy do drzwi kabiny i nasłuchiwali albo siedzieli w niej na złość Ginko aż do końca przerwy. Byli nawet tacy, którzy potrafili wejść do środka, gdy tylko wyszła, a potem przyczepić do drzwi kartkę z napisem „Pani Ginko ma okres”.

Nie miała nikogo, komu by się mogła poskarżyć. Sama sobie wybrała taką drogę, ale było jej ciężko. Po powrocie do domu nie mogła jeść, kładła głowę na stole i płakała do późnego wieczoru. Nie wiedziała, że najgorsze ma dopiero nadejść.

Na tyłach Kojuin biegł długi kamienny mur, za którym kiedyś znajdowała się remiza. Dalej rósł zapuszczony las morwowy. Powiadano, że dawno temu na jednym z drzew ktoś się powiesił, dlatego większość ludzi bała się chodzić tamtędy po zmroku. Dla Ginko była to jednak krótsza droga do domu, więc często z niej korzystała.

Pewnego dnia na początku lipca podążała tamtędy szybkim krokiem o wpół do siódmej wieczorem, wśród zielsk niewiele niższych od niej samej. Gdy mniej więcej w połowie drogi weszła w kępę wysokich miłorzębów, zastąpiło jej drogę trzech mężczyzn. Byli barczyści i brodaci jak studenci.

Przystanęła na moment, a potem spróbowała ich minąć, jakby ich nie zauważyła. Mężczyzna w środku rozłożył ręce i ją zatrzymał.

- Co wy sobie wyobrażacie? - krzyknęła wściekłym głosem, ale tamci tylko zaśmiali się pogardliwie. Ten w środku miał sumiaste wąsy, w prawej ręce trzymał kij. Zmierzchało, stali w cieniu drzew, więc nie widziała ich wyraźnie, ale twarz wąsacza chyba znała. To musieli być studenci Kojuin.

- Czego chcecie? - Ginko wiedziała, że nie może okazać słabości, więc patrzyła stojącemu przed nią mężczyźnie prosto w oczy.

- A jak myślisz? - spytał wąsacz, wsunawszy rękę za poję kimona.

- To nie wiesz, czego mężczyźni chcą od kobiet? - dodał stojący po prawej. Był niezwykle wysoki, Ginko ledwie mu sięgała do ramienia. Musieli znać jej drogę do domu i się na nią zaczęli.

- Pani studentka na pewno świetnie wie. - Słyszała ich ciężkie oddechy.

- I co ty na to?

- Na co? - Zaplanowali napaść jak zwykle zbiry. Gdyby się teraz rozplakała, przegrałaby od razu. Zebrała wszystkie siły i spojrzała na nich odważnie.

- Że będziemy się zmieniać.

Odwróciła się, ale zagrodzili jej drogę.

- Nikomu nie powiemy, więc nie masz co grać nieprzystępnej.

Rozejrzała się, ale nigdzie nie było żywego ducha.

- Rozbieraj się! - ryknął wściz, błyskając przekrwionymi białkami. Zamierzali ją zbiorowo zgwałcić.

- Na co czekasz?

Ginko nagle zrobiła krok w prawo, a potem rzuciła się w lewo, pod ręką jednego z nich.

- Ratunku! - Biegła co sił w nogach, ściskając pod pachą zawiniątko z książkami. Oni jednak byli szybsi. Łatwo ją dopędzili i jeden z nich złapał ją za kołnierz.

- Nie! - krzyknęła, gdy ciągnął ją w tył.

Zachowywali się jak bestie, a ona kopała i waliła rękami na oślep.

- Poczekajcie! Poczekajcie chwilę, proszę! - Nagle doznała olśnienia.

Wykrzyzczała to z taką pasją, że ją na moment puścili. Szybko poprawiła kimono.

- Nie uda ci się uciec.

- Poczekajcie... - Nabrała głęboko powietrza i utkwiała w nich wzrok.

- O co chodzi? - warknął niecierpliwie jeden z napastników.

- Naprawdę chcecie mojego ciała?
- Przecież wiesz. Znów nabrała powietrza.
- Świetnie. W takim razie róbcie, co chcecie.

To ich zaskoczyło.

- Odważna jesteś - odezwał się ten z lewej i wyciągnął rękę w jej kierunku.

- Ale...

Mężczyzna cofnął rękę.

- ...ja mam rzeżączkę.

- Co takiego?

- Mąż mnie zaraził rzeżączką, a potem się ze mną rozwiódł. Chcę zostać lekarzem, żeby mocją leczyć.

Mężczyźni milczeli.

- Wciąż można się ode mnie zarazić, ale jeśli chcecie takiego ciała, jest wasze.

Słońce zaszło, szybko zapadł zmrok. Jej drobna blada twarz majaczyła w ciemności jak porcelanowy bibelot. Ginko stała z zamkniętymi oczami, w głowie czuła pustkę. Nie mogła ani uciec, ani się obronić, lecz napastnicy spoglądali na siebie pytająco i już nie byli tacy zuchwali.

- Czy to jest pewne? - przerwał milczenie wąsacz, najwidoczniej będący ich przywódcą. - Nie pomyłka?

Ginko energicznie pokręciła głową.

Wąsacz dał pozostałym znak oczami.

- No to dziś cię puścimy - warknął grubym głosem.

Ginko powoli otworzyła oczy. Tamci patrzyli na nią, jakby ją zobaczyli po raz pierwszy. Noc już zapadła na dobre i przyniosła zapach morw.

- Dziwka - splunął, odwrócił się i ruszył przed siebie.

Pozostali dwaj poszli za nim. Ich niewyraźne sylwetki po chwili zniknęły w mroku.

Ginko osunęła się na ziemię - nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Widoczny na zachodzie żółty księżyc świecił coraz mocniej. Siedziała w denerwującej ciszy, nie czując ani nienawiści, ani złości. Po policzkach płynęły jej łzy.

O tym, co się stało, nie powiedziała rektorowi, nie zawiadomiła policji. Sama się zdecydowała na studiowanie z mężczyznami, co od początku można było uznać za rzecz niebezpieczną, a i chodzenie wieczorami ścieżką na odludziu nie było dobrym pomysłem. Kobiety miały siedzieć w domu, a świat zewnętrzny był odpowiedni dla mężczyzn. Każda próba ukarania zbirów tylko by zaszkodziła jej opinii, a nawet mogłaby jej przeszkodzić w dalszym studiowaniu medycyny.

Obawy Ginko były nie bezpodstawne. Kilka lat później, około roku 1887, prywatne szkoły medyczne zaczęły nieformalnie zezwalać kobietom na udział w zajęciach, nie stawiając im takich przeszkód, jakie musiała pokonać ona. Jednak przyjęto wtedy tylko kilka kobiet. I chociaż były to szkoły medyczne, burzliwy okres odrodzenia Meiji jeszcze nie minął i wciąż panowała w nich niebezpieczna atmosfera. By ją znieść, trzeba było nadzwyczajnej siły woli i mocnych nerwów, czemu większość kobiet nie potrafiła sprostać. Wpadały w rozstrój nerwowy i rezygnowały.

Nawet w Akademii Saisei, która w 1895 roku miała najwięcej studentek, wciąż pojawiały się problemy z dyscypliną moralną.

Gdy jeden z incydentów zakończył się sprawą sądową, wszystkie studentki zmuszono do odejścia. Zaciekle boje o prawo kobiet do studiowania medycyny trwały aż do roku 1900, kiedy Yayoi Yoshioka założyła Tokijską Szkołę Medyczną dla Kobiet. Ginko, która toczyła swą walkę samotnie i dwadzieścia lat wcześniej, prawie nie miała szans na zwycięstwo.

Dwa dni nie wychodziła z domu, zbierając siły na powrót do szkoły. Z powodu strachu, jaki czuła tamtego wieczoru, i zapadających ciemności nie pamiętała dokładnie napastników i w szkole nie potrafiła ich rozpoznać z całkowitą pewnością. Przypuszczała, że mogą należeć do grupy narwańców, którzy siedzieli po prawej stronie, a przerwy spędzali na krytykowaniu i obrzucaniu błotem nowego rządu. Czuła, że ją obserwują. Rzucali jej ukradkowe spojrzenia, ale tego z sumiastymi wąsami, którego pamiętała najlepiej, wśród nich nie było. Wiedziała, że co roku od dwudziestu do trzydziestu procent studentów rezygnuje, i się zastanawiała, czy napaść na nią nie była jego pożegnalnym wyczynem.

Robiła wszystko, by nie okazywać braku pewności siebie. Ilekroć przypominała sobie tamto wydarzenie, ogarniała ją wściekłość i czuła wstyd, ale nie miała wątpliwości, że bez względu na to, jakie plotki będą tamci rozpowiadać, jej nieugięta postawa zada im kłam. Wiedziała, że musi ich ignorować.

Ze wszystkich sił starała się myśleć o tamtym jak o klęsce żywiołowej, trąbie powietrznej, na którą akurat natrafiła; przekonać samą siebie, że nie ona ją wywołała. Ciało skalane przez jednego mężczyznę inni chcieli wykorzystać. To ciało, którego nienawidziła, wciąż przyciągało mężczyzn. Z jej punktu widzenia mężczyźni nie różnili się od zwierząt, a stratą czasu byłoby myślenie o wszystkim, co robią głupie zwierzęta. Chciała wypluć odrażające cechy mężczyzn niczym piasek wyczuty w ustach, rzucić je im w twarz, lecz nie mogła tego zrobić.

Przypominała sobie pobyt w szpitalu Juntendo, jakby strona po stronie oglądała książkę z obrazkami. Wstyd, jaki tam czuła, był nieporównywalny z niczym, co dotychczas przeżyła. Na tym tle wszelkie inne problemy wydawały się mało znaczące, zwyczajne, jak wyblakły szklany paciorek, który przestał się liczyć, utraciwszy barwę.

Dziesięć dni później poszła w odwiedziny do Yorikuniego. Ilekroć

nachodziły ją czarne myśli, pojawiała się jej przed oczami jego okrągła, dobra twarz. Nigdy jej nie zawiódł. Czowała, że gdyby teraz zmieniła zdanie i oznajmiła, że za niego wyjdzie, natychmiast by się z nią ożenił.

Ginko nie miała jednak takiego zamiaru. Był nauczycielem i myślała o nim jak o dobrym ojcu albo starszym bracie. Wiedziała jednak, że w ciężkich chwilach mogłaby szukać ratunku w jego ramionach. Nie zamierzała tego robić, lecz świadomość, że może, była pocieszająca. Yorikuni był dla Ginko jak bezpieczny port, w którym można się schronić przed sztormem.

Zbliżając się znajomą drogą do domu Yorikuniego, zobaczyła gęsty żywopłot otaczający ogród. Był starannie przycięty. To coś niezwykłego - pomyślała, pamiętając, jak małą wagę zwykle przywiązywał do jego wyglądu. Niemal tanecznym krokiem weszła na stopnie prowadzące do ogrodu.

- Dzień dobry! Czy jest tam ktoś?

*A może powinnam wejść po cichu i zrobić mu niespodziankę?* W myślach ujrzała, jak na jego twarzy przypominającej księżyc pojawia się uśmiech zadowolenia.

- Dzień dobry! - zawołała jeszcze raz i nagle się zatrzymała. Na progu, zamiast wielkich *geta* Yorikuniego, stały ładne sandały z czerwonymi paskami.

Wstrzymała oddech i uważnie się rozejrzała. Na szafce na buty stała kompozycja z żonkili. Ze stojaka na parasole wystawała wysmukła papierowa parasolka. Wystarczył rzut oka, by było wiadomo, że damska.

- Już idę!

Nim Ginko zdecydowała się, co robić, z domu dobiegł ją odgłos zbliżających się kroków.

- Dzień dobry, pani Ginko! Dawno pani tu nie było.

Ginko już chciała odwrócić się na pięcie i uciec, lecz na widok starej

gosposi się powstrzymała.

- Proszę wejść. Profesor Inoue powinien niedługo wrócić.

- Pani Ise, czy jest tu jeszcze jakiś gość? - Ginko spojrzała na sandały.

- Och, to pani nic nie wie? On sobie znalazł żonę.

- Ożenił się?

- Trzy miesiące temu. Jest od niego o piętnaście lat młodsza i wygląda jak laleczka.

Oślupiała Ginko nie wiedziała, co powiedzieć.

- Zaraz ją zawołam. Jak to miło, że wreszcie będziecie się mogły poznać.

- Chwileczkę! - Ginko powstrzymała Ise, która już zdążyła szybkim krokiem w głąb domu. - Proszę jej nie przeszkadzać.

- Ale skoro pani przyszła...

- Przyjdę jeszcze raz później.

- Ale to potrwa tylko chwilę.

- Nie. Tak będzie lepiej.

Żegnana zdziwionym spojrzeniem gosposi, Ginko pospiesznie zamknęła drzwi i pobiegła do bramy. Nie namyślając się, od razu poszła do Ogie.

- Co ty tu robisz w środku dnia?

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, Ginko od razu rozpoczęła szczegółową opowieść o prostactwie i nieprzemyślanym postępowaniu Yorikuniego Inoue.

Największa sala w Kojuin mogła pomieścić na miejscach siedzących najwyżej pięćdziesiąt osób, a w szkole było prawie stu studentów. Niektórzy nie przychodzili na wykłady albo dzielono ich na dwie grupy, lecz na seminariach praktycznych, które zdarzały się rzadko, tłoczyli się wszyscy razem.

Podczas seminariów studenci omawiali stan pacjentów przydzielonych im do zbadania. Pod koniec września przyszła kolej na Ginko. Jej pacjent, krępy pięćdziesięciodwulatek, będący podobno sekretarzem sędziego w szogunacie, miał na prawym ramieniu nad łokciem ranę wielkości jabłka granatu. Sączyło się z niej tyle ropy, że opatrunki trzeba było zmieniać trzy razy dziennie. Bez temblaka ręka zwisała bezwładnie. Wyglądało to na gnijącą dawno złamaną kość.

Ranę odniósł przed piętnastu laty, ale ślady po obu stronach ręki wciąż świadczyły o tym, że został postrzelony i pocisk przeszedł na wylot. On jednak zdecydowanie twierdził, że spadł z dachu. Jeśli nawet kiedyś się wplątał w zakazaną wówczas działalność polityczną, po tylu latach nie groziła mu kara ani potępienie, mimo to uparcie obstawał przy swojej wersji wydarzeń. Ranę zaleczono, ale niedawno się odnowiła.

Ginko widziała już tego człowieka, bo w jej obecności badał go profesor. Kilka dni przed swą praktyką kliniczną uczyła się budowy ręki z podręcznika anatomii Stromeyera i podręcznika chirurgii Celsiusa. Mając prawie pewność, że dobrze poznała jego przypadek, w przeddzień seminarium poszła do sali, w której leżał.

- Nazywam się Ginko Ogino. Jestem studentką medycyny. Jutro na zajęciach praktycznych rozpocznę pana leczenie, więc przyszedłam, żeby pana zbadać. - Ginko zwracała się do niego najuprzejmiej, jak potrafiła, lecz on odwrócił się twarzą do ściany i nie reagował. - Muszę pana zbadać, żeby zdążyć zaplanować leczenie na jutro. Proszę mnie zrozumieć.

Tym razem zareagował.

- Nic tu po kobiecie - burknął.

Pozostali pacjenci wpatrywali się w Ginko podejrzliwie.

- Zostałam odpowiednio przeszkolona, na podstawie tych samych materiałów co wszyscy inni. To, że jestem kobietą, nie ma znaczenia.



Chciałabym rozpocząć badanie, jeśli można.

Jeszcze raz skłoniła głowę z szacunkiem, lecz mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru ustąpić. Użyła więc koronnego argumentu:

- Jestem tu na polecenie rektora. Kazał mi pana zbadać i zdać sobie sprawozdanie. - Mówiła dźwięcznym, miłym głosem.

Mężczyzna pokręcił głową, na której wciąż nosił samurajski kok.

- Rektor czy ktokolwiek, wszystko jedno. Są rzeczy, których oczy kobiety nie powinny oglądać - warknął z niechęcią.

- Ale pan jest pacjentem tego szpitala.

- Może teraz wyglądam źle, lecz pochodzę z rodu samurajów. Gdyby wyszło na jaw, że badała mnie kobieta, straciłbym twarz przed przodkami. Nie dam się zmusić, prędzej rozetnę sobie brzuch. Wtedy będziesz mogła mnie badać do woli.

Zrobił ruch, jakby sięgał po miecz ukryty pod łóżkiem. Ginko westchnęła. Nie wiedziała, w jaki sposób mogłaby go zbadać. Pomyślała, że może powinna się zwrócić bezpośrednio do rektora, ale to by było równoznaczne z przyznaniem racji tym, którzy twierdzili, że kobiety z natury nie nadają się do zawodu lekarza, i mogłoby zostać wykorzystane jako pretekst do zakazania jej uczęszczania na wykłady, a wtedy straciłaby wszystko. Doszła jednak do wniosku, że gdy pacjent jest tak poruszony, dalszy nacisk nic nie da, i wyszła z sali.

Stała przy oknie i zaczęła się zastanawiać, co zrobić. Wpadła na pomysł, że może uda się go udobruchać prezentem. Wyszła ze szpitala, w najbliższej cukierni kupiła trochę ciastek ze słodką masą fasolową i wróciła do sali, w której leżał jej pacjent.

- Chciałabym jeszcze raz poprosić pana o zrozumienie. Na pewno jest kilka rzeczy, których pan nie aprobuje, ale zrobię, co w mojej mocy, żeby ich uniknąć. Proszę więc, żeby pan zechciał rozważyć możliwość pozwolenia mi na przeprowadzenie badania.

Pochyliła głowę i podała mu pudełko z jeszcze ciepłymi ciastkami. To było całkowite odwrócenie tradycyjnego stosunku między lekarzem a pacjentem, lecz ona ani się nie wstydziła, ani nie zamierzała się wywyższać. Może nie ma w tym godności, ale to przecież nic wielkiego - pomyślała, czekając z pochyloną głową.

- O nic więcej nie proszę. - Skłoniła głowę jeszcze niżej.

- Zostaw mnie, głupia kobieto! - krzyknął mężczyzna i rzucił jej ciastka pod nogi. - Powiedziałem, że nie, to nie. Daj mi spokój!

Pobladł z gniewu, lecz twarz Ginko była jeszcze bledsza. Spojrzała na ciastka leżące na podłodze i ledwie powstrzymując złość, wyszła.

Po ostatnim popołudniowym wykładzie poszła do szpitalnej sali trzeci raz. Mężczyzna jadł kolację, posługując się zdrową ręką.

- Przyszłam jeszcze raz.

Seminarium było następnego dnia rano. Gdyby się jej nie udało uzyskać jego zgody na badanie tego wieczoru, nie zdołałaby się przygotować. Mężczyzna spojrzał na nią i się bez słowa odwrócił.

- Błagam pana. Proszę mi się pozwolić zbadać.

Żadnej reakcji.

- To nie jest coś, czego chcę tylko dla siebie. Chodzi także o rozwój zachodniej medycyny w Japonii. Pomijając kwestię płci, proszę mi pozwolić studiować.

Reszta pacjentów patrzyła na nią z widocznym zniecierpliwieniem.

- Kiedyś też byłam ciężko chora i leżałam w szpitalu. To był szpital Juntendo. To tam poznałam cierpienie pacjenta i przyrzekłam sobie, że zostanę lekarką. Przysięgam, że proszę nie tylko ze względu na siebie. Uważam, że w medycynie są dziedziny, w których również lekarki mogą zrobić wiele dobrego.

Ginko pochyliła się do przodu, oparłszy się rękami o jego łóżko, i prawie dotknęła czołem kłody.

- Badanie w imię rozwoju medycyny może równie dobrze przeprowadzić mężczyzna, jak i kobieta. Proszę mi się pozwolić zbadać.

Jeśliby się teraz nie zgodził, Ginko zamierzała siedzieć przy jego łóżku całą noc. Czekala, zgięta w pół. Mężczyzna jadł w milczeniu, odwrócony do niej plecami. Pozostali również milczeli. Po długim czasie zobaczyła kątem oka, że zmienił pozycję.

- Pokażę ci ranę. - Siedział na łóżku po turecku i przeszywał ją wzrokiem.

- Naprawdę?

Powoli kiwnął głową.

- Nie mogę odmówić komuś, kto okazuje taką determinację.

- Bardzo panu dziękuję!

- Ale - wyprostował nogi i spojrzał na sufit - nie pozwolę się kobiecie dotknąć ani by mi wydawała polecenia. To moja ostateczna decyzja.

Mogąc tylko patrzeć, Ginko nie była w stanie ocenić głębokości rany ani zasięgu zakażenia, a tym bardziej ruchomości stawów.

Wziąwszy pod uwagę, że miała do czynienia z byłym samurajem, na jeszcze większe ustępstwo z jego strony najprawdopodobniej nie mogła już jednak liczyć.

- Rozumiem. Trudno, to będzie mi musiało wystarczyć.

Mężczyzna, z poważną twarzą, zaczął odwijać bandaż.

Ginko doświadczyła w Kojuin wielu upokorzeń, ale zaczęła stopniowo przyzwyczajać się do tamtejszego życia, a nawet czerpać z niego przyjemność.

Nosząca się skromnie, z włosami zaczesanymi w kok, traktowana bezceremonialnie przez mężczyzn, umacniała swawolę zwycięstwa. Miewała jednak chwile zwątpienia, zastanawiała się, czy nie traci kobiecości. *Ale gdybym chciała mieć takie samo życie jak inni, jak oni*

*przeżywać miłość, nie byłabym w stanie osiągnąć tego, czego oni osiągnąć nie mogą. To, do czego dążę, różni się od pragnień zwykłych kobiet jak niebo i ziemia. Więc ma być, jak jest. Lecz czasem samotność mocno dawała jej się we znaki.*

Minął rok. Na drugim roku studenci Kojuin mieli zajęcia z medycyny klinicznej - interny i chirurgii. Uczyli się też anatomii człowieka, co przeważnie ograniczało się do wykładów na podstawie rysunków, bez sekcji zwłok. Brakowało nawet podręczników do anatomii. Czołowe szkoły medyczne miały jeden lub dwa najbardziej znane podręczniki obcych autorów, w Kojuin był jeden, ręcznie skopiowany przez doświadczonego grafika.

Ginko próbowała sobie wyobrazić wnętrze człowieka na podstawie czerwonych, żółtych i niebieskich linii na rysunkach przedstawiających organy leżące pod skórą.

*W pobliżu splotu słonecznego wisi łagodnie wygięty ku górze żołądek w kształcie haka. Łączy się on z dwunastnicą, która ma długość równą szerokości dwunastu palców. Ta przechodzi w jelito cienkie, którego liczne zwoje mają dwadzieścia, trzydzieści lub więcej stóp długości, a ono z kolei w jelito grube, wielokrotnie gwałtownie się zwężające, biegnące ku górze, w poprzek i w dół, gdzie przechodzi w odbytnicę kończącą się odbytem.*

Oglądanie samych tylko ilustracji, choć interesujące, bywało jednocześnie mylące. Jako studentka medycyny Ginko musiała zapamiętać każdy najdrobniejszy szczegół. W nocy stawała potajemnie przed lustrem i rysowała palcem na swym odbiciu wyimaginowane linie wyznaczające położenie organów wewnętrznych.

*Na lewo i prawo od tchawicy, okryte żebrami, znajdują się dwa płuca. Za lewym, jakby w ukryciu, jest serce, które ma wielkość pięści. Na prawo leży wątroba, o kształcie parasola. Po lewej stronie brzucha,*

*w pobliżu przepony, znajduje się śledziona. Niżej jest trzustka, po lewej i prawej dwie nerki o wielkości jajka, i zwoje jelita cienkiego. U kobiet, w środku podbrzusza, jest macica, która ma kształt kostki do gry na samisenie. Z macicy, jak gdyby ciągnąc ją w lewo i prawo ku górze, wychodzą jajowody, które prowadzą do jajników. Z przodu, przed macicą, leży pęcherz, który się łączy z cewką moczową, a ta prowadzi na zewnątrz.*

Ginko czarnym tuszem zaznaczała sobie na ciele położenie i wielkość poszczególnych organów. Tuszowe rysunki wkrótce pokryły całą jej bladą nagą postać. Każdy, kto by ją wtedy ujrzał, wziąłby ją za wariatkę.

- Żołądek, wątroba, nerki. - Głośno wymawiała te słowa i stojąc przed lustrem, patrzyła na odpowiednie miejsca na swym nagim ciele. W wyobraźni widziała na sobie ilustracje z książek, które czytała w dzień, i czuła się, jakby zaglądała sobie pod skórę, do wnętrza.

- Macica, pęcherz, cewka moczowa. - Ściszyła głos. - Atu wewnętrzna błona... - Spojrzała na swoje podbrzusze poważnym wzrokiem. - Jajowody w stanie zapalnym, zatkane z powodu infekcji, nie przepuszczą jajeczka z jajnika. A to oznacza trwałą bezpłodność.

Oczywiście wyobraźni widziała to jak na obrazku: stan zapalny pulsujący nienaturalną czerwienią, błękit oznaczający zbierającą się ropę, która zatyka jajowody.

- Bakterie się rozwijają, mnożą, rozpełzają. - Chwyciła pędzel i pomalowała sobie podbrzusze na czarno.

- Zbrukana, zbrukana, zbrukana!

Rzucając głową jak opętana, pokrywała tuszem ciało. Gdyby mogła, własnymi rękami zdarłaby z siebie skórę, wyrwała zakażone organy, otrząsnęła je z krwi i wyrzuciła.

- Tfu! - Wyczerpana, upadła przed lustrem.

Powoli się uspokoiła i opamiętała. W lustrze odbijało się kobiece ciało, które odkąd skończyła szesnaście lat, przez trzy lata dotykał mężczyzna. Teraz było pokryte czarnymi wzorami.

Choć wyobrażając sobie budowę człowieka, popadała w obłęd, bardzo chciała zobaczyć sekcję zwłok. Szanse na to były jednak niewielkie nawet w najlepszych szkołach medycznych. Ilekroć ogłaszano sekcję, salę wypełniali najślawniejsi ówczesni lekarze, więc dla kogoś takiego jak student małej szkoły w Kojuin zobaczenie sekcji było prawie niemożliwe.

- Codziennie umiera w Tokio sto osób, a my nie możemy dostać choćby jednych zwłok do sekcji. - Ginko zaprosiła Ogie do nowo otwartej pijalni mleka w Ueno. Podobał jej się zapach mleka, nie wiedzieć czemu kojarzący się jej z Zachodem, lecz największą przyjemność sprawiały jej białe ściany i wytworna atmosfera. - Ludzie są na ogół źle traktowani, niczym psy i koty, ale jak tylko ktoś umiera, jego ciało nagle zasługuje na wielki szacunek. Cóż za paradoks!

- Czy to nie dlatego, że każdy po śmierci może zostać Buddą?

- Dziwny sposób myślenia. Czy nie byłoby lepiej dobrze leczyć ludzi, dopóki żyją? To śmieszne.

- Łatwo tak powiedzieć, ale gdybyś umarła i ciało rozebrano by ci na części, nie byłabyś zadowolona, prawda? - Ogie nie potrafiła przyznać racji Ginko.

- Ale ja nie mam na myśli odcinania głów, rąk czy nóg. Chcę tylko zobaczyć, co jest w środku! Po zajrzeniu do środka i wyjęciu organów wewnętrznych nieboszczyków się starannie zaszywa i wyglądają jak przedtem.

- Więc ciało byłoby wypatroszone?

- Tak, jak przy preparowaniu zwierząt.

- Nie bardzo mi się podoba pomysł wypychania ludzi.

- Ale dzięki temu zwłoki są trwalsze. A po dwóch albo trzech dniach

i tak się je pali. Czy ciało zostanie wcześniej rozkrojone, czy nie, zawsze będzie można zabrać szczątki do domu.

Jeśli nawet było, jak powiedziała Ginko, Ogie nie mogła się zgodzić z jej praktycznym spojrzeniem na tę sprawę. Gdy przyjaciółka w ten sposób o tym mówiła, wydawała się jej innym człowiekiem.

- Potrzebne jest pozwolenie rządowe, żeby móc choć tknąć zmarłego palcem, a co dopiero, żeby go rozkroić podczas sekcji - ciągnęła Ginko. Ostrożnie podniosła filiżankę z mlekiem, odchyliwszy przy tym mały palec.

- Ale sekcja robiona przez lekarza jest dozwolona - odparła Ogie.

- To prawda. Żeby jednak móc dotknąć ciała najzwyczajszego zmarłego, i tak trzeba mieć zgodę rodziny i policji.

- No cóż, to oczywiste.

- Myślisz, że znalazłaby się choć jedna rodzina, która by się zgodziła na sekcję bliskiego człowieka?

- Nie przypuszczam.

- Więc nie mamy żadnych szans!

Przedmiotowy stosunek Ginko do innych ludzi był dla Ogie nieco odpychający, dlatego starała się przekonać przyjaciółkę, że jest to sprawa beznadziejna. Ginko jednak odstawiła pustą filiżankę i mówiła dalej.

- Medycyna zachodnia wyprzedza wschodnią, bo akceptuje sekcję zwłok. Uczenie się na pamięć starych nazw organów wewnętrznych z książek to strata czasu, skoro wystarczyłoby rozkroić zwłoki i na własne oczy zobaczyć wszystko, co trzeba wiedzieć. To jest fundament rozwoju medycyny zachodniej jako nauki.

Dla podkreślenia wagi swych słów podniecona Ginko miała zwyczaj machać rękami. Teraz na dokładkę uderzyła pięścią w stół. Widząc je obie, ubrane w spodnie *hakama*, z gładko zaczesanymi włosami, pogrążone w gorącej dyskusji w pijalni mleka, każdy by na pierwszy rzut

oka rozpoznał w nich uczone kobiety i nie byłby tym widokiem specjalnie zdziwiony. Nikomu by jednak nie przyszło do głowy, że dyskutują na temat sekcji zwłok.

- Przecież bywają zwłoki, po które nikt się nie zgłasza.

- Tak, oczywiście, lecz to też na nic. Bo w takim wypadku nie ma kto wyrazić zgody.

- Ciekawa logika.

- Urzędnicy to tępi służbiści!

- Pewnie masz rację, ale... - Ogie przypuszczała, że ofierze wypadku, której rodziny nie udało się odnaleźć, byłoby smutno znaleźć się nagle w rękach studentów medycyny. Ona sama, niezamężna i bezdzietna, nie mogłaby być pewna, czy jej to nie grozi. Prawdę mówiąc, to samo dotyczyło Ginko, lecz sądząc po tym, co mówiła, los własnego ciała po śmierci nic jej nie obchodził.

- Więc jedyna nadzieja, że ktoś za życia zapisze w testamencie swoje zwłoki medycynie - ciągnęła Ginko.

- Na przykład „Proszę przeprowadzić sekcję moich zwłok”?

- Właśnie. Aby medycyna mogła się rozwijać.

- Czy już się coś takiego zdarzyło?

- Tak, ale tylko raz.

- Były samuraj?

- Nie, oni są bezużyteczni! Muszą dbać o honor i dobre imię i zawsze znajdą jakąś wymówkę.

- To kto?

- prostytutka.

- Kobieta?

- Tak. Zmarła w sanatorium na gruźlicę. Podobno trzy dni przed śmiercią powiedziała, że ponieważ nigdy nie zrobiła dla świata niczego pożytecznego, chce, żeby wykorzystali jej ciało do sekcji.



- Biedaczka. - Ogie się wzruszyła.

- To był wyjątkowy przypadek.

- Rzeczywiście, chyba tak. - Ogie była pewna, że nigdy by się na coś takiego nie zdobyła.

- W tej sytuacji prawdopodobnie nie uda mi się zobaczyć sekcji zwłok w Kojuin.

- Słyszałam, że od czasu do czasu robią sekcje w Daigaku Higashiko. Skąd biorą zwłoki?

- Z egzekucji.

- Skazanych na karę śmierci?

- Tak. Jeśli nikt nie odbiera zwłok, władze się ich pozbywają, wystawiając je na sprzedaż. Stąd ma je uniwersytet.

- Pozbywają? - Ginko mówiła o tym rzeczowo, sucho. Przed Kojuin była inna. Czyżby rok studiów medycznych aż tak ją zmienił? Dla Ogie było to denerwujące.

- A ja mam pomysł. Tylko to tajemnica.

- Co wymyśliłaś?

- Nie powiesz nikomu?

- Oczywiście.

Ginko przysunęła się do Ogie tak blisko, że niewiele brakowało, a by się stuknęły czołami.

- Potrzebuję trochę ludzkich kości. - Rozejrzała się szybko wokół. - Mam zamiar je przywieźć z miejsca straceń w Kozukapparze.

- Z Kozukappary?

- Cii! Nie tak głośno. - Ginko przyłożyła sobie palec do ust, ale oczy jej się śmiały. - Podobno kości leżą tam na wierzchu. Wiem, że na myśl o kościach większość ludzi się wzdryga, ale dla nas są cenniejsze niż złoto, a tam się marnują.

Ogie zaniemówiła.

- Pytaliśmy w świątyni Ekoin, czyby nie mogli dać nam trochę swoich kości, ale odmówili, więc...

- Mówisz poważnie? - spytała Ogie zachrypniętym głosem.

- Pewnie! Jakżeby inaczej?

W Kozukapparze wykonywano egzekucje przez cały okres Edo. Gdy rząd Meiji zniósł karę śmierci przez ścięcie, przestała być wykorzystywana, ale kości straconych ludzi tam pozostały. Słowo Kozukappara wciąż wzbudzało przerażenie.

Tuż za otaczającym to miejsce niskim drewnianym płotem stał Jizo egzekucji, czyli kamienny pomnik buddyjskiego strażnika, który miał pocieszać dusze straconych tam więźniów. Na prawo od niego znajdowała się świątynia Ekoin. Mieszkający w niej kapłan co dzień modlił się za zmarłych. Teren był zaniedbany i porośnięty chwastami. W nocy ludzie omijali go z daleka, a i w dzień tylko nieliczni mieli odwagę się tam zapuścić.

Mogłoby się wydawać, że plan Ginko to żart, ale ona mówiła serio. Miesiąc później, pod koniec października, poprosiła o pomoc czterech innych studentów Kojuin. Naturalnie byli to mężczyźni.

Wybrała tych, którzy tak jak ona pasjonowali się medycyną, przychodzili na zajęcia przed czasem i zajmowali miejsca w pierwszym rzędzie.

Byli zaskoczeni, ale po namyśle wszyscy się zgodzili. Dla uniknięcia ryzyka Ginko nie chciała mieszać w to innych studentów, więc żeby omówić szczegóły planu, spotkała się z wybraną czwórką na polu za szkołą.

- Co będzie, jeśli nas złapią? - spytał nerwowo jeden z nich.

- Najważniejsza rzecz to zjednać sobie przychylność kapłana. Wtedy, jeśli nas spostrzeże, może przymknie oko. - Ginko patrzyła na nich po kolei. - Jutro pójdziemy do świątyni, żeby się pomodlić.

Zabierzcie trochę monet na ofiarę.

- Ale czy to się nie wyda podejrzanę? Nigdyśmy tam wcześniej nie byli.

- To wymyślmy sobie przyczynę. Na przykład możemy powiedzieć, że jest tam pochowany człowiek, którego ciało zostało kiedyś przekazane szkole medycznej i że przyszliśmy się modlić za jego duszę. Przy okazji możemy złożyć dużą ofiarę na świątynię.

- Dobra myśl - stwierdził jeden, a pozostali przytaknęli. Ginko była pomysłodawczynią, więc co do szczegółów też się z nią zgadzali.

- I będziemy mogli za dnia poznać rozkład terenu. - Jasne. Co potem?

- Spotkamy się jutro o ósmej wieczorem przed targowiskiem Ryusenji. Kości będziemy musieli nieść na ramionach, w workach zawieszonych na kijach. Nie możemy tak iść całą drogę, więc w Imado wynajmiemy łódź i dopłyniemy do mostu Izumibashi w Shitayi.

Ginko rozłożyła mapę, którą przyniosła ze sobą, i pokazała im trasę. Z nieco głupimi minami patrzyli to na mapę, to na nią.

- Na miejscu straceń jeden z was stanie na straży przy głównej bramie, ja będę obserwować świątynię, a reszta będzie kopać. Jeśli ktoś nadejdzie, uciekamy. Spotkamy się w Imado.

Mężczyźni popatrzyli na siebie i w milczeniu skinęli głowami. Byli jak banda złodziei z Ginko na czele.

- A jak nas złapią? - Pytał największy. Głos miał niepewny. Wszyscy byli młodzi i oczywiście nigdy wcześniej nie robili takich rzeczy. Ginko zresztą też nie. - Na pewno nas ot tak nie wypuszczą.

Żadne z nich nie wiedziało, jaka jest kara za kradzież kości. Gdyby nawet prawo okazało się łaskawe, najprawdopodobniej wydalono by ich ze szkoły.

- To za duże ryzyko.

- Nie ma się co tym teraz martwić. Złapią, to złapią, jakoś sobie wtedy poradzimy - odparła Ginko rezolutnie. - Jeśli tak się stanie, powiemy im prawdę - że jesteśmy studentami medycyny i tylko chcieliśmy się nauczyć budowy kości. Może dadzą nam nauczkę, ale jestem pewna, że nas nie zabiją.

- Oczywiście, że nie - pospiesznie przytaknął największy.

- A poza tym, jeśli już, to mnie złapią pierwszą.

To ich wreszcie uspokoiło. Odetchnęli i zaczęli chichotać.

Następnego dnia wyruszyli w piątkę do świątyni Ekoin. Jeden z nich, nazwiskiem Hashimoto, najbardziej wyglądający na poważnego, pilnego studenta, poszedł uprzedzić o ich przybyciu kapłana, ten zaś, bez cienia podejrzliwości, zaprowadził ich do stojącego za świątynią kamiennego posągu.

- Tutaj są zakopane kości tych, po których zwłoki nikt się zgłosił - powiedział i wyjaśnił, że oprócz przestępców, wśród więźniów były również ofiary zmieniających się czasów. Obok bezwzględnych, bezlitosnych bandytów, morderców i mężów bijących żony leżeli tam więc także przeciwni ówczesnym władzom żarliwi patrioci. W postaci kości wszyscy byli jednak warci tyle samo.

Kapłan, w dobrym nastroju, być może dzięki ich ofierze dla świątyni, odczytał przed pomnikiem szczególnie długą sutrę. Stojąc za nim z pochylonymi głowami, studenci rozglądali się ukradkiem po terenie. Pomnik był to duży kamień z wyrytym napisem „Grób bezimiennych”. Czarną ziemię wokół kamienia porastało zielsko. Teren był miejscami podmokły. Wykopanie sterty kości z pewnością nie zabrałoby dużo czasu.

O ósmej wieczorem, uzbrojeni w grabie, motyki i kije, zebrali się przed sanktuarium Otori i wyruszyli do Imado. Wyglądali jak grupa rolników, lecz czuli się niczym samuraje wyruszający w bój. Szli w

milczeniu. Niebo było zasnuwane chmurami, lecz bliżej Imado zaczął je rozpędzać zimny jesienny wiatr. Gdy dotarli do Kozukappary, wzeszedł księżyc i zalał okolice świątyni niebieskawobiałą poświatą.

Skuleni, przeciskając się przez gęstwą zielsk, szli naprzód. Zbliżali się do niskiego, krzywego płotu. Za nim było widać rzędy patyków, którymi zaznaczono groby. Białe w blasku księżycy, wyglądały jak uschnięte drzewa. Dalej widniała świątynia Ekoin, w której jaśniało pojedyncze światełko. Wiatr przybrał na sile, pod ich stopami cicho szeleściły zwiędłe liście. Słyszeli brzęczenie i cykanie owadów, z oddali dobiegało szczekanie psów.

Piątka intruzów o bladych, pełnych determinacji twarzach zatrzymała się pod płotem. Popatrzyli na siebie i zaczęli przechodzić na drugą stronę - najpierw jeden z mężczyzn, potem Ginko, za nią pozostała trójka. Przed nimi leżało miejsce straceń, tak samo zarośnięte chwastami jak reszta terenu. Wcześniej zapamiętali, że aby trafić do pomnika, powinni od rosnącego tam miłorzębu iść w prawo. Między niskimi drzewami migotało w oddali światełko. Ruszyli gęsiego wąską ścieżką. Wokół nich pojawiały się i znikwały drewniane tabliczki nagrobne. Była to scena jak z właśnie trwającego końca świata.

Doszli już prawie do miłorzębu, gdy nagle rozległo się warczenie, a potem głośnie szczekanie.

- Och! Psy! - Idący na przedzie cofnął się, przerażony, i przewrócił.

Spokój sprzed kilku chwil prysnął. Szczekanie się zbliżało. Psy jakby na nich czekały.

- Uciekajmy!

Co sił w nogach rozbiegli się w różne strony. Wszystko, co Ginko później z tej ucieczki pamiętała, to była sylwetka wielkiego psa, który pędził szybko jak wiatr.

Kiedy znów się spotkali w umówionym miejscu koło zbiornika wody

na południe od Kozukappary, byli tak zdyszani, że nie mogli mówić. Dwaj studenci mieli spodnie w strzępach, trzeciego pies ugryzł w siedzenie. Ginko i czwarty student nie ucierpieli. Wszyscy byli aż do pasa ubłoceni i mokrzy od porannej rosy.

Wrócili pospiesznie do domu, lecz Ginko nie skapitulowała. Wprawdzie mężczyźni mieli już Kozukappary powyżej uszu, ale nie mogli przecież być gorsi do kobiety.

- Zabierzemy ze sobą trochę ryb, żeby psy były zadowolone. Jeśli nie będą szczekać, poradzimy sobie. Nikt z Ekoin nie wyszedł, żeby sprawdzić, co się dzieje, prawda?

Kości były kusząco łatwo dostępne i Ginko nie potrafiła spisać ich na straty. Zachęcenii jej entuzjazmem, mężczyźni przystali na nowy plan. Oprócz obserwatora i kopaczy wyznaczyli spośród siebie osobę odpowiedzialną za psy, która miała rzucać im jedzenie.

Pochmurna noc groziła w każdej chwili deszczem. Tym razem udało im się odwrócić uwagę psów, więc kopali jak szaleni. Każde uderzenie motyki coś odsłaniało. Co chwila wyciągali z ziemi to bielejącą w ciemności czaszkę, to jakąś kość ramienia bądź nogi. Wyprawa zakończyła się sukcesem - zebrali dwa pełne worki i z Imado wrócili do mostu Izumibashi. O brzasku wszyscy byli w swoich domach.

Na drugi dzień, kiedy umyli kości, okazało się, że większość jest przegniła i tylko nieliczne mogą być przydatne do ich celów. W każdym razie były autentyczne. Ginko dopasowywała kawałki, skrupulatnie je porównywała, oglądała ze wszystkich stron, szkicowała. Po raz pierwszy czuła kształt i ciężar ludzkich kości.

„Żeby się nauczyć medycyny, nie wystarczą tylko studia”, mawiała czasem w późniejszych latach z nutą dumy w głosie.

Dotknąwszy ludzkich kości, Ginko nabrała jeszcze większej chęci do nauki, lecz wciąż miała jeden i ten sam kłopot. Chodziło oczywiście o

pieniądze. Szkoła za wszystko kazała sobie płacić. Samo chesne było sześciokrotnie większe niż w Tokijskiej Szkole Normalnej dla Kobiet. Jako kobieta nie miała prawa do taniego miejsca w akademiku. Studenci prywatnych uczelni nie dostawali stypendiów. Na dodatek dużo kosztowały podręczniki.

Najwyżej cenione w tamtych czasach były podręczniki obcojęzyczne: „Nauki ścisłe” Handenburga, „Chemia” Wagenera, „Anatomia i schematy anatomiczne” Bocka i „Chirurgia” Stromejera. Większość była napisana po niemiecku i przetłumaczona na holenderski. Studenci potrzebowali też różnojęzycznych słowników oraz „Słownika terminów technicznych” Kramera.

Kłopot Ginko można lepiej zrozumieć, poznawszy historię Guntara Kimury, badacza kultury Zachodu. Kiedy jego dom zniszczyło trzęsienie ziemi, jedyną wartościową rzeczą, jaka mu została, był słownik Kramera. Za pieniądze uzyskane z jego sprzedaży zbudował sobie nowy dom. Takie ceny osiągały podręczniki do medycyny i słowniki. Oczywiście książki tego rodzaju były poza zasięgiem Ginko, która musiała czekać cierpliwie na swoją kolej, by móc przepisać kilka tomów w szkolnej bibliotece.

Chociaż Ginko dawno skończyła Tokijską Szkołę Normalną dla Kobiet, nadal dostawała od swej starszej siostry Tomoko trzy jeny miesięcznie. Tomoko nigdy nie przypominała choćby jednym słowem, że jej pierwotna obietnica dotyczyła znacznie krótszego okresu. Jednak trzy jeny zaspokajały finansowe potrzeby Ginko tylko w niewielkim stopniu. Chesne za pierwszy semestr wynosiło w Kojuin jeden jen i trzydzieści senów, a do tego dochodziło pięćdziesiąt senów opłaty miesięcznie za mikroskopy i doświadczenia. Oprócz tego Ginko płaciła trzy albo cztery jeny miesięcznie za kwaterę. W rezultacie w pierwszym semestrze wydawała siedem bądź osiem jenów na miesiąc, w drugim zaś suma ta wzrosła do dziesięciu jenów.

W tej sytuacji nie mogłaby kontynuować studiów. Po długim namyśle poszła więc do Ogie i poprosiła ją, żeby poszukała dla niej posady prywatnej nauczycielki. Nie była pewna, czy sobie poradzi jednocześnie z pracą i studiami, ale nie miała innego wyjścia.

Nim minął miesiąc, Ogie znalazła jej trzy uczennice.

- Wszystkie pochodzą z szanowanych rodzin i to są świetne miejsca dla prywatnej nauczycielki. - Dwie wizyty tygodniowo w każdym z trzech domów zaspokoilyby finansowe potrzeby Ginko. - Głową rodziny Maedów jest sekretarz w Ministerstwie Rolnictwa i Handlu, pan Takashima to właściciel największej japońskiej firmy importowo-eksportowej, a pan Arakawa jest wykładowcą w Szkole Marynarki Wojennej.

- Naprawdę myślisz, że się zgodzą na kogoś takiego jak ja? - Ginko te znakomite nazwiska przeraziły.

- Nie jesteś spekulanką ani podżegaczką wojenną. Będiesz uczyć przedmiotów akademickich. A w tej dziedzinie nie masz sobie równych, więc postaraj się o więcej pewności siebie. - Ogie była jak zwykle pełna werwy. - Dobrze się też składa, że jesteś córką najważniejszej rodziny w Tawarase.

- Co masz na myśli?

- To, że twoje pochodzenie ułatwi im podjęcie decyzji o zatrudnieniu cię.

- Na pewno nie! - Pochodzenie nie miało związku z jej wykształceniem. Nienawidziła Tawarase i nie chciała o nim pamiętać.

- Jak na razie tak działa społeczeństwo. Dobre pochodzenie może być przydatne i nie zaszkodzi się nim posłużyć. - Ogie powiedziała to z taką pewnością, że Ginko nie potrafiła się jej przeciwstawić.

- Ta praca bardzo mi pomoże.

- Ale czy twoje zdrowie to wytrzyma? Jeden dom jest w Hongo,



drugi w Honjo, a trzeci w Azabu.

- Nic mi nie będzie. Lubię chodzić po mieście.

- Ale to dość daleko, ponad dwie mile, i będziesz musiała chodzić bez względu na pogodę.

- Chcę spróbować. - Perspektywa zarabiania na utrzymanie natychmiast poprawiła jej nastrój.

Z trzech domów największy miał Takashima, jak przystało na bogatego kupca. Takashima prowadził wcześniej rozległe interesy i był znanym człowiekiem, lecz kiedy Ginko go poznała, zbliżał się do pięćdziesiątki i przekazywał firmę synowi. Sam poświęcił się przepowiadaniu przyszłości, pod pseudonimem Donsho.

Ginko wędrowała po mieście w kimonie i drewnianych *geta*, które nie były wygodnym obuwiem na dalekie trasy. Choć zignorowała uwagę Ogie o pogodzie, deszczowe dni faktycznie dawały jej się we znaki.

Po powrocie do domu często była zbyt zmęczona, żeby zajrzeć do podręczników, i kładła się spać. Budziła się jednak w środku nocy, zwyczajem nabytym jeszcze w Tokijskiej Szkole Normalnej dla Kobiet, gdzie się uczyła w szafie przy świetle lampki. Teraz jednak, przekroczywszy dwadzieścia pięć lat, nie była już taka wytrzymała. Zapał do nauki miała jak pięć lat wcześniej, lecz czasem, choć zamierzała uczyć się do rana, zasypiała przy biurku przed świtem.

Przy przepisywaniu podręcznika, który musiała szybko oddać, biła się po twarzy, żeby nie spać. Jeśli to nie skutkowało, moczyła ręcznik w zimnej wodzie, przykładając go sobie do twarzy i wracała do książki.

W związku z pracą w charakterze domowej nauczycielki musiała też rozwiązać problem przebierania się. Dla uniknięcia zainteresowania mężczyzn na zajęcia w Kojuin przychodziła bez makijażu, z włosami uczesnymi w kok i ubrana jak najprościej - w kimonie pod spodniami *hakama*. Do domów, w których uczyła, kobiecie nie wypadało jednak tak

chodzić. Strój studentek uważano za wyzywająco zachodni i pojawienie się w nim w kulturalnym towarzystwie mogło wywołać skandal. Jej pracodawcy mogliby się czuć obrażeni, a nawet zacząć się zastanawiać, czy zatrudnili właściwą osobę.

Kiedy więc Ginko szła ze szkoły do pracy, musiała mieć po drodze miejsce, w którym mogłaby się pozbyć spodni. W szkole wścibskie oczy mężczyzn śledziły każdy jej krok, na ulicy zdjęcie spodni nie mogła. Publicznych toalet nie było. Po namyśle zdecydowała się na gęstwinę na tyłach świątyni Yushima. Ukryta wśród drzew i krzaków, pośpiesznie zdejmowała spodnie i wpychała je do torby, po czym poprawiała kimono i włosy i szybko szła dalej. Tak było każdego dnia.

Gdy prawie nie musiała się już martwić finansami, pojawił się nowy problem. Kiedy zaczynała studia w Kojuin, od czasu do czasu czuła lekki ból w podbrzuszu. Na początku drugiego roku zdarzało się to już raz albo dwa razy w miesiącu i ból był silniejszy. Od lata, co miesiąc, gdy zbliżała się miesiączka i ból się nasilał, spędzała kilka dni w łóżku. Silniejsze też było krwawienie, uczucie ciężkości i brak energii. Choroba, której objawy na tak długo złagodniały, znów się zaostrzyła.

Badała sobie mocz. Był mętny i zawierał białko. Wyniki były jednoznaczne. Jej ciało słabło. Nadal jednak chodziła jak zwykle do szkoły i do pracy. W tajemnicy przyjmowała zrobiony przez siebie chiński lek z olejku sandałowego i mącznicy lekarskiej.

W czasie drugiego roku studiów, jesienią, Ginko dostała wysokiej gorączki i zasłabła. Nie wstawała z łóżka, trzy dni i trzy noce majaczyła. Uczucie gorąca i bolesne skurcze w podbrzuszu były takie same jak dawniej. Wiedziała, że w tym stanie, jedynie przyjmując lek, całkowicie nie wyzdrowieje.

*Szkoda, że nie mogę wrócić do Tawarase.* W niemal już zimowym chłdzie, leżąc samotnie w pokoju, śniła, że idzie brzegiem rzeki Tone i

spotyka matkę.

Trzeciego dnia rano, zlana potem, obudziła się bez gorączki. Po trzech kolejnych dniach wróciła do szkoły. Opuściła sześć dni zajęć. Schudła, wyglądała, jakby jej nagle przybyło lat. Postanowiła zrezygnować z posady nauczycielki w jednym z trzech domów.

Program studiów w Kojuin był trzyletni, lecz niektórzy studenci potrzebowali na ich ukończenie czterech, a nawet pięciu lat. Ginko została przyjęta w 1882 roku i mimo wszystkich trudności trzy lata później dostała dyplom. Jej problemy w najmniejszym stopniu nie odbiły się na ocenach - jak zwykle przodowała. Najważniejsze było mieć z czego żyć i pokonać kłopoty związane z jej statusem jedynej kobiety w szkole.

Utrzymanie się nie nastęrczało specjalnych trudności. Oszczędzała, żyła skromnie, a rodziny, u których uczyła, były z niej zadowolone. Nawet pan Takashima, który początkowo wydawał się nieprzystępny i nieprzyjazny, przekonał się do Ginko i popierał jej pragnienie zostania lekarzem.

Najważniejsze kłopoty wynikały z jej płci. Była jedyną kobietą w całkowicie męskiej szkole. Wprawdzie pewna część społeczeństwa znajdowała się pod wpływem kultury europejskiej, lecz nie miało to odbicia w życiu zwykłych ludzi. Aby zmienić skutki trzech stuleci konserwatywnego myślenia kultywowanego w epoce Tokugawów, trzeba było wielu lat. Trudności, jakie napotykała Ginko, nie różniły się od tych, z którymi musiały sobie radzić wszystkie inne współczesne pionierki, lecz w jej przypadku dyskryminację można nazwać czynnym prześladowaniem.

*To z powodu tamtego upokorzenia tutaj potrafiłam znieść wszystko.*

Idąc z dyplomem ukończenia Kojuin w ręku przez teraz dobrze już jej znaną dzielnicę Neribe, Ginko jeszcze raz przeżywała wstyd, jakiego

doznała podczas badań w szpitalu Juntendo. Czas mijał, lecz to wspomnienie się nie zatarło - przeciwnie, wracało z coraz większą siłą. Nie myślała już o tamtym okresie z nienawiścią, ale go nie zapomniała. Chciała, by wrył się jej w serce. Tamto upokorzenie poniekąd stało się jej bodźcem, zachętą do działania.

Była dumna z siebie i z tego, co osiągnęła. Jej walka jednak jeszcze się nie zakończyła. To był dopiero początek.

10.

Po ukończeniu Kojuin Ginko dalej pracowała jako nauczycielka i niecierpliwie czekała na pojawienie się szansy zdania egzaminu lekarskiego.

Dwudziestego trzeciego października 1883 roku Wielka Rada Stanu ogłosiła dekret wprowadzający nowy system wydawania zezwoleń na prowadzenie praktyki lekarskiej, z mocą od pierwszego stycznia 1884 roku. Od tego dnia każdy, kto chciał rozpocząć praktykę, musiał zdać egzamin państwowy. Zwolnieni z tego obowiązku byli absolwenci uniwersytetów medycznych - cesarskiego i poszczególnych prefektur - oraz lekarze mający zezwolenia wydane przez zagraniczne uczelnie medyczne, którzy mogli się ubiegać o ich uznanie po sprawdzeniu kwalifikacji.

Przed ukazaniem się dekretu zezwolenia na prowadzenie praktyki lekarskiej wydawały władze prefektur. Obecnie miało je wydawać Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Dzięki centralizacji ministerstwo mogło stworzyć państwowy rejestr lekarzy i podstawy nowoczesnego, ujednoliconego systemu licencjonowania. W 1906 roku system zreformowano - teraz egzamin musieli zdawać absolwenci wszystkich uczelni. Specjaliści medycyny Wschodu próbowali wprowadzić odrębny system licencjonowania, lecz ponieważ w centrum uwagi znalazła się medycyna zachodnia, ich energiczna kampania spełzła na niczym.

Kiedy Ginko skończyła szkołę medyczną, właśnie wchodził w życie pierwszy dekret. Nie dotyczyły jej żadne zwolnienia, więc musiałaby zdać egzamin - tylko że kobietom nie wolno było do niego przystępować.

Egzamin składał się z dwóch części; pierwsza odbywała się na wiosnę, druga kilka tygodni później, latem. Nie mając nic do stracenia, Ginko wysłała zgłoszenie. Jak się tego spodziewała, otrzymała szorstką odpowiedź odmowną z dopiskiem: „Brak precedensu, by kobieta dostała zezwolenie na prowadzenie praktyki medycznej”.

Rok później zgłosiła się ponownie i znów jej odmówiono.

W następnym roku złożyła zgłoszenie w rodzinnej prefekturze Saitama, załączając oficjalny list z opisem kwalifikacji i oświadczeniem, że pragnie zostać lekarką, by pomagać kobietom, które inaczej mogłyby unikać leczenia.

To zgłoszenie również zostało odrzucone. Czując, że zabrnęła w ślepią uliczkę, postanowiła pominąć urzędy prefekturalne i wysłała prośbę bezpośrednio do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Nieco wcześniej przeczytała w „Choya Shinbun”, że „dotychczas kobiety mogły być jedynie akuszerkami, ale obecnie rozważa się możliwość uzyskiwania przez te, które mają odpowiednie przygotowanie, po zdaniu wymaganych egzaminów, takich samych zezwoleń dla lekarzy i farmaceutów, jakie mogą uzyskać mężczyźni”.

Jednak prośba została potraktowana tak samo jak zgłoszenia: ministerstwo przysłało pismo z pieczęcią „Odmowa”. Dla Ginko było to jak wyrok śmierci. Cały szum na temat pędu kobiet do wiedzy i potencjalnych korzyści z ich kształcenia okazał się pustosłowiem. Nic się nie zmieniło.

Doszła do wniosku, że nie pozostaje jej nic innego, tylko iść do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i osobiście porozmawiać z urzędnikiem odpowiedzialnym za egzaminy. Łatwiej to było powiedzieć,

niż wykonać. Ówcześni urzędnicy w niczym nie przypominali dzisiejszych funkcjonariuszy służby cywilnej. Byli to niedawni samurajowie, którzy po prostu przyjęli tytuł urzędnika państwowego, ani na jotę nie zmieniawszy wyniosłego, aroganckiego sposobu sprawowania władzy.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych uchodziło za najpotężniejsze i najbardziej autorytarne ze wszystkich ministerstw. Dla zwykłego obywatela odstrasząca była sama panująca w nim przytłaczająca atmosfera. Ginko jednak poszła. Była przekonana, że lepiej podejmować jakieś działania, niż beczynnie siedzieć i czekać.

Ministerstwo mieściło się w Otemachi, niedaleko Pałacu Cesarskiego. Ministrem był Aritomo Yamagata, Biurem Zdrowia Publicznego kierował Sensai Nagayo. On też sprawował nadzór nad udzielaniem zezwoleń na prowadzenie praktyki medycznej.

Patrząc na budynek ministerstwa, którego pilnowali umundurowani strażnicy, Ginko poczuła, że trzęsą jej się nogi. Z lewej strony stały rzędem na wybrukowanym podjeździe powozy czekające w gotowości na wysokich ministerialnych urzędników, w drzwiach budynku pojawiali się i znikali brodaci mężczyźni w oficjalnych strojach. Wcześniej Ginko dwukrotnie rozmawiała z urzędnikami państwowymi: z Arinorim Morim, na temat jego romansu z jej przyjaciółką Shizuko, i z Tadanorim Ishiguro, któremu zaniósła list polecający od rektora Tokijskiej Szkoły Normalnej dla Kobiet, z prośbą o pomoc w znalezieniu miejsca w szkole medycznej. W obu wypadkach była u nich w domu. Teraz miała się po raz pierwszy znaleźć w budynku rządowym, a osoba, z którą chciała się spotkać, zajmowała dużo wyższe stanowisko niż tamci.

- Chciałabym się widzieć z kierownikiem Biura Zdrowia Publicznego.

- Co takiego? - Jeden z dwu strażników rejestrujących interesantów zlustrował ją od stóp do głów spojrzeniem, w którym nie było ani

odrobiny szacunku czy dobrego wychowania. Jeszcze nie słyszał, żeby kobieta prosiła o spotkanie z jakimś wysokim urzędnikiem. Nie miała nawet listu polecającego. - Po co?

- Przyszłam prosić go o poparcie w sprawie egzaminu na licencje dla lekarzy.

- Licencje dla lekarzy? - Strażnicy spojrzeli po sobie. Ich miny świadczyły o tym, że chyba kiedyś już o czymś takim słyszeli, ale nie mieli pojęcia, co to znaczy. W ich oczach widać było jednak przekonanie, że Ginko nie jest normalna.

- Jeśli ktoś chce się widzieć z kierownikiem Biura Zdrowia Publicznego, powinien się wcześniej umówić. Ale to człowiek nadzwyczajnie zajęty i nie ma czasu, żeby się spotykać z jakąś kobietą w sprawie bez znaczenia. Za kogo się masz?

Owa wyniosła próba odprawienia jej z kwitkiem zdenerwowała Ginko. Wiedziała, że to wariactwo, ale nie miała innego wyjścia.

- Zabiorę mu tylko chwilę.

- Żarcików ci się zachciewa. - Strażnik spojrział na nią pożądliwie i zrobił sprośny gest, sugerujący, że Ginko pewnie ma romans z kierownikiem biura.

- Nie przyszłam tutaj dla żartów. To poważna sprawa.

- A my mówimy, że jak taka poważna, to najpierw trzeba się umówić i potem przyjść drugi raz.

- W takim razie chciałabym, żebyście sprawdzili, czy mogę się z nim spotkać.

- Nie. Wyjdź stąd. Wracaj do domu.

Za dużo już zniosła, żeby się mogła po prostu wycofać.

- Jesteście zwykłymi strażnikami, prawda? Macie zapowiadać interesantów, którzy przychodzą do kierownika biura, nic więcej!

- A kim ty jesteś, że nam mówisz, co mamy robić? Nie

potrzebujemy, żeby nami dyrygowała jakaś baba! - Młodszy ze strażników poczerwieniał na twarzy. - Dość już tego obrażania nas! Wynoś się!

- Hola, hola! Co tu się dzieje? - Zza pleców Ginko niespodzianie rozległ się donośny głos.

Odwróciła się i ujrzała postawnego mężczyznę z długimi wąsami. Na oko nie miał jeszcze nawet trzydziestu lat, ale sądząc po stroju, musiał być w ministerstwie kimś ważnym. Zauważyła też, że natychmiast zmieniło się zachowanie strażników.

- Co robicie? Dlaczego krzyczycie na tę kobietę?

- No... no bo przyszła i chciała się wepchnąć nieumówiona, żeby się natychmiast zobaczyć z panem Nagayo - wyjaśnił starszy, w niebieskim mundurze z pojedynczymi złotymi galonami.

- W jakiej sprawie pani przyszła?

- Przyszedłam uprzejmie poprosić, żeby ministerstwo zechciało rozważyć możliwość zezwolenia kobietom na przystępowanie do egzaminu dającego uprawnienia do prowadzenia praktyki lekarskiej. - Może on zrozumie, pomyślała Ginko i ukloniła się z szacunkiem.

- I to pani chce do niego przystąpić?

- Tak.

- I potem leczyć?

- Tak jest.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem, klepiąc się z rozbawienia po policzkach, a strażnicy poszli w jego ślady. Ginko przeszła ich lodowatym spojrzeniem.

- Co w tym takiego śmiesznego?

- A pani to nie śmieszy? - Mężczyzna z trudem opanował wesołość. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Kobieta lekarzem!? Toż to śmiechu warte!

Ginko milczała.



- Więc jest pani zameężna?

- Nie.

- W takim razie samotna. I nie całkiem młoda. Nie byłoby lepiej zapomnieć o tym pomysle i wyjść za mąż? Jest pani przecież wystarczająco ładna, żeby znaleźć dobrego męża.

Ginko zagryzła wargi i spiorunowała go wzrokiem.

- Nie o tym przyszedłam tu rozmawiać. Chciałabym się widzieć z kierownikiem Biura Zdrowia Publicznego.

- Jeśli zamierza mu pani oznajmić, że chce zostać lekarzem, to od razu mówię, że to nie ma sensu.

- Dlaczego?

- Wystarczy pomyśleć. Kobiety zachodzą w ciążę. Będąc w ciąży, musiałyby zostawić pacjentów, a my nie możemy narażać pacjentów na tego rodzaju sytuację. W dodatku co miesiąc przez kilka dni kobiety są... nieczyste. Czyż nie? - Strażnicy zaczęli się głupio uśmiechać. - Prawda? - Ponowił pytanie.

Ginko nie mogła wykrztusić słowa. Stała otoczona przez mężczyzn, słuchając męskiej opinii o funkcjach kobiecego ciała. Tego już było za wiele.

- Poza tym egzamin jest trudny. Nie zdają go nawet bardzo inteligentni mężczyźni. Choćby dostała pani zgodę na przystąpienie, nigdy by go pani nie zdołała zdać. Zaoszczędzi sobie pani nerwów, rezygnując z tego pomysłu. Im wcześniej, tym lepiej.

- Chciałabym się widzieć z kierownikiem Biura Zdrowia Publicznego. - Nie wiedziała, kim jest ten człowiek, ale było jasne, że rozmowa z nim to strata czasu.

- Dziś go nie ma.

- Więc jutro.

- Niecierpliwość nic pani nie da. Przekażę mu, że przyszedła pani z

prośbą o poparcie. Nazywam się Noriyasu Hiraro, jestem naczelnikiem Oddziału Zapobiegania Chorobom.

Ginko jeszcze raz podniosła na niego oczy. Więc to ma być naczelnik oddziału? Nawet jego wąsy wyglądają jak teatralny rekwizyt - pomyślała z goryczą.

- Ale powtarzam - ciągnął - naprawdę powinna pani zrezygnować.

Nie miała no co czekać, mogła się spodziewać tylko następnych zniewag. Odwróciła się na pięcie i niemal biegiem ruszyła do wyjścia.

Gdy dotarła do domu, słońce chyliło się ku zachodowi. Nie zapalając lampy, usiadła przy biurku. Przez całą drogę powrotną dygotała z wściekłości, lecz teraz nie miała już siły się złościć. Zza okna słyszała głosy kobiet przygotowujących kolację w domach po drugiej stronie zaułka. Następny dzień dobiegł końca, dzień jak co dzień.

Listy nic nie dawały, wizyty osobiste też. Nie miała pojęcia, co dalej. Gdyby mogła jeszcze cokolwiek zrobić, zrobiłaby to bez względu na wszystko, lecz nie mając się do kogo zwrócić, czuła się bezsilna. Nie przypuszczała, że mury ministerstwa okażą się tak twarde. Nie spodziewała się aż takich trudności. Wiele lat później tak opisała swój ówczesny nastrój:

*Wysłałam zgłoszenie jeszcze raz i jeszcze raz zostało odrzucone. Nigdy w życiu nic mnie tak nie zdenerwowało i nie spodziewam się, żebym kiedyś miała przeżyć coś gorszego. Był początek jesieni, pora na zmianę odzieży na cieplejszą. Komu mam się poskarżyć, że moje ubrania są takie cienkie? W księżycowy wieczór weszłam na wzgórze i spojrzałam, udręczona, w dół, na dymy unoszące się z kuchennych kominów. Nie było nikogo, kto by mi zaofiarował choć jeden posiłek. Minęło dziesięć lat, od kiedy opuściłam rodzinny dom. Wędrowałam, cierpiałam do granic wytrzymałości, lecz społeczeństwo wciąż nie chciało mnie zaakceptować. Rodzina i przyjaciele się ode mnie odsunęli.*

*Chudłam, starzałam się i rozpaczałam. Nikt nie potrafił tego dostrzec?  
Czułam się jak skała pośrodku rzeki, zalewana przez fale i wiry.*

Dwa dni prawie nie wychodziła z pokoju. Niewiele jadła. Nie chciała nikogo widzieć, a jeśli już kogoś spotkała, nie miała siły, żeby się do niego odezwać.

Drugiego dnia wieczorem usłyszała ciężkie kroki na schodach, a potem walenie w drzwi.

- Pani Ogino! Pani Ogino! Czy pani śpi?

To był głos gospodyni. Znowu sprawdza, czy żyję - pomyślała Ginko.

- O co chodzi? - Półprzytomna, odwróciła głowę w stronę drzwi.

- Przyszedł telegram. Mogę wejść?

Już rozbudzona, pospiesznie narzuciła kimono i zapaliła lampę.

- Z Tawarase.

Serce ścisnęło jej złe przecucie. Dwanaście lat wcześniej, nocą, nadeszła wiadomość o śmierci ojca, również telegraficzna. Dobre wieści nie wymagają telegramów, lecz otwierając kopertę, modliła się, żeby to nie było nic złego. Jednak przecucie jej nie myliło.

„Matka w stanie krytycznym. Tomoko”. Przeczytała te słowa kilka razy, ale ich sens był oczywisty.

- Coś się stało? - Gospodyni patrzyła na Ginko, która ścisnęła telegram w dłoni i drżała jak osika.

- Moja matka... jest chora. - Telegram nie wzywał jej do domu. Tomoko najwidoczniej chciała pozostawić decyzję siostrze. I Ginko ją natychmiast podjęła. - Czy znajdzie się teraz gdzieś w pobliżu riksza?

- Już jest wpół do szóstej. - Gospodyni używała starego systemu; według nowego była dziewiąta wieczór.

- Czy mogłaby pani jednak poszukać? Cena nie ma znaczenia. Będę gotowa do wyjścia za pięć minut.

- Chce pani jechać do Tawarase?

- Tak, oczywiście.

- Ale jeśli pani wyruszy teraz, cała podróż odbędzie się w nocy! - Nocą nawet główne drogi były niebezpieczne, zwłaszcza dla samotnej kobiety. Riksza nie zapewniała bezpieczeństwa. Gospodyni patrzyła na Ginko z irytacją. - A jak się pani coś stanie? Nie lepiej pojechać jutro wczesnym rankiem?

- Niech się pani o mnie nie martwi. Proszę mi tylko znaleźć riksze.

Gospodyni niechętnie skinęła głową.

- Popytam. Może ktoś zechce pojechać tak daleko.

- Proszę się pospieszyć.

Gospodyni zbiegła po schodach. Ginko przeczytała telegram jeszcze raz. Jego treść nie pozostawiała wątpliwości.

Kilka chwil później była już w rikszy. Do Tawarase mieli dotrzeć dopiero rano. *Matka umiera*. Ginko wreszcie zmierzyła się z tą myślą. Przed dwoma miesiącami Tomoko napisała, że matka jest słaba i że zaczęły jej puchnąć dłonie i stopy, ale miała na myśli stan jeszcze sprzed trzech miesięcy, bo wtedy ją odwiedziła. Ginko nie wiedziała, czy później opuchlizna się nie powiększyła, co mogłoby świadczyć o dolegliwościach nerek albo serca. Gdyby to były nerki, mogła zapaść w śpiączkę nerkową, jeśli zaś niespodzianie zasłabła, to pewnie z powodu serca.

*Może to się nie stało nagle*. Gdyby to była choroba serca, nogi by jej spuchły bardziej niż ręce. Gdyby miała bardziej spuchnięte ręce, to prawdopodobnie z powodu nerek. Śpiączka po dwóch, trzech dniach mogłaby się cofnąć. *Może nie przyjadę za późno*. Ginko siedziała w trzęsącej się rikszy i przypominała sobie swą wiedzę medyczną. Oba przypadki były możliwe, możliwe było też coś całkiem innego.

Niebawem riksza przejechała przez wielki most nad Arakawą. Stamtąd jechali przez Urawę i Konosu do Kumagayi, gdzie skręcili na

wschód. Droga była prawie pusta. Nieliczni mijani ludzie z zaskoczeniem patrzyli na riksę pędzącą z miasta w stronę wsi.

Ginko kłębiły się w głowie niespokojne myśli. Czy był u matki lekarz? Rodziną Oginów zawsze opiekował się doktor Mannen, ale ten już dawno przeniósł się z Ogie do Tokio. Nie słyszała, żeby w tamtym rejonie byli jacyś inni znani lekarze oprócz kilku praktykujących staroświecką medycynę chińską. Poznawszy medycynę zachodnią, Gin nie miała zaufania do ich umiejętności.

Matka umiera - szepnęła do siebie, lecz wciąż nie potrafiła w to uwierzyć.

Kayo kończyła w tym roku pięćdziesiąt osiem lat. Ginko wiedziała, że śmierć kobiety w takim wieku to nic niezwykłego. Jednak nigdy jej nie przyszło do głowy, że matka może niedługo umrzeć. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że wcześniej czy później to się stanie, ale nigdy się tym specjalnie nie przejmowała. Najwyraźniej wciąż bardzo polegała na matce.

Ona naprawdę umrze - powiedziała głośno, ale natychmiast temu zaprzeczyła. Może jeszcze nie umrze. Musi żyć.

Przez okienko do rikszy zaglądał księżyc. Musieli już być w rejonie Ōmiyi. Światła domów pojawiały się teraz rzadko. Wiecznie zielone drzewa rzucały na drogę czarne cienie. W oddali niewyraźnie rysowały się pola. Rikszarz dyszał, jakby uciekał przed nocnymi duchami, popędzany dobiegającym zewsząd cykaniem owadów.

*Matko, nie umieraj, proszę.* Ginko złożyła dłonie jak do modlitwy.

Gdy minęli Ōmiyę, niebo zaczęło jaśnieć i pola stały się wyraźnie widoczne. Do Tawarase dotarli kilka minut po ósmej.

- Proszę skrócić w prawo, do tej dużej bramy.
- Tak jest. - Zasapany rikszarz wjechał w białą bramę.
- Dziękuję. Dalej nie trzeba.

Kiedy wysiadła z rikszy, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Na prawo od drzwi wisiała tablica z namalowanym białą farbą słowem „Żałoba”.

Wstrząśnięta, patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

- Nie zdążyliśmy, prawda? - odezwał się rikszarz ze współczuciem i otarł pot z twarzy. - Bardzo mi przykro.

Jego głos zabrzmiał, jakby dochodził z daleka i był skierowany do kogoś innego. Ginko na chwiejnych nogach poszła ku wejściu.

\*\*\*

Ciało Kayo, zgodnie ze zwyczajem z głową na poduszce skierowaną na północ, leżało w dużym pokoju na tyłach domu. Twarz miała zakrytą białą tkaniną, obok głowy paliły się kadzidło i świeca. Po obu stronach klęczeli Yasuhei i Tomoko.

- Gin! - Tomoko spostrzegła Ginko i wstała na powitanie.

- Matko! - Ginko padła na kolana. Pod białą tkaniną drobna twarz Kayo była blada i lekko opuchnięta, lecz nadal ładna i o regularnych rysach.

- Matko! - Ginko zalała się łzami. - Dlaczego musiałaś umrzeć, kiedy ja tak bardzo się starałam, żeby zdążyć przyjechać do ciebie na czas? - Ścisnęła matczyne ramiona, próbując ją objąć. Trzęsła się od płaczu. Kołysała sztywne, zmalale ciało matki i wołała ją raz po raz. Obecni w pokoju czekali w milczeniu.

Z twarzą mokrą od łez jeszcze raz spojrzała na matkę. Nie wyglądała na martwą. Sprawiała wrażenie, jakby się zdrzemnęła i miała się niedługo obudzić. Ginko zawołała ją jeszcze raz. Wiedziała, że to nic nie da, ale jednocześnie tliła się w niej nadzieja na cud.

- Pozwólmy matce odpoczywać. - Tomoko delikatnie wyjęła białą tkaninę z rąk siostry i przykryła twarz Kayo.

Dopiero teraz Ginko zauważyła, że w pokoju siedziało kilkoro

krewnych. Czowała na sobie ich spojrzenia. Złożyła dłonie i pogrążyła się w modlitwie.

- Kiedy odeszła? - Dopiero teraz poczuła, że może o to w miarę spokojnie zapytać.

- O godzinie tygrysa, tuż przed świtem - odparła Tomoko.

Godzina tygrysa oznaczała czwartą rano. Riksha mijała wtedy Ageo, a Ginko patrzyła na drogę połyskującą w błękitnawym świetle księżyca.

- Co jej było?

- Lekarz powiedział, że chorowała na nerki, prawda? - Tomoko spojrzała na Yasuhei, a on w milczeniu skinął głową.

Ginko pomyślała o błękitnoczarnej opuchliznie na twarzy matki. *Więc to jednak byto to.*

- Bardzo szybko przyjechałaś - powiedziała Tomoko cichym głosem. Yasuhei i pozostali wciąż milczeli, ale uważnie przysłuchiwali się rozmowie.

- Dlaczego nie zawiadomiliście mnie wcześniej?

- Dopiero wczoraj rano nagle straciła przytomność. Przedtem czuła się źle, ale nie wyglądała na tak ciężko chorą.

- Ale leżała w łóżku?

- Tak, około miesiąca, prawda? - Tomoko jeszcze raz spojrzała na Yasuhei, oczekując potwierdzenia.

- Więc czemu mnie nie wezwaliście? - zapytała Ginko z wyrzutem.

- Bo matka powiedziała, żeby ci nic nie mówić - mruknął Yasuhei pośepnie. - Powiedziała: „Gin ma teraz ważne rzeczy na głowie, więc jej nie martwcie”.

Odwróciła wzrok. Nie mogła znieść spojrzenia brata.

- Tuż przed śmiercią cię wołała.

Ginko zagryzła wargi. Jej oczy napełniły się łzami. Szybko podniosła rękę do twarzy, ale nie zdołała się powstrzymać od płaczu.

- No, już dobrze! - Yasuhei sprawiał wrażenie zakłopotanego. Jego siostry nie było w domu ponad dziesięć lat, a teraz, mając trzydzieści dwa lata, siedzi wśród nich i płacze jak dziecko.

Matko! Matko! - Ginko krzyczała w duchu. Tak chciała zobaczyć matkę żywą, prosić ją o przebaczenie. Gdyby teraz, po tylu latach, mogły porozmawiać, matka by zrozumiała. Pewnie w sercu już wcześniej jej przebaczyła. Zanim Ginko wyjechała do Tokio, Kayo powiedziała, że nie chce jej więcej widzieć, lecz w dniu wyjazdu dała jej amulet i pieniądze z własnych oszczędności. Kto wie, czy jej nie przebaczyła już wtedy.

Ginko zawsze sądziła, że może się zwrócić do matki, kiedy tylko zechce, i że chociaż nie rozmawiają, panuje między nimi porozumienie. Zawsze sobie wyobrażała, że się spotykają, rozmawiają i godzą. *Mylłam się.*

Kayo wołała Ginko przed śmiercią, w tej samej chwili, gdy Ginko wołała ją, jadąc rikszą. Ginko nie miała wątpliwości, że w tamtej chwili duchowo się złączyły.

Skoro były sobie tak bliskie, dlaczego nie przyjechała do matki, kiedy ta jeszcze żyła? To nie byłoby trudne. Podróż z Tokio do Tawarase trwała zaledwie jeden dzień. Mogła pojechać w każdej chwili. Ginko czuła żal i złość na samą siebie.

Tomoko poklepała ją lekko po ramieniu.

- Ludzie chcą pożegnać matkę. Chodźmy do innego pokoju.

- Pragnący oddać hołd zmarłej i złożyć kondolencje ustawiali się w rzędzie. Najważniejsza rodzina w Tawarase kwitła pod okiem Kayo, więc było rzeczą naturalną, że kiedy zmarła, przyszło ich wielu.

- Proszę. - Tomoko podała siostrze ręcznik. - Płacz niczego nie zmieni.

Ginko podniosła wzrok i zdała sobie sprawę, że są w jej starym pokoju. Kiedy Kayo do niego przychodziła, klękała i ostrożnie odsuwała i



zasuwała drzwi. Zawsze przestrzegała właściwych form.

Gdy Ginko odzyskiwała tu siły, często rozmawiała. Jeśli tylko matka znalazła wolną chwilę, spędzała ją przy łóżku córki. Czasem przynosiła robótkę. Starala się, żeby Ginko nie czuła się samotna. Opowiadała o wydarzeniach w mieście, o zbiorach, o sąsiadach - o wszystkim. Dzięki temu Ginko nie czuła się odcięta od świata, chociaż nie opuszczała domu. Matka nigdy jednak nie wspomniała rodziny Inamurów, do której Ginko weszła przez małżeństwo i od której uciekła. Nawet kiedy po rozwodzie wróciły jej rzeczy, Kayo ograniczyła się do niezbędnych słów. Wszystko się odbyło z ogromnym poszanowaniem dla uczuć Ginko. Tamten okres, choć była wtedy chora i nie wychodziła z domu, jawił jej się we wspomnieniach jako szczęśliwy czas, bo spędziła go z matką.

- Kiedy dostałaś telegram?
- Wczoraj późnym wieczorem.
- To musiał być dla ciebie szok.
- To prawda.

Z sąsiedniego pokoju dobiegały głosy bawiących się dzieci. Duże zgromadzenie ludzi zawsze zachęcało je do zabawy, nawet jeśli jego powodem była śmierć.

- Zirytował cię?
- Skądże. Czemu miałby mnie zirytować?
- Wysłałam go wbrew woli innych.

Ginko przypomniała sobie, że podpisała go Tomoko, nie Yasuhei.

- Yasuhei powiedział, że powinniśmy poczekać i zawiadomić cię, jak matka umrze. Ponieważ z chwilą opuszczenia domu zostałam właściwie wydziedziczona, był pewien, że nie przyjedziesz na pogrzeb.

Ginko stanęła przy oknie i spojrzała na ogród. Palma i bambus były tam, gdzie zawsze, lecz wyższe.

- On uważa, że jesteś samolubna i myślisz tylko o tym, żeby zostać

lekarzem.

- To okrutne!

Tomoko podeszła do siostry. Była od niej odrobinę niższa. Ginko przyglądała się wróblom, które usiadły na bambusie.

- Ale wszyscy krewni mówią, że to tylko jego zdanie.

Ginko przypomniwała sobie chłód w oczach brata. Yasuhei zbliżał się do czterdziestki i jego twarz już zdradzała ten wiek. *Wyjechałaś i nie wróciłaś, żeby się nią zaopiekować, więc po co ten płacz?* To mówiły jego oczy.

- Taki już jest Yasuhei - ciągnęła Tomoko - więc staraj się tym nie przejmować.

Matka nie żyła. Nad czubkami drzew rozciągało się niebo pozbawione letniego ciepła. Ginko nie mogła pojąć, jak to możliwe, że jest jasne i czyste jak zawsze. Śmierć matki, zimne spojrzenie Yasuhei - wobec jasnego nieba wszystko to były błahostki.

- Zrobiłaś się bardzo podobna do matki. - Tomoko, oparta o framugę okna, wpatrywała się w Ginko. - Wyglądasz zupełnie jak ona w młodości.

- Wszystkie jej córki są do niej podobne.

- Nie. Widziałam niedawno Sonoe i Masę, ale żadna nie jest tak podobna jak ty.

- Naprawdę? - Przenikliwe spojrzenie siostry wprowadziło Ginko w zakłopotanie. Słyszała to od najmłodszych lat, ale sama nie miała pojęcia, co w niej mogło innym tak przypominać matkę.

- Matka całą swoją miłość przelała na ciebie.

- Miłość?

- Tak. Byłaś najmłodszym dzieckiem w rodzinie i zawsze się o ciebie najbardziej troszczyła.

- Ależ to niesprawiedliwe! Wszyscy byliśmy jej dziećmi.

- Owszem, lecz z tobą miała najwięcej zmartwień.

Ginko często słyszała powiedzenie, że dziecko najbardziej kłopotliwe jest najbardziej kochane. Zaczynała rozumieć, co Tomoko ma na myśli.

- Czy to prawda, co powiedział?

- Kto?

- Yasuhei. Że matka mnie wołała przed śmiercią.

- Tak, to prawda. Machała rękami i wołała cię słabym głosem.

- I co?

- Powiedziała, że jesteś w drodze i niedługo się zjawisz. Prosiłam, żeby poczekała. Nie wiem, czy rozumiała, ale powtórzyła to dwa albo trzy razy i ucichła. - Ginko słuchała w milczeniu. - Po kilku minutach przestała oddychać.

Ginko odwróciła głowę. Znów zaczynały ją ogarniać stłumione wcześniej wyrzuty sumienia.

- Myślała o tobie do samego końca.

Wysoko na platanie usiadł brązowogłowy bilbil i głośno ćwierkał. Ginko nagle się wydało, że ją dziobie swym długim, twardym dziobem.

Na drugi dzień rano jeszcze raz pomodliła się przy matce i zaczęła się szykować do powrotu.

- Już wyjeżdżasz? - Tomoko w towarzystwie dziecka zajrzała do pokoju i zobaczyła przygotowania.

- Przepraszam, że sprawiłam wam kłopot.

- Nie o to mi chodziło! Zostań jeszcze.

- Już pożegnałam matkę.

- Powinnaś przynajmniej wziąć udział w pogrzebie.

Wiedziała, że w nocy będzie czuwanie przy zmarłej, a rano ciało matki opuści dom. Cztery starsze siostry i pozostali krewni mieli wyjechać dopiero za cztery albo pięć dni.

- Nie mam żałobnego ubrania.

- To nieważne. Wyjeżdżałaś z domu w wielkim pośpiechu, bo wiedziałaś, że matka jest w stanie krytycznym, więc nic dziwnego, że niczego nie zabrałaś.

- Ale...

- Czy musisz szybko wracać do Tokio?

- Nie. - Niedawna fatalna wizyta w ministerstwie zniweczyła nadzieje Ginko na zdanie egzaminu.

- Więc może zostaniesz? Nie wiadomo, kiedy znowu będziesz mogła przyjechać, prawda?

- Tak, ale już się spotkałyśmy i nadrobiłyśmy zaległości. Nic tu po mnie. - Ginko rozejrzała się po pokoju, popatrzyła na stare meble i zdała sobie sprawę, że może już tu nigdy nie wrócić. - A jeśli wyruszę teraz, mogę być w Tokio przed zmrokiem.

Dziecko wybiegło do ogrodu i zaczęło zrywać owoce śnieguliczki.

- Pozwolisz, że skorzystam z toaletki matki? - Ginko usiadła przed lustrem i poprawiła sobie włosy. Tylko ona miała tutaj nowoczesną fryzurę w zachodnim stylu i chociaż nikt nic na ten temat nie mówił, widziała zaciekawione spojrzenia.

- Gin - Tomoko zwróciła się do jej odbicia w lustrze. - Wyjeżdżasz z powodu tego, co mówił Yasuhei i inni?

- Nie, naprawdę nie. - Ginko zmusiła się, żeby zrobić pogodną minę, i pokręciła głową.

- Wiesz, że nie powinnaś się przejmować gadaniną wiejskich krzykaczy.

- Wiem. - Siostra jak zwykle czytała w jej myślach. - Jednak wracam.

- Jak już coś postanowisz, nie ma mowy, żeby cię od tego odwieść, co?

Ginko podniosła oczy i napotkała w lustrze spojrzenie Tomoko. Na twarzach obu sióstr pojawił się cień gorzkiego uśmiechu.

Ginko wyszła tylnymi drzwiami, żeby uniknąć spotkania z krewnymi i sąsiadami. Nie czuła się na siłach, żeby patrzeć, jak ją pokazują palcami, słyszeć, jak mówią: „O, to ta córka, która powiedziała, że chce być lekarzem i się wyprowadziła z domu”. Tomoko poszła z nią ścieżką między polami ryżowymi aż do głównej drogi.

- Proszę, to dla ciebie. - Przystanęła na skraju ścieżki i podała jej coś małego zawiniętego w papier.

- Ale Tomoko... - Ginko chciała zaprotestować, lecz siostra jej przerwała.

- Nic nie mów. Weź i już. - Szybko wsunęła paczuszkę za kołnierz kimona Ginko. - Dbaj o siebie.

- Dziękuję ci za wszystko.

- Kiedy umrę, przyjedź mnie pożegnać. Obiecujesz? - Pogodnie się uśmiechnęła. - No, idź już!

Na wschodzie słońce ledwie wyglądało zza czubków sosen. Dopiero minęła siódma. Nagle Ginko poczuła, że chce zobaczyć Tone. Na skróty między polami wystarczyłoby dziesięć minut.

Za łąnem jęczmienia weszła na łagodną pochyłość prowadzącą na brzeg. Gdy była dzieckiem, wydawał jej się bardzo wysoki, w rzeczywistości wystarczyło tylko kilka kroków, by znaleźć się nad taflą wody, w której odbijało się słońce. Dalej widać było zamglony drugi brzeg. Krajobraz się nie zmienił - rzeka dominowała.

Ginko przykucnęła. Przypomniała sobie, jak w dzieciństwie bawiła się tu na płycznach, później jechała nad rzeką na swój ślub, a jeszcze później wracała sama. Pamiętała też powodzie. Wszystko to mogło się zdarzyć dawno, lecz równie dobrze wczoraj.

Ostatni raz patrzyła na rzekę w dniu, kiedy opuściła dom i

wyruszyła do Tokio. Wtedy też była sama. Od tamtej pory minęło dziesięć lat. Czego dokonała? W tym czasie straciła ojca, przysporzyła matce cierpienia i wreszcie utraciła i ją. Co dzięki swej determinacji zyskała? Nie spoczęła ani na chwilę. Co jej to dało? Gdy szukała teraz odpowiedzi na to pytanie, przychodziła jej do głowy tylko jedna: *Walczyłam na próżno.*

Rozejrzała się wokół. Lekki wietrzyk szeleścił w trzcinach, z których robiono strzechy, nad głową miała błękitne niebo. Zamknęła oczy.

*Czyżby to wszystko było błędem?*

Owa wątpliwość pojawiła się w jej umyśle jak mały pęcherzyk, ale Ginko czuła, że rośnie i zamienia się w wir, który ciągnie ją w dół. *Dlaczego to w takim razie zrobiłam?* To, na co liczyła, okazało się za trudne, za bardzo buntownicze dla rodziny i społeczeństwa. *Dlaczego, dlaczego?* Na to pytanie odpowiedź nie przychodziła.

*To nie był błąd. Ja się nie mylę.*

Niespodzianie stanął jej przed oczami obraz jej ściskanych i wyginanych bladych, gładkich nóg, siłą rozwieranych kolan. Przypomniła sobie ich przeszywający ból, jakby je przypiekano rozpalonym żelazem, i ślady po dłoniach mężczyzn.

*Te męskie ręce!*

Wspomnienie jasno oświetlonej sali badań sprzed trzynastu lat uparcie powracało. Ciało Ginko płonęło. Poczucie wstydu przetaczało się przez pamięć niczym rozżarzona do czerwoności kula.

*To się zdarzyło naprawdę. Moje ciało to wszystko rzeczywiście przeżyło. Nie ma co do tego wątpliwości.* Wypowiedziała cicho te słowa i otworzyła oczy. Wody Tone połyskiwały w blasku słońca.

*Idę w dobrym kierunku.* Wstała i ruszyła brzegiem rzeki na południe.

11.

Gdy Ginko wróciła do Tokio, niemożność przystąpienia do

egzaminu znów ją wpędziła w stan głębokiej frustracji, tym silniejszej, że dla uczczenia pamięci matki postanowiła nie rezygnować z planu zostania lekarzem.

Może powinnam złożyć wniosek jeszcze raz? - myślała, chociaż wiedziała, że rezultat będzie taki sam.

Kilku jej kolegów z Kojuin zdało już obydwie części egzaminu i rozpoczęło praktykę. Wystarczyło, że się urodzili mężczyznami. Gdyby Ginko nie przewyższała ich umiejętnościami i zdolnościami, pewnie by się poddała, ale ponieważ to była krzycząca dyskryminacja ze względu na płeć, nie mogła się z nią pogodzić.

*Czy kobiety będą kiedykolwiek traktowane na równi z mężczyznami?* Nic na to nie wskazywało, a im więcej o tym myślała, tym głębsze ją ogarniało przygnębienie.

Od chwili, gdy ukończyła Kojuin, minęło półtora roku. Bez wykorzystywania zdobytej tam wiedzy wkrótce zaczęłaby ją zapominać. Na dodatek miała już trzydzieści dwa lata, a w tym wieku zaczynanie wszystkiego od nowa było niemożliwe. Bardzo ją to irytowało. Nie wiedząc, co począć, i nie mając nic innego do roboty, chodziła niecierpliwie po pokoju.

Pod koniec października, miesiąc po śmierci matki, wybrała się jeszcze raz do Tadanoriego Ishiguro, który kiedyś znalazł jej miejsce w Kojuin. Przyszło jej do głowy, że to może być ostatnia deska ratunku.

Tajfun, który właśnie przeszedł nad Tokio, pozostawił za sobą piękne błękitne niebo. Ishiguro nie było w domu, więc poprosiła sekretarza o termin wizyty. Zapisał ją na niedzielne popołudnie. Miała wtedy lekcje u Takashimów, ale je odwołała.

Po trzech dniach, w niedzielę, poszła do domu Ishiguro. Zastała go ubranego w tradycyjny japoński strój. Nie znali się dobrze, ale nie czuła zdenerwowania. Opowiedziała mu o tym, co się z nią działo od ich

poprzedniego spotkania i o kłopotach z egzaminem.

- Mieli czelność pani odmówić? - Był oburzony, gdy usłyszał, co się zdarzyło w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

- Nie mam pojęcia, co robić i do kogo się zwrócić - przyznała otwarcie. - Nie wiem, czemu się urodziłam kobietą. To mi przeszkadza na każdym kroku.

- Doskonale to rozumiem. - Ishiguro też nie wiedział, jak mógłby jej pomóc. Tym razem przeszkodą był system wprowadzony przez samo państwo, na pozór nie do pokonania.

- Zastanawiam się, czy jedynym rozwiązaniem nie jest wstąpienie na zagraniczną uczelnię.

- Myśli pani o wyjeździe z Japonii? - Wielkie oczy Ishiguro jeszcze się powiększyły.

- Tak. Paragraf czwarty przepisów o udzielaniu zezwoleń jasno mówi, że absolwenci zagranicznych uczelni medycznych otrzymują je na życzenie.

- Ale to by kosztowało majątek! A poza tym musiałaby pani najpierw opanować nowy język i poznać obce obyczaje.

Ginko pomyślała o tej możliwości, kiedy ją wyproszono z ministerstwa, lecz było to przedsięwzięcie tak wielkie, że nie miała jeszcze żadnego konkretnego pomysłu, jak mogłaby przystąpić do jego realizacji.

- Nie widzę innego sposobu.

- Wiem, co pani czuje, ale myślę, że nie musi pani jeszcze rezygnować z Japonii. Naszego kraju nie zamieszkują sami ograniczeni biurokraci.

- Zawsze tak sądziłam, jednak... - Ginko czuła bezsilność i smutek.

- Przede wszystkim powinna się pani zwrócić do ministra Nagayo. Dam pani list polecający. Urzędnicy działają na podstawie precedensów, tacy już są. Bez względu na to, o jaką sprawę chodzi, najbezpieczniej jest



postąpić tak, jak robiono zawsze. Mogą zaczynać urzędniczą karierę jako ludzie wielkoduszni, lecz z czasem nawet najłagodniejsi stają się nieczuli.

- Ale jak mam ominąć prawo?

- Jeśli w kraju rządzi prawo, musimy się go trzymać, a w tym wypadku chodzi tylko o to, że śmiały pomysł budzi niepokój. Nie ma przepisu, który by mówił, że kobieta nie może zostać lekarzem. A skoro go nie ma, powinna pani móc przystąpić do egzaminu i - jeśli go pani zda - rozpocząć praktykę. Jak chcą to kobietom uniemożliwić, powinni dopisać klauzulę, że kobieta nie może być lekarzem.

Ishiguro objął stanowisko państwowe, mając za sobą wiele lat praktyki lekarskiej, więc jego sposób myślenia był o wiele bardziej elastyczny niż zawodowego urzędnika. Patrzył z szerszej perspektywy i potrafił wzbudzić w Ginko cień nadziei.

- Nie muszą pani odmawiać tylko z braku precedensu.

- Gdyby chodziło jedynie o znalezienie słowa „lekarka”, to na nie już natrafiłam.

- Gdzie? - Ishiguro nachylił się ku niej, wyraźnie zainteresowany.

- W starym dziele prawniczym pod tytułem „Ryo no gige”.

- Naprawdę? Było już w „Ryo no gige”? - Erudycja Ginko zrobiła na nim wrażenie. - Kiedy i gdzie pani to czytała?

- Ponad dziesięć lat temu, u Yorikuniego Inoue.

- Ach, tak. Więc profesor Inoue był pani nauczycielem?

- Czy pan go zna?

- Tylko trochę. - W konflikcie wywołanym przez Ruch na rzecz Odrodzenia Medycyny Chińskiej należeli do przeciwnych obozów, jednak już od dawna nie żywili do siebie najmniejszej urazy. Ishiguro znał Inoue nie tyle jako specjalistę od tradycyjnej medycyny, ile jako wybitnego znawcę klasycznej literatury japońskiej, którego szanował. - Ale w takim razie pomyłka jest wykluczona. To użyteczna informacja, warto ją

zapamiętać.

- Już wcześniej postanowiłam, że zostanę lekarką, więc gdy przypadkiem na nią natrafiłam, zanotowałam.

*Co teraz słyhać u Yorikuniego?* Ginko nagle przypomniały się sandaiki z czerwonymi paskami stojące przy wejściu do jego domu, kiedy tam była ostatnio.

- Więc to będzie nasz precedens. Czy ma pani dostęp do tej książki?

- Niestety, tylko zrobiłam notatkę. Ale przypuszczam, że książka nadal jest w bibliotece profesora.

- Czy mogłaby ją pani wypożyczyć i mi przynieść?

- Od profesora Inoue?

- Tak.

To ją wprowadziło w rozterkę. Już wcześniej postanowiła, że Yorikuniego żyjącego z tą nieznaną kobietą wykreśli na zawsze z pamięci.

- Nie jestem pewna, czy ją jeszcze ma...

- Sądzi pani, że coś się z nią mogło stać?

- Jak by ją pan wykorzystał?

- Najpierw chcę pójść do ministra Nagayo i przekonać go, że kobiety mogą przystępować do egzaminu, więc książka będzie mi potrzebna jako dowód.

- Naprawdę bez książki się nie obędzie?

- Nasze argumenty nabrałyby wiarygodności, gdybyśmy oprócz książki mieli też podpis profesora. Skoro jest pani jego byłą uczennicą, powinien chętnie napisać dla pani kilka zdań - ciągnął Ishiguro entuzjastycznie, nie zdając sobie sprawy z niezręczności sytuacji. - Jak pani myśli, da się to zrobić w ciągu kilku dni?

Odmowa nie wchodziła w rachubę. Ginko niepewnie kiwnęła głową.

Zdobyła się na odwagę trzy dni później. Rano padał zimny listopadowy deszcz, lecz po południu się przejaśniło. Włożyła eleganckie

kimono, które kupiła sobie na zakończenie Kojuin, i ułożyła włosy. W szkole wiązała włosy z tyłu i ubierała się tak, by jak najmniej się odróżniać od mężczyzn. Później porzuciła ten zwyczaj i wróciła do stylu bardziej kobiecego.

*Taka młoda, wygląda jak laleczka.* Przypomniała sobie, jak stara gosposia Yorikuniego opisała jego żonę, i nagle poczuła się ciekawa własnego wyglądu. Spojrzała krytycznym okiem w lustro. Skóra już nie była gładka jak kiedyś. Starannie upudrowała sobie twarz i uszmiłkowała wargi, po czym doszła do wniosku, że makijaż jest za gruby, więc go starła i zaczęła od początku.

Nakładając, ścierając i znów nakładając kosmetyki, pytała w duchu samą siebie: *Dlaczego?* Yorikuni nigdy jej nie pociągał - ani dawniej, ani teraz. Szanowała go jako nauczyciela, nic więcej. Czemu więc dzisiaj zadawała sobie tyle trudu? *Nie chcę wyglądać źle przy tamtej.* Była to duma kobiety będącej kiedyś obiektem miłości Yorikuniego.

Skończyła się malować, zawołała riksę i postawiła budę, żeby w drodze do domu Yorikuniego ochronić się przed wiatrem. Miała wrażenie, jakby za chwilę czekał ją atak na terytorium nieprzyjaciela.

- O, pani Ogino. Jak się cieszę, że znowu panią widzę! Poczekaj pani na górze? - Ginko poszła za starą gosposią Ise do znajomego gabinetu.

- Czy profesor jest w domu?

W gabinecie, gdzie dawniej zawsze panował bałagan, teraz było jak w pudełeczku. Nawet popielniczki były wypucowane do czysta, bez odrobiny popiołu.

- Właśnie wyszedł do szpitala, ale niedługo wróci.

- Coś mu dolega?

- Nie. Jego żona jest w ciąży.

- Będą mieli dziecko?

- Tak. Jest w piątym miesiącu i chyba trochę spuchła.

- To coś poważnego?

- Hm, na moje stare oczy to nie wygląda tak źle, ale profesor bardzo się zaniepokoił i dziesięć dni temu na wszelki wypadek umieścił ją w szpitalu.

- A dzisiaj?

- Codziennie o tej porze idzie do niej na godzinę. - Ise się zaśmiała.

Ginko jeszcze raz się rozejrzała. W gabinecie panował idealny porządek. Pokój wyglądał, jakby go nikt nie używał. Zajęty żoną, Yorikuni musiał zaniedbywać swe badania. Niechęć Ginko do niej zamieniła się we wzgardę dla niego.

- To go odrywa od pracy, prawda? - zauważyła głośno.

- Cóż, tak długo był samotny. I chyba sobie zasłużył na to, żeby mieć prawo pomyśleć czasem o innych sprawach. Och, zapomniałam o herbacie. Za chwileczkę przyniosę. - Ise wstała i szybko wyszła.

Ginko spiorunowała wzrokiem półki z książkami, jakby chcąc dać im nauczkę, i mruknęła:

- Żeby też uczony postępował tak idiotycznie!

Yorikuni wrócił pół godziny później.

- O, jak to miło! - Z zaciekawieniem patrzył na nienagannie ubraną i umalowaną Ginko.

- Długo się nie pokazywałam. Przepraszam, że nie dawałam znaku życia.

- Nie widziałem cię, od kiedy skończyłaś Szkołę Normalną dla Kobiet - czyli prawie cztery lata. Ale słyszałem, że wstąpiłaś kiedyś, jak mnie nie było.

- Nie przypominam sobie.

- O, a mnie się wydaje, że Ise coś mi o tym mówiła... Tak czy owak, nie widzieliśmy się naprawdę dawno.

Yorikuni zachowywał się swobodnie i łagodnie uśmiechał, lecz

Ginko wciąż miała wyniosłą minę.

- To było niegrzeczne z mojej strony tak długo się nie pokazywać, że nawet nie wiedziałam, że się pan ożenił.

- Och, nic takiego, to żadna wielka nowina. - Zakłopotany Yorikuni podrapał się w szyję.

- I teraz ona spodziewa się dziecka?

- Skąd wiesz?

- Ise mi właśnie powiedziała.

- A to papla. Ona mnie wpędzi do grobu. - Był rozgoryczony, ale patrząc na jego łagodną, okrągłą twarz, Ginko zauważyła, że miał zdrową cerę i wyglądał młodziej, niż gdy go widziała poprzednio.

- Małżeństwo panu służy.

- Och, to nic nadzwyczajnego. Samotność jest niewygodna, a to wydawało mi się prostsze niż wynajęcie jeszcze jednej służącej... A swoją drogą, coś cię tu szczególnego sprowadza? - Wyraźnie zażenowany, nagle zmienił temat.

Ginko powściągnęła irytację i opowiedziała mu o tym, co się z nią działo od ich ostatniego spotkania i o bieżących kłopotach.

- I takie jest zdanie pana Ishiguro?

- Tak, powiedział, żebym pana poprosiła o list.

- No cóż, skoro uważasz, że moja interpretacja się przyda, mogę to zrobić od ręki.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Tekst zapamiętałaś poprawnie.

Yorikuni delikatnie ujął pędzelek. Ginko z uznaniem obserwowała, jak płynnie kaligrafował piękne znaki. Był to widok, jakiego już dawno nie widziała. Włożył list do koperty i wręczył ją Ginko, a potem, jakby pod wpływem impulsu, zapytał:

- Więc nadal jesteś samotna?

- Tak.

- Aha. - Nachylił się głęboko nad biurkiem i utkwił spojrzenie w blacie. - Mam nadzieję, że będziesz dobrym lekarzem.

Ginko podniosła głowę i odezwała się mocnym głosem, w którym brzmiała nuta zuchwalstwa:

- Będę.

Plan Ishiguro się powiódł. Był oparty na jego doświadczeniu i nigdy by nie przyszedł do głowy Ginko, choć tyle lat poświęciła nauce.

Ministrem zdrowia publicznego był Sensai Nagayo, którego dziadek zdobył sławę jako znawca języka holenderskiego. Wraz z innymi postępowymi członkami rządu Meiji Nagayo przyczynił się do stworzenia podstaw nowoczesnego systemu administracji medycznej, wzorowanego na niemieckim, najbardziej nowatorskim na świecie. Był również znany z przychylnego stosunku do edukacji kobiet.

Ishiguro trzykrotnie chodził do ministerstwa, zanim udało mu się spotkać z Nagayo. Ten początkowo sądził, że Ishiguro żartuje, lecz po przeczytaniu listu Yorikuniego Inoue, który potwierdzał, że są dowody na istnienie w przeszłości lekarek, i po długiej dyskusji dał się nakłonić do poważnego zajęcia się sprawą.

- Po rozmowie z nią mogę powiedzieć, że ma prawy charakter i głowę na karku. To byłby skandal, gdyby nie mogła zostać lekarzem tylko z powodu płci.

Jako dyrektor Daigaku Higashiko Ishiguro stał w hierarchii niżej niż minister zdrowia publicznego, lecz wcześniej już wielokrotnie w różnych ministerstwach ze sobą współpracowali i o kwestiach medycznych potrafili rozmawiać otwarcie.

- „Ryo no gige”, najstarsza japońska książka o prawie medycznym, wprost mówi o lekarkach. - Dzięki temu, że ręczył za to Yorikuni Inoue, wybitny badacz japońskiej literatury klasycznej, Ishiguro przedstawiał

sprawę bez wahania. - Wszystkie postępowe kraje zachodnie mają lekarki. Jeśli Japonia się nie wyzbędzie zasad z epoki Edo, stanie się pośmiewiskiem.

- Zawsze uważałem, że powinniśmy pozwolić kobietom przystępować do tego egzaminu. Nie wymaga to rewizji prawa, lecz tylko zmiany jednej z procedur. Jeśli opinia publiczna nie będzie przeciwna, nie powinno być z tym kłopotu.

- Ludzie już się chyba za tym opowiadają? Mamy pewną liczbę wykwalifikowanych kobiet, które czekają, żeby zostać lekarzami. Przyszedłem tutaj z osobistą prośbą o dokonanie tej zmiany.

Pasja, z jaką mówił Ishiguro, wprowadziła Nagayo w konsternację.

- Ja to rozumiem, ale wciąż nie brakuje negatywnie nastawionych do tego pomysłu i wielu będzie nadal uparcie twierdziło, że kobiety się nie nadają z powodu ciąży i macierzyństwa.

- Kobieta nie zawsze jest w ciąży. A jeśli już urodzi dziecko, to przecież może po prostu wziąć sobie trochę wolnego.

- A co wtedy zrobią pacjenci?

- Medycyna zachodnia różni się od wschodniej. Są zasady stawiania diagnozy i leczenia. Jeśli pacjent zmienia lekarza, nie znaczy to, że leczenie będzie inne.

Przekonanie, że zmiana lekarza powoduje kłopoty, pochodziło niewątpliwie z zacofanej medycyny chińskiej. Nagayo popierał medycynę zachodnią, lecz sam nie był lekarzem i najprawdopodobniej ten temat ciągle budził w nim niepokój.

- Większość zwykłych ludzi wciąż jest przeciwna dopuszczeniu kobiet do praktyki lekarskiej.

- Czyż na przywódcach jak pan nie spoczywa zadanie przełamywania uprzedzeń?

- Z pewnością, z pewnością. - Nagayo dał za wygraną.

Sześć miesięcy po tej rozmowie ukazało się zarządzenie, że kobiety mają być dopuszczane do egzaminów medycznych.

Ginko dowiedziała się o tej przełomowej zmianie z gazety porannej. Oniemiała, a gdy zaskoczenie minęło, ogarnęła ją radość. Teraz mogła zostać lekarzem, po prostu się ucząc.

Podziękowała za dobrą nowinę przed stojącym na komodzie ołtarzykiem poświęconym matce, a potem napisała list do Tomoko. Wreszcie miała przed sobą jasną perspektywę.

Egzamin składał się z dwóch części. W czasie pierwszej sprawdzano wiedzę z fizyki, chemii, anatomii i fizjologii, druga obejmowała chirurgię, medycynę wewnętrzną, położnictwo, ginekologię, okulistykę, farmakologię, bakteriologię i medycynę kliniczną. Znowu Ginko uczyła się nocami. W dzień, oprócz lekcji u Takashimów i Maedów, miała je także u wicekonsula Shohei Oty, który był synem kuzyna jej ojca. Każdy dom odwiedzała dwa razy w tygodniu.

Codziennie po lekcjach wracała od razu do domu i siadała do nauki. W dni, kiedy chodziła szczególnie daleko, już około dziewiątej zaczynała usypiać nad książką. Uczyć się w nocy było jej teraz trudniej niż w czasach Tokijskiej Szkoły Normalnej dla Kobiet.

Z niewyspania miała podkrążone oczy. Nazwy lekarstw, które dawniej łatwo zapamiętywała, chodząc po korytarzu i je powtarzając, teraz jej umykały z pamięci. Podobnie było z wzorami chemicznymi.

Miała trzydzieści trzy lata i jej siły umysłowe i fizyczne zaczynały słabnąć, lecz dzięki realnemu celowi i jasno określonym zadaniom uważała, że te trudności to w porównaniu z dawnymi błahostkami.

Do pierwszej części egzaminu przystąpiła trzeciego września 1884 roku. Oprócz niej zdawały jeszcze trzy kobiety, w tym dwie absolwentki uczelni będącej poprzedniczką Medycznej Szkoły Marynarki Wojennej.

Wyniki wywieszono pod koniec miesiąca na ścianie obok głównego



wejścia do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ginko, jako jedyna z kobiet, zdała celująco.

Druga część egzaminu czekała ją za sześć miesięcy. Gdyby jej się wtedy nie powiodło, obecny sukces nie miałby znaczenia, więc na pełną radość i poczucie ulgi nie mogła sobie jeszcze pozwolić. Jej osiągnięcie wzbudziło jednak sensację i zostało opisane w czasopismach medycznych i gazetach. „Pierwsza kobieta zdaje egzamin!”.

Takashimowie, którzy jej zawsze sprzyjali, poprosili ją teraz, żeby uczyła również ich drugie dziecko, córkę Hanako. To oznaczało, że żyjąc oszczędnie, mogłaby u nich zarobić na wszystkie wydatki. Ponadto żona wykładowcy ze Szkoły Marynarki Wojennej, Juhei Arakawa, u której także pracowała, zaproponowała jej pokój do nauki. Ginko była też nadal zatrudniona u wicekonsula Oty, który na czas swego pobytu w Meksyku dał jej zadanie kierowania nauką żony. Nie mając już takich kłopotów finansowych jak dawniej, mogła teraz sobie nawet pozwolić na wynajęcie rikszy, gdy była zbyt zmęczona, żeby chodzić piechotą. To wszystko jednak przypominało jej, jak wiele teraz po niej oczekiwano.

Musiała zdać drugą część egzaminu - choćby po to, żeby utrzymać dobrą reputację.

Zaczął się kolejny rok. Ginko pracowała, a dni świąteczne spędzała na nauce. Wysilek fizyczny i psychiczny zaczął się odbijać na jej zdrowiu. W połowie stycznia dostała lekkiej gorączki, a na początku lutego musiała spędzić dwa dni w łóżku, lecz nawet wtedy nie traciła czasu. Podwyższonej temperaturze towarzyszył ostry ból w podbrzuszu. Był jak zły duch; przypominał, że ze swej choroby nigdy się nie wyleczy.

Piątego marca wieczorem Ginko dostała dreszczy. Egzamin był za dwa dni. Poprosiła gospodynię, żeby poszła do apteki i kupiła jej lekarstwo. Wypiła je i opatulila się kołdrą. Dreszcze zelzały, ale ból w podbrzuszu pozostał. Leżąc w łóżku, wciąż czytała. Gdy od czasu do czasu

dotykała ręką brzucha, ból się nasilał.

Na drugi dzień nie było poprawy, ale egzamin miał się zacząć następnego ranka o dziewiątej, więc nadal się uczyła, skulona pod kołdrą.

Po południu przyszła Ogie. Wcześniej, gdy w południe Ginko ciągle nie mogła wstać, poprosiła gospodynię, żeby zawiadomiła przyjaciółkę.

- No, masz nielichą gorączkę - powiedziała Ogie, przyłożywszy dłoń do czoła Gin. - Co mówi termometr?

- Nie mam termometru.

- I ty chcesz być lekarzem! A lód?

- Wczoraj gospodyni trochę mi kupiła, tylko pewnie cały się już rozpuścił. - Ginko mówiła, nie odrywając oczu od książki.

- W takim razie pójdę po nowy. A co z lekami? - Ogie nagle z przerażeniem zauważyła, że biurko Ginko było zasłane czerwono-białymi pudełkami z lekarstwami, a kosz pełen pustych torebek. - Czy powinnaś tyle tego brać?

- Wszystko jedno, i tak nic mi nie pomaga! - Ginko uniosła znad książki czerwoną od gorączki twarz. - Czy mogłabyś mi podać to po prawej?

- Musisz odpocząć, a nie tylko faszerować się lekarstwami! - Medycyna była specjalnością Ginko, nie Ogie, ale to było oczywiste.

- Nie mam czasu! Wiesz przecież, że egzamin jest jutro.

- O to właśnie chodzi. Nie będziesz w stanie zdawać, jak się nie poczujesz lepiej, tak?

- Daj mi lekarstwo!

Przez gorączkę i zdenerwowanie Ginko nie zachowywała się jak zwykle. Ogie niechętnie podała jej pudełko, doszedłszy do wniosku, że najważniejsze jest, by się uspokoiła.

- Czy lekarstwo musi być takie gorzkie? - Ginko połknęła pachnący dymem proszek i popiła go wodą, którą jej podała przyjaciółka. - Zaraz się

poczuję lepiej, zobaczysz!

Ogie, nic nie mówiąc, wzięła miednicę i poszła po lód.

Wieczorem Ginko powiedziała, że nie ma apetytu i nie chce kolacji.

- Zrobię ci grzane wino z jajkami. To cię rozgrzeje i się odprężysz.

- Ale będę śpiąca.

- Przecież powinnaś spać!

- Nie, nie mogę. Jeszcze nie wszystko przeczytałam.

- Z tą gorączką i tak nic ci nie zostanie w głowie!

- Ale lepiej przeczytać, niż nie przeczytać.

Wiedząc, że Ginko musi się jednak przespać, Ogie zrobiła napój i zmusiła przyjaciółkę do jego wypicia.

- Myślisz, że teraz gorączka spadnie?

- Na pewno. Ojciec zawsze mi to robił, jak się przeziębiam.

Kiedy kładła na czole Ginko zimny ręcznik, po dziesięciu minutach już był ciepły.

- Może ochłodzić ci też tył głowy?

Ginko nagle usiadła.

- Jeśli nie uda mi się przystąpić jutro do egzaminu, to będzie katastrofa. - Utkwiła nieprzytomny wzrok w jakimś punkcie. - Muszę iść na egzamin. Muszę, muszę!

- Wiem, rozumiem.

- Zaraz się poczuję lepiej, na pewno. Prawda?

- Najpierw musisz odpocząć, słyszysz? - Ogie chwyciła Ginko za ramiona i popchnęła ją na poduszkę.

- Co za pech... - Ginko mruknęła pod nosem i zapadła na moment w drzemkę, po czym nagle zerwała się z łóżka i niepewnym krokiem podążyła w kierunku komody.

- Gin!

Wyglądała na półprzytomną. Lewą rękę przyciskała do czoła, prawą

szukała czegoś w najwyższej szufladzie.

- Co robisz?

Nie odpowiedziała. Ściskając coś w dłoni, pospiesznie schowała się pod kołdrę.

- Zimno mi.

- Bo ciągle wstajesz! Natychmiast okryj się porządnie. - Ogie otuliła przyjaciółkę. - Co tam masz?

Ginko wystawiła rękę spod kołdry, a Ogie wyjęła jej z dłoni niewielki przedmiot. Był to brokatowy woreczek wielkości orzecha. W środku znajdował się złożony kawałek białego papieru ze słowami „Świątynia Tawarase”.

- Talizman. Matka mi go dała, kiedy wyjeżdżałam z domu. Będę go trzymać we śnie.

- To dobry pomysł.

Ginko zrezygnowała z czytania i położyła się na plecach. Na czole miała zimny ręcznik, długie rzęsy rzucały jej na policzki delikatny cień. Po chwili, nie otwierając oczu, powiedziała:

- Jak usnę, powinnaś iść do domu.

- Chcesz, żebym tak zrobiła?

- Kiedy śpię, lubię być sama. Przyzwyczyłam się do tego i tak najlepiej wypoczywam.

- Więc tak zrobię.

Napój zwiną najwidoczniej działał. Nie minęło dziesięć minut i Ginko głęboko zasnęła. Ogie zmoczyła ręcznik w wodzie z lodem i go wyjęła. Gdy kładła go na czole Ginko, ta lekko zmarszczyła brwi i westchnęła.

- Matko...

Ogie jeszcze chwilę patrzyła na dziecinną twarz przyjaciółki, a potem cicho wymknęła się z pokoju.

Ginko twardo przespała noc i gorączka jej spadła. Stawy jeszcze ją bolały i czuła się osłabiona, ale umyła twarz i ułożyła włosy. O siódmej wypła lekarstwo i dwa surowe jajka, wezwała riksę i pojechała do centrum egzaminacyjnego.

Egzamin rozpoczął się o dziewiątej, od chirurgii. Ostatni sprawdzian pisemny skończył się o drugiej, po nim była przerwa na posiłek. O trzeciej zaczął się praktyczny sprawdzian z medycyny klinicznej. Ginko miała dziesięć minut na zbadanie pacjenta, a potem musiała odpowiedzieć na związane z tym pytania.

- Na jaką chorobę cierpi pacjent?

Pytanie zadał jeden z trzech egzaminatorów siedzących naprzeciwko niej, potężny mężczyzna z wąsami. Ginko natychmiast go poznała - był to Gentoku Indo, profesor z Daigaku Higashiko.

- Przypuszczam, że na chorobę serca.

- Na jakiej podstawie pani tak sądzi?

- Osluchanie klatki piersiowej wskazuje, że ma powiększone serce, mniej więcej na palec w lewo i w prawo, a w czasie badania stetoskopowego chyba słyszałam nienaturalny szum nad zastawką mitralną aorty.

- A tętno?

- A tak, zapomniałam powiedzieć - jest nieco za słabe i nieregularne, co może świadczyć o chorobie serca.

- Jaka to nieregularność? - Teraz pytał profesor Kenkichi Urashima.

- Skurczowa.

- A co pani myśli o opuchliznie? - To pytanie zadał profesor Tomotake Morinaga. Siedzący przed nią trzej mężczyźni należeli do największych sław w japońskich sferach medycznych. Ginko odpowiadała, drżąc ze zdenerwowania. Rozmowa się skończyła. Trwała

najwyżej dziesięć minut, lecz jej się wydawało, jakby minęła co najmniej godzina.

- Czy pani jest chora? - Gentoku Indo patrzył na nią pytającym wzrokiem.

- Nie, nic mi nie jest.

- Na pewno? Wygląda pani, jakby miała lekką gorączkę. Proszę o siebie zadbać.

Ginko niemal wybiegła z sali. To był koniec egzaminu. Na ulicy złapała riksę i pojechała do domu. Gdy tylko znalazła się w łóżku, poczuła dreszcze. Przyłożyła sobie rękę do czoła: gorączka wróciła ze zdwojoną siłą. Już mam to za sobą - pomyślała i zapadła w niespokojny sen.

Listę tych, którzy zdali egzamin, wywieszono po kilkunastu dniach. Znalazła swoje nazwisko: „Nr 135. Ginko Ogino”. Wiosenny wiatr lekko trzepotał kartką. Litery robiły się coraz większe, aż wreszcie przestała je widzieć wyraźnie. Zacisnęła pięści, z oczu płynęły jej łzy. Matko - wyszeptała.

Wokół trwały podskoki i wrzaski, niektórzy rzucali się pędem ulicą, inni klaskali i krzyczeli: Hura, jestem lekarzem! Ginko stała jak wrośnięta w ziemię, potrącana przez tłum, i szeptała: Spójrz, matko! Widzisz? Stała tak jeszcze, kiedy wszyscy się dawno rozeszli.

Był marzec 1885 roku, trzydziesta czwarta wiosna w jej życiu.

12.

Ginko była pierwszą kobietą, której japoński rząd wydał zezwolenie na prowadzenie praktyki lekarskiej.

To nie znaczy, że inne kobiety nie zajmowały się wówczas w Japonii medycyną, Ineko Kusumoto, córka holenderskiego lekarza Philippa Franza von Siebolda, wyszła za mąż za jednego z uczniów ojca i w 1870 roku otworzyła w Tokio klinikę położniczą. Była jednak o ćwierć wieku

starsza od Ginko, a egzamin państwowy wprowadzono później. Istniały także sięgające aż starożytności zapisy o kobietach parających się położnictwem, zwłaszcza jako akuszerki. Jednak w 1884 roku, niedługo przed tym, jak Ginko dostała zezwolenie, spośród 40 880 lekarzy praktykujących w Japonii tylko 3313 zdało egzamin państwowy i było oficjalnie dopuszczonych do tego zawodu.

Z okazji otrzymania zezwolenia Ginko kupiła wytworną suknię z koronkowymi rękawami i przodem, ozdobioną białymi mankietami i takimż kołnierzem. Kupiła też kapelusz z piórkiem i szerokim rondem i w atelier Asakusy Tawaramachiego zrobiła sobie pamiątkową fotografię. Widać na niej Ginko siedzącą na taborecie, z kapeluszem w ręce, lekko zwróconą w prawo. Z jej postaci bije duma i siła.

Ginko z dnia na dzień zdobyła rozgłos, gdy jej historię opisały gazety i czasopisma, wychwalając jej uzdolnienia i wytrwałość. Dla kobiety do tej pory wyszydzanej jako ekscentryczka, która nie wie, gdzie jest jej miejsce, ta nagła zmiana nastawienia opinii publicznej była trochę niepokojąca, a pochwały wydawały się puste.

Ludzie zupełnie nieznani proponowali jej wypożyczenie domu albo ziemi. Uprzejmie wszystkim odmawiała, gdyż sama myśl o tym, że miałyby korzystać z jałmużny, była dla niej przykra. Pożyczyła natomiast dwadzieścia jenów od pana Takashimy, którego rodzinie przez lata udzielała lekcji, i za te pieniądze wynajęła niewielki parterowy dom w Yushimie. Zaszła tak daleko dzięki własnemu wysiłkowi i chciała, żeby tak było nadal.

W maju 1885 roku w owym skromnym budynku nieróżniącym się od otaczających go domów i sklepów otworzyła Klinikę Położniczo-Ginekologiczną Ogino. Mały pokój przy wejściu służył za poczekalnię, w nieco większym sąsiednim był gabinet lekarski. Mieściło się w nim skąpe, lecz dostateczne wyposażenie: biurko i krzesło, stół do badania pacjentek

i szafka z szufladkami na lekarstwa. W pozostałej części domu znajdowały się pokój i kuchnia Ginko oraz niewielki pokój odpoczynku dla pielęgniarek. Klinika już chyba nie mogła być mniejsza, ale spełniała swą funkcję.

Dom stał przy małej uliczce o kilka przecznic od głównej drogi, w miejscu, które raczej nie przyciągało uwagi, lecz dzięki dyskretnemu położeniu świetnie się nadawało do prowadzenia praktyki położniczo-ginekologicznej.

Gdy poczekalnia i gabinet już były gotowe i do otwarcia kliniki zostało tylko kilkanaście godzin, Ginko wyszła na zewnątrz, żeby zobaczyć, jak się prezentuje budynek. Nad przesuwными drzwiami wejściowymi wisiał świeżo namalowany szyld, który głosił: Klinika Położniczo-Ginekologiczna Ogino, a na prawo od drzwi była przymocowana tabliczka ze słowami Lekarka Ginko Ogino.

Wystarczyły te dwa napisy, by skromny dom zamienił się w przybytek nauk medycznych. Nie był duży, lecz budził zaufanie.

Ginko przyglądała się swej klinice, uradowana, że wreszcie nadszedł ten dzień. Mogłaby tak stać i patrzeć bez końca. *To jest mój zamek.* Zamknęła oczy i szybko otworzyła, jakby chciała sprawdzić, że nie śni. To jej klinika, a ona jest naczelnym lekarzem. Jej marzenie nareszcie się spełniło.

Żałowała tylko jednego - że nie może jej pokazać matce. *Co by powiedziała?*

Wieczorem Ginko wydała w restauracji przyjęcie. Zaprosiła wszystkich, którzy jej wcześniej pomagali. Były jej przyjaciółki Ogie Matsumoto i Shizuko Furuichi, nauczyciele Mannen Matsumoto i Yorikuni Inoue, był profesor Nagai z Tokijskiej Szkoły Normalnej dla Kobiet, rektor Takashima z Kojuin, wysoki urzędnik państwowy Tadanori Ishiguro, jej dobroczyńca Kaemon Takashima i inni. Po raz pierwszy



spotkali się pod jednym dachem.

- Dziękuję wam za wszystko. Zrobię, co w mojej mocy... -  
Wzruszenie odebrało jej głos, więc nie potrafiła powiedzieć. To było  
ukoronowanie dotychczasowego okresu jej życia.

Tokijczycy są znani z ciekawości i zamilowania do rzeczy nowych.  
Następnego ranka, jeszcze przed godziną otwarcia, pod drzwiami kliniki  
ustawiła się kilkunastoosobowa kolejka. To był dobry początek.

W niedzielę pielęgniarka Moto Kodama wyszła zamieść przed  
progiem i wróciła pędem.

- Pani doktor, ktoś pisał na ścianie!

- A co takiego?

- Hm... - Nie chciała powiedzieć. Odwróciła się i poszła z powrotem.  
Ginko, która właśnie wstała, szybko związała włosy, ubrała się i poszła za  
nią.

„Właścicielka tego domu to krwiożercza rozpustnica”. Tymi  
słowami były zabazgrane wszystkie ściany, a na jednej ktoś namalował  
jeszcze karykaturę Ginko ze skalpelem w dłoni i demoniczną twarzą  
częściowo zasłoniętą rozczochranymi włosami.

- Wyczyść to. - Ginko powiedziała tylko tyle i wróciła do domu.

Malunki zostały dokładnie usunięte, lecz dwa dni później pojawiły  
się nowe. „Gdy kobieta mierzy ci puls, koniec blisko. Leczenie to nie  
zajęcie dla kobiety!”.

- Mam wezwać policję?

- Nie warto.

- Ale to okropne, gdy się pomyśli, że w środku nocy przychodzi tu  
jakiś obcy i to robi.

- Będziemy usuwać wszystko, co znajdziemy na ścianach.

Czynienie wokół tego hałasu tylko by dało temu człowiekowi  
satisfakcję, bo jemu o to chodzi. Z uprzedzeniami można sobie poradzić

w jeden sposób: przetrzymać. - Właśnie tak dawała sobie radę z prześladowaniami i trudnościami w Kojuin. Poza tym na walkę z jakimiś bazgraczami nie miała czasu.

Kiedy się okazało, że Ginko dostała zezwolenie, gazety się prześcigały w pochwałach. Jednak wkrótce pojawiły się artykuły, których autorzy nie byli już tak pewni, że kobiety się nadają do zawodu lekarza. Do dyskusji włączyli się swymi listami czytelnicy. Większość zgadzała się z tradycyjnym poglądem, że kobiety nigdy nie będą dobrymi lekarzami. Ginko odpowiedziała na to w czasopiśmie poświęconym sprawom kobiecym:

*Kobiety się do zawodu lekarza nadają; więcej - one się do niego nadają szczególnie. Japońscy lekarze mężczyźni powinni się wstydzić poniżającego sposobu, w jaki badają pacjentów. Talenty Japończyka znacznie lepiej pasują do pola bitwy.*

Owa wypowiedź przekonała wówczas wiele osób mających wpływ na opinię publiczną. Nowatorski sposób myślenia Ginko wywarł na nich wrażenie. Ta walka toczyła się jednak na łamach gazet. Ci, którzy potrzebowali leczenia, nie mogli sobie pozwolić na zastanawianie się, czy kobiety powinny być dopuszczone do zawodu lekarza, a nawet mierzyć puls mężczyznom.

Na terenie Yushimy znajdowały się jeszcze tylko dwie inne kliniki, więc było za mało lekarzy, żeby pacjenci mogli ich sobie wybierać. W rejonach śródmiejskich, zamieszkanych przez kupców i prostych ludzi, temat wyższości mężczyzn nad kobietami nie był przedmiotem gorących dyskusji i w niewielkim stopniu przeszkadzał Ginko w prowadzeniu praktyki lekarskiej.

W miesiąc po otwarciu klinika Ogino pękała w szwach. Ginko była zaskoczona powszechnością chorób wenerycznych. Miała wrażenie, jakby kobiety, które dotychczas cierpliwie znosiły ich objawy, teraz zgłosiły się

do niej wszystkie naraz. Każdego ranka poczekalnia była pełna pacjentek o bladej cerze, charakterystycznej dla rzeżączki. U niektórych choroba posunęła się tak daleko, że miały kłopoty z chodzeniem. Znając ich cierpienie, Ginko badała je delikatnie, lecz dokładnie.

W tamtych czasach lekarze cieszyli się niezwykłym autorytetem i wysoką pozycją społeczną, a lekarze mężczyźni znani byli z tego, że przepytawali pacjentów w poniżający sposób. Ginko traktowała pacjentki z szacunkiem i rozmawiała z nimi uprzejmie. Była mała i drobna i bardziej przypominała córkę sąsiadki niż kogoś, kto zdał egzamin państwowy. Gdy słuchała i ze współczuciem kiwała głową, pacjentkom było łatwiej mówić i często opowiadały nie tylko o objawach choroby, lecz także o wszystkich sprawach domowych.

Szyld na wejściu jasno mówił, że jest to klinika położniczo-ginekologiczna, jednak z czasem w poczekalni zaczęli się pojawiać mężczyźni z różnymi obrażeniami.

Pewnego popołudnia pielęgniarka delikatnie przypomniała potężnemu robotnikowi z rozciętym palcem, dla kogo jest to miejsce, lecz ten grubym głosem odparł:

- Wszystko mi jedno! Lekarz to lekarz. O, jak mi krew leci - i podetknął jej palec pod nos.

- Na pewno pana przyjmie, ale proszę mieć na względzie pacjentki i cierpliwie czekać.

- O co chodzi? Niech pani tylko poprosi panią doktor, żeby to zobaczyła. - Rzeczywiście potrzebował pomocy, lecz był też ciekaw lekarki. Po doświadczeniach z opryszkami w Kojuin Ginko nie bała się leczyć mężczyzn. Była ładna, w kimonie i czarnym fartuchu wzbudzała respekt. Na sam jej widok mężczyźni mogli zapomnieć o bólu.

- Co się stało? - zapytała, kiedy wszedł do gabinetu.

- Skaleczyłem się siekierą.

- Zdezynfekuję palec, a potem go zszyjemy. - Szybko umyła ręce i wzięła w drobną dłoń wielkie łapsko mężczyzny. - To będzie trochę szczypało - dodała i poliała ranę alkoholem.

- Au! - Pacjent wrzasnął z bólu, ale Ginko się tym nie przejęła.

- Teraz założę trzy szwy. To potrwa tylko kilka chwil, więc znieczulenie nie będzie potrzebne. Musi pan wytrzymać.

- Pani to tak po prostu zszyje?

- Trochę zaboli, potem będzie dużo lepiej niż po narkozie.

W tamtych czasach znieczulenie na ogół oznaczało wdychanie chloroformu w celu spowodowania utraty przytomności. Pacjent czuł bardzo przykre sensacje, dopóki nie zasnął, i później, aż ustąpiły skutki uboczne. Jeśli miał w żołądku pożywienie, groziło mu niebezpieczeństwo uduszenia.

- No dobrze, tylko niech się pani stara zrobić to delikatnie.

- Oczywiście. Ale proszę nie patrzeć, jak będę szyła. - Powiedziała to niespodziewane surowym głosem i mężczyzna szybko zamknął oczy. Zaczynał pojmować, pewnie ku swojemu rozczarowaniu, że tej pani doktor nie można lekceważyć.

Ginko podwinęła rękawy, zdezynfekowała sobie dłonie i ujęła w palce igłę.

- Teraz proszę powoli liczyć. Skończę, zanim pan dojdzie do trzydziestu. - Kiwnął głową, a Ginko wbiła mu igłę w skórę.

- Au!

- Niech pan nie rusza ręką!

- Aaa! - Próbował wyrwać dłoń, lecz silna, korpulentna pielęgniarka trzymała ją mocno. Czubek palca to wrażliwe miejsce i zszywanie go bez znieczulenia jest bolesne. Pacjent w roboczym ubraniu zrobił się blady jak ściana, jęczał, pocił się i kłął. Po mężczyznach, a zwłaszcza tokijczykach, oczekiwano wytrzymałości na ból, więc na pewno starał się ze wszystkich

sił powstrzymać łzy, mimo to jednak kilka wy dostało się spod zaciśniętych powiek.

- Mówiłam, żeby się pan nie ruszał!

- Dobrze! Oj!

- Nie ruszać się! - Jego krzyki i ostre polecenia Ginko musiały przestraszyć pacjentów w poczekalni. Dwaj mężczyźni, którzy mu towarzyszyli, wymienili nerwowe spojrzenia.

- Teraz następny szew. - Gładko przebiła igłą skórę i przeciągnęła grubą nić. Mężczyzna skulił się z bólu. - Proszę jeszcze raz wyprostować palec.

Ginko nie wahała się ani przez moment, wręcz sprawiała wrażenie, że się dobrze bawi. Chwilami na jej twarzy zamiast pocieszającej pojawiała się figlarna mina. Oczywiście nie zdawała sobie z tego sprawy. Przez głowę przemknęła jej myśl: *Chociaż jestem kobietą, nie przeszkadza mi widok krwi. Może powinnam była zostać chirurgiem?*

Takie zdarzenia tylko umacniały jej wiarę we własne umiejętności.

Wśród pacjentek Kliniki Ogino była Sue Imura, żona Kokichiego Imury z Naka-Okachimachi. Na karcie miała wpisane dwadzieścia trzy lata, lecz ze swą bladą, pełną udręki twarzą wyglądała na niemal trzydzieści. Na pierwszą wizytę przyszła z chłopcem w wieku siedmiu albo ośmiu lat.

Z jej opisu symptomów trapiącej ją choroby jasno wynikało, że to rzeżączka, lecz Ginko chciała się upewnić. Sue bez najmniejszego wahania wdrapała się na stół.

- Nie pierwszy raz przychodzi pani z tym do lekarza, prawda? - zapytała ją Ginko po badaniu. Sue przytaknęła i poprawiła ubranie. - Kiedy jest gorączka, trzeba odpoczywać - pouczyła pacjentkę, nie mając pewności, czy ta słucha, bo przytulała syna, który wcześniej cierpliwie siedział w poczekalni. - Jeśli się pani nie będzie oszczędzać, choroba

obejmie całe podbrzusze.

- Ostatni raz wydobrzałam w dziesięć dni. - Widać było, że sobie nie zdaje sprawy, iż ją atakują kolejne fale tej samej niewyleczonej choroby.

- Kiedy pani choruje, odpoczynek jest niezbędny. W przeciwnym razie lekarstwo w ogóle nie skutkuje. Po powrocie do domu proszę ochłodzić zainfekowane miejsce zimną wodą, a później się położyć. - Sue nic nie mówiła. Patrząc na tych dwoje, Ginko sobie uświadomiła, że pewnie warunki życia nie pozwolą Sue leżeć w łóżku. - I proszę pamiętać o lekarstwie.

- A ile ono będzie kosztować? - Uwaga o lekarstwie wyraźnie ją zaniepokoiła.

- Dawka na pięć dni dwadzieścia pięć senów. - To było pół normalnej ceny.

- Wezmę na trzy - odpowiedziała po chwili namysłu Sue.

- Może mi pani zapłacić później. Proszę wziąć na pięć dni. - Na karcie Ginko napisała „Bez opłaty”. - I proszę pamiętać: chore miejsce musi być utrzymywane w czystości i trzeba jak najwięcej odpoczywać.

- Dziękuję. - Sue się ukloniła, chwyciła synka za rękę i wybiegła.

Pod względem finansowym Ginko nadal nie było łatwo. Musiała spłacić pożyczkę od pana Takashimy, chciała też jak najszybciej oddać Tomoko przynajmniej część pieniędzy, które od niej dostała. Miała również niewielki dług u Ogie i u rodziny Arakawów, gdzie wcześniej uczyła. Nikt z tych ludzi nigdy nie stawiał w związku z pożyczkami żadnych warunków, mówili tylko „Oddasz, gdy zdołasz”, co tym bardziej świadczyło o ich życzliwości.

Nie wszyscy pacjenci Gin należeli do ludzi dobrze sytuowanych. Yushima leżała między zatłoczonym śródmieściem a posiadłościami dzielnicy Yamanote i w klinice pojawiali się robotnicy, uliczni handlarze i muzykanci, a nawet żebracy, jak też żony i kochanki bogatych kupców.

Najubożsi rzadko chodzili do lekarzy - stosowali środki dostępne bez recepty. Lecz nawet oni czasem decydowali się na poradę medyczną, zwłaszcza jeśli wiedzieli, że lekarzem jest kobieta, i to miła, która w dodatku nie wybiera pacjentów. Sue Imura, żona biedaka, wyruszając do kliniki Ginko, z pewnością zabrała ze sobą wszystkie pieniądze, jakie miała.

Pomimo niewyobrażalnie wysokiego statusu społecznego, jakim cieszyli się lekarze w epoce Meiji, do Ginko świetnie pasowało popularne niegdyś powiedzenie, że medycyna jest sztuką życzliwości. W owych czasach nie obowiązywały ustalone opłaty za badanie czy wystawienie recepty, a nieuczciwi lekarze mogli mieszaninę mąki z odrobiną krochmalu przedstawiać jako „własnoręcznie sporządzony specjalny preparat”. Nie istniały przepisy, które by uniemożliwiały oszustwa i pobieranie horrendalnych opłat.

Przeciwieństwem takich lekarzy byli ci, którzy ubogich traktowali dobrze, mówili „Z zapłatą może pan poczekać do lata” i potrafili nie wziąć pieniędzy za leki. Tacy zdarzali się bardzo rzadko, lecz wieść o nich szybko się rozchodziła. Prości ludzie mieli wielu znajomych, więc przekazywanie informacji z ust do ust było najskuteczniejszą formą reklamy. Licząc się z tym, niektórzy lekarze nawet celowo obniżali ceny.

Dziś trudno sobie wyobrazić, jaki respekt wzbudzali lekarze w epoce Meiji. Choćby pacjent miał największą gorączkę, na wieść o przybyciu lekarza siadał, rozpinał odzież i z szacunkiem czekał na jego wejście do pokoju. Pokonując zawroty głowy, witał go z zachowaniem wszelkich form, a w czasie mierzenia pulsów pochyłał głowę. Aura otaczająca lekarzy nie zachęcała do rozmowy, więc pacjenci nie zadawali pytań, tylko wykonywali polecenia: „Proszę się odwrócić tyłem. Teraz stanąć bokiem. Dobrze, wystarczy”. Czasem dopiero po wyjściu lekarza uświadamiali sobie, że nic nie powiedział na temat objawów czy leczenia.

Rodziny chorych też bardzo się starały, żeby lekarzowi w niczym nie uchybić. W tamtych czasach lekarz bardziej przypominał boga niż człowieka.

Ginko była inna. Jej uprzejmość nie wynikała z kaprysu ani z chęci przypodobania się. Mając do czynienia z pacjentem, zawsze pamiętała, jak się czuje chory człowiek. Zachowywała się naturalnie. Była to empatia kogoś, kto wie, co znaczy cierpienie.

Chorych spotkanych w mieście pozdrawiała. Pacjentki, widząc, że nadchodzi, przygotowane na to, że ją po prostu miną, były zaskoczone, gdy je zatrzymywała, żeby porozmawiać.

- Jak się pani teraz czuje? Bierze pani lekarstwo?

- Tak. Dziękuję, czuję się dużo lepiej.

- Cieszę się. Proszę się jednak jeszcze oszczędzać.

- Postaram się. Bardzo dziękuję.

Jeszcze w połowie epoki Meiji lekarze zazwyczaj poruszali się palankinami bądź rikszami, więc spotkanie swojego doktora na ulicy należało do rzadkości. Dla większości ludzi Ginko była pierwszym lekarzem, którego można było zobaczyć w mieście podczas robienia zakupów i który się witał z pacjentami. Jej sława rosła z dnia na dzień. Ginko ciężko pracowała. Od dziewiątej rano do ósmej wieczorem przyjmowała pacjentów w klinice i odwiedzała ich w domach.

Od kiedy Sue Imura zapłaciła za lek na trzy dni, a dostała dawkę na pięć, minęło dziesięć dni.

- Nie powinna pani pozwalać pacjentom płacić później - zrzędziła pielęgniarka Moto, porządkując karty. - Jak tylko ją zobaczyłam, od razu wiedziałam, że już nie wróci.

- Na pewno ma dużo pracy i przyjdzie, jak się ze wszystkim upora. - Ginko starała się ją uspokoić, chociaż sama się nie spodziewała, żeby Sue wróciła, a nawet gdyby tak się stało, nie zamierzała brać od niej



pieniędzy.

- Nie można wciąż tak robić - upierała się pielęgniarka. - One wszystkie są pani winne pieniądze - pokazała plik kart. Wiele pacjentek miało dług od kilku miesięcy, niektóre się przeprowadziły i nie było z nimi kontaktu. Działo się tak wbrew staremu porzekadłu, że komu jak komu, ale lekarzowi trzeba płacić w terminie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy będzie potrzebny.

- Bardziej mnie to martwi, że brała lek tylko przez pięć dni. Za krótko. Ciekawe, jak ona się czuje. - Ginko było żal tej kobiety. *Z pewnością by przyszła, gdyby miała pieniądze.*

- Żona handlarza ryżem z Mannencho mieszka niedaleko niej. Powiedziała mi, że ona jest *yomiuri* na Asakusie. - *Yomiuri* byli to ludzie stojący na ruchliwych ulicach i recytujący wiersze na temat bieżących wydarzeń. Próbowali zarobić na życie, sprzedając przechodniom zbiorki wierszy.

- Z mężem?

- Podobno z mężem i synem.

- Naprawdę?

- Rozmawiałam z ludźmi, którzy ją widzieli. Jej mąż recytuje wiersze, a ona podaje książki.

Myśl, że kobieta chora na rzeżączkę stoi z mężem i synem na ulicy była bolesna. Ginko miała pewność, że Sue i jej rodzina ledwie wiążą koniec z końcem i że lekarstwo to luksus, na który jej nie stać.

- Przede wszystkim nie powinnam była kazać jej płacić.

- Ale ona sama chciała zapłacić za trzy dni.

- Tylko dlatego, że zaproponowałam, żeby zapłaciła, ile może.

- Pani doktor, w ten sposób pani też nie zarobi na życie.

Pielęgniarka pewnie miała rację, lecz Ginko nie potrafiła żądać pieniędzy od ludzi, którzy nie mogli sobie pozwolić na takie wydatki.

Sama była wychowana w bogatym domu i prawdopodobnie dlatego nie miała głowy do interesów. Wiedziała też, że zmuszając Sue do płacenia, i tak się nie wzbogaci.

- Miała *geta* i nie takie złe ubranie - ciągnęła Moto. - Tacy ludzie zaczynają liczyć na to, że pani im pozwoli nie płacić. Musi pani być ostrożniejsza.

Ginko zdawała sobie sprawę, że Moto, która się wychowała w tej okolicy, wie więcej o jej mieszkańcach, ale trudno jej było zmienić sposób postępowania.

Jakby wiedząc o tej rozmowie, Sue Imura pojawiła się wieczorem w przychodni.

- Gdzie się pani podziewała? - ostro spytała Ginko. - Martwiłam się o panią. - Zawstydzona Sue spuściła głowę. Z rzadkimi, rozsypującymi się włosami i bladą cerą wyglądała jak poprzednio. - No dobrze, w czym mogę pani dziś pomóc?

- Chodzi o syna. - Sue popchnęła go do przodu. - Kiedy się rano obudził...

- Ojej! - Ginko gwałtownie nabrała powietrza. Powieki chłopca były czerwone i tak spuchnięte, że nie mógł otworzyć oczu. Z ich kącików na policzki płynęła ropa.

- Co się stało?

- Nic. Wczoraj wieczorem zaczął się skarżyć, że go bolą oczy, a w nocy płakał. - Sue mówiła tak cicho, że Ginko ledwo ją słyszała.

- Czy dotykała mu pani oczu?

Sue podniosła wzrok i przez chwilę się zastanawiała.

- Wczoraj mocno wiało i coś mu wpadło do oka, więc mu to wyjęłam.

- Kiedy to było?

- Po południu.

Ginko jeszcze raz spojrzała na chłopca. Płakał, bo przeszkadzało mu światło.

- Bądź dzielny, chłopcy nie płaczą - powiedziała błagalnym tonem. Umyła ręce i dotknęła mu powiek, a potem szybko udzieliła wskazówek jego matce. - Przemyję mu oczy. Proszę go wziąć na kolana. Musi go pani trzymać, żeby się nie ruszał.

Kiedy tylko zimny płyn dostał mu się pod powieki, chłopiec zaczął płakać jeszcze bardziej.

- Proszę pomóc go trzymać - zwróciła się do pielęgniarki.

Starając się nie słyszeć jego łkania, rozchyliła mu palcami powieki i przemyła oczy. Płyn z ropą płynął po policzkach. Spuchnięte zainfekowane powieki wyglądały od środka jak truskawki.

- Maść. - Szklanym pręcikiem delikatnie naniosła ją na wewnętrzną stronę powiek. - Na oczach musi mieć opaskę. Zrobię mu zastrzyk, a potem trzeba mu będzie dawać lekarstwo.

- Ale... - Sue chciała zaprotestować.

- Przykro mi, ale nie ma pani innego wyjścia.

Chłopiec nie przestawał płakać, ale tak opadł z sił, że było to tylko słabe zawodzenie. Gdy opaska znalazła się już na swoim miejscu, Sue niepewnie zapytała:

- Czy to tra... tra...

- Trachoma? Nie. Tak szybko pojawia się tylko *fugan*. - *Fugan* była to dawna nazwa rzeżączkowego zapalenia spojówek. - Zakaziła go pani swoimi rękami. Są na nich zarazki. Dlatego mówiłam, że musi pani dbać, żeby mieć zawsze czyste ręce.

Sue spojrzała sobie na dłonie. Było na nich dużo więcej zmarszczek, niżby się można było spodziewać u dwudziestoparolatki. Miała minę, jakby nie mogła uwierzyć, że nosi na rękach aż tak groźne zarazki.

- Dam pani lekarstwo do robienia kompresów. Proszę mu je

przykładać tak często, jak tylko pani będzie mogła. A ten lek musi koniecznie brać cztery razy na dobę, co sześć godzin. Zrozumiała pani? Inaczej oślepnie.

W oczach Sue pojawiło się przerażenie.

- Nie mówię tego tylko po to, żeby panią przestraszyć. To jest bardzo poważna choroba i mnóstwo ludzi straciło przez nią wzrok. - Błona śluzowa jest bardzo wrażliwa na bakterie rzeżączki. Ludzie je przenosili, trąc oczy rękami, którymi wcześniej dotykali innych zakażonych części ciała. - Rozumie pani?

Sue jedynie kiwnęła głową. Siedziała z półotwartymi ustami, wstrząśnięta perspektywą ślepoty syna.

- A teraz proszę powiedzieć, jak pani się czuje. - Ginko zmieniła temat.

Sue milczała.

- Jak pani zdrowie?

Spuściła oczy niczym besztane dziecko. Długie rzęsy rzuciły cień na blade policzki.

- Często pani susia? No, proszę się odezwać. Wciąż czuje pani ból, tak?

Ledwie dostrzegalnie kiwnęła głową.

- Czy w moczu widać coś, co może być ropę?

Sue zastanowiła się chwilę i pokręciła głową.

- Naprawdę trzeba odpoczywać. I też dam pani lekarstwo. Proszę pamiętać, żeby je brać.

Sue spojrzała przestraszonym wzrokiem.

- To wszystko, co mam. - Zza kołnierza znoszonego kimona wyjęła dwie monety dziesięciosenowe. Gdyby nie chodziło o syna, sama by do Ginko nie przyszła.

- Nie trzeba. O pieniądze niech się pani nie martwi i koniecznie

proszę przychodzić regularnie. Jutro musi pani przyjść z synem.

Sue przytaknęła, wzięła syna za rękę i powłócząc nogami, wyszła z gabinetu. Pielęgniarka Moto odprowadziła ich wzrokiem, ciężko westchnęła, pokręciła głową i poprosiła następnego pacjenta.

Ginko myślała o nich z niepokojem aż do wieczora. Gdy w południe następnego dnia przyszli do kliniki, poczuła ulgę. Lewa powieka wyglądała lepiej, ale prawa nadal była mocno spuchnięta i chłopiec nie mógł otworzyć oka. Jednak nie płakał, gdyż ból spowodowany stanem zapalnym zelżał.

- Czy pamięta pani, że zawsze ma mieć zimny okład?

Sue zrobiła minę, która równie dobrze mogła być potwierdzeniem, co zaprzeczeniem. Gdyby poświęciła cały dzień na opiekę nad synem, nie mogłaby stać z mężem na ulicy, żeby zarabiać na utrzymanie. Czy zostawiła go w domu samego? Ginko chciała jej zwrócić uwagę, że chłopcem trzeba się opiekować, bo jest poważnie chory, ale czuła, że ma prawo jedynie powiedzieć, że jego oczy wymagają stale zimnych kompresów. Cała ta sytuacja napawała ją smutkiem.

Sue i jej syn posłusznie przychodzili do kliniki przez cztery kolejne dni. Później przestali. Sue zapłaciła do tej pory dwadzieścia senów i nadal była winna Ginko za pierwszą wizytę. W prawym górnym rogu jej karty pielęgniarka Moto napisała: „Winna dwadzieścia pięć senów”.

- Pani Imura się ostatnio nie pokazuje? - Ginko starała się poruszyć ten temat jak gdyby nigdy nic, w nadziei, że usłyszy od Moto, że przyszła, gdy ona miała wizyty domowe.

- Tak, przychodzili tylko przez cztery dni. Ciekawa jestem, jak się czuje mały.

- Pewnie lepiej. - Ginko powiedziała to z optymizmem, którego wcale nie czuła. Chłopca czekała ślepotą, a stan Sue mógł się tylko pogorszyć. Nie potrafiła przestać o nich myśleć.

Chodząc następnego dnia po mieście, postanowiła pójść do ich domu, który stał w wąskiej uliczce w pobliżu świątyni Tokudaiji. Był to drewniany parterowy budynek podzielony na kilka mieszkań. Tłumek kobiet, które zgromadziły się przy studni, żeby uciągnąć wody na wieczorny posiłek, sprawiał, że zaułek wydawał się jeszcze węższy. Jedna z nich wskazała Ginko drogę. Papierowe drzwi były rozdarte, pod drzwiami stało wiadro i leżał niedbale rzucony czerpak do wody.

- Dzień dobry! - Ginko odsunęła drzwi i zawołała, ale nikt nie odpowiedział, więc zawołała jeszcze raz i czekała.

- Kto tam? - Z głębi domu odezwała się Sue. Jej głos brzmiał, jakby się właśnie obudziła.

- Czy tu mieszkają Imurowie?

- Tak. A kto to?

Ginko ujrzała cień zbliżający się do drzwi.

- Ach! - Zobaczywszy, kto przyszedł, Sue się skuliła i zaczęła pospiesznie wygładzać brudną halkę, w jaką była ubrana. Włosy miała potargane.

- Byłam w pobliżu z wizytą domową, więc pomyślałam, że wpadnę i zobaczę, jak się miewacie.

Sue milczała.

- Jak się pani czuje? - Ginko spojrzała na zlew obok wejścia prowadzącego do pomieszczenia z drewnianą podłogą; dalej, przez rozsunięte drzwi, widać było rozłożone posłanie. - A syn?

Sue wciąż nic nie mówiła.

- Jak jego oczy? Lepiej? - Sue uparcie milczała. - Jest w domu?

Nagle rozległ się niski męski głos:

- Hej! Co się dzieje? - Sue popatrzyła ze strachem w głąb mieszkania. - Kto tam jest? - Mężczyzna chyba był pijany.

- Czy to pani mąż? - Sue zamarła w bezruchu, po chwili podniosła

wzrok i kiwnęła głową. - A pani jest nadal chora? - Świadczyło o tym rozłożone w dzień posłanie i jej strój.

- Tak - wyszeptała.

W tym momencie mężczyzna krzyknął:

- Wracaj do łóżka!

Gin poczuła niepohamowaną wściekłość. Później sama nie wiedziała, skąd wzięła odwagę, by ku zaskoczeniu Sue i jej męża bezczelnie wtargnąć do ich domu.

- Czy pan jest mężem Sue?

- A pani to kto, do diabła? - Leżał na posłaniu, tylko w przepasce na biodrach. Gdy nagle zobaczył Ginko, usiadł zaskoczony.

- Nazywam się Ginko Ogino. Jestem lekarką z Yushimy.

Mężczyzna wytrzeszczył oczy i otworzył usta.

- A to moja pacjentka. - Ginko wskazała Sue, która osunęła się na podłogę, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Wezwałaś ją? - Sue pokręciła głową.

- Przepraszam, że się pojawiłam tak niespodziewanie. - Ginko rozejrzała się wokół, jakby zdała sobie sprawę, jak dziwnie musi wyglądać, stojąc przed tym prawie nagim mężczyzną.

- Czego pani chce?

- Pana żona jest chora. Ma rzeżączkę. To bardzo poważna choroba.

Wciąż siedząc, mężczyzna zaczął niezdarnie wkładać kimono.

- I ta choroba zaatakowała oczy pana syna. Grozi mu utrata wzroku.

- Tak pani mówi? - Kimono zwisało mu z jednego ramienia.

- Żona i syn są ciężko chorzy. Jak pan może tak się lenić w biały dzień? - Mężczyzna nie odpowiedział, ale był wyraźnie zirytowany. - Zamiast pracować, pan pije i leży w łóżku. Co z pana za ojciec?

Mężczyzna nagle spojrzął na kogoś za jej plecami.

- To nie pani interes! Wynocha! - wrzasnął.

Ginko odwróciła się i zobaczyła twarze sąsiadów zgromadzonych u otwartych drzwi. Ze wstydu za swą nierozwagę oblała się rumieńcem. Cichszym głosem dodała:

- Proszę tylko, żeby się pan zaczął zachowywać jak ojciec.

Mężczyzna zaniemówił z wściekłości.

- A na panią czekam jutro w klinice! - powiedziała do Sue wciąż siedzącej na podłodze i pospieszenie wyszła. Sąsiedzi się odsunęli, kiedy ich mijała, a potem za nią patrzyli i kiwali głowami. Szybkim krokiem ruszyła do głównej ulicy.

Wiść o tym wydarzeniu rozniosła się błyskawicznie po okolicy. Jedni Ginko chwalili: „To dopiero lekarka!” i „Ale mu wygarnęła. Teraz będzie musiał się zmienić!”. Inni byli w stosunku do niej krytyczni: „Co za tupet! I to kobieta!”.

Ginko tymczasem udawała, że nic o owym zamieszaniu nie wie. Pielęgniarce Moto i innym pracownikom powiedziała tylko:

„Zły mąż to nieszczęście dla żony” i „Jeszcze nie widziałam takiego lenia”, a potem „Mężczyzn trzeba mieć na oku. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą zaszkodzić!”. Kiedy niespodziewanie zdała sobie sprawę, że mówi na podstawie własnych przeżyć, umilkła.

Sue przysła z synem następnego dnia, tak jak jej kazała. Innych pacjentów było w tym czasie niewielu. Ginko przeprosiła za najście. Nie dlatego, że uważała, iż zrobiła coś złego, lecz ponieważ czuła, że powinna przeprosić, zanim zacznie badanie.

- Nic się nie stało. - Sue nie potrafiła powiedzieć nic więcej.

- No to popatrzmy. - Chłopiec kurczowo trzymał się ręki matki. Bez dalszych wstępów Ginko pociągnęła go ku sobie. - Pokaż prawe oko.

Gdy je zobaczyła, wstrzymała oddech. Opuchlizna ustąpiła i mógł je otworzyć, lecz pokrywająca je błona była szara.

- Spójrz tutaj. - Ginko zbliżyła mu do prawego oka wyciągnięty ku



górze palec. Chłopiec przekreślił głowę w bok, jakby próbował go znaleźć, i spojrzał na palec z ukosa.

Prawe oko jednak ani drgnęło.

- A teraz tutaj. - Przesunęła palec w lewo. Chłopiec wolno poruszył głową. Prawe oko nadal się nie ruszało. Bakterie rzeźączki zniszczyły rogówkę.

- Nie widzi. Stracił wzrok w prawym oku. - Sue chyba wreszcie zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. Spojrzała na syna. - Co ma pani zamiar teraz zrobić? Doszło do tego, bo przestała go pani przyprowadzać. - Ginko wiedziała, że złoszczenie się na Sue nie pomoże, ale nie potrafiła się zmusić, żeby nic nie mówić. - Pani i mąż jesteście jego rodzicami. To wasza wina.

- Czy z tego oka już nic nie będzie?

- Oczywiście, że nie. Już za późno, żeby się je dało uratować. - Chłopiec, wystraszony ostrym głosem lekarki, ukrył twarz na matczynych kolanach. Sue objęła go i zwiesiła głowę. Widok tych dwojga tulących się do siebie jeszcze bardziej rozzłościł Ginko.

- Ten chłopiec będzie do końca życia ślepy. Przez panią! - Na czoło wystąpiły jej żyły, oczy rozbłysły. - Jak pani może uważać się za matkę? Pani go urodziła, ale... Zabrakło jej słów. Bezsilnie potrząsnęła głową.

- Pani doktor... - starała się ją uspokoić pielęgniarka.

- Musi pani!... - Ginko próbowała mówić dalej, ale zapomniała, co chciała powiedzieć.

- Musi pani robić, co każe lekarz - dokończyła za nią pielęgniarka Moto, chcąc załagodzić sytuację.

Sue i jej syn trzymali się kurczowo jedno drugiego, jakby walczyli z burzą, jednak złość lekarki minęła tak samo nagle, jak się pojawiła. Wyczerpana, Ginko opadła na krzesło. Ogarnęło ją poczucie osamotnienia.

- Pozwólmy pani doktor popatrzeć jeszcze raz. - Pielęgniarka wzięła chłopca delikatnie za rękę i podprowadziła go do Ginko.

Ginko już żałowała ataku wściekłości. Było to zachowanie niegodne człowieka dorosłego, a tym bardziej lekarza. Nie wiedziała, że jest do czegoś takiego zdolna. Nie bardzo pamiętała, co powiedziała ani co zrobiła. Teraz, gdy burza ucichła, znów była lekarką badającą pacjenta, kimś zupełnie niepodobnym do rozwścieczonej kobiety, jaką była parę chwil wcześniej. Zamknęła oczy. *Co mnie opętało?*

- Pani doktor, proszę...

Na dźwięk głosu pielęgniarki otworzyła oczy. Chłopiec siedział cierpliwie na taborecie, jego matka ukryła twarz w dłoniach. Ginko nie miała pewności, czy uszkodzenie oka jest nieodwracalne.

- Może się uda przywrócić mu wzrok częściowo. - Powiedziała to łagodnym głosem, jakby przeprasząc za niedawną złość, lecz Sue się nie odezwała. Ginko opatrzyła chłopcu oko i zwróciła się do jego matki: - Teraz zbadam panią.

Sue podeszła do stołu, rozwiązała szarfę, którą była przepasana, i powoli się nań wspięła. Sama podciągnęła rąbek kimona i zgięła nogi. Zakazane miejsce znów było zaognione.

- Nie wolno pani współżyć z mężem - ostrzegła ją Ginko.

Przypuszczała, że choroba Sue ma ścisły związek z owym półnagim mężczyzną, którego widziała poprzedniego dnia.

Przez następne dziesięć dni Sue posłusznie przychodziła razem z synem do kliniki. Za każdą wizytę płaciła. Ginko była ciekawa, co się dzieje z jej mężem, ale wiedziała, że nie powinna pytać, bo to nie jej sprawa. Stała troska przyniosła efekt: chłopiec zaczął trochę widzieć i wyglądało na to, że oko jednak da się wyleczyć. Również stan Sue zaczął się poprawiać, bo infekcja złagodniała.

Pora deszczowa dobiegła końca. Dla kliniki Ginko zaczęło się

pierwsze lato.

- Proszę często zmieniać bieliznę, jeśli się pani poci, a zakażone miejsce utrzymywać w jak największej czystości. I przez cały lipiec żadnych stosunków seksualnych.

Sue potrafiła już patrzeć Ginko w oczy i potakiwać, gdy ta do niej mówiła. Ginko czuła ulgę. Bardzo zakłopotana swym bezceremonialnym wtargnięciem do jej domu, teraz była zadowolona, gdyż widziała, że przyniosło to dobry skutek.

W połowie lipca Sue nie przyszła do kliniki przez trzy kolejne dni. Ginko pomyślała, że może wróciła do pracy albo nie chciało jej się wychodzić z domu z powodu upału. Tak czy owak, była zadowolona, że stan pacjentki się poprawił. Dopóki Sue dbała o higienę, infekcja nie dawała jej się we znaki.

Czwartego dnia Sue pojawiła się w klinice.

- Nic się nie zmieniło, prawda?

Sue spojrzała w bok i lekko kiwnęła głową.

- Coś się stało?

- Nie.

- No to zobaczmy. - Ginko wskazała jej stół do badania. Sue wyglądała na zdenerwowaną. Zawahała się, lecz się przemogła i weszła na stół. Wcześniej zawsze robiła to bez zastanowienia, teraz poruszała się niechętnie.

- Proszę zgiąć nogi. - Ginko wreszcie przywykła do wydawania takich poleceń. - Jeszcze trochę.

Białe uda Sue drżały, kiedy je rozchylała.

- Jeszcze bardziej... - Ginko nagle zamilkła. Cztery dni wcześniej zainfekowane miejsce było prawie zupełnie suche. Teraz było czerwone, zaognione i pojawiła się zielona wydzielina. - Co się stało?

Sue zacisnęła uda.

- Sue! - Ginko starała się zachować spokój. - Dziś jest dużo gorzej.

Sue milczała.

- Jesteśmy w punkcie wyjścia. - Spojrzała na twarz Sue, która tylko szybko mrugała, ciężko oddychając.

Ginko oczyściła chore miejsce i posmarowała je lekarstwem. Sue poprawiła kimono i wróciła na taboret, zerkając na lekarzkę. Ginko umyła ręce i usiadła za biurkiem. Na karcie pacjentki napisała: „Zaczerwienienie, lekkie owrzodzenie, wydzielina”, a następnie spojrzała na Sue.

- Dlaczego nie chce pani powiedzieć, co się stało? - Chciała się dowiedzieć, dlaczego infekcja się tak bardzo nasiliła. Czy Sue nie dbała o higienę? Może zmalała jej odporność? A może... Spojrzała na Sue. - Nie dotrzymała pani obietnicy, prawda?

Zaskoczona Sue podniosła głowę i szybko ją opuściła.

- Proszę mi powiedzieć prawdę!

- Przedwczoraj... - zaczęła Sue.

- Przecież mówiłam, że musi pani poczekać do końca miesiąca.

Sue znów podniosła głowę i bezdźwięcznie poruszyła ustami.

- Słucham?

- Mąż... - Ginko ledwie słyszała jej głos.

- Co mąż?

- Powiedział, że musi.

- Zmusił panią?

Sue powoli kiwnęła głową.

- Dlaczego mu pani nie odmówiła? Jest pani chora! Ile razy muszę to powtarzać?

- Ale...

- Ale co? Czy był jakiś inny powód?

- Minał już cały miesiąc. - Oczy Sue, na pół ukryte pod długimi

rzesami, były pełne smutku.

- Dlaczego nie mogła pani dotrzymać przez ten czas obietnicy? Zmusić go, żeby poczekał? - Ginko zdenerwował jej brak zdecydowania. - Jest pani kobietą. Kobieta powinna umieć się chronić!

Ginko przestała mówić, gdy dostrzegła spojrzenie Sue. Potargane włosy zasłaniały jej oczy, lecz widziała, że Sue na nią patrzy. Choć była besztana, nawet nie mrugnęła. W końcu Ginko zrozumiała.

- Nie o to chodzi, że nie mogła mu pani odmówić. Sama się pani nie mogła doczekać. Taką jest pani kobietą!

Sue milczała.

- Rezygnuję. Proszę robić, na co ma pani ochotę. - Ginko wreszcie dostrzegła drugie oblicze Sue, cyniczne i bezwstydne.

Klinika Ginko przyciągała również bogate żony kupców, a także niektóre gejsze i kochanki. Katsu Nakagawa była gejszą posiadającą piękny dom w pobliskim Ueno i kochanką właściciela magazynu portowego. Miała trzydzieści dwa lata, lecz ze swą jasną cerą i drobną figurą wyglądała na dwadzieścia pięć. Jej uroda mogłaby wskazywać na spokojną, delikatną naturę, lecz po latach spędzonych w kręgach poszukiwaczy uciech Katsu stała się energiczną kobietą o silnej woli.

Jedna z jej służących przyniosła do kliniki skrawek papieru, na którym było napisane: „Znowu boli. Czy mogę prosić o wizytę w domu?”. Ginko rano przyjmowała pacjentki w klinice, a do domów chodziła po południu. Czasem pracowała w klinice aż do czwartej, a nawet piątej, i wtedy po szybko zjedzonym posiłku szła do niedalekich domów piechotą, a do dalszych jechała rikszą.

Około połowy jej pacjentek miało rzeżączkę albo *shokachi*, czyli zakażenie pęcherza spowodowane chorobą weneryczną. Katsu należała do tych pierwszych.

- Wróciła - oznajmiła Katsu. - Zanim ostatnim razem całkiem

wydobrzałam, chodziłam po deszczu w Mukojimie. - Katsu miała rzeżączkę od dziesięciu lat, od kiedy tylko zadebiutowała jako gejsza, i traktowała to z rezygnacją, bez zdziwienia. - To jest jak statek, który co sześć miesięcy zawija do portu.

Ginko umyła zainfekowane miejsce i zaordynowała lekarstwo z olejku sandałowego i mącznicy lekarskiej. Gdy już je przygotowała, Katsu, jakby sobie nagle coś przypomniała, zadała jej pytanie:

- Zagoi się do końca miesiąca, prawda? - Do końca miesiąca zostało sześć dni. Chociaż było to tylko zaostrzenie chronicznej choroby, z pewnością wymagało więcej niż sześciu dni, żeby się mogło cofnąć. - Zrobi pani coś, żeby tak się stało?

- Planuje pani podróż?

- Nie, nie... - Katsu rzuciła Ginko kokieteryjne spojrzenie. - No przecież na pewno pani wie, o co chodzi.

Ginko zrozumiała, że to musi mieć coś wspólnego z mężczyzną.

- Wraca z Osaki pierwszy raz od miesiąca.

- To o wiele za wcześnie.

- Ale nie wystarczy, że...

- Proszę mu powiedzieć, że pani jest chora.

- On nie z tych, dla których „nie” to odpowiedź. Nie daruje mi, nawet jeśli mam gorączkę.

- To podłe.

- On nie jest normalny. Weźmie, po co przyjedzie.

- Czyżby przyjeżdżał tylko po to, żeby pani sprawić ból?

- Tak jest - przyznała Katsu. W oczach miała wesołe iskierki.

- No cóż, jeśli pani nie może mu odmówić, w takim razie ja to zrobię.

- Nie, bardzo proszę! Ostatnio przyjeżdża tylko mniej więcej dwa razy w miesiącu, więc tyle wytrzymam. - Mówiła, jakby to było całkiem

naturalne.

- Ale wtedy nie będzie poprawy, tylko jeszcze gorzej.

- Powinnam się starać, żeby miał, czego chce, kiedy do mnie przyjeżdża.

Ginko musiała przyznać, że Katsu ma rację. To był jej sposób zarabiania na życie. Jednak Ginko nie mogła znieść myśli, że ten człowiek, chociaż utrzymywał Katsu, traktował ją jak zabawkę.

- To nie jest choroba, z którą się pani urodziła. Zaraził panią mężczyzna.

- Wiem. Miałam osiemnaście lat i to był mój drugi.

- I od tamtej pory pani cierpi. Tyle dają mężczyźni! - Ginko chciała zachęcić tę niewinną kobietę, żeby winiła, kogo należało.

Katsu jednak nie straciła dobrego humoru.

- Kiedy się dowiedziałam, że jestem na to chora, płakałam z bólu i gorączki. I wtedy Tamamoto, stara gejsza, która już wróciła do Senju, wytłumaczyła mi, że to wszystko dla mojego dobra.

- Dlaczego?

- Bo - choć początkowo myśl o tym była bolesna - dzięki temu nie mogę mieć dzieci. Po miesiącu, kiedy już znowu mogłam się spotykać z klientami, kobieta, która prowadziła mój dom, wyprawiła mi uroczystość. Od tamtej pory faktycznie nigdy nie musiałam się martwić, że zajdę w ciążę.

Ginko oniemiała. Spojrzała Katsu w oczy. Były czarne i czyste. Nikt by nie pomyślał, że jest prostytutką, która spała z tyloma mężczyznami.

- Proszę mi pozwolić. Tylko tym razem.

- Jestem pewna, że nie potrzebuje pani mojego pozwolenia.

- To okrutne mówić mi, że bym nie robiła czegoś, co się wydaje takie dobre, nie sądzi pani? - żartobliwym tonem spytała Katsu.

Ginko umyła ręce i chwyciła torbę z lekarstwami.

- Z pewnością wie pani, o czym mówię, pani doktor? - Katsu oddała pożegnalny strzał.

Nie odezwawszy się ani słowem, Ginko ruszyła do drzwi.

- Pani doktor wychodzi! - krzyknęła Katsu. Przybiegła służąca i odprowadziła Ginko do wyjścia.

Na zewnątrz Ginko pomyślała, że po czarnym ogrodzeniu łatwo się można domyślić, że dom Katsu należy do czyjejs utrzymanki. Idąc wąską uliczką, nie czuła już litości ani oburzenia, lecz rozpacz i wewnętrzną pustkę.

Pod koniec lipca Ginko odwiedziła Yorikuniego. Od otwarcia kliniki minęły trzy miesiące, więc już przywykła do pracy i nabrała zawodowej sprawności, lecz emocjonalnie czuła się źle, wręcz gorzej, niż gdy rozpoczynała praktykę. Składała wizytę swemu nauczycielowi, żeby mu podziękować za udział w uroczystym otwarciu kliniki, ale chciała też przedyskutować z nim kilka gnębiących ją spraw.

Był upalny dzień, więc wzięła riksę. Wjeżdżając powoli na wzgórze, gdzie stał dom Yorikuniego, pomyślała o jego młodej żonie, która teraz musiała już mieć dziecko. Przed poprzednią wizytą, kiedy to nie została ani Yorikuniego, ani jej, nie chcąc wyglądać gorzej od niej, poświęciła godzinę na malowanie się i wybieranie stroju. Tym razem włożyła zwykłe czarne kimono i tylko lekko przypudrowała policzki i kąciki oczu, gdzie zaczynały się pokazywać zmarszczki. Teraz jestem lekarką - pomyślała. Czuła się pewnie bez względu na wiek i wygląd.

Yorikuni, zaskoczony niespodziewaną wizytą Ginko, powitał ją w drzwiach.

- To wspaniale, że przysłaś. Wchodź, wchodź. - Zamiast zawołać żonę czy służącą, sam zaprowadził ją do wyłożonego tatami pokoju, gdzie przyjmował gości. Zachowywał się teraz wobec niej inaczej. Przedtem była tylko studentką medycyny, teraz wykwalifikowaną lekarką, więc



traktował ją prawie jak równą sobie.

Gdy wymienili powitalne uprzejmości, rozsunęły się drzwi *shoji* i pojawiła się w nich kobieta.

- Pozwól, że ci przedstawię swoją żonę - powiedział Yorikuni.

Ginko powoli podniosła oczy.

- Mam na imię Chiyo. Cieszę się, że mogę panią poznać. - Żona Yorikuniego uklękła na tatami i uprzejmie się ukloniła.

- Jestem Ginko Ogino. Też się cieszę ze spotkania z panią. - Ginko odwzajemniła ukłon i szybko zmierzyła ją wzrokiem. Żona Yorikuniego była niska i drobna, wyglądała na mniej więcej trzydzieści lat i sprawiała wrażenie kobiety energicznej i inteligentnej.

Była ubrana w ciemne czerwonawobrazowe kimono, włosy miała upięte w duży kok. Jak na jej wiek, był to styl młodzieńczy.

- Mówiłem ci o niej - Yorikuni zwrócił się do żony. - To pierwsza lekarka w Japonii.

Słowa Yorikuniego sprawiły Ginko przyjemność, lecz skromnie spuściła głowę.

- Tak, mąż często o pani mówi.

Mąż - pomyślała Ginko. Gdyby przed laty przyjęła oświadczyzny Yorikuniego, to ona by tak nazywała tego potężnego łysiejącego mężczyznę. Uśmiechnęła się do własnych myśli.

- Coś cię śmieszy? - spytał Yorikuni z uśmiechem.

- Ależ nie. Ma pan śliczną żonę.

- Na co czekasz, Chiyo? Przynieś pani doktor Ogino owoców.

- Już. - Gdy Chiyo wstała, żeby wyjść z pokoju, pojawił się maluch na chwiejnych nóżkach. - Spójrzcie, kto przyszedł!

- Potrzymam go. - Yorikuni podniósł chłopca i posadził go sobie między skrzyżowanymi nogami.

- Pana dziecko.

- Tak, tak. Właśnie nauczył się chodzić i bez przerwy psoci.

- Podobny do pana.

- Tak wszyscy mówią. - Yorikuni szeroko się uśmiechnął. To dziecko, późne dziecko, musiało mu być szczególnie drogie. Już nie wyglądał jak surowy profesor. Ginko odwzajemniła uśmiech, choć w jej oczach cała ta scena była nieco dziwna.

Chiyo przyniosła zimną herbatę i pomarańcze i wyszła. Chłopiec został z ojcem.

- Wygląda na to, że świetnie sobie radzisz.

- Dzięki panu - odpowiedziała Ginko odruchowo.

- Lekarze mają szczęście. Ludzie są im wdzięczni, a oprócz tego im płacą. Trudno o lepszą pracę.

- Nie jestem pewna.

- Każdy, kto ma w swych rękach ludzkie życie, może liczyć na szacunek.

- Nie wiem. Zaczynam mieć wątpliwości.

- Nie rozumiem. - Yorikuni przystawił chłopcu do ust filiżankę z herbatą, a ten wypił ją jednym haustem.

- Okazuje się, że leczenie ludzi to przygnębiający zawód.

- Coś takiego!

- Lekarz niewiele może zrobić dla pacjenta.

- To nieprawda. Ludzie w potrzebie zawsze liczą na lekarza. Ileż to ludzi żyje dziś tylko dzięki lekarzom.

- Nie dzięki lekarzom. Życie człowieka zależy od jego odporności fizycznej i od środowiska. Lekarze tylko trochę pomagają.

- A jeśli ta pomoc ratuje pacjentowi życie?

- Bywa, że nawet tego nie mogę zrobić.

- Robisz wszystko, co możliwe.

- Robię, co się da, ale to za mało.

- Jesteś tylko jedna.

- Nie chodzi mi o brak lekarzy ani moje ograniczone siły. Mam na myśli to, że nie mogę zrobić niczego, jeśli pacjent do mnie nie przyjdzie. A nawet jak przyjdzie, nie zawsze się stosuje do moich zaleceń. Albo chce się stosować, lecz nie pozwalają mu na to inni.

- Rozumiem.

- Choćby to była najzwyczajniejsza, powszechnie spotykana choroba, zawsze się pojawiają komplikacje z powodu wszystkiego innego w życiu pacjenta. I to od tego zależy, czy zostanie wyleczony i czy będzie żył.

- Ale takie myślenie do niczego nie prowadzi.

- Wcale nie. W bardzo wielu przypadkach byłoby lepiej dla pacjenta ulepszyć jego otoczenie, niż zapewnić mu opiekę medyczną. Tak by było o wiele szybciej i skuteczniej.

Dziecko usnęło. Yorikuni delikatnie głaskał jego pulchną rączkę.

- Chodzi mi o to, że pilniejsze od rozwoju opieki medycznej są kwestie związane z biedą, systemem społecznym i tradycją. - To rzekłszy, Ginko podniosła filiżankę i napiła się herbaty.

- Ale czy za to ponoszą odpowiedzialność lekarze?

- Oczywiście, że nie. To problem ogólny, nie sprawa medycyny.

- Więc co zamierzasz zrobić? - Yorikuni powąchał chłopca śpiącego mu w ramionach. - Chyba coś czuję... Chiyo! - W korytarzu rozległy się pospieszne kroki. - Trzeba go przebrać.

- Już go zabieram. - Chiyo się nachyliła i w tym momencie mały się obudził i zaczął płakać.

- Wszystko dobrze, wszystko dobrze. - Yorikuni poklepał dłoń chłopca.

- Przepraszamy. - Chiyo wzięła synka na ręce i szybko wyszła.

- Dzieci są dziećmi nawet przy gościach. - Ginko ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że takiego Yorikuniego nie знаła. - Ale o czym to

rozmawialiśmy?

Ginko nie miała już energii, by mówić dalej.

- O problemach społecznych?

- Tak.

- Jesteś lekarzem! Nie powinnaś myśleć o takich rzeczach.

Kończąc herbatę, Ginko nie mogła się pozbyć uczucia żalu, że Yorikuni już nie ma woli ani determinacji, by dążyć do wyższych celów.

13.

Ograniczone możliwości medycyny i zniechęcenie, o którym mówiła Yorikuniemu, spowodowały, że Ginko zainteresowała się chrześcijaństwem i zaczęła chodzić do kościoła w Hongo. Pastorem był tam Danjo Ebina.

Wcześniej, w październiku 1884 roku, wysłuchała w teatrze Shintomi w Kyōbashi przemówień o chrześcijaństwie. Przedtem uważała, że jest to tajemnicza, odpychająca religia, która powstała za granicą i jej nie interesuje. W Tokijskiej Szkole Normalnej dla Kobiet było kilka chrześcijanek, ale inne studentki odnosiły się do nich z podejrzliwością i traktowały je niemal jak przedstawicielki odrębnej rasy, sama zaś Ginko nie miała do nich zaufania i nigdy nie nawiązała z nimi bliższych kontaktów. Poza tym była skupiona na zdobywaniu dobrych ocen i pokonywaniu kolejnego etapu na drodze do celu - licencji lekarza.

Na wykład w Shintomi poszła kilka tygodni po zdaniu pierwszego egzaminu. Pozostał jej jeszcze drugi, ale była dobrej myśli i zaczynała czuć odprężenie. Chrześcijaństwo wydawało jej się wówczas czymś nowym, zadziwiającym. Choć przyszła pół godziny przed czasem, ogromna widownia była pełna. Zaczęło się od muzyki organowej. Nigdy takiej muzyki nie słyszała. Brzmiała dostojnie. Następnie jeden po drugim wychodzili na scenę chrześcijanie i mówili o cudowności swej religii.

W końcu tematem wystąpień stała się ostra krytyka japońskiego systemu społecznego. Po wielu rodzimych mówcach głos zabrał niebieskooki cudzoziemiec. Mówił po japońsku. Ginko osłupiała, słysząc obcokrajowca, jednego z tych ludzi, których zawsze się obawiała, mówiącego w jej języku. Co więcej, okazało się, że zgadza się z każdym jego słowem. Szczególnie ją poruszyło stwierdzenie, że ludzie są dziećmi Boga. Bez względu na to, czy ktoś jest mężczyzną, czy kobietą i jaką pracę wykonuje, w oczach Boga wszyscy są równi. Choć wtedy zaledwie dotknęła chrześcijaństwa, surowa prawość mówców i podniosła atmosfera panująca w sali wprawiły ją w upojenie.

„Chrześcijaństwo to jedyna religia, która uznaje status kobiet. Szerzenie chrześcijaństwa umożliwi poprawę ich losu”, powiedziała po zakończeniu spotkania podekscytowana Shizuko Fumichi, którą Ginko zaprosiła. Sama wciąż czuła się jak we śnie. „Ta religia mogłaby się stać podstawą zmian w Japonii!”.

Słuchając Shizuko, Ginko ścisnęła w dłoni miniaturową Biblię, którą jej podarowano. Była pewna, że pod jej czarną okładką kryją się słowa mądre i odważne. Pełna zapału, nie zapomniała jednak o czekającym ją drugim egzaminie. Wróciła do książek, przygotowała się i go zdała, a potem natychmiast otworzyła praktykę. Od czasu do czasu przypominała sobie wysłuchane wtedy przemówienia i czytała Biblię. Druk był bardzo drobny, więc zaczęła ją przepisywać - żeby zapamiętać i żeby móc później łatwiej czytać. Gdy dobiegło końca jej pierwsze lato w zawodzie lekarza i zaczęła się przyzwyczajać do swej pracy, miała już całą Biblię przepisaną.

Był rok 1885. W tym właśnie roku powstał Japoński Kościół Kongregacjonalistyczny, który miał umożliwić prowadzenie ewangelizacji w całym kraju. W związku z tym należało dokonać znacznych zmian w dotychczasowej strukturze organizacyjnej, która obejmowała trzydzieści

jeden kościołów lokalnych, czterdziestu duchownych i 3465 wiernych. Kościół w Hongo, a właściwie nie tyle kościół, ile raczej punkt nauczania, był w odległości dziesięciu minut marszu od kliniki Ginko. W nowym systemie podlegał pastorowi Danjo Ebinie, który wcześniej świetnie sobie radził w Joshu, w dzisiejszej prefekturze Gunma.

W tamtych czasach japońscy protestanci dzielili się na trzy grupy. Jedna wywodziła się ze Szkoły Kaznodziejów w Jokohamie i popierała tradycyjną teologię, druga ze Szkoły Zachodniej w Kumamoto, która sprzyjała klasycznej tradycji japońskiej, trzecia zaś, składająca się z absolwentów Szkoły Rolniczej w Sapporo, miała silną orientację indywidualistyczną i w rezultacie przekształciła się w ruch „Bez Kościoła” Kanzo Uchimury. Łączyło owe grupy to, że ich członkowie pochodzili z samurajskich rodów, że stworzyły wyznanie będące połączeniem tradycji Wschodu i Zachodu oraz że kształciły licznych kaznodziejów.

Danjo Ebina należał do najbardziej utalentowanych członków drugiego naboru grupy z Kumamoto. Kiedy przybył do Hongo, miał zaledwie trzydzieści lat.

Mijając niewielki kościół w Hongo, Ginko zawsze słyszała tajemniczy dźwięk organów i pieśni śpiewane przez wiernych. Przypominała sobie wtedy fascynację, jaką przeżyła w teatrze Shintomi. Pod drewnianym krzyżem u wejścia do kościoła znajdowała się tabliczka z napisem „Każdy może tu wejść”.

Czy powinnam? - pomyślała kiedyś. Następnego dnia, wracając z wizyt domowych, nadłożyła drogi, żeby przejść obok kościoła. Właśnie wysypali się z niego łagodnie uśmiechający się wierni, Ginko jednak nadal nie była pewna, czy powinna do nich podejść. Na drugi dzień w środku panowała cisza. Pomyślała, że może muzyka była tego dnia wcześniej. Zastanawiała się, jak może wyglądać wnętrze kościoła, ale poszła dalej.

W niedzielę rano stanęła przed kościołem. Do środka weszło kilka osób. Przez uchylone drzwi widziała plecy ludzi siedzących w długich ławkach.

- Chce pani wejść? - Usłyszawszy, że ktoś się do niej zwraca, odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z wysokim brodatym mężczyzną w okularach w białych oprawkach na nosie. - Zaraz się zacznie nabożeństwo. Chodźmy. - Mężczyzna lekko dotknął jej pleców i Ginko posłusznie ruszyła naprzód. Kościół był nie większy niż zwykły dom, lecz miał większe wejście, a zamiast tatami drewnianą podłogę. - Wszyscy się ucieszą, kiedy panią zobaczą.

Ginko sama miała ochotę znaleźć się w środku. Była zaniepokojona i zakłopotana, lecz jednocześnie czuła, że pcha ją jakaś siła. Zdjęła sandały i weszła. Wewnątrz była jedna duża sala z rzędami ławek i pulpitem dla mówcy. Na ścianie za pulpitem wisiał krzyż - symbol zbawcy zwanego Jezusem Chrystusem, w rogu stał instrument, z którego płynęły tajemnicze dźwięki: fisharmonia.

- Proszę usiąść. - Mężczyzna mówił cichym głosem, niepasującym do jego postury. Po chwili muzyka ucichła, a on poszedł do pierwszej ławki. Ginko uświadomiła sobie, że to musi być Danjo Ebina, pastor, którego nazwisko znajdowało się na tabliczce na zewnątrz.

Choć Ebina w swych kazaniach mówił o ludziach Zachodu, Waszyngtonie i Lincolnie, o apostołach Pawle i Janie i oczywiście o Chrystusie, sam był przykładem Japończyka w kimonie, spodniach *hakama* i sandałach *geta*. Urodził się i dorastał na Kiusiu, miał osobowość odzwierciedlającą zarówno jego wiejskie pochodzenie, jak i osiągnięcia naukowe.

„Normalni, zwyczajni ludzie nigdy nie staną się chrześcijanami w pierwszym pokoleniu. Żeby pokonać przeszkody, znieść krytykę i zachować wiarę, muszą być nadzwyczaj inteligentni albo nadzwyczaj

zwyczajni, albo nadzwyczaj niezwykli”. Ten cytat z tekstu Ebiny bardzo przypomina jego samego: pewnego siebie, skłonnego do przechwałek, lecz prezentującego podstawową prawdę. W tamtych czasach pastor nie mógł po prostu przywdziać stroju duchownego, zamknąć się w kościele i poświęcić głoszeniu kazań. Ebina był bardziej energicznym mężczyzną o doczesnych ambicjach niż uduchowionym człowiekiem oddanym wierze. Oto jak go za to krytykował historyk Aizan Yamaji: „Twoje serce jest jak gorący roztopiony воск. Nigdy długo nie trwasz przy jednej idei. Zmierzasz w kierunku, który ci danego dnia najbardziej odpowiada, od pomysłu do pomysłu. Jesteś nierozważny”.

W oczach Ebiny chrześcijaństwo było jednak bardziej praktyczną wiedzą niż tylko po prostu wiarą. Za jego nieodłączną część uważał również tradycyjne japońskie normy lojalności, patriotyzmu i prawości. Dzięki temu praca misjonarska Ebiny dawała nadzwyczajne efekty, a chrześcijaństwo w jego nauczaniu nie jawiło się jako obca religia. To, że Ginko spotkała go właśnie wtedy, gdy zaczęła się interesować chrześcijaństwem, miało wielki wpływ na resztę jej życia. Po miesiącu przychodziła już do kościoła regularnie i zaczęła zamykać klinikę w niedziele.

Wierni byli ciekawi Ginko, wiedząc, że jest lekarką, która mieszka w sąsiedztwie. Chociaż wszystkich członków Kościoła uważano za równych, przyłączenie się kogoś znanego robiło wrażenie. Ebina obserwował Ginko, ale nie wywierał na nią nacisku. Wiedział, że to tylko kwestia czasu, gdy sama poprosi o chrzest.

Pewnej listopadowej niedzieli nadarzyła się Ginko okazja do dłuższej z nim rozmowy. Był o pięć lat młodszy, lecz uważała, że ją pod wieloma względami przewyższa. Opowiedziała mu o dyskryminacji, jakiej doświadczyła, zanim została lekarką, i że uważała, iż tylko ją to spotyka.

- Ale teraz wreszcie rozumiem, że tak nie było. Na świecie jest wiele



ludzi, którzy mają dużo większe kłopoty. Niejeden cierpi tylko dlatego, że się nie urodził pod szczęśliwą gwiazdą, a większość nie przejawia chęci poprawienia sobie życia. Sama medycyna nie może im pomóc. Stoją przed nimi przeszkody, na które medycyna nie ma rady.

Ebina kiwał głową w milczeniu, chcąc zachęcić Ginko, by mówiła dalej.

- Nigdy nie myślałam o nikim oprócz siebie. Chciałam zostać lekarzem, żeby móc patrzeć z góry na tych, którzy mi dopiekli. Na pozór pragnęłam pomagać innym kobietom, żeby nie musiały być tak upokarzane jak ja, lecz w gruncie rzeczy chodziło mi o rewanż. Chciałam odplacić wszystkim mężczyznom, przez których cierpiałam, ludziom, którzy mnie traktowali jak wyrzutka, rodzinie, miejscu, gdzie dorastałam, a nawet samej sobie. Sądziłam, że gdy będę miała większą wiedzę i lepsze wykształcenie niż inni, znikną wszystkie moje problemy. Chciałam mieć wysoki status społeczny szanowanego lekarza. To dowodzi, jak niewiele jestem warta jako człowiek.

Teraz przyszła kolej na Ebinę.

- Ze mną było tak samo. Tuż przed chrztem urzekła mnie władcza postawa oficerów na defiladzie. Nie mogłem się zdecydować, czy wstąpić do wojska, czy iść drogą Boga.

Po chrzcie postanowiłem porzucić wszystkie ziemskie sprawy, żeby móc się poświęcić Bogu. Jednak im bardziej się starałem, tym silniej odzywały się we mnie aspiracje polityczne, ambicja i głód wiedzy, które mi wpojono jako członkowi rodu samurajów. Robiłem, co mogłem, żeby je pokonać, lecz to odbierało mi siły. Pani zmagania to rzecz bardzo powszechna.

Za plecami Ebiny wisiała na ścianie figura Chrystusa i Ginko czuła na sobie wzrok obydwu.

- Myśli pan, że ktoś tak skupiony na sobie jak ja może zostać

człowiekiem prawdziwie wierzącym? Czy wcześniej się nie poddam?

- Proszę o tym za dużo nie myśleć. Trzeba się oddać w ręce Boga, poczuć się jego dzieckiem.

- Dzieckiem?

- Tak. Chciałem zostać lojalnym sługą bożym, ale to było samolubne, lekkomyślne postanowienie. Tylko mnie unieszczęśliwiło. Mogłem najwyżej zacząć jako dziecko, niemowlę. Zanim to zrozumiałem, minęło dziesięć lat. Cóż to była za ulga, gdy wreszcie mi się udało! To proste, nie wymaga filozofowania, dyskusowania, ale leży u podstaw filozofii i teologii.

Ebina mówił głosem zachrypniętym od głoszenia ewangelii na ulicach, co dodawało wagi jego słowom. Ginko potrafiła być wobec niego zupełnie szczerą.

- Dopóki nie osiągnęłam celu, myślałam tylko o sobie. A gdy go osiągnęłam, dostrzegałam jedynie ludzkie niedoskonałości. Za nieszczęściem kobiety kryła się tyrania mężczyzny. Nienawidziłam wszystkich tych mężczyzn. Tak patrzyłam na ludzi.

To już nie była rozmowa; Ginko wyznawała grzechy i prosiła o pomoc. Ebina dodawał jej otuchy.

- Ludzie nie są całkiem zbuntowani przeciw Bogu. Lgną do niego, nawet jeśli coraz bardziej pogrążają się w grzechu. A w czasach jak dzisiejsze naprawdę za Bogiem tęsknią. Każdy z nas ma Boga dla siebie, pełnego miłości, z którym możemy być związani jak dzieci z rodzicami.

Ebina uważał, że bez względu na to, jak wiele popełniamy błędów, zawsze możemy wrócić do Boga. Nie jest to związek między panem i poddanym, tylko między Bogiem i dzieckiem, jedyny, jaki jest możliwy. A z tego w naturalny sposób wynikało, że Jezus Chrystus nie był dla Ebiny panem, lecz bratem. Wiara nie pociągała za sobą wielkiej, skokowej zmiany w życiu - była po prostu etapem rozwoju wymagającym

wyraźnego religijnego określenia się istoty ludzkiej. W tym rozumowaniu nie mieściło się pojednanie z Chrystusem. Taki sposób myślenia oznaczał oświecenie przez krzyż Chrystusa, znalezienie się pod jego wpływem, świadomość, że umrzemy w grzechu, lecz czeka nas życie wieczne.

- Związek z Bogiem w charakterze jego dziecka doprowadzi do tajemniczego stanu, w którym będziemy z nim jednością. - Wszystkie koncepcje Ebiny opierały się na jego własnym doświadczeniu i były wyraźnie liberalne. W gruncie rzeczy nie przewidywał on zasadniczej poprawy człowieka dzięki ewangelii, tylko uznanie rzeczywistości i wagi lojalności, patriotyzmu i prawości, które, jak uważał, spowodują powstanie silniejszych więzów w umocnionej społeczności chrześcijańskiej. W takim rozumowaniu nic nie sugerowało konfliktu czy zmiany. Była to koncepcja pełnego wchłonięcia. Ebina umiejętnie wykorzystywał idee tamtej epoki i przemyślenia innych.

Liberalne koncepcje Ebiny trafiły Ginko do przekonania i zdecydowała się zostać chrześcijanką. W listopadzie 1885 roku Ebina ochrzcił ją z grupą innych Japończyków, wśród których był znany polityk i krytyk prywatnego sektora gospodarczego Ukichi Taguchi, a także profesor Hajime Onishi, słynny filozof z epoki Meiji. Mniej więcej w tym samym czasie stary budynek stał się za ciasny i wynajęto większy, lecz już w marcu kościół przeniósł się do jeszcze większego, w Hongo Kinsuke. Ebina był bez wątpienia zdolnym kaznodzieją.

Jakby idąc za przykładem kościoła, więcej miejsca zaczęła również potrzebować klinika Ogino i jesienią 1886 roku przeniosła się z Yushimy do Ueno Nishikuromonu. W nowym budynku była rejestracja połączona z apteką i na tyle duży gabinet lekarski, że zmieściła się w nim rozbieralnia. W trzech pokojach zamieszkała Ginko. Na piętrze mieściły się cztery pomieszczenia dla pacjentek wymagających hospitalizacji.

Ginko zatrudniła dodatkową pielęgniarkę, Tomiko Sekiguchi, i

rikszarza, w związku z czym lista pracowników kliniki obejmowała teraz jedną lekarkę, dwie pielęgniarki, majstra do wszystkiego, służącą i rikszarza. Nadal zjawiały się tłumy chorych, a poza tym Ginko wcześniej rano i późnym wieczorem chodziła z wizytami domowymi. Renoma Ginko wciąż rosła, lecz w owym okresie głównym przedmiotem jej zainteresowania zaczęła się stawać chrześcijańska działalność społeczna.

Wieczorami, po powrocie z wizyt u chorych, zjedzeniu kolacji i po kąpieli, około godziny dziewiątej szła do swojego pokoju i czytała. Na biurku miała krzyż, figurkę Chrystusa i Biblię. Zaczęła też czytać Biblię po angielsku, posługując się słownikiem. Nigdy nie kładła się wcześniej niż o drugiej albo trzeciej nad ranem. Zwyczaju markowania po nocach nabrała w Tokijskiej Szkole Normalnej dla Kobiet i teraz, dobiegając czterdziestki, nadal była mu wierna.

Gdy ją zmęczyło czytanie Biblii, sięgała po najnowsze publikacje japońskie. W swym księgozborze miała między innymi następujące dzieła: „Wiedza dla nowoczesnych kobiet” autorstwa Koki Doi, „Podporządkowanie kobiet” Johna Stuarta Milla w przekładzie Uchikiego Fukamy, „Statystyka społeczna” Herberta Spencera w przekładzie Tsutomu Inoue, „Kobiety japońskie” i „Stosunki między mężczyznami i kobietami” Yukichi Fukuzawy, „Prawa kobiet na Zachodzie” autorstwa Horyu Yunome. Wszystkie one zostały wydane w pierwszym dwudziestoleciu okresu Meiji i wszystkie wywarły znaczny wpływ na rodzący się ruch kobiecy.

Ginko nie musiała już liczyć pieniędzy wydawanych na oliwę do lampy czy na książki. Mogła czytać, dokąd chciała, czyli zwykle do późnej nocy, a czasem aż do świtu. Nie musiała zdawać egzaminów ani się martwić, jak zarobi na życie. Mogła się uczyć, czego chciała i ile chciała. Im więcej czytała, tym bardziej wciągał ją temat. Jedną z zalet jej zawodu była możliwość poznawania ludzi z różnych środowisk, zgłębiania

zarówno tego, co ukazywali innym, jak i tego, co starali się ukryć. Mając ustabilizowaną sytuację finansową, stała się jeszcze żarliwszą chrześcijanką i w sześć miesięcy po chrzcie należała do najaktywniejszych członków Kościoła w Hongo.

Rozgłos, jaki zdobyła jako lekarka, spowodował, że coraz więcej kobiet pragnęło pójść w jej ślady. Do drzwi kliniki często pukały przyjeżdżające z okolicy studentki medycyny, oczekujące, że da im dach nad głową i je nakarmi. Ginko wszystkie witała z radością i pozwalała im zostać w pustych pokojach na piętrze. Jesienią 1886 roku zdała egzaminy medyczne druga kobieta, a wkrótce następne.

14.

Jesienią 1886 roku zdarzyło się jeszcze coś ważnego: powstała Japońska Organizacja Chrześcijańek (JOC). Była to jedna z wczesnych oznak rodzenia się w Japonii ruchu kobiecego. Przywódczynią organizacji została Kajiko Yajima, pochodząca z Kumamoto kobieta o bezpośrednim sposobie bycia, należąca do pierwszych japońskich nauczycielek, która pięć lat wcześniej założyła wraz z Marią T. True szkołę dla dziewcząt w tokijskim Kōjimachi.

W 1872 roku w amerykańskim stanie Ohio powstała Kobięca Chrześcijańska Unia Wstrzemięźliwości. Gdy w 1884 roku jej przewodniczącą została Frances Willard, unia zaczęła działać również za granicą i wywarła znaczny wpływ na rozwój japońskiego ruchu kobiecego. W 1887 roku Frances Willard przyjechała do Japonii, co wywołało poruszenie i zwiększyło zainteresowanie działalnością JOC.

Ginko, jedna z pierwszych członkiń JOC, pełniła w niej funkcję kierowniczkę Sekcji Wychowania i Moralności. Sprawą pierwszorzędnej wagi była dla organizacji decyzja, jakimi kwestiami społecznymi powinna się zajmować. Zebranie na ten temat rozpoczęła Yajima.

- Przede wszystkim uznajmy za nasz ostateczny cel stworzenie

społeczeństwa bez konfliktów. - Nikt nie zgłosił sprzeciwu, więc mówiła dalej. - Najgorszym źródłem niezgody w społeczeństwie jest alkohol. Proponuję, żebyśmy rozpoczęły od działań mających na celu wprowadzenie prohibicji. Wojna chińsko-japońska miała się zacząć dopiero za siedem lat, więc konflikt zbrojny nie stanowił jeszcze zagrożenia. Alkohol pity przez mężczyzn był bez wątpienia najpoważniejszą przyczyną rozkładu społeczeństwa i udręki kobiet.

Głos zabrała inna członkini JOC.

- Czy to miałyby znaczyć, że nie akceptujemy nawet kropli alkoholu, czy może pewna ilość byłaby dozwolona?

- Idealnym rozwiązaniem byłby oczywiście całkowity zakaz, ale ponieważ trudno by to było osiągnąć, w każdym razie na początku, więc powinniśmy zacząć od zakazu picia alkoholu przez dzieci, kobiety i tych, którzy go nadużywają.

Ponieważ tego właśnie wszystkie oczekiwały, nie było sprzeciwu.

- W takim razie sprawa załatwiona - powiedziała Yajima. - Podstawowymi celami Japońskiej Organizacji Chrześcijanek będzie spokój publiczny i zakaz używania alkoholu. Zastanówmy się teraz nad tym, jak te cele osiągnąć.

Z prawej strony stołu podniosła się z miejsca drobna kobieta.

- Chciałabym, żeby organizacja rozważyła jeszcze jedną kwestię. - To była Ginko. - Uważam, że przyczyną zła w naszym społeczeństwie są domy publiczne i prostytutki. Mężczyźni ograniczają wolność kobiet i wykorzystują je jako seksualne zabawki. Ludzie nie powinni sobie robić takich rzeczy. - Głos Ginko słyhać było wyraźnie w całej sali. - Prostitutki roznoszą choroby weneryczne. Zarażają mężczyzn, a ci z kolei zarażają niewinne żony i dzieci. Cierpi przez to niezliczona ilość kobiet. Czy możemy ignorować ten problem, skoro znamy jego źródło? Uważam, że Japońska Organizacja Chrześcijanek powinna się zająć

wykorzeniem prostytucji. - Ginko była znacznie młodsza od pozostałych kobiet, ale mówiła z przeświadczeniem o słuszności swego zdania. - Czy mogłybyśmy to dodać do naszych podstawowych celów?

Ta prośba, zwłaszcza że pochodziła od lekarki, trafiła innym do przekonania. Oczywiście nikt nie wiedział, że Ginko mówiła na podstawie własnych przeżyć. Propozycję przyjęto jednogłośnie. Od tej pory celami JOC były spokój społeczny, zakaz spożywania alkoholu i likwidacja prostytucji.

Członkinie organizacji podróżowały po całym kraju. Spotykały się z kobietami, werbowały nowe koleżanki, zdobywały poparcie dla swoich celów. Początkowo przemawiały w kościołach, ale wkrótce wyszły na ulice i agitowały wraz z Armią Zbawienia. Kiedy tylko Ginko miała trochę wolnego czasu, obchodziła kościoły i wąskie uliczki, miejsca, gdzie gromadziły się kobiety, i propagowała trzy filary JOC.

W październiku 1887 roku, mniej więcej rok po powstaniu JOC, do kościoła w Hongo przyszła dziewczyna poszukująca schronienia. Sądząc po rozczochranej wymyślnej fryzurze i poszarpanym jaskrawym kimonie, była prostytutką, choć nie mogła mieć więcej niż szesnaście lub siedemnaście lat.

- Przychodzę, bo słyszałam, że są tu ludzie, którzy mogą mi pomóc - powiedziała i niepewnie rozejrzała się po wnętrzu kościoła. Wyjaśniła, że urodziła się w Kawagoe, a przed rokiem została sprzedana do domu publicznego w Fukayi, lecz nie cierpi tego, co jej każą robić, więc postanowiła uciec. Ginko od razu poszła do Kajiko Yajimy i innych członkiń JOC, żeby się naradzić, jak powinny w tej sytuacji postąpić.

Opuściwszy dom publiczny, dziewczyna ryzykowała życie. W epoce Edo zaciągnięto by ją tam z powrotem zaraz po odnalezieniu i tylko od właściciela by zależało, czyby to przeżyła. Każdemu, kto by jej udzielił pomocy, groziłaby zemsta. Kulturowe oświecenie okresu Meiji przyniosło

poprawę sytuacji, ale nikt nie miał wątpliwości, że gdyby została odnaleziona i zabrana, skąd przybyła, miałyby się z pyszna.

- Za wszelką cenę musimy ją ochronić. Gdyby się nam to nie udało, naraziłybyśmy Japońską Organizację Chrześcijanek na śmieszność. Nikt by już nie uwierzył, że potrafimy cokolwiek zdziałać. - Ginko gwałtownie gestykulowała. Kajiko Yajima i pozostałe kobiety kiwały głowami, lecz zdawały sobie sprawę, że zapal i kilka odważnych słów to w tym wypadku za mało.

- Nie możemy jej zostawić w kościele. - Ale ukrycie jej byłoby niebezpieczne.

- A policja?

- Potraktowałyby ją jak przestępczynię. Kto jej może zapewnić bezpieczeństwo?

- Nie możemy jej odesłać do rodziców, bo to oni ją sprzedali do domu publicznego.

- Ja ją wezmę - odezwała się Ginko, która dotychczas tylko słuchała w milczeniu. - Mam wolny pokój i będzie mogła pracować w klinice.

- Ale...

- Może u mnie zostać, dopóki sytuacja się nie uspokoi. Na razie ją ukryję.

Tak też się stało, ale niebezpieczeństwa nie udało się uniknąć. Pięć dni później w klinice pojawiło się trzech podejrzanie wyglądających mężczyzn. W oczach mieli nieprzyjemne błyski, na policzkach blizny, używali ostrych słów. Wystarczyło spojrzeć, by dojść do wniosku, że przybyli z domu publicznego.

- Nie próbuj nas powstrzymać, bo to nic nie pomoże - powiedział wyższy i podwinął rękawy, ukazując wytatuowane smoki. Mężczyźni najwyraźniej wiedzieli, że dziewczyna jest u Ginko. - Gdzie się schowała? Przyrowadź ją, ale już!



Był wieczór. Pacjentki, które siedziały w poczekalni, pobiegły do gabinetu, pozostawiając Ginko sam na sam z nieproszonymi gośćmi. Pielęgniarki i służący stłoczyli się w sąsiednim pokoju i czekali na rozwój wydarzeń.

- Ty jesteś przewodniczącą organizacji kobiecej, czy jak tam się ona nazywa?

- Nie, jestem kierowniczką Sekcji Wychowania i Moralności.

- Bezcelne baby. To wy gadacie o zakazie picia i uwolnieniu kobiet, prawda? Idiotki! Mam nadzieję, że wiesz, co cię czeka za ukrycie tej dziewczyny. - Jeden z mężczyzn, nie zdjawszy brudnych sandałów, wszedł jedną nogą za próg kliniki. - Jak jej nie przyprowadzisz, będziemy musieli sami poszukać.

- To mój dom. Jeśli wejdziecie bez pozwolenia, na tym sprawa się nie skończy. - Ginko uklękła na podłodze i spojrzała na nich groźnym wzrokiem. Przez lata spędzone w Szkole Medycznej Kojuin przywykła do mężczyzn niemających szacunku dla kobiet i teraz nie zamierzała się wycofać. Tym razem miała jednak do czynienia z przestępcami niszczącymi ludzkiego życia.

- Chcesz zaszkodzić naszej firmie, tak?

- Oczywiście!

- Myśmy dziewczynę kupili. Jest nasza. Chyba nie wiesz, co to znaczy.

- To niecny proceder. Żadna uczciwa firma nie kupuje kobiet.

- Nasza należy do najstarszych! I to jest zgodne z prawem.

- Kupowanie i sprzedawanie ludzi jest nielegalne.

- Mamy dowód na to, że ona jest nasza.

- Sprzedawanie kobiet do domów publicznych jest nielegalne od 1872 roku.

Mężczyźni nie byli dla Ginko partnerami do dyskusji.

- Jak jej nam nie wydasz, rozwalimy tę budę, żeby ją znaleźć!

- Proszę bardzo, spróbujcie. - Ginko wiedziała, że naraża życie.

Wpatrywała się w mężczyzn. Pacjentki, wiedząc, że tego dnia nie zostaną zbadane, uciekły tylnym wejściem i po ulicy natychmiast rozniosła się wieść, że w klinice Ogino dzieje się coś złego. Pod bramą zebrał się tłum sąsiadów, którzy przybiegli, żeby się dowiedzieć, o co chodzi. Obecność tylu świadków stawiała napastników w niekorzystnym położeniu.

- Przeprowadź ją tutaj! - krzyknął któryś, lecz Ginko ani drgnęła. Wiedzieli, że mają do czynienia z lekarką, filarem tutejszej społeczności, i nie chcieli kłopotów z policją. Najwyraźniej mieli tylko zastraszyć Ginko, ale im się to nie udawało. - Pospiesz się! - Tracili cierpliwość. - Połamiemy ci ręce i nogi - warknął jeden i zrobił ruch, jakby chciał wejść do kliniki.

- A ja świetnie się znam na odcinaniu rąk i nóg - spokojnie odparła Ginko.

Mężczyźni spojrzeli po sobie niepewnie. Zaczynali się bać tej kobiety, a tłum pod bramą rósł z minuty na minutę. Robiło się niebezpiecznie.

- Następnym razem nie będziemy tacy mili! - Z wściekłością napluli na podłogę i wybiegli.

Bezpośrednie niebezpieczeństwo minęło, ale dalsze przechowywanie dziewczyny byłoby oczywiście nierozsądne. Ginko i Kajiko Yajima postanowiły poprosić policję o odstawienie jej do rodzinnego miasta. Choć niewiele brakowało, by ta sprawa przybrała dla Ginko zły obrót, zwróciła uwagę społeczeństwa na JOC. Za odważne działanie chwalili organizację nawet mężczyźni mający wpływ na opinię publiczną, którzy wcześniej odnosili się do JOC sceptycznie.

Napastnicy z domu publicznego, bez wątpienia poniżeni swą porażką, wrócili kiedyś, żeby zrobić Ginko na złość - przed wejściem do

kliniki zostawili beczkę pełną błota - lecz więcej się już nie pokazali.

Ruch na rzecz wprowadzenia zakazu prostytucji wzbudził jeszcze większe zainteresowanie w następnym roku, gdy pożar zniszczył Yoshiwarę, dzielnicę czerwonych latarni. Ginko, widząc płomienie z okien kliniki, powiedziała z radością, że to im znacznie ułatwi zadanie. Jak przewidywała, przeciwko planom odbudowy dzielnicy wystąpiła nie tylko Japońska Organizacja Chrześcijańek, lecz także inne ugrupowania kobiece. Poparcie dla ruchu rosło.

JOC rozwijała coraz szerszą działalność, a Ginko starała się uczestniczyć we wszystkich zebraniach bez względu na obciążenie pracą w klinice i wizytami domowymi. Im bardziej była zajęta, tym lepiej się czuła. Niebawem została polecona na stanowisko sekretarza Japońskiego Stowarzyszenia na rzecz Zdrowia Kobiet.

„Na pewno jest ktoś o lepszych kwalifikacjach”, protestowała, lecz w rzeczywistości nie było nikogo, kto by miał większą wiedzę na temat kobiecego zdrowia. Choć się sprzeciwiała, w gruncie rzeczy pragnęła tego stanowiska. Wiedziała, że zbliża się do granicy swoich możliwości, ale miała pewność, że jest najlepszą kandydatką.

Nie była to jednak ostatnia funkcja, jaką przyszło jej pełnić. W 1889 roku poproszono ją, by w Żeńskiej Szkole Meiji prowadziła zajęcia na temat zdrowia i fizjologii i żeby została szkolnym lekarzem. Kobiety pilnie potrzebowały wiedzy na ten temat, a zatrudnienie w żeńskiej szkole lekarki było najlepszym rozwiązaniem. Ginko się zgodziła.

Czyjej się to podobało, czy nie, znalazła się na szczycie drabiny społecznej. Stała się osobą publiczną.

W lutym tego samego roku wprowadzono długo oczekiwaną Konstytucję Cesarstwa Japonii. Przewidziano w niej między innymi utworzenie parlamentu, którego członkowie mieli być wybierani w głosowaniu powszechnym, co nominalnie po raz pierwszy zapewniało

społeczeństwu udział w sprawowaniu władzy. Z tej okazji ogłoszono amnestię dla więźniów politycznych, która objęła również członków Ruchu na rzecz Wolności i Praw Ludzi, co było sprytnym posunięciem, gdyż zjednywało nowemu rządowi sympatię i zapewniało poparcie społeczne. Gazeta „Tokyo Nichi-Nichi” pisała, jak w dniu ogłoszenia konstytucji gromadziły się przed Pałacem Cesarskim tłumy Japończyków w różnym wieku, którzy machali flagami i wznosili okrzyki *Banzai! Banzai!*

Konstytucja była ostatnim krokiem do tego, by rząd Meiji mógł zostać uznany za nowoczesną władzę. W listopadzie 1890 roku miał się zebrać parlament. Jednak już wkrótce stało się jasne, że państwem rządzi ta sama frakcja biurokratów co dotychczas. Władza była konstytucyjna tylko z nazwy. Co więcej, przepisy wyborcze nie dawały prawa głosu kobietom i arbitralnie uniemożliwiały im wyrażanie opinii politycznych. Większość społeczeństwa uważała to za rzecz zupełnie naturalną. Nawet Ruch na rzecz Wolności i Praw Ludzi miał niewiele zastrzeżeń. Jedyne głosy sprzeciwu pochodziły od samych kobiet, lecz były nieliczne i niezbyt donośne.

Okazało się jednak, że podczas przygotowań do długo oczekiwanego posiedzenia parlamentu ustanowiono przepisy, które zakazywały kobietom nawet obserwowania jego obrad. Gdy Ginko, już i tak wzburzona z powodu nie przyznania kobietom prawa głosu, dowiedziała się o nowych przepisach, od razu poszła do Ministerstwa Sprawiedliwości i poprosiła o ich interpretację. Ministerstwo potwierdziło, że kobiety obserwować obrad parlamentu nie mogą.

Ginko poszła wtedy do Kajiko Yajimy i zwołała zebranie przywódczyni JOC, żeby je poinformować, czego się dowiedziała.

- Mogą tam być wszyscy mężczyźni: nauczyciele i uczniowie, stajenni, starzy domokrażcy, parobcy. Nie mają wstępu tylko pijani i

uzbrojeni. Kobiety są wykluczone jedynie ze względu na płeć. Logicznie rzecz biorąc, wynika z tego, że kobiety nie są lepsze niż pijacy czy uzbrojone zbiry. Kobiety nie mogą głosować - ciągnęła - a teraz odebrano nam nawet prawo do obserwowania obrad. Nigdy nie miałyśmy udziału we władzy, a teraz nie możemy nawet wiedzieć, co ta władza robi. To, że kobiety się kształcą, zdobywają wiedzę, nie ma znaczenia.

Z nie przyznaniem kobietom prawa wyborczego Ginko się pogodziła, choćby dlatego, że sobie doskonale zdawała sprawę z ich niskiego poziomu wiedzy. Jednak odmówienie prawa do przysłuchiwania się obradom to już było za wiele. Miała pewność, że to zniszczy zapal kobiet do nauki, jaki wreszcie zaczęły przejawiać.

- Uważam, że JOC powinna w tej sprawie podjąć jakieś działania. - Ponieważ była kierowniczką Sekcji Wychowania i Moralności, nie do niej należało rozpoczęcie akcji społecznej, choć wszyscy wiedzieli, że z powodu dyskryminacji kobiet wycierpiała więcej niż kto inny. - Myślę, że należy wystosować petycję bezpośrednio do rządu.

Zebranie postanowiło, że zwróci się do Taiseikai (Stowarzyszenia Wielkiego Sukcesu), największej partii u władzy, z żądaniem zniesienia nowych przepisów. Na podstawie wypowiedzi Ginko i innych Kajiko Yajima napisała petycję, pod którą podpisało się dwadzieścia jeden uczestniczek zebrania. JOC odniosła sukces - kobiety uzyskały prawo do obserwowania obrad parlamentu. Ginko osiągnęła swój cel. Była to pierwsza udana akcja polityczna przeprowadzona przez Japonki.

Jako pierwsza japońska lekarka i zagorzała chrześcijanka Ginko stawała się coraz bardziej znana w sferach intelektualnych.

Tymczasem jej klinika nie miała się zbyt dobrze. Po przeprowadzce na nowe miejsce wydawało się, że pacjentek będzie przybywać bez końca, jednak ich liczba szybko przestała rosnąć.

- Słyszałam, jak ludzie mówili, że nie mają zaufania do lekarza

kobiety. Jak można być takim ignorantem? - Pielęgniarka Moto wróciła z zakupów święcie oburzona. - Byłam taka zła, że aż nie wiedziałam, co na to powiedzieć.

Ginko podniosła oczy znad Biblii i uśmiechnęła się do rozzłoszczonej Moto.

- Tylko dlatego, że straciłyśmy kilka pacjentek, bo znalazły sobie lepsze miejsce? To nie ma znaczenia.

- No i co tu zrobić z taką panią doktor? - fuknęła pielęgniarka.

Ginko nie czuła złości ani żalu. Nie była już zainteresowana upominaniem pacjentek czy staraniami o poszerzenie praktyki. Zaprzętały ją sprawy większej wagi.

Od kiedy klinika się przeniosła, zawsze mieszkały w niej i jadły za darmo dwie albo trzy studentki medycyny, które chodziły na zajęcia i pomagały Ginko w pracy. Zastępowały ją, gdy musiała wyjść, wypełniały karty, zapisywały leki. Po powrocie Ginko dokładnie sprawdzała wszystkie wpisy, poprawiała błędy ortograficzne, notowała sobie pytania na temat zaordynowanego leczenia.

- Skąd wiesz, że ta pacjentka ma różyczkę?

- Bo ma gorączkę, katar i łzawią jej oczy.

- A obejrzałaś jej śluzówkę w ustach?

- Ach...

- No właśnie. W takim razie nie wiadomo, czy to różyczka. Zapomniałaś o najważniejszej rzeczy. - Ginko nie miała litości. - Zbadam ją, jak przyjdzie jutro. - Przekreśliła wpis w karcie i poszła do swego pokoju.

Nigdy nie besztala studentek ani ich nie upominała, żeby się więcej uczyły. Odnosiła się do nich chłodno; pozostawiała je z kartami czarnymi od poprawek.

- Tak samo traktuje wszystkich - starała się pocieszać studentki

Moto, ukrywając irytację. Uważała, że powinno się je lajać lub zachęcać do większej pilności.

Ginko miała w tej sprawie swoje zdanie.

- Jeśli chce się do czegoś dojść w nauce, nie można polegać na czyjejs zachęcie bądź pochwałach. Trzeba się samodoskonalić. - Tak właśnie postępowała we własnym przypadku. To, że pracowała ciężiej niż inni, sprawiało, iż tym trudniej tolerowała czyjeś błędy. Jak wielu geniuszy, nie znosiła dyskusowania o szczegółach, ponieważ wiedziała, że tylko jeszcze bardziej ją zirytuje niewiedza dyskutanta.

Jej pracownice miałyby lżejsze życie, gdyby się koncentrowała na sprawach akademickich, ale wieczorami uczyła pielęgniarki i służące robótek ręcznych i układania kwiatów, co było dla niej źródłem wiecznego rozczarowania.

- Przecież już to tłumaczyłam! - Nie cierpiała powtarzania. W dodatku jej uczennice nie tylko nie grzeszyły pilnością, lecz także nie potrafiły siedzieć we właściwej pozycji. W tamtych czasach o krzesłach właściwie nie słyszano. Mężczyźni mogli w niektórych sytuacjach siedzieć po turecku, od kobiet oczekiwano, że będą klęczeć na zgrabnie podkurczonych nogach. Nawet lekkie wysunięcie nóg w bok uważano za oznakę złego wychowania.

- Nogi! - krzyczała i uderzała pielęgniarkę miarą krawiecką. Jej pacjentki nigdy by się nie domyśliły, że ta troskliwa, spokojna pani doktor może być taka surowa. Zaskoczona uderzeniem, młoda pielęgniarka popełniała jeszcze więcej błędów, lecz gdy któryś zrobiła dwukrotnie, Ginko już tego nie komentowała. - Wystarczy - mówiła i szła do swego pokoju.

- Ona jest wzorem sama dla siebie - starała się pocieszyć koleżanki pielęgniarka Moto. - Wie wszystko ze wszystkich książek, umie pisać wiersze, szyć, parzyć herbatę według specjalnego ceremoniału, układać

kwiaty, o klasycznym śpiewie nie wspominając. Trudno jej współżyć ze zwykłymi kobietami jak my. Musicie zrozumieć, że cierpliwsza być nie potrafi. Pochodzi z dobrej rodziny i jest dobrze wychowana. Dlatego dla nas jest taka surowa. Ale ma dobre serce. Ktoś inny tak zajęty jak ona nawet by nie próbował uczyć nas szycia.

Rozumiały, co mówi Moto, ale nadal uważały Ginko za odmienny gatunek człowieka. Wszyscy pracownicy mieli z nią ciężkie życie. Robiła im wymówki również za rzeczy bez związku z pracą czy nauką. Kiedy mieli wolne, musieli się ze wszystkiego opowiadać: dokąd się wybierają, co będą robić, kiedy wrócą. Było przyjęte, że aby wyjść z kliniki, proszą o pozwolenie. Kiedy ktoś chciał wyjść pod nieobecność Ginko, musiał prosić o pozwolenie z wyprzedzeniem. Pewnego razu pielęgniarka Moto wyszła, nie opowiedziawszy się, a w dodatku wróciła późno, po ósmej wieczorem.

- Po co się włoczyłaś po mieście o tej porze? - Ginko mówiła, nie przebierając w słowach, ostrym głosem. - Gdzie byłaś i co robiłaś!

- Byłam w świątyni Ekoin w Ryogoku - wyjąkała Moto.

- No tak, dziś urodziny Buddy. - Ósmego kwietnia z tej okazji w większości świątyń buddyjskich odbywały się uroczyste ceremonie; jedne z najwspanialszych - w Ekoin.

- A kto ci towarzyszył?

- Sawa. - Sawa była sprzedawczynią w pobliskim sklepie z parasolkami.

- Co tam robiłaś?

- Złożyłam ofiarę z herbaty hortensjowej i się modliłam. - Przezornie pominęła chodzenie od straganu do straganu, jedzenie słodczy i podziwianie tresowanej małpy.

Ginko naturalnie męczyła ją dalej.

- Dziewczeta nie powinny się włóczyć po mieście, oglądać ulicznych



występów, zaglądać do sklepów, bo wtedy mogą zostać wzięte za kobiety lekkich obyczajów i zaczną za nimi chodzić mężczyźni. - Ginko przypomniała Moto przypadek sprzed niecałych sześciu miesięcy, kiedy to od łaźni miejskiej aż do domu szedł za nią jakiś obcy mężczyzna, i że w pobliżu mostu Ryogoku i nad rzeką są niebezpieczne ciemne miejsca.

- O tej porze na ulicy! Co byś zrobiła, gdyby cię wykorzystał jakiś mężczyzna? Przecież jesteś jeszcze panną! Nie wiem, jak bym spojrzała w oczy twojej matce! Jeśli nie potrafisz wziąć sobie do serca tego, co mówię, będę cię musiała natychmiast odesłać do domu.

- To się więcej nie powtórzy. Proszę mi wybaczyć.

Gdy dziewczęta przeproszały, Ginko zawsze kładła ręce na kolanach i zamykała oczy.

- Proszę!

Pozwalała się przeprosić nie od razu. Nie mogła zrozumieć, dlaczego tak często musi je lajać. Czuła się odpowiedzialna za kobiety mieszkające i pracujące w klinice, choć wiedziała, że mogłaby je traktować jak dzieci innych ludzi i składać ich błędy na karb wychowania. Zdawała sobie sprawę, że wtedy pracownicy by ją bardziej lubili, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Wszystko musiało być zrobione, jak należy. Od kiedy otworzyła klinikę i zaczęła prowadzić gospodarstwo domowe, wpadała w złość łatwiej niż zwykle. Jej usposobienie, dzięki któremu mogła skończyć studia i pokonać wszelkie przeszkody, które napotykała przez mężczyzn, teraz zwróciło się przeciwko pracownikom. Nawet jej samej musiało być z tym źle.

Ginko jeszcze nie przyjęła przeprosin, więc Moto, czekając ze spuszczoną głową, pochyliła się i z obawą wyjęła coś z rękawa.

- Kupiłam to w mieście. - Trzymała w dłoni bambusowy pojemniczek z herbatą z hortensji. Powiadano, że jeśli się w niej rozpuści kamień atramentowy, otrzymanym atramentem napisze na papierze znak

„owad” i ten papier powiesi w toalecie, nie pojawią się w niej robaki. - Pójdę po kamień atramentowy - powiedziała niewinnym głosem, lecz Ginko kamienia nie miała. Nie wierzyła też w przesady.

- Nie myśl sobie, że się w ten sposób wykpisz. Natychmiast to wyrzuć!

Dwudziestego piątego tego miesiąca przypadało święto szintoistyczne i pielęgniarka Tomiko poprosiła o pozwolenie na pójście do świątyni. Ginko siedziała za biurkiem i przepisywała książkę.

- Z kim się tam wybierasz?

- Z Otayo.

- Macie wrócić przed zmrokiem. - Ginko podniosła głowę i na jej twarzy pojawił się wyraz niezadowolenia. - Ale tak nie pójdziesz! - Tomiko spojrzała na Ginko ze zdziwieniem. Nie wiedziała, o co chodzi. - Co ty masz na głowie?

- Włosy? - Tomiko dotknęła ozdobnej spinki.

- Nie rozumiesz? - Ginko była wściekła. - Przyzwoite dziewczęta tak się nie czeszą. Fryzura *shimada-tsubushi* przystoi tylko prostytutkom. Chcesz, żeby cię ludzie wzięli za kogoś takiego?

- Ale... - Uczesanie się zabrało Tomiko godzinę. Ten styl mógł kiedyś wywoływać złe skojarzenia, ale teraz był to w Tokio ostatni krzyk mody.

- Wyglądasz wulgarnie. Nie mogę cię tak wypuścić.

Ginko przewodziła ruchowi na rzecz wprowadzenia zakazu prostytutki. Wprawdzie utrzymywała, podobnie jak jej koleżanki, że prostytutki są równe innym kobietom, lecz odnosiła się z pogardą do ich zachowania i stroju. Ta postawa, naturalna u kobiety z dobrej rodziny, stała się u Ginko po rozwodzie jeszcze bardziej widoczna.

- Natychmiast idź i uczesz się inaczej!

Pielęgniarka Tomiko wiedziała, że Ginko nie zmienia decyzji.

Schludny wygląd lekarki wydawał jej się nieznośnie zimny i bez wyrazu. Ginko czuła się związana z pracownikami, ale wyniesiona z domu nadmierna powściągliwość nie pozwalała jej okazywać uczuć ani gestem, ani słowem. Moto potrzebowała roku, żeby się przyzwycząić do jej sposobu bycia, więc nie można się było spodziewać, by nowe pielęgniarki i studentki przywykły do tego szybciej.

Ginko stawiała się wśród nowej inteligencji okresu Meiji coraz popularniejsza i miała z nią coraz więcej kontaktów. Specjalnie o nie nie zabiegała - po prostu były nieuniknione. Pochodziła ze znanej rodziny, była ładna, miała pierwszorządne wykształcenie i wysoki status społeczny jako lekarka. Starła się, by kobiety nie były upokarzane jako pacjentki, a obecnie przewodziła walce o zapewnienie im większych praw. Błyszczała na tle innych i wyglądało na to, że ma przed sobą świetlaną przyszłość. Gdyby sprawy toczyły się jak dotychczas, z pewnością stałaby się jedną z najślawniejszych postaci epoki Meiji - lecz niezbadane są koleje ludzkiego losu.

Wiosną 1887 roku na spotkaniu członków Japońskiego Kościoła Kongregacjonalistycznego z rejonu Kanto Ginko poznała pastora Shinjiro Okubo z Omiyi i jego żonę. Kiedy się okazało, że jest ona również bardzo zainteresowana prawami kobiet, obie panie szybko się do siebie zbliżyły. Gdy tylko pani Okubo zjawiała się w Tokio, odwiedzała klinikę Ogino i do późnej nocy rozmawiała z Ginko.

Na wiosnę 1890 roku pani Okubo przyjechała do Tokio z mężem i jak zwykle odwiedziła Ginko. Rozmawiały o Kościele, a potem o bieżących problemach społecznych. Ponieważ rozmowa się przeciągnęła do późna, Ginko zaproponowała gościowi nocleg. Służąca już wcześniej przygotowała pokój na piętrze.

Kiedy panie miały się udać do swoich pokoi, pani Okubo od niechcienia zapytała:

- Czy w czasie letnich wakacji mógłby się u pani zatrzymać mężczyzna?

- Mężczyzna? - U Ginko często bywali goście i studentki, i jeśli znała osoby, które je polecały, nie wypytywała ich o wykształcenie ani pochodzenie. Jednak nigdy dotąd nie nocowała mężczyzny. Jedynymi mężczyznami, jakich można było spotkać w klinice, byli mąż jednej z pomocy kuchennych, stary człowiek, który wykonywał różne dorywcze prace, i riksarz.

- Można mu zaufać, to student z Doshishy, aktywny członek Kościoła.

- Student i chrześcijanin? - To uspokoiło Ginko.

- Nocował już u nas trzy razy. Będzie razem z moim mężem głosić ewangelię w Chichibu. Ma dwadzieścia sześć lat i jest kawalerem. - Pani Okubo zamyśliła się na chwilę, a potem zaśmiała. - To taki duży, czasem rozkojarzony mężczyzna. Kiedyś pół żartem, pół serio spytałam córkę, co o nim myśli, a ona powiedziała, że młodzi flegmatycy nie są w jej typie.

Ginko odetchnęła. Wyglądało na to, że jego obecność nie powinna spowodować kłopotów z pielęgniarkami.

- Chce sobie zrobić w Tokio przerwę w podróży z Kioto do Chichibu, więc się zastanawiałam, gdzie by się mógł zatrzymać. Tu by mu było najlepiej.

- Z przyjemnością go przyjmę.

- On jest z Kumamoto.

- To pewnie zna pastora Ebinę?

- Tak, dobrze się znają.

Ginko poczuła jeszcze większą ulgę.

- Długo mieszkał w Kioto, ale w Tokio jest tyle rzeczy, które będą dla niego nowe. A poza tym on jest pani wielbicielem.

- Pani żartuje!

- Nie, to prawda. Kiedy dwa lata temu był u nas, rozmawialiśmy o pani, i powiedział, że czytał o pani w gazecie i że strasznie chciałby panią poznać.

- Wierzyć mi się nie chce - powiedziała Ginko lekceważąco, lecz na myśl o tym poczuła się trochę młodsza.

- Przyjedzie w czasie wakacji. Od kiedy uruchomiono linię Tokaido, to nic trudnego.

- Słyszałam, że pociąg z Kioto jedzie tylko piętnaście godzin.

- Musimy kiedyś spróbować.

- A jak się ten student nazywa?

- Ach, oczywiście. Ma dziwne nazwisko - Shikata. Yuki-yoshi Shikata.

Ginko pomyślała, że to nazwisko trudne do zapamiętania. Następnego dnia nie myślała już o całej sprawie.

W połowie czerwca przyjechała do Ginko w odwiedziny jej siostra Tomoko. Była tylko o cztery lata starsza od Ginko, lecz życie na wsi odcisnęło na niej swoje piętno. Jednak jej szczupła figura i kształt oczu nie pozostawiały wątpliwości, że ona i Ginko to siostry.

- Słyszałam, że miasto się rozrosło, ale nie myślałam, że aż tak. - Tomoko była wcześniej w Tokio tylko raz, z mężem, zaraz po ślubie, kiedy jeszcze nazywało się Edo.

Zmiany, jakie zaszły w mieście w czasie tych dwudziestu kilku lat, wprowadziły ją w zdumienie. - Chyba jestem po prostu kobietą ze wsi, która nie zna niczego oprócz Kumagayi.

Przed dziesięciu laty Tomoko owdowiała. Żeby utrzymać czworo dzieci, w jednym ze składów należących do rodziny założyła lombard. Trzy córki wydała za mąż, syn się ożenił. Wreszcie miała czas dla siebie.

- Dziękuję ci za wieloletnią pomoc - powiedziała Ginko.

Z pieniędzy przysyłanych przez Tomoko, gdy siostra studiowała,

uzbierała się znaczna suma. Przez pierwsze dwa lata po otwarciu kliniki Ginko spłacała, ile mogła, więc teraz dług finansowy miała niewielki. Wiedziała jednak, że nigdy nie spłaci długu za oparcie psychiczne, jakie jej dawała świadomość, że Tomoko zawsze coś przyśle, żeby miała za co żyć. Po śmierci matki Tomoko była dla Ginko największą podporą. To, że się tak postarzała, sprawiało jej przykrość.

- Jak się miewa Zen? - zapytała o syna Tomoko.

- Dziękuję, dobrze - odparła Tomoko krótko. Ginko zauważyła, że siostra nie chce rozmawiać o rodzinie. Wychowała Zena, ale był on synem pierwszej żony jej męża, a jej obecna pozycja - teściowej w domu pasierba - najwidoczniej nie była dla niej przyjemna. Tomoko nie miała zwyczaju się skarżyć, ale Ginko wiedziała, jak się musi czuć.

- A jak tam Tawarase?

- Nigdy byś się nie domyśliła. Pola z tyłu i morwy należą już do kogo innego. Rodzinie został tylko dom i ziemia do kanału nawadniającego. To okropne. - Tomoko piła wolno herbatę, starając się nie pokazać po sobie, jak jest jej z tego powodu przykro.

- Yasuhei nadal nic nie robi?

- Od czasu do czasu przyjeżdża do Kumagayi, ale tylko po to, żeby wydać pieniądze. To wszystko wina Yai. Każdy wie, że trwoni rodzinny majątek. Swoje kimona i dodatki do nich sprowadza z najlepszych sklepów w Tokio. Pracy nie cierpi. Nie ma się co dziwić, że przy takiej gospodyni rodzina popadła w tarapaty.

Gdy Ginko opuszczała Tawarase, Yai była żoną Yasuhei dopiero od kilku lat, ale już próbowała rządzić domem. Teraz doprowadzała rodzinę do ruiny.

- Może gdyby Yasuhei wziął sprawy w swoje ręce, nie byłoby tak źle?

- On się do tego nie nadaje. Jego jedyna zaleta to spokojny

charakter.

Ginko nigdy się po swym starszym bracie nie spodziewała zbyt wiele, lecz miała nadzieję, że będzie chronił ziemię odziedziczoną po rodzicach. Do rodu Oginów należało niegdyś wszystko aż do brzegów Tone. Teraz ich posiadłość kończyła się na kanale nawadniającym.

- Jak sprawy raz przybiorą zły obrót, trudno to już zmienić. - Tomoko westchnęła.

Od kiedy nastał okres Meiji, Ginko wciąż słyszała o zrujnowanych rodzinach. Nieraz się dowiadywała, że na przykład żona członka świty szoguna poszła do pracy w restauracji albo że ktoś musiał sprzedać ziemię. Może nie należało się spodziewać, że rodu Oginów nie dotkną przemiany, jakie zachodziły w całym kraju? To, że mieszkała w Tokio, gdzie ludziom najbardziej zależało na pieniądzu i władzy, ułatwiło jej pogodzenie się ze zmianą losów rodziny.

O wiele trudniej było się z tym pogodzić Tomoko, która żyła w pobliżu rodzinnego domu.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, co by na to powiedzieli matka i ojciec.

Ginko musiała przyznać, że myśl, iż rodzice mieli kiedyś więcej ziemi niż inne rody w północnej Saitamie, i że wszyscy ich szanowali, sprawiała jej ból. Z uczuciem goryczy przypomniawszy sobie lokalne powiedzenie „Bierz przykład z Górnych Oginów”. To się skończyło, gdy zmarła matka.

Siostry milczały. Wreszcie, jakby chcąc poprawić atmosferę, Tomoko powiedziała:

- Niedawno widziałam Kanichiro.

Ginko ze zdziwieniem podniosła oczy. Wiedziała, że Tomoko pozostaje w kontakcie z rodziną Inamurów, ale wspomnienie byłego męża wciąż było dla niej niemiłe.

- Nadal dobrze im się wiedzie. Podobno Kanichiro ma zamiar otworzyć bank. Będzie jego prezesem. - Tomoko nie mówiła tego w jakimś określonym celu; szukała po prostu tematu do rozmowy. Wiedziała, że nic, co miało związek z Kanichiro, nie mogło wpłynąć na obecną ustabilizowaną sytuację Ginko. - Powiedział mi, że słyszał, że prowadzisz klinikę. Wyglądał na tak zadowolonego, jakbyś wciąż była członkiem jego rodziny.

Rozwiedli się już ponad dwadzieścia lat temu, ale Ginko ciągle go dobrze pamiętała. Nagle sobie wyobraziła, jak musi teraz wyglądać, co myśli i do czego dąży. Był inteligentny i wykształcony. Zupełnie możliwe, że jako młody człowiek wybrał się do dzielnicy uciech dla kaprysu, kto wie, czy nie za namową kolegi. Nie można go było obarczać całą odpowiedzialnością za jej chorobę, jak i za to, jak ciężko jej było w rodzinie Inamurów, i za złe traktowanie przez teściową. Może nie był taki zły, jak Ginko to sobie wyobrażała. Jednak...

Szybko przywołała się do porządku. To, że poważny błąd zrobił tylko raz, nie znaczyło, że musi mu przebaczyć. Choćby był nie wiadomo jak dobry, liczyło się wyrządzone zło. Gdyby wtedy znajdowała się w swej obecnej sytuacji, pewnie potrafiłaby mu wybaczyć. Ale była wówczas niedoświadczoną szesnastolatką i jedyne, co mogła zrobić, to zawierzyć mu swoje życie.

- Powiedział, że czasem przyjeżdża do Tokio. - Tomoko tylko zdawała sprawozdanie z rozmowy. - I że nawet kiedyś myślał o tym, by cię poprosić, żebyś wróciła. Było to dawno. Teraz tylko się modli, żeby ci się dalej dobrze wiodło.

Ginko uświadomiła sobie, że nigdy nie myślała o Kanichiro. Nawet raz. *Nie wróciłabym, choćby prosił.*

- Jak przyjadę do domu, przekażę mu od ciebie pozdrowienia - ciągnęła Tomoko.



- Nie, nie rób tego! - Ginko spojrzała na siostrę z błyskiem w oku. Przez dwadzieścia lat nigdy nie liczyła na pojednanie z Kanichiro, w żaden sposób. Wykreśliła go z pamięci i niczego od niego nie oczekiwała. Ból, który czuła, z czasem minął, ale nie chciała mieć z byłym mężem nic wspólnego. - Nie mów nic w moim imieniu.

- Chciałam tylko...

- I nie wykorzystuj mnie jako tematu do rozmowy.

- Gin! - Tomoko zaczynała siwieć. Szybko stawała się samotną starszą panią, której pozostała tylko duma z siostry.

Ginko zdała sobie sprawę, że się posunęła za daleko, więc przeprosiła. Nagle przyszło jej na myśl, że w gruncie rzeczy chyba nie może twierdzić, że wykreśliła Kanichiro z życia. *Jestem dziś tym, kim jestem, bo tamto się zdarzyło. Gdybym nie przeżyła tamtego smutku i poniżenia, nigdy bym nie została lekarzem, a nawet chrześcijanką.* Temu się nie dało zaprzeczyć. Jednak z drugiej strony wciąż nosiła w sobie ranę zadaną przez męża. Choroba złagodniała, ale od czasu do czasu objawy się zaostrzały, jakby chciała o sobie przypomnieć. Choć umysł prawie o Kanichiro zapomniał, ciało miało go pamiętać stale. Tego Ginko nie mogła wybaczyć, z tym się nie mogła pogodzić. Kobieta była na zawsze, więc zawsze mogła ją spotkać krzywda ze strony mężczyzn.

Po trzech dniach Tomoko wyjechała, dźwigając dwa pakunki z prezentami. Ginko odprowadziła ją na stację Ueno i pomogła wsiąść do pociągu jadącego do Takasaki. Tomoko umieściła prezenty od siostry w siatce nad siedzeniem i jeszcze raz się ukloniła.

- Dziękuję ci za wszystko.

- Dbaj o siebie.

Gdy pociąg ruszył, Ginko ze smutkiem sobie uświadomiła, że Tomoko już nie jest w stanie się o nią troszczyć. Role się odwróciły; teraz pomagać mogła ona. Od lat oczekiwała na ten dzień, lecz gdy nadszedł,

czuła tylko smutek i osamotnienie.

15.

Tego roku pora deszczowa ciągnęła się dłużej niż zwykle, a gdy się wreszcie skończyła, lipiec wydawał się piękniejszy niż kiedykolwiek. Właściciele sklepów rozłożyli bambusowe markizy i zaczęli spryskiwać ziemię wodą, żeby ochłodzić powietrze.

- Kupujcie lody! Lody z Hakodate! - W głosie ulicznego sprzedawcy lodowych wiórków o różnych smakach dźwięczała nadzieja szybkiego zarobku.

Gdy Ginko wróciła wieczorem z wizyt domowych, w korytarzu czekała na nią pielęgniarka Moto.

- Jakiś mężczyzna do pani! - wyszeptała podekscytowana.

- Kto to może być? - Ginko spojrzała na rząd butów przed wejściem. Na końcu stały *geta* na oko dwa razy większe od kobiecych, z wyraźnie widocznymi w środku odcisniętymi brudnymi śladami stóp właściciela i nierówno zdartymi podeszwami.

- Mówi, że się nazywa Shikata.

- Shikata?

- I że jest studentem z Kioto.

- A, już wiem. On jest z Doshishy. - Ginko przypomniała sobie rozmowę sprzed trzech miesięcy z panią Okubo i jej prośbę.

- Pani go zna?

- Nigdy go nie widziałam. To znajomy Okubów. - Ginko poszła do kuchni, żeby umyć ręce i stopy, Moto za nią.

- Jest wielki i dziwnie pachnie.

- Pachnie?

- Tak.

- Czym?

- Nie wiem.

- Posprzątaj pokój gościnny na piętrze. On zostanie na noc.  
- Zostanie? Tutaj? A ja mu nawet nie dałam herbaty.  
- Dlaczego?  
- No bo... bo myślałam, że to jakiś handlarz albo ktoś w tym rodzaju.

- To gdzie on teraz jest?  
- W poczekalni.  
- Co za niemądra dziewczyna! Poproś go do salonu.  
- Ginko wytarła ręce i stopy i poszła do pokoju, gdzie przyjmowała gości, nie zapomniawszy zerknąć po drodze w lustro i sprawdzić swój wygląd. Prawie nie używała kosmetyków, lecz od niedawna trochę się pudrowała. Jej skóra zaczęła tracić jędrność i pojawiły się nowe zmarszczki.

Zależało jej na tym, żeby nie rozczarować studenta, który przyjechał z tak daleka, by ją poznać.

Kiedy weszła do pokoju, Shikata klęczał prosty jak struna, z rękami przepisowo na kolanach. Najpierw zobaczyła go z tyłu - wyglądał jak skała.

- Przepraszam, że musiał pan czekać. Jestem Ginko Ogino.

Zaskoczony, szybko się odwrócił i nisko uklonił, uderzając przy tym głową w stół. Niezrażony, uklonił się jeszcze raz, po czym się przedstawił.

- Jestem Yuki Yoshi Shikata. - Mówił niczym żołnierz meldujący się dowódcy. - Bardzo dziękuję, że się pani zgodziła mnie przyjąć, choć, jak wiem, jest pani niezwykle zajęta.

- To żaden kłopot. Mam wolny pokój, więc dlaczego ktoś miałby z niego nie skorzystać.

- Dziękuję!

Ginko spojrzała na jego szeroką, opaloną twarz. Włosy niedawno ostrzygł, lecz policzki pokrywał mu kilkudniowy zarost. Pomimo swej

postury rysy twarzy miał prawie jak u dziecka.

- Proszę usiąść wygodnie.

Shikata kiwnął głową, lecz nadal siedział sztywno wyprostowany.

Ginko się uśmiechnęła, widząc zdenerwowanie gościa, ale gdy na jego czole, w miejscu, gdzie się uderzył, zauważyła powiększające się, zaczerwienienie, powiedziała ze smutkiem:

- Pana czoło...

- Nie boli ani trochę - odparł. Jego szerokie ramiona i zgięte ręce wyglądały jak skrzydła. - Bardzo przepraszam.

Nie miał za co przepraszać. Ginko pomyślała, że to rzeczywiście dziwna postać. Pielęgniarka Moto przyniosła wreszcie herbatę. Ustawiła filiżanki na stole, ukloniła się, a wychodząc, rzuciła wymowne spojrzenie na tobołek u boku Shikaty. Ginko poszła za jej wzrokiem i pomyślała, że Moto odkryła źródło dziwnego zapachu. Shikata zauważył, gdzie patrzy Ginko, więc sięgnął po tobołek i go rozwiązał. Moto, która jeszcze nie wyszła z pokoju, zatrzymała się, żeby zobaczyć, co jest w środku.

- Przyniosłem podarunek - powiedział Shikata.

- A co to jest? - spytała Ginko.

- Stynki. Złowiłem je dziś rano w rzece Tama. Było ich tam pełno! Wystarczyło sięgnąć i łapać.

Tajemnica się wyjaśniła. Ginko miała ochotę się roześmiać, ale poważna mina Shikaty ją powstrzymała. Podziękowała i wzięła ryby.

Shikata dostał pokój na piętrze, najdalszy od schodów. Od pokoju pielęgniarek Moto i Tomiko dzielił go jeszcze jeden. Zamieniwszy z Ginko kilka zdań, zabrał swój skromny dobytek i poszedł na górę.

Zanim Ginko skończyła wieczorny obchód i uporała się z kartami, zrobiło się wpół do ósmej. Shikata był już po kolacji i kąpieli. Ginko zjadła kolację i kazała pielęgniarce Moto zapytać go, czy nie ma ochoty zejść na pogawędkę. Moto poszła na piętro i szybko wróciła, trzymając się ze

śmiechu za brzuch.

- Otworzyłam drzwi, a on miał na sobie tylko przepaskę!

- Był nagi?

- Siedział i głośno czytał Biblię! - Kobiety za stołem wybuchnęły śmiechem, co w klinice Ogino zdarzało się rzadko.

Ginko się wykapała, włożyła lekkie letnie kimono i spotkała się z Shikata w swym pokoju. Gość miał na sobie te same spodnie *hakama*, w których go widziała wcześniej. Nadal czuć je było potem i rybą.

- Jeśli pan pozwoli, upierzemy panu spodnie.

- Nie, absolutnie...

- Prowadzimy tu klinikę, więc zawsze coś jest do prania. Ma pan jeszcze jakieś inne ubranie?

- Tylko koszulę nocną.

- W takim razie proszę się w nią przebrać.

- Dziękuję. - Shikata wstał i poszedł na piętro. Wrócił w cienkiej bawełnianej koszuli nocnej, o kilka rozmiarów za małej.

Ginko udało się go w końcu namówić, żeby usiadł w wygodniejszej pozycji. Przez otwarte drzwi do ogrodu wpadało wciąż jeszcze nagrzane powietrze. Pora deszczowa się skończyła, lecz nadal było wilgotno i duszno. Ginko siedziała naprzeciw Shikaty przy okrągłym stoliku, na którym stała lampa oświetlająca ich twarze. W sąsiednim pokoju słychać było krzątającą się służącą.

Zanim Ginko zdążyła coś powiedzieć, Shikata rozpoczął oficjalną prezentację.

- Urodziłem się w Kutami w dystrykcie Yamaga, w prefekturze Kumamoto. Mój ojciec miał na imię Yukihiro, matka była czwartą córką w rodzinie Umehara. Ojciec pochodził z rodu samurajów; zmarł, kiedy miałem trzynaście lat. To było w czasie buntu w Satsumie. Prawie co noc widzieliśmy na niebie płomienie i słyszeliśmy huk armat.

W tamtym okresie, gdy Shikata był jeszcze dzieckiem, Ginko uczyła się już w Szkole Normalnej dla Kobiet. Nie mogła uwierzyć, że siedzi tu i rozmawia z nią ktoś tak młody. Shikata ciągnął swą opowieść, poważny jakby go przesłuchiwała policja.

- Zamierzałem iść do wojska. Mając czternaście lat, wyjechałem z Kumamoto do Kobe, do zamężnej siostry. Potem wstąpiłem do szkoły oficerskiej w Osace, ale po dwóch latach mnie wydali z powodu słabego żołądka. Kuzyn, który był kapitanem, namówił mnie, żebym poszedł do szkoły Doshisha, założonej przez Joha Nijimę.

- Kiedy pan przyjął chrzest?

- Jesienią 1886 roku przyjaciel zaprosił mnie na mszę. W tym samym roku ochrzcił mnie profesor Nijima.

- Mniej więcej wtedy ja zostałam ochrzczona.

- Przez kogo, pani doktor? - spytał Shikata z szacunkiem.

- Przez pastora Ebinę.

- Dobrze go znam. Też jest z Kumamoto, i niedawno tam wrócił.

- On również chciał zostać żołnierzem, ale postanowił poświęcić się Kościołowi.

- Gdybym wstąpił do wojska, chodziłbym dziś w mundurze i z szablą. Tak by się stało, gdyby nie profesor Nijima. Człowiek nigdy nie wie, co go czeka, jak się zmieni jego los, prawda?

Ginko też tak uważała. Nie miało sensu starać się dojść, co się może wydarzyć. Teraz też nie wiedziała, jak bardzo zmieni jej los to przypadkowe spotkanie z Shikatą.

Powietrze było ciężkie, na niebie wisiały ciemne, nieruchome chmury. Od czasu do czasu dźwięczały poruszane wiatrem dzwoneczki. Służąca skończyła pracę w kuchni, przyniosła Ginko i Shikacie owoce i poszła na piętro.

- Jestem pełen podziwu dla pani odwagi. Otworzyła pani kobietom

drogę do zawodu lekarza. Wiem też, że działa pani w Japońskiej Organizacji Chrześcijańki.

Ginko czuła, że to nie są tylko pochlebstwa. Shikata sprawiał wrażenie tak otwartego i uczciwego, że z pewnością nie byłby do nich zdolny. Był za to wyraźnie przejęty tym, że osobiście poznał ową wspaniałą kobietę, której sława dotarła aż do Kumamoto.

- Już od dawna chciałem panią poznać, móc z panią porozmawiać.

Młodzieńczy zapał tego człowieka i sposób, w jaki ją chwalił, rozbawiły Ginko. Poczowała ochotę, by się z nim podroczyć.

- A co pan myśli o działalności JOC? - zapytała.

- Zgadzam się z JOC we wszystkim. Prostytucja powinna być zakazana już dawno.

- Ale czy brak prostytutek nie byłby dla was, mężczyzn, strasznie uciążliwy?

- Oczywiście, że nie! Cesarz jest zwolennikiem monogamii, ale Japończycy uważają, że w samurajskim społeczeństwie stosunki między mężczyznami i kobietami ograniczają się do kwestii prowadzenia domu. To jest system dyskryminacyjny, który nie respektuje praw jednostki. Nie ma powodu, żeby kobiety traktować inaczej niż mężczyzn.

- Władze nawet nie pozwoliły nam oglądać posiedzeń parlamentu, nie mówiąc już o udziale w wyborach.

- Słyszałem o petycji JOC. Te władze są anachroniczne! Powinny szukać utalentowanych kobiet i korzystać z ich umiejętności. Na Zachodzie wśród znanych osób nadal przeważają mężczyźni, ale w wielu krajach rządzą królowe. Katarzyna, Elżbieta, Maria Teresa, Wiktoria... Chiny mają Cixi. Są ekonomistki, jak Harriet Martineau, i filozofki, jak madame de Staël. Poetki, jak Elizabeth Browning. To ciekawe, że zanim nastał wiek siedemnasty i epoka przemysłu, prawie nie było wybitnych kobiet. Pojawiły się dopiero wraz z rozpowszechnieniem się kształcenia

akademickiego.

Ginko pomyślała, że Shikata dobrze się przygotował. Wiedziała, że ma mnóstwo zapachu, ale nie przypuszczała, że jest taki elokwentny. A on mówił dalej.

- Wreszcie nadszedł czas Japonii. A pani jest na czele. - Shikata gestykulował, a Ginko nie mogła się powstrzymać od zerkania na jego pulchne ramiona pojawiające się w wycięciach bawełnianej koszuli.

- Ale kobiety mają pewną wadę, prawda? Zachodzą w ciążę i rodzą dzieci. - Czując, że dyskusja ją wciąga, postanowiła wystąpić w roli adwokata diabła.

- Tak, nawet się zastanawiałem, dlaczego na kobietach spoczywa ten ważny, ale uciążliwy obowiązek. Stary Testament mówi, że Ewa zjadła zakazany owoc z drzewa wiadomości i że Bóg ukarał ją i wszystkie następne kobiety, nakładając na nie powinność rodzenia dzieci w bólu. Lecz jeszcze zanim to nastąpiło, ciała mężczyzn i kobiet się różniły. Jestem pewien, że przekonanie, iż poród jest karą bożą, to mit stworzony przez starożytnych Izraelitów. Gdyby było inaczej, trzeba by uznać, że samice wszystkich gatunków - ssaków, owadów, ryb, a nawet drzewa i inne rośliny - popełniły ten sam grzech. Myślę, że szkoda czasu i energii na cofanie się do początku czasów i próbowanie wyjaśnienia, dlaczego kobiety muszą dźwigać ten ciężar. To absurd pozbawiać kobiety z tego powodu ich czci i praw.

- Zgadzam się z pana wnioskiem, ale nie jestem pewna, czy ciążę i poród należy uznać za przykre brzemię.

- Słusznie. Gdyby kobiety odmówiły przedłużania gatunku, ludzkość już dawno by zniknęła. Nie mielibyśmy przyszłości. Kobiety mają do spełnienia wyjątkowe zadanie, jakiego mężczyźni nigdy nie będą w stanie wykonać. To, że na tej podstawie mężczyźni ignorują ich prawa, zachowując wysokie stanowiska tylko dla siebie, świadczy o



niedojrzałości naszego społeczeństwa. Nawet teraz, gdy edukacja i nauka czynią takie postępy, mężczyźni wykorzystują swą przewagę fizyczną. Pod względem uczuciowym wciąż jesteśmy prymitywni. Dziewiętnastowieczni mężczyźni muszą się przyznać do błędnego rozumowania i za nie odpokutować. - Shikata się zaczerwienił, na czoło wystąpiły mu kropelki potu. Ginko była pod wrażeniem zapału, z jakim mówił o sprawach tak dla niej ważnych. - W nowoczesnym społeczeństwie pewna dyskryminacja ze względu na umiejętności jest nie do uniknięcia, ale nie ma powodu do dyskryminacji jedynie z powodu płci.

- Więc uważa pan za rzecz dopuszczalną, by kobiety włączyły się do społeczeństwa, pracowały, zamiast zostać w domu i wychowywać dzieci?

- Oczywiście. Jeśli kobiety mają się stać niezależne, samodzielne, muszą mieć zawód. A jest mnóstwo zawodów, które wykonywałyby lepiej niż mężczyźni.

- Na przykład?

- Przede wszystkim nauczanie. Kobiety są cierpliwe, troskliwe i łagodne. Najlepiej to robią. Słyszałem, że na Zachodzie nauczycielek jest więcej niż nauczycieli. Właściwym zawodem jest też medycyna. - Ginko poczuła się skrzepowana, że mówi o niej. - Kobiety są głęboko wrażliwe, potrafią jednym rzutem oka przejrzeć człowieka na wylot. I wszystko pamiętają. Świetnie umieją rozpoznawać różne rodzaje chorób. A przede wszystkim najlepiej się nadają do leczenia innych kobiet. Co właśnie robi pani.

- Są jeszcze jakieś inne zawody dla kobiet?

- Obsługa telegrafu. A słyszałem też, że w krajach skandynawskich kobiety lepiej niż mężczyźni radzą sobie w firmach ubezpieczających wkłady bankowe.

Teraz Ginko wiedziała na pewno, że spodziewając się spotkania z nią, czytał o prawach kobiet i kobiecych zawodach. Uważała jego starania

za czarujące. A im więcej mówił, tym bardziej miała chęć go prowokować.

- Nie przypuszczam, żeby pan kiedykolwiek zechciał poślubić kobietę mającą zawód.

- Zawrzeć małżeństwo to znaczy wiedzieć wszystko o małżonku. Człowiek powinien brać ślub z kimś, kto jest dla niego odpowiedni i kogo kocha. Najważniejsze to uznać jego talenty, szanować opinie i nie stwarzać granic. W Japonii małżeństwo jest w opłakanym stanie. Kazać dwojgu młodym, niedojrzałym ludziom, którzy się nigdy nie widzieli na oczy, pobrać się przy pomocy pośrednika, w dodatku żeby spełnić obietnicę rodziców - to okropnie staroświeckie. Tak niegdyś robili arystokraci, ale dziś to jest żalosne.

W uszach Ginko brzmiało to jak bolesna prawda.

- Małżeństwo powinno być sposobem na połączenie się dwojga ludzi, którzy się godzą spędzić razem życie na dobre i na złe. Aby to się udało, muszą się dobrze znać, zanim się postanowią pobrać. Małżeństwo bez wzajemnego zrozumienia nie różni się od transakcji handlowej.

Mocne słowa Shikaty bardzo zaskoczyły Ginko. Jak na tamte czasy, jego poglądy były tak rewolucyjne, że aż mogły budzić wątpliwości, czy mówi poważnie. Niewątpliwie ukształtowały się w salach Doshishy, gdzie wiele czasu poświęcano na dyskusje.

- Mam więc wierzyć, że zamierza pan postąpić zgodnie z tym, co pan głosi?

- To przecież oczywiste, że należy robić, co się mówi.

- Zatem pana ideał kobiety to...

- A obieca pani, że jeśli powiem, to nie wykpi pani moich niedoskonałości?

- Naturalnie.

- Ktoś o nieprzeciętnym umyśle, mający zawód, piękną twarz i piękne serce.

- Więc fizyczne piękno też się liczy, jak widzę.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie. Kobiety wyglądają dużo lepiej niż mężczyźni. Nie dlatego, że mają w sobie coś specjalnego. To kwestia ewolucji. Mężczyźni wybierają kobiety piękne.

- Przypuszczam, że musiał pan dojść do wniosku, że z punktu widzenia tej ewolucji jestem trochę spóźniona.

- Proszę nie żartować - stanowczo zaprzeczył Shikata. - Zaszła pani w ewolucji, *sensei* - użył potocznego określenia lekarza - tak daleko, jak tylko można.

Ginko z trudem stłumiła śmiech. To był raczej niezwykły sposób oznajmienia kobiecie, że jest ładna. Shikata się zaczerwienił i zakłopotany spuścił głowę. *To niemożliwe, żeby był mną zainteresowany!* Szybko sobie wytłumaczyła, że dla dwudziestoparolatka kobieta o trzynaście lat starsza nigdy nie będzie pociągająca, i odwróciła wzrok.

Wreszcie zerwał się chłodny wiatr i odezwały się dzwoneczki wiszące pod okapem. Z pokoju można było wyjść na wąski taras i podziwiać niewielki ogród. Na końcu rosły drzewa, a za płotem była alejka, która z jednej strony wiodła do ulicy, a z drugiej, kilka domów za kliniką, kończyła się ślepo. W nocy prawie nikt tamtędy nie chodził, lecz gdyby jednak ktoś się ukazał, mógłby zajrzeć przez płot do jasno oświetlonego pokoju. Sąsiedzi znali tryb życia

Ginko, wiedzieli, że nie spotyka się z mężczyznami, i przypuszczali, że czasem musi się nudzić. Teraz byliby zaskoczeni.

Gdy znów na niego spojrzała, Shikata patrzył na ogród. Sięgnęła po wachlarz. Strumień powietrza przyniósł zapach mężczyzny. Pewnie pot - pomyślała. Z dala dobiegał krzyk sprzedawcy makaronu.

- Jest pan głodny?

- Nie, dziękuję. - Shikata odwrócił się w jej stronę, chwycił szklanke z wodą i wypił ją jednym haustem.

- Czy po studiach będzie pan pracował dla Kościoła?

- Mam zamiar. Myślę, że Kościół czeka trudny okres.

- Też tak uważam. - W ciągu ostatnich kilku lat, po ustanowieniu nowej konstytucji i ukazaniu się cesarskiego reskryptu o edukacji, przybierał na sile nacjonalistyczny sprzeciw wobec okcydentalizacji rządu, tak mile widzianej w początkach okresu Meiji. Kościół znów zaczynało traktować jako cudzoziemską religię.

- Rząd dba tylko o własne interesy - powiedział z przekonaniem Shikata. - Wykorzystał edukacyjną stronę chrześcijaństwa do zmodernizowania kraju, lecz teraz sprzeciwia się wpływom Kościoła.

- To nie wszystko - dodała Ginko. - Spodziewaliśmy się, że rolnicy z klasy średniej i wyższej pomogą rozpropagować protestantyzm, ale oni osiągnęli pewien poziom bezpieczeństwa i już im na tym nie zależy.

- To prawda. Ewangelizacja na terenach rolniczych jest coraz trudniejsza.

- Podstawowy problem polega na tym, że w dzisiejszych czasach ludziom wystarcza posiadanie ziemi.

- Chyba ma pani rację.

- Czy w rejonie Kioto jest tak samo?

- Znaleźli się nawet tacy, którzy nawołują do tępienia zagranicznych religii.

- Wobec chrześcijaństwa jest zbyt dużo uprzedzeń.

Shikata utkwiał wzrok w lampie.

- Po skończeniu studiów chciałbym coś zrobić.

- Co?

- Chciałbym opuścić to zatłoczone społeczeństwo.

- Opuścić?

- Marzę o tym, żeby osiąść tam, gdzie są wielkie otwarte przestrzenie. Chcę stworzyć idealną społeczność chrześcijańską,

prawdziwy raj dla ludzi wierzących. Chrześcijanie powinni móc prowadzić samowystarczalne życie z dala od tego kraju agresywnych biurokratów. Jak osadnicy, którzy przyплыli na „Mayflower” do Ameryki. - Shikata rozłożył ręce i lekko się zakołysał, jakby oczyma duszy widział to, o czym mówił.

- Dokąd ma pan zamiar się udać?

- Gdzieś, gdzie jest dużo ziemi. Jeszcze nie wiem, gdzie by to mogło być. Powinienem zacząć o tym myśleć. Musi być takie miejsce i to się może ziścić, jeśli ludzie wierzący postanowią się tam zgromadzić. Będziemy mogli żyć zgodnie z naszą wiarą. Nie sądzi pani, że to jest osiągalne?

Ginko tak nie sądziła, ale zazdrościła temu młodemu człowiekowi jego śmiałych marzeń.

- Zrobię to! - oznajmił. - Pokażę wszystkim, że można mieć na ziemi chrześcijański raj. - Ciemne źrenice Shikaty były ogromne. Ginko widziała w nich odbicie swojej twarzy, czuła się, jakby ją wciągały.

Zegar wiszący na ścianie wybił dziesiątą. W domu panowała cisza. Nagle Ginko usłyszała niski dźwięk dzwonu. Wydawało jej się, że uderzył cztery razy. A przecież jedyny dzwon w okolicy był w świątyni Kaneiji w Ueno i bił tylko o szóstej rano.

Usłyszawszy dzwon, Shikata zamilkł. Lampa tworzyła w pokoju krąg światła, na papierowych *shoji* widać było ich cienie. To był dzwon świątynny. Znow zaczął bić, tym razem z krótkimi przerwami.

Ginko spojrzała na Shikatę.

- To musi być pożar - powiedział.

Wstali i wyszli na taras. Dzwon bił dalej, ale nigdzie nie dostrzegli płomieni.

- Z piętra będzie lepiej widać. - Shikata poszedł w kierunku schodów, Ginko ruszyła za nim.

Shikata odsunął drzwi swojego pokoju i gestem zaprosił Ginko do środka. W ciemnościach dostrzegła tobolek z jego rzeczami i posłanie przygotowane wieczorem przez służącą.

- Proszę spojrzeć, to tam.

Przez otwarte okno dobiegał wyraźny dźwięk dzwonu. Na horyzoncie było widać czerwoną lunę.

- Co to za rejon? - spytał.

- Na zachodzie. Pewnie Ushigome albo Koishikawa.

- Trzy uderzenia. - Dzwon bił po trzy razy z krótkimi przerwami. To, jak dzwonił, mówiło mieszkańcom, jak daleko jest pożar. Jeśli pożar się zbliżał, dzwon bił bez przerwy.

Usłyszeli kroki sąsiadów, którzy biegli na miejsce pożaru. Ginko przez chwilę patrzyła na lunę, a potem poszła ku drzwiom.

- Dokąd pani idzie?

- Powinnam obudzić resztę.

- To nie wygląda na wielki pożar. - Pozostali mieszkańcy domu już poszli spać. Nie było słyhać, by ktoś się obudził. Gdyby dzwon się odezwał trochę później, oni też by go nie usłyszeli.

- Mam nadzieję, że pożar się nie rozprzestrzeni. - O tym, jak może być niebezpieczny, Ginko dowiedziała się po przeprowadzce do Tokio. Na wsi pożar oznaczał stratę jednego domu. W mieście domy stały tak blisko siebie, że jeden pożar mógł szybko zniszczyć całą dzielnicę.

Była świadkiem pożaru Kandy w 1880 roku i Matsuedy rok później, gdy spłonęło dziesięć tysięcy domów. Pożar w Ushigome czy Koishikawie nie był niepokojący, ale nie tak odległy, by można go było zignorować. A płomienie, które widzieli, nie przygasały.

- Może popilnujemy jeszcze trochę.

- Sądzi pan, że trzeba? - Ginko spojrzała na Shikatę.

- Wiatr wieje w przeciwnym kierunku. - Wczesnym wieczorem

ledwie się go czuło, ale potem przybrał na sile i teraz widzieli, dokąd idą płomienie. - Myślę, że tu pożar nie dotrze.

- Liczę na to.

- Co by pani chciała ratować, gdyby coś się stało?

- Trochę książek i sprzęt medyczny.

- Zajmę się tym, jeśli będzie trzeba, ale nie ma powodu do obaw.

*Dopóki on tu jest, nic mi nie grozi.* To ją uspokoiło. Spojrzała na niebo.

- Skąd pożar w środku lata? - W czasie pory deszczowej straż pożarna nie obchodziła terenu, a latem pożary zdarzały się rzadko.

- To mogło być podpalenie - odparł Shikata. Na myśl o tym, że gdy oni spokojnie rozmawiali, ktoś celowo podkładał ogień, znowu poczuła niepokój.

Słyszeli głosy na ulicy, lecz już nikt nie biegł i nic nie wskazywało na to, by wynoszono rzeczy z domów. Stali w oknie i patrzyli na niebo na zachodzie. Płomienie przygasały i niebawem przerwy między uderzeniami dzwonu się wydłużyły. Ginko głęboko odetchnęła i spojrzała na okap nad tarasem w dole. Dachówki pokrywała rosa.

- Już po wszystkim - zapewnił ją Shikata.

- Cieszę się. - Ginko kiwnęła głową i się odwróciła.

Przed sobą miała szeroką pierś Shikaty. Jego twarz była wysoko w górze, ale wiedziała, że Shikata na nią patrzy.

Nagle zabrakło jej powietrza i poczuła chęć ucieczki, lecz nie była w stanie poruszyć nogami. Ciało odmówiło jej posłuszeństwa. Stała i wpatrywała się w jego pierś.

- *Sensei* - wyszeptał ochryple.

Zobaczyła jego oczy. Błyszczały w ciemności. Jej dłoń oparta na framudze okna zetknęła się z jego dłonią i Ginko niemal poczuła, jak płynie w niej krew. Przez moment zastanawiała się, co się dzieje, i w

następnej chwili rozum kazał jej to odrzucić.

- Myślę... - spróbowała mówić dalej i w końcu z wielkim wysiłkiem zdołała się od niego oderwać. - Dobranoc - wykrztusiła.

- Pani doktor!

Już było za późno. Zacisnąwszy ręce na kołnierzu kimona, Ginko uciekła z pokoju. Zbiegła po schodach, wpadła do salonu, zamknęła za sobą drzwi i dopiero wtedy zaczerpnęła powietrza. Serce waliło jej jak młotem. Przyglądała włosy i wyjrzała przez okno. Czerwony blask na niebie prawie znikł.

Poszła do swojego pokoju i położyła się do łóżka, ale im bardziej się starała zasnąć, tym bardziej była rozbudzona. Nawet miękkie posłanie wydawało się jej przeszkadzać w zaśnięciu. Zaczęła czytać ostatni numer czasopisma „Kobiety w Nauce”, ale to też nie pomogło. Oczy patrzyły na tekst, lecz rozum nie chciał go rozumieć.

Może to przez ten pożar - pomyślała i wpatrzyła się w sufit. To brzmiało fałszywie, ale nie chciała się przed sobą przyznać, że może być inna przyczyna. Zamknęła oczy.

Następnego dnia wstała o siódmej, niezwykle wcześnie jak na kogoś, kto miał zwyczaj czytać do późnej nocy i potem spać dłużej.

- Dzień dobry! - witał ją personel kliniki, wyraźnie zaskoczony zmianą rozkładu dnia.

Umyła twarz i wróciła do pokoju, żeby się trochę umalować. Pomyślała, że choć spała krótko, jej skóra wygląda całkiem świeżo. Lekko się upudrowała. *A może nieco szminki?* Musnęła wargi i była zadowolona z efektu.

Patrząc na swą twarz, czuła jednak niepokój. Od lat nie malowała ust, ale wiedziała, że to nie jedyny powód. Była za stara na takie rzeczy. Starannie wytarła wargi.

Wstała, klasnęła w ręce i zawołała służącą Kiyo.



- Idź do pokoju gościa i przynieś mi kimono, w którym był wczoraj. Tylko żebyś go nie obudziła.

Kiyo się ukloniła i wyszła, Ginko tymczasem wyjęła pudełko z przyborami do szycia. Gdy wróciła, Ginko spytała, czy młody człowiek ją zauważył.

- Nie, śpi jak zabity, z nogami wystającymi spod przykrycia.

Ginko, nie zmieniając wyrazu twarzy, kiwnęła głową. Wzięła igłę i zaczęła zszywać niewielkie rozdarcie, które poprzedniego dnia zauważyła w rękawie kimona Shikaty. Szyła i uśmiechała się w myślach, wyobraziwszy go sobie rozciągniętego na posłaniu i głęboko śpiącego. Musiał być zmęczony.

Wszystko, co się wydarzyło poprzedniego wieczoru, teraz, w świetle dnia, wydawało się nieprawdopodobne. Czy naprawdę był pożar? Czy naprawdę obserwowali go we dwoje? To się musiało zdarzyć, bo przecież reperowała jego kimono. Trochę ją jednak denerwowało, że mimo to tak dobrze spał. Przegryzła nitkę i oddała kimono Kiyo.

- Odnieś je na miejsce i nic o tym nie mów.

- Tak, proszę pani. - Na twarzy Kiyo pojawił się nieśmiały uśmiech. Nie wiedziała, co było zabawniejsze: Shikata śpiący jak dziecko czy Ginko reperująca męskie kimono.

Shikata pojawił się na dole dopiero po dziesiątej. Ginko słyszała z salonu jego kroki na schodach. Czytała gazetę i starała się nie stracić opanowania. Wreszcie drzwi się otworzyły i wszedł. Wymienili powitania i popatrzyli na swoje twarze, jakby szukali potwierdzenia wydarzeń poprzedniego wieczoru.

- Dobrze pan spał? - spytała.

- Tak, dziękuję.

Rozmawiali sztywno, bez śladu wczorajszej bliskości.

- Ma pan jakieś plany na dzisiaj?

- Obiecałem, że koło południa spotkam się w kościele w Reinanzace z pastorem Kozakim. A o trzeciej wyjeżdżam pociągiem do Takasaki.

Ginko skinęła głową. Zastanawiała się, czy jeśli o to poprosi, Shikata zostanie dzień dłużej.

- Ktoś mi zreperował kimono.

- Nie szyję za dobrze, ale pomyślałam, że i tak będzie wyglądało lepiej niż rozdarte.

- Przepraszam za kłopot. - Spojrzał na rękaw i jeszcze raz się uklonił.

- W Takasaki będzie pan u pastora Okubo?

- Tak. Spędzę tam jeden dzień, a później pojedę do Nagano i potem do domu.

- Kiedy pan wróci do Tokio?

- Nie wrócę. Napiszę do pani, jeśli można.

- Proszę bardzo.

- Jak tylko dotrę do Kioto.

Wszystko wróciło do normy. Poprzedni wieczór to był sen, doszła do wniosku Ginko. Jakiś dziwny wpływ wywarła na nich rozmowa i pożar, ale teraz wszystko wróciło do normy i tak było dobrze.

- W nocy się paliło - odezwała się nagle pielęgniarka Moto. Powiedziała, że pożar wybuchł w Ushigome, a potem się rozprzestrzenił na Kaitai i Yamabuki i tam go zatrzymały pola ryżowe. W tym rejonie jest dużo rozległych majątków ziemskich i wolnej przestrzeni, dzięki czemu nie poszedł dalej. Spłonęło tylko około setki domów, więc jak na ówczesne Tokio był to pożar mały. - Jednym słowem nic wielkiego się nie stało - zakończyła.

Ginko słuchała i kiwała głową, lecz myślami była przy Shikacie.

16.

Shikata powiedział, że odezwie się dopiero z Kioto, ale napisał dwa

razy jeszcze z drogi - z Takasaki i z Nagano.

W pierwszym liście dziękował za to, że pozwoliła mu się u siebie zatrzymać. Zakończył słowami „Będę pamiętał pani dobroć do końca życia”. W drugim, dłuższym, odnotowywał wrażenia z podróży, a na końcu napisał: „W chwilach wolnych od obowiązków misjonarskich przypominam sobie panią, *Sensei*, i uświadamiam sobie boleśnie, jakie mam braki”.

Co miał na myśli, pisząc „przypominam sobie panią”? Cóż takiego w niej było, co sobie przypominał? Słowa tego rodzaju zwykle oznaczały wyznanie miłości, ale Ginko z trudem przychodziła taka ich interpretacja. Nie mógł się w niej zakochać mężczyzna o trzynaście lat młodszy, to było po prostu niemożliwe, a jeśli nawet - nie do przyjęcia. Widocznie oboje przez chwilę błędnie rozumowali, na chwilę zapadli w sen, z którego ona już się obudziła, a on jeszcze nie.

A może doszukiwała się w jego słowach zbyt wiele? Jako bezpośredni i szczery młody człowiek Shikata mógł po prostu chcieć powiedzieć, że wieczór, który spędzili razem na rozmowie, był miły, i że teraz z przyjemnością wraca do niego myślami. Jeśli jednak jakimś cudem jego słowa były wyznaniem miłosnym, to co?

Ginko widziała w myślach jego pełną skromności postać: oczy zaczerwienione od łez w trakcie rozmowy na temat bliski sercu, drżącą rękę, szeroką pierś tak niedaleko, że mogłaby jej dotknąć. Wszystko to miała żywo w pamięci. Jego obecność przyniosła jej uspokojenie, gdy razem patrzyli na łunę pożaru. W ogóle wtedy nie czuła strachu. Wiedziała, że to dlatego, że on jest przy niej, i sama się sobie dziwiła.

Nigdy przedtem nie czuła, że ma w mężczyźnie oparcie, że jego obecność ją uspokaja. Mężczyźni zwykle byli dla niej zaciekłymi rywalami. Przez lata kryła się za fasadą niewrażliwości. W każdej chwili była przygotowana na obronę. Tamtego zaś wieczoru czuła się swobodnie,

była całkowicie odprężona. Może Shikata wyczuł swym męskim instynktem, że straciła czujność? *Coś we mnie musiało go sprowokować.*

A co sama do niego czuła? Jeszcze raz próbowała znaleźć w myślach i sercu odpowiedź na to pytanie. Nic szczególnego - wmawiała sobie. To tylko ktoś spotkany przelotnie, z kim rozmawiała przez jeden wieczór. To wszystko. *Czy jest więc możliwe, żebym czuła do niego coś więcej niż sympatię?*

Ginko uznała, że z powodu psychicznego i fizycznego wyczerpania przestaje myśleć logicznie.

Nadszedł sierpień. Pielęgniarka Moto spryskiwała alejkę przed kliniką, żeby się nie kurzyło, ale krople wysychały, ledwie dotknęły ziemi. Z okna Ginko widziała kolorowe parasole ludzi przechodzących za płotem, lecz nawet one wyglądały na oklapnięte. Od nadejścia ostatniego listu od Shikaty minęło kilka tygodni. Nie zdając sobie z tego sprawy, Ginko na jego listy czekała. Zapominała o nim, gdy załatwiała różne sprawy lub była zajęta badaniem pacjentów, ale w przerwach albo kiedy wracała z wizyt domowych, pojawiał się w jej myślach. Prawdę mówiąc, myślała o nim w każdej wolnej chwili.

Bywało, że pielęgniarka musiała zwracać się do niej dwa albo trzy razy, zanim Ginko to zauważyła. Rozglądała się wtedy zdziwiona.

- Mówiłaś coś?

- W Matsutomi proszą o wizytę domową.

- No to chodźmy.

Ginko wiedziała, że reaguje wolniej niż zwykle i że dziewczyna patrzy na nią dziwnym wzrokiem. Czyżby pielęgniarki coś dostrzegały? Spędziła wieczór na rozmowie z gościem, a rano zreperowała mu kimono. Przecież tylko na tej podstawie nikt by nie pomyślał, że coś między nimi zaszło. Była pewna, że w oczach pracowników jest tylko lekarką i panią domu.

Pracownicy jednak dostrzegli w Ginko zmianę. Ostatnio była dla nich miłsza i miała więcej cierpliwości. Przedtem, gdy klinika pękała w szwach i zaczynało brakować sterylnych opatrunków albo czegoś innego, z wściekłością wrzucała pęsetę do metalowej nerki, a kiedy pomyliła się dziewczyna przygotowująca lekarstwa, potrafiła uderzyć ją w rękę tłuczkiem od moździerza i zapytać, jak może się uważać za pielęgniarkę, skoro tak pracuje.

Ginko o wszystkim pamiętała i skrupulatnie jak zawsze wszystkiego doglądała, ale od kilku miesięcy jej reprymendy były łagodniejsze. Nie znaczyło to oczywiście, że się zrobiła niedbała - po prostu już nie wpadała w złość. „Może się starzeje”, szeptały za jej plecami pielęgniarki. Ani ona, ani one nie zdawały sobie sprawy z tego, że złagodniała z powodu uczucia, jakim darzyła Shikatę.

Zaczął się kolejny semestr i Shikata powinien już wrócić do Doshishy, ale nadal nie przychodziły od niego nowe listy. To było tylko przelotne młodzieńcze zauroczenie - tłumaczyła sobie Ginko. Myślała o tym wieczorem, siedząc samotnie w pokoju, i uświadomiła sobie, że nie ma o to żalu. Nie zrobił nic złego. Odbyli inspirującą rozmowę, która sprawiła im przyjemność, on patrzył na nią z pasją w oczach. I ona wzięła to za miłość.

W moim wieku powinnam być mądrzejsza - skarciła samą siebie.

Upały przeciągnęły się do września, a w oczekiwaniu na chłodniejszą pogodę wydawały się jeszcze dotkliwsze. W wysokiej temperaturze łatwo psuła się żywność i z tego powodu chorowało dużo dzieci. Klinika Ogino rozbrzmiewała ich płaczem.

Ginko była bardzo zajęta również poza kliniką. Pewnego dnia w drodze powrotnej z zebrania Japońskiego Stowarzyszenia na rzecz Zdrowia Kobiet poszła nad staw Shinobazu, żeby odetchnąć chłodnym powietrzem. Gdy minęła most Mitsubashi i weszła na wzgórze drogą na

Ueno, zgiełk Tokio ucichł. Na ławkach siedziało mnóstwo ludzi, od uczniów po babcie w towarzystwie wnuków. Przychodziła tu czasem jako studentka Kojuin, lecz tym razem była po raz pierwszy od otwarcia kliniki. Przez chwilę się zastanawiała, dlaczego pomimo nawału zajęć niespodziewanie poczuła potrzebę, by przyjść tam teraz.

Usiadła na ławce w pobliżu mostu wiodącego do buddyjskiego posągu bogini Benten, który stał na wyspie pośrodku stawu. W blasku słońca wyspa i powierzchnia wody połyskiwały złoto. Przez most przechodzili ludzie: kupcowa, staruszek, a za nim potężny mężczyzna z żoną niosącą na plecach dziecko. Szli niespiesznie, patrzyli na wodę, o czymś rozmawiali.

Ginko przyjrzała im się dokładniej. To byli jej nauczyciel Yorikuni Inoue i jego żona Chiyo. W połowie mostu przystanęli, spojrzeli na coś w wodzie i zaczęli się śmiać, a potem Yorikuni ruszył powoli w jej stronę. Ginko zerwała się z miejsca i szybko poszła do kliniki.

Minęły kolejne dwa tygodnie. Ginko była zbyt zajęta, żeby często myśleć o Shikacie. Pewnego wieczoru w połowie września, gdy po kolacji czytała, do pokoju pospiesznie weszła pielęgniarka Moto.

- Przepraszam, ale pan Shikata...

- Pan Shikata?

- Czeka przy wejściu.

Ginko szybko podniosła się z miejsca i poszła do drzwi, jeszcze nie wierząc, żeby to było możliwe. Shikata rzeczywiście tam był. Wyglądał tak samo jak przedtem: wysoki mężczyzna o szerokich ramionach prawie sięgający głową okapu, z kilkuniedniowym zarostem na chłopięcej twarzy.

- Przepraszam, że pani nie uprzedziłem, że przyjadę. - Stał na szeroko rozstawionych stopach, z opuszczoną głową.

- Ale skoro już pan tu jest, proszę wejść! - Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Zaprowadziła go do swojego pokoju pracy. Poprzednio rozmawiali w salonie, ale teraz wołała go tam nie zapraszać, nie chcąc stwarzać atmosfery bliskości jak wtedy.

Shikata usadowił się na tatami i z podziwem rozejrzał dookoła. Pod oknem stało małe biurko, a wszystkie pozostałe ściany pokrywały półki pełne książek. Od czasu otwarcia kliniki Ginko zgromadziła całą bibliotekę. Marzyła o tym, żeby mieć księgozbiór porównywalny z tym, który widziała w gabinecie Yorikuniego.

- Czy i tym razem jest pan w Tokio w sprawach kościelnych?

- Nie.

- Więc w związku ze studiami?

- Nie. - Shikata pokręcił głową. Twarz miał bladą, pełną napięcia.

- W takim razie...

Pielęgniarka Moto wniosła chłodzoną jęczmienną herbatę i ciasteczka. Shikata poczekał, aż wyszła.

- Czy mogę przenocować? - zapytał.

- Oczywiście. A co z pana uniwersytetem?

- Rzuciłem studia.

Ginko zauważyła, że Shikata schudł i miał zapadnięte policzki.

- Dlaczego?

Zamknął oczy i zacisnął powieki.

- Czemu tak nagle?

- *Sensei* - skłonił się głęboko, przycisnąwszy dłonie do tatami - czy wyjdzie pani za mnie?

- Wyjść za pana?

- Tak! Proszę! - powiedział głośniej, po czym znów opuścił głowę, jakby nagle zabrakło mu sił. Ginko świat zawirował przed oczami. Nie miała pojęcia, co powiedzieć; nie była nawet pewna, czy to się dzieje naprawdę. - Proszę - powtórzył. - Przyjechałem, żeby się pani oświadczyć.

- Ale...

- Jeśli mi pani odmówi, nie będę miał dokąd pójść. Zanim tu przyjechałem, zrezygnowałem ze szkoły i kwatery, wszystkiego się pozbyłem. Proszę...

To było szokujące! Słyszała o kobietach narzucających się mężczyznom, błagających o małżeństwo, ale nigdy odwrotnie.

- Cóż, na razie... Zwykle pewna siebie, nie wiedziała, co zrobić. Ulotna miła wizja sprzed dwóch miesięcy nagle spadła na nią jako rzeczywistość. - Dokończymy tę rozmowę później. Pewnie pan jest zmęczony. - Pragnęła zostać sama, odzyskać równowagę. - Proszę odpocząć w pokoju na górze.

- Czy to znaczy, że pani się zgadza?

Ginko nie odpowiedziała, a Shikata szybko ciągnął dalej.

- W Takasaki, w Nagano, w Kioto, wszędzie myślałem tylko o pani. Nie mogłem się skupić na nauce ani na pracy misjonarskiej. Walilem się w głowę, biegałem aż do utraty sił, piłem, choć nie zdarzało mi się to nigdy wcześniej - robiłem wszystko, co możliwe, żeby o pani zapomnieć. Sięgnąłem po Biblię, starałem się ją czytać całym sercem. Nic nie pomagało.

Chciał przekonać Ginko, że przemyślał swoje postępowanie, ale zrobił na niej wrażenie impulsywnego i lekkomyślnego.

- Zastanowimy się nad tym, gdy się trochę opanujemy.

- Jestem opanowany! Przemyślałem tę decyzję na chłodno!

- Ale co jest we mnie takiego, że...

- Kocham pani rozum i pani głód wiedzy. Kocham pani elegancję. Całe życie marzyłem o tym, żeby się związać z inteligentną kobietą, i wreszcie znalazłem idealną partnerkę. - Shikata zawsze miał słabość do inteligentnych kobiet, już jako dwunastolatek zadurzył się w nauczycielce.

- Jestem od pana o trzynaście lat starsza.



- To nie ma znaczenia, jeśli się jest zakochanym.

- Ale co inni pomyślą? - Ginko wyobraziła sobie miny znajomych i krewnych. Na myśl o tym, co by powiedzieli, gdyby wyszła za studenta, aż się wzdrygnęła.

- Najważniejsze, żeby dwoje ludzi postanowiło się pobrać, prawda? Wzajemna zgoda i zrozumienie - czy to nie podstawowy, jedyny warunek?

Trafił w sedno. Poprzednio oboje doszli do wniosku, że małżeństwo powinno się zawierać za obopólną zgodą. Widziała w jego oczach, że ją sprawdza, pyta, czy się teraz zamierza z tego wycofać.

Te oczy - pomyślała. To właśnie one, pełne niezłomnej wiary w słusność jego racji, przekonały ją ostatnim razem. Czuła, że zaraz znów ją zauroczą.

- Czy mogłaby mnie pani pokochać? - To było dla niego najistotniejsze.

- Ja... Muszę się zastanowić.

- W takim razie będę czekał na odpowiedź na górze. - Popatrzył na nią wzrokiem pełnym żaru i wyszedł.

Wszystko to trwało nie więcej niż kilka minut, ale Ginko miała wrażenie, jakby w nią uderzyła wielka fala. Znów sama w pokoju, wcale nie czuła się spokojniejsza ani pewniejsza siebie.

Wróciła myślami do ich pierwszego spotkania, w lipcu, na prośbę pani Okubo. Rozmawiali do późnej nocy, a potem obserwowali pożar, który wybuchł w sąsiednim dystrykcie. Wydał jej się wtedy przyjaznym, sympatycznym młodym człowiekiem. Mieli takie same poglądy na wiele kwestii: prawa kobiet, miłość i małżeństwo, przyszłość chrześcijaństwa. Jego obecność zupełnie jej nie krępowała, działała na nią uspokajająco. Była zaskoczona, gdy po jego wyjeździe poczuła się samotna. Z nadzieją czekała na listy.

Teraz zrozumiała, że to były listy miłosne i że odpowiadała na nie w

podobnym tonie. Nie czuła się jednak gotowa na następny krok i jego oświadczenia były dla niej kłopotliwe. Jak mógł zjawić się tak bez uprzedzenia i domagać się natychmiastowej odpowiedzi! Był bezmyślny, nie liczył się z kobiecymi uczuciami.

*Więc powinnam jego oświadczenia odrzucić.*

Chociaż rozum właśnie to jej podpowiadał, głos wewnętrzny mówił co innego. *On jest taki szczerzy.* Gdy już sobie wybrał drogę, podążał nią, wkładając w to całe serce, bez wyrachowania, nie podstępnie. Czuła się szczęśliwa, że był nią oczarowany. Który mężczyzna potrafiłby być taki bezpośredni? Też ją tym ujął. To, co w sobie tłumiła, ukrywała, zaczynało osłabiać jej zdecydowany opór. *Czy muszę jego oświadczenia odrzucić!*

Każde rozwiązanie wydawało się złe. Owszem, wystawiliby się na pośmiewisko. A więc dać mu kosza tylko z tego powodu? Czy to by nie było tchórzostwo? Nie tylko tchórzostwo - odrzuciłaby głos serca.

Biła się z myślami. Musiała przyznać, że chciała go znowu zobaczyć. Miała nadzieję, że Shikata wyzna jej miłość, więc stało się to, czego oczekiwała. Czy nie postąpiłaby egoistycznie, gdyby się teraz wycofała tylko dlatego, że się wystraszyła?

Kiyo lekko odsunęła drzwi.

- Czy pani gość będzie tu nocował?

- Tak. Możesz mu przygotować coś do jedzenia?

Kiyo poczekała jeszcze chwilę, spodziewając się dalszych poleceń, ale gdy nie nastąpiły, odeszła.

Czy będzie wymagał ode mnie - zadała sobie pytanie, wsłuchując się w cichnące kroki dziewczyny - miłości fizycznej? Ogarnął ją prawie zapomniany lęk. Do tej pory o tym nie myślała, ale to przecież było oczywiste.

*Shikata nie zna mojej tajemnicy. Nie wie, że kobieta jego marzeń ma rzeźczkę. Że lekarka, pobożna chrześcijanka, przywódczyni*

*Japońskiej Organizacji Chrześcijańnek cierpi na chorobę weneryczną. Jej choroba była w fazie remisji, ale w każdej chwili mogła wrócić i Ginko mogłaby go zarazić. Musiałabym go ostrzec. Wzajemna miłość oznacza mówienie sobie prawdy. Tylko co bym przez to zyskała? Czy to by ich tylko nie zasmuciło, wprowadziło w zakłopotanie?*

Nie, *nie mogę za niego wyjść!* Ginko próbowała przekonać tę część samej siebie, która się upierała, że może jest jakaś nadzieja.

\*\*\*

Trzy dni później Ginko przyjęła oświadczenia. Do tego czasu Shikata czekał na jej odpowiedź, prawie się nie ruszając z pokoju gościnnego na piętrze. Oboje snuli się po domu, ledwie oddychając.

- Pójdę z tobą drogą Pana - starannie dobrała słowa.

Pokazywały, że jej decyzja jest stanowcza, a jednocześnie dowodziły rozwagi.

Shikata uniósł gęste brwi. Objął ją, oczy mu płonęły. Wtulona w jego szeroką pierś, objęta silnymi ramionami, nie czuła nic więcej. Spłynął na nią wielki spokój. *Tego pragnęłam.*

Skoro już się zdecydowali pobrać, nie widzieli powodu, żeby to odwlekać. Kilka dni później Ginko oznajmiła nowinę pracownikom kliniki i członkom Kościoła. Pielęgniarki słuchały z szeroko otwartymi oczami i nawet nie próbowały kiwać głową na znak zrozumienia. Nie tylko one - wszyscy byli przeciw. Wyglądało to tak, jakby przedyskutowali sprawę bez jej udziału i uzgodnili, jak się zachowają.

Tomoko napisała: „Naturalnie jestem przeciwna, ale jeśli twoja decyzja jest ostateczna, to oczywiście nie mogę cię powstrzymać”. Tomoko rozumiała siostrę lepiej niż ktokolwiek i wiedziała, że jeśli się na coś zdecyduje, nigdy od tego nie odstąpi, więc wyrażała zastrzeżenia, nie oczekując, że zmieni swoje postanowienie.

Yasuhei, jego żona Yai, siostry Sonoe i Masa, a także oczywiście inni

krewni, nie mogli uwierzyć: „Kobieta prawie czterdziestoletnia ze studentem niepewnego pochodzenia młodszym o trzynaście lat?”. Znajomi Ginko, wśród nich Ogie, nieco bardziej wazyli słowa: „Ty i Shikata wydajecie się tacy niedobrani. Czy to nie pomyłka?”.

Od wyjazdu z Tawarase Ginko prawie nie miała kontaktu z rodzeństwem oprócz Tomoko. Choć łączyły ich więzy krwi, to ponieważ praktycznie się jej wyrzekli, nie musiała się przejmować ich zarzutami. Była przygotowana na krytykę, ale mogła ją zignorować bez obawy o reperkusje.

Rodzice Shikaty nie żyli, lecz jego starsze siostry i szwagrowie również ostro wyrażali sprzeciw. Ich zastrzeżenia oczywiście dotyczyły Ginko: „Jest za stara i jak na kobietę ma za wysoką pozycję”.

Oboje byli już jednak tak zakochani, że nic nie mogło ich powstrzymać. Słyszane zewsząd protesty tylko umacniały ich determinację.

- Może poprosimy Okubów, żeby byli naszymi świadkami?

Spotkali się dzięki pastorowi i jego żonie, więc wydawało się, że jest to najwłaściwszy pomysł. Shikata nie miał nic przeciwko temu. Byli więc niemile zaskoczeni, gdy Okubowie odmówili: „Shikata jeszcze studiuje i nie zna życia. Jest popędliwy i chociaż ma wzniosłe ideały, nie sądzimy, żeby chwilowa namiętność wystarczyła do stworzenia trwałego związku. Pani pozycja społeczna jest dla niego za wysoka, a różnica wieku między wami taka, że zaważy na waszym przyszłym szczęściu. Niestety, nie możemy wziąć za to odpowiedzialności”. Tak zdecydowanej odmowy się nie spodziewali.

- Wszyscy myślą, że związek ze mną to dla kogoś tak utalentowanego jak ty strata.

- Biorą pod uwagę jedynie kwestię statusu. Tym się w ogóle nie należy przejmować. - Ginko czuła, że niechęć ludzi do zaakceptowania

dokonanego przez nią wyboru świadczy o ich lekceważącym stosunku do niej samej.

- Nie żałujesz, że się zgodziłaś wyjść za kogoś takiego jak ja?

- Dlaczego miałabym żałować? Co ty wygadujesz?

- Ja się nie przejmuję tym, co ludzie o mnie mówią, bylebym mógł być z tobą.

Ginko kochała Shikatę za jego wytrwałość w dążeniu do celu. Mężczyzn uważała za samolubnych, despotycznych potworów, a Shikata wydawał się człowiekiem zupełnie innego gatunku. Był potężny, miły, wyrozumiały; wynagradzał jej lata samotności, nie urażając dumy.

- Ale przeze mnie nikt nie jest po naszej stronie.

- Nie musimy mieć za świadków nikogo o wysokiej pozycji społecznej. Zostaniemy małżeństwem w obliczu Boga i to wystarczy. - Ginko szukała w myślach innych znajomych chrześcijan, do których mogłaby się zwrócić, ale wiedziała, że to nie ma sensu.

Wszyscy byli ich małżeństwu przeciwni.

- Chciałbym, żebyśmy wzięli ślub w Kumamoto - nieśmiało zaproponował Shikata.

- Niech tak będzie - zgodziła się Ginko od razu.

Shikata urodził się w Kutami w pobliżu miasta Kumamoto, gdzie się wychował i nawrócił na chrześcijaństwo i gdzie nadal miał wielu krewnych. Po ślubie pannę młodą zwykle usuwano z rejestru jej rodziny i wpisywano do rejestru rodziny męża, było więc rzeczą naturalną, że ślub się odbywał tam, gdzie korzenie rodzinne pana młodego sięgały najgłębiej. Jeśli nawet małżeństwo spotykało się z dezaprobatą, oczekiwano, że młoda para złoży wizytę rodzinie pana młodego. W Tokio Shikata nie miał krewnych ani znajomych i Ginko już się martwiła, że zapomniał o tej ważnej sprawie.

- Naprawdę chcesz tam pojechać? - spytał.

- Oczywiście. I jest tam też pastor Ebina.
- Będę ci bardzo wdzięczny - powiedział pokornie.

Formalnie Ginko miała wejść do jego rodziny, ale w rzeczywistości mieszkał w jej domu i to ona miała opłacić podróż aż do Kumamoto, a także ponieść koszty ślubu.

Od razu napisali list do pastora Ebiny z prośbą o poprowadzenie ceremonii. Mieli prawie pewność, że się zgodzi, ale ku ich zdziwieniu odpowiedział jak Okubowie: „Chciałbym móc złożyć wam gratulacje z okazji zawarcia małżeństwa, lecz niestety nie mogę go zaaprobować ani zrobić tego, o co prosicie”. Jego odmowa, elegancko wykaligrafowana, była dla nich bolesna.

- Tyle mówią o modernizacji, ale japońskie poglądy na małżeństwo nic się nie zmieniły! - Shikata z rozpaczą rzucił list na stół. - Mają mnie za głupca.

- Nie, to dlatego, że jestem za stara.

- Nieprawda. Oni nie chcą, żebyś wyszła za człowieka bez wartości. - Zacisnął pięści. Pierwszy raz Ginko widziała, jak wpadł w złość.

- Nic podobnego. Myślę, że leży im na sercu nasze dobro i mają jak najlepsze intencje.

- Raczej starają się przeszkodzić!

- Nie musimy się nimi przejmować.

- Ale w ten sposób nic nie wskóramy!

- Poprośmy o udzielenie ślubu cudzoziemca. Nie będzie mnożył zastrzeżeń jak Japończycy. Chrześcijaństwo wprowadzili w Japonii cudzoziemcy, więc czy tak nie będzie najlepiej?

Dwudziestego piątego listopada 1890 roku Ginko Ogino i Yuki-yoshi Shikata wzięli ślub w Kutami w prefekturze Kumamoto. Ceremonię prowadził pastor O.H. Gulick.

Rok 1891 Ginko i Shikata powitali jako małżeństwo. Ginko jak zwykle zajmowała się pacjentami i działała w JOC i Stowarzyszeniu na rzecz Zdrowia Kobiet; Shikata, polecony przez Shinjiro Okubo, był pastorem w kościele w Hongo.

Choć Ginko była zamężna, wszyscy nadal zwracali się do niej „pani doktor Ogino” i nazwa kliniki pozostała niezmienną. Do Shikaty mówiono, stosując podstawową formę grzecznościową: „panie Shikata”. Mimo że nic nie wskazywało, by on w ogóle przywiązywał do tego wagę, Ginko zdecydowała, że przynajmniej jej pracownicy mają mówić inaczej.

- Od tej chwili proszę do niego mówić „panie gospodarzu Shikata”.

Pielęgniarka Moto w milczeniu kiwnęła głową, lecz już następnego dnia cały personel zgodnie przestał wymieniać jego osobę w konwersacjach. Służąca na przykład informowała Ginko: „Jest pani proszona do pokoju” albo „Poproszono, żeby pani na to popatrzyła”. Gdy czasem Ginko w odpowiedzi pytała „Kto prosi?”, służąca kierowała wzrok w górę, w kierunku pokoju Shikaty na piętrze, i coś mruzczała pod nosem.

Choć wszyscy pracownicy lubili go jako człowieka, nie chcieli go zaakceptować jako męża Ginko. Ponieważ praktycznie nikt nie używał jego imienia, Ginko trudno było ich strofować, starała się jednak dawać im przykład: „Proszę to zanieść panu gospodarzowi”, „Idź i spytaj gospodarza...”.

Dbała również o to, żeby nawet najdrobniejsze sprawy omawiać z Shikatą, pytać go o zdanie.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zmienić pokrycia stołu do badania pacjentów na skórzane.

- Dobry pomysł.

Shikata oczywiście nie miał doświadczenia w kwestiach związanych z prowadzeniem praktyki medycznej i pytanie Ginko było tylko formalnością - decyzję podjęła już wcześniej. Gdy pracownicy prosili o

wolne, mówiła: „Idź, spytaj gospodarza”. Robiła, co mogła, żeby wzmocnić pozycję swego młodego męża, lecz jej starania prawie nie przynosiły skutku.

Jednak najbardziej niepokoiła Ginko jej choroba. Po raz pierwszy oddała się Shikacie dzień po ślubie, w Kumamoto. W miesiącu poprzedzającym ślub nie współżyli, mimo że Shikata mieszkał w jej domu. Choć od czasu do czasu posyłał jej gorące spojrzenie, nigdy nie próbował się narzucać. Gdyby jednak to robił, Ginko nie byłaby skłonna ulec. Chodziło o jej opinię jako chrześcijanki i przywódczyni Organizacji Chrześcijanek, a także odpowiedzialność wobec personelu, dla którego chciała być przykładem.

Od kiedy otworzyła klinikę, choroba była pod kontrolą. Czasem Ginko czuła ból w podbrzuszu, lecz zawsze mijał po kilku dniach. Trwała remisja, lecz choroba w każdej chwili mogła powrócić i Shikacie groziłoby wtedy zarażenie. Gdyby on, wierny mąż, kiedykolwiek zapadł na chorobę przenoszoną drogą płciową, nie byłoby wątpliwości, od kogo się zaraził.

- Od czasu nauki w Szkole Normalnej dla Kobiet miewam niekiedy gorączkę i bóle brzucha. Wybacz mi, jeśli będę musiała odpocząć, gdy to się zdarzy - szepnęła Ginko przytulona do piersi

Shikaty po ich pierwszej wspólnej nocy. Swemu młodemu mężowi, który rzadko czuł zmęczenie, nie musiała mówić nic więcej.

- Nie martw się, zaopiekuję się tobą. - Shikata nie znał szczegółów, ale dostrzegł jej zakłopotanie i objął ją mocniej.

Kochanie się nie było dla Ginko szczególnie przyjemne, a Shikata miał więcej ochoty niż doświadczenia. W poprzednim małżeństwie Ginko nigdy nie zaznała fizycznej przyjemności, więc teraz oboje zaczynali na tym samym poziomie. Przez ponad dwadzieścia lat nie miała z nikim żadnych kontaktów seksualnych, więc początkowo czuła się nieswojo, ale stopniowo dawali sobie coraz więcej zadowolenia. Jednak Ginko zawsze



dręczył niepokój i poczucie winy.

Minęły dwa miesiące i Shikata wciąż nie miał żadnych objawów infekcji. Ginko lekarka bacznie go obserwowała, a Ginko żona nie mogła się wyzbyć uczucia, że go oszukuje.

Pewnego lutowego wieczoru Shikata wrócił z kościoła i zawołał Ginko do pokoju na piętrze. Ginko skończyła badać pacjentów i teraz porządkowała karty, ale natychmiast przekazała to zajęcie pielęgniarce Moto i poszła na górę.

Shikata klęczał w oficjalnej pozycji przy biurku, z rękami wsuniętymi w rękawy. Ginko nie widziała go w takiej sztywnej pozycji od dnia, gdy przyjęła oświadczenia, więc poczuła niepokój.

- Zastanawiam się, czy nie wyjechać na Hokkaido. - Shikata zaczął niedawno używać bardziej obcesowego, władczego języka, typowego dla mężów w tamtych czasach, i teraz też mówił bez zbędnych wstępów.

- Hokkaido?

- Tak - odparł z nieruchomą twarzą.

- Dlaczego? - Ginko już przywykła do jego niespodziewanych wypowiedzi, lecz tym razem poczuła się zaskoczona.

Wyspa na północy Japonii, której nazwę zmieniono niedawno na Hokkaido, przez mieszkańców reszty kraju wciąż była nazywana jak przedtem - Edo. Większość z nich wiedziała o niej tylko tyle, że morze u jej południowego brzegu było dobrym łowiskiem śledzi i że była to zimna, nieurodzajna kraina prawie przez cały rok pokryta śniegiem. Oprócz odciętych od świata osad rybackich wyspa była prawie niezagospodarowana. Gdy cesarz odzyskał władzę, uciekli na nią zbuntowani samuraje wierni byłemu szogunowi. Chronili się tam też przestępcy pragnący uniknąć sprawiedliwości. Oprócz nich na Hokkaido mieszkali niedźwiedzie i wilki i żyli Ajnowie. Na miano miast zasługiwało tylko kilka siedlisk ludzkich, przede wszystkim Hakodate, Matsumae i

Sapporo, ale żadnego z nich nie uważano za odpowiednie dla przyzwoitych, prawych obywateli. Tak wyglądało miejsce, do którego zamierzał wyjechać mąż Ginko.

- Wszystko wskazuje na to, że dostaniemy tam ziemię.

- I co z nią zrobicie?

- To chyba oczywiste. - Shikata się ujmująco uśmiechnęła. - Stworzymy na niej idealną społeczność chrześcijańską.

- Mówisz poważnie?

- Tak. Dyskutowaliśmy o tym cały miesiąc z Maruyamą i innymi ludźmi z Doshishy i wygląda na to, że się uda.

- Naprawdę myślisz, że zdobędziecie ziemię?

- Profesor Inukai ma na Hokkaido cały szmat ziemi.

- I co w związku z tym?

- Kendo Tanaka - w Doshishy był o rok wyżej - zwrócił się w tej sprawie do Inukai, a on powiedział, że może nam ją przekazać.

- Nic za to nie chce?

- Nic! I możemy ją dowolnie zagospodarować. - Shikata pękał z dumy.

W pierwszych latach okresu Meiji władze doszły do przekonania, że najskuteczniejsza strategia rozwoju Hokkaido to albo zaangażowanie wojska do przygotowania terenu do zasiedlenia, albo sprzedaż dużych połaci dziewiczej ziemi prywatnym nabywcom, żeby ją mogli wykorzystać, jak chcą, bez żadnych zobowiązań. W 1886 roku przyjęto drugie z tych rozwiązań, jako program stworzenia prywatnej własności ziemskiej. Jeden wnioskodawca mógł otrzymać na kredyt działkę o powierzchni około trzydziestu hektarów. Gdy udało mu się ją zagospodarować, mógł ją kupić za ustaloną cenę.

W marcu 1891 roku profesor Tsuyoshi Inukai stworzył z siedmioma kolegami grupę, która miała zagospodarować ogromną połąć ziemi -

około czterystu tysięcy hektarów - na równinie Toshibetsu u północno-zachodnich wybrzeży Hokkaido. Planowali założyć i poprowadzić wielkie gospodarstwo i w tym celu od razu kupili w Stanach Zjednoczonych cały potrzebny sprzęt rolniczy. Zyski zamierzali przeznaczyć na cele polityczne. Nie wzięli jednak pod uwagę tego, że teren będzie bardzo gęsto zalesiony, a dodatkowych kłopotów przysporzył im nieuczciwy zarządca. Po całej serii niepowodzeń ich ambitny plan został odłożony *ad acta*. Tę ziemię miał otrzymać Shikata.

- Takiego wielkiego terenu nigdy nie zdobędziemy gdzie indziej. Wykarczujemy go, założymy pola i będzie nasz. Wystarczy tylko pracować.

Oszołomiona Ginko słuchała w milczeniu.

- Tutaj - ciągnął Shikata - chrześcijaństwo jest bezustannie prześladowane jako narzędzie dominacji Zachodu. Zamiast chodzić na paluszkach i ciągle patrzeć z obawą na ten zacofany rząd, zyskamy przestrzeń, gdzie będziemy mogli żyć swobodnie, rozwinąć skrzydła. Na Hokkaido nikt nam nie będzie niczego zakazywał ani nas gnębił. Z naszą ziemią i wodą będziemy mogli zrobić, co zechcemy. Nie sądzisz, że ta ziemia to znak, że Bóg nas błogosławi i chroni? - W oczach Shikaty widać było podniecenie.

- A co z nami? - z trudem wykrztusiła Ginko.

- Najpierw pojedę ja. Oczyszczę teren, rozpocznę uprawę. Kiedy już się będzie nadawał do zamieszkania, poślę po ciebie. To nie powinno zabrać więcej niż rok.

- Ale co będzie z kliniką?

Shikata kiwnął głową i odwrócił wzrok od Ginko.

- Przypuszczam, że sama coś wymyślisz - odparł.

Ginko milczała.

- Ale byłbym szczęśliwy, gdybyś tam do mnie dołączyła.

- Miałabym ją zamknąć?

Tak właśnie uważał, ale nie potrafił się zdobyć na to, żeby jej to powiedzieć. Ginko wiedziała, że marzeniem Shikaty jest stworzenie idealnej społeczności, i nigdy nie była temu pomysłowi przeciwna. Jednak gdy sobie wyobraziła, jak drastyczne zmiany by to spowodowało w ich sytuacji, trudno jej było pozbierać myśli. Nie miała pojęcia, od czego zacząć, jak stwierdzić, czy to by było wydarzenie korzystne, czy nie.

- To na pewno nie jest dla ciebie dobra wiadomość - oświadczył, widząc minę Ginko. - Ale ja tutaj do niczego nie dojdę.

Było w tym trochę prawdy. Nie skończywszy studiów, Shikata mógł pracować tylko jako zastępca pastora. I jeśli nawet formalnie był gospodarzem w domu Ginko, nie miał tam nic do roboty oprócz zajęć w rodzaju pielienia ogródka czy naprawiania płotu. Bez względu na to, jak silna była miłość, która go przywiodła do Ginko, i choć wtedy nie myślał o przyszłości, na dłuższą metę nie mógł tak żyć. Nie pozwoliłby mu na to szacunek dla samego siebie.

- Zobaczymy, jak mi się uda wykorzystać tę okazję. Później będzie dużo czasu na podjęcie decyzji, co zrobić z kliniką. Na razie jadę tam sam, choćby nawet nikt później nie miał do mnie dołączyć. - Mówił cicho, lecz stanowczo.

Ginko patrzyła na niego z przerażeniem. Shikata utkwiał wzrok w jakimś punkcie w ciemnościach, jakby był opętany. Wiedziała, że pojedzie, nie licząc się z jej zdaniem. Myślała, że są sobie bliscy, ale nagle wydał jej się innym człowiekiem. Sądziła, że ma w nim oparcie, a on ją opuszczał.

18.

W maju 1891 roku Shikata popłynął na Hokkaido z Yojiro Maruyamą, młodszym bratem kolegi z Doshishy.

Gdy dziesiątego maja Ginko żegnała go w porcie w Jokohamie, w

powietrzu czuć już było lato. Shikata stał na nabrzeżu w nowym ubraniu uszytym na jej zamówienie. Miał ze sobą wiklinowy kufer i tobołek, podobny do tego, z jakim przyjechał z Kioto.

Oprócz Biblii był w nich komplet bielizny wełnianej i dwa komplety bawełnianej, dwie zmiany zimowej odzieży, peleryna, skarpety z palcami, trzewiki, Shikaty ulubione ciastka z masą fasolową, suchary i starannie opisane paczuski z lekarstwami - przeciw wymiotom, bólowi brzucha, gorączce, infekcjom i na skaleczenia - oraz wata i bandaż.

- Czas na mnie. - Na statku uderzono w gong, na znak, że zaraz odpływa.

- Dbaj o siebie.

- Dam sobie radę. - Na rozpromienionej twarzy Shikaty nie było ani śladu niepokoju, choć opuszczał żonę i wyruszał w dzikie rejony. Ginko patrzyła na jego szerokie plecy, gdy się wspinał po trapie. Dotarłszy na pokład, odwrócił się i pomachał jej na pożegnanie.

- Zostań w zdrowiu!

Ginko chciała powiedzieć to samo, lecz tylko szczerzej otuliła się szalem i patrzyła na Shikatę. Gong odezwał się jeszcze raz i statek zaczął się powoli oddalać od nabrzeża.

- Trzymaj się! - Głos Shikaty niósł się ku niej po wodzie. Statek wykonał łagodny skręt w lewo i skierował się ku wyjściu z portu. Postać Shikaty stojącego na pokładzie robiła się coraz mniejsza i mniejsza, aż wreszcie stała się zaledwie czarnym punktem.

I oto zostałam w Tokio sama, żona bez męża - pomyślała Ginko, obserwując znikającą za horyzontem sylwetkę statku.

Statek wiozł Shikatę i Yojiro z półwyspu Boso wzdłuż wschodniego brzegu Tôhoku, wokół półwyspu Shimokita, do portu Hakodate. Tam zatrzymał się na jeden dzień, po czym powoli ruszył wzdłuż zachodniego brzegu Hokkaido, minął Kumaishi i Otę i zacumował w porcie Setana. Od

wypłynięcia z Jokohamy minęło dziesięć dni. Po drodze dwukrotnie trafili na sztormową pogodę: najpierw tuż za półwyspem Shimokita, a potem na wysokości Kumaishi. Za drugim razem nabrali wody od strony rufy i ledwie uniknęli katastrofy.

Miasto Setana było jednym z portów rybackich rozsianych na zachodnim brzegu Hokkaido. Zostało założone w 1593 roku, gdy Toyotomi Hideyoshi oddał władzę nad prowincją Ezo Yoshihiro, w piątym pokoleniu głowie rodu Matsumae. Pierwotnie zamieszкана przez Ajnów, obecnie Setana była pełna rybaków z miasta Matsumae i z rejonu Tōhoku, których przyciągał kwitnący tutaj od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku przemysł rybacki. Jednak już tylko trochę w głąb wyspy, z dala od portowego zgiełku, leżała zupełnie niezagospodarowana, dzika równina Toshibetsu, bez śladu obecności człowieka. Jeszcze dalej znajdowała się osada licząca nieco ponad stu mieszkańców, którzy żyli w osiemdziesięciu dwu domach rozproszonych wśród lasu porastającego potężne dorzecze rzeki Toshibetsu.

Nazwa „Setana” pochodziła od słowa *setanai*, które w języku ajnu znaczyło „psi strumień” i miało związek z pojawieniem się psów - później uznanych za wilki - które pływały w przecinającej miasto rzece Babu.

Shikata i Yojiro odpoczywali w porcie przez jeden dzień. Przy okazji zapytali kilku osadników, którzy pochodzili z Tokushimy, o warunki panujące na terenach w górę rzeki Toshibetsu.

- Nikt tam nie mieszka. W zeszłym roku przyjechało tu pięciu ludzi z Tokushimy i próbowali iść w głąb wyspy, ale drzewa były tak wielkie, a las tak gęsty, że nawet w dzień było ciemno. Nie minęło dziesięć dni, jak wrócili i pojechali do siebie.

- A jaka tam jest ziemia?

- Mówili, że wygląda nieźle.

Shikata kiwał głową i patrzył na rzekę wezbraną od topniejących

śniegów. Jeśli ziemia byłaby żyzna, pewnie jakoś by sobie poradzili - myślał.

- Naprawdę chcecie tam iść? - Aż do Nakayakeno.

- Lepiej dajcie sobie spokój.

Osadnicy próbowali im wyperswadować ten zamiar, lecz Shikata i Yojiro dotarli już za daleko, żeby teraz zrezygnować. Przyjechali, wiedząc, że czeka ich trudne zadanie. Później Shikata tak opisał swe wrażenia z dwudniowej podróży rzeką z Setany:

*Wyruszyliśmy na trzech łodziach trasą zaproponowaną przez przewodników, w górę rzeki Toshibetsu. Tej nocy spaliśmy pod gołym niebem. Do Nakayakeno na równinie Toshibetsu dotarliśmy około trzeciej po południu następnego dnia. Podróż z Setany rzeką zabrała nam dwa dni, choć drogą byłoby to tylko dwanaście kilometrów. W rzece są lososie, pstrągi, minogi i inne ryby. Myślę, że człowiek nigdy tu nie dotarł. W poprzek rzeki leżą ogromne drzewa. Żeby pod nimi przepłynąć, trzeba było obcinać gałęzie, a gdy łodzie i tak się nie mieściły, musieliśmy je przeciągać górą. Nie było to łatwe. Dno rzeki jest usłane wielkimi małżami. Teren nie nosi śladów obecności ludzi, zresztą jest tak gęsto zalesiony, że nikt by się nie przedarł. Roślinność jest wszędzie bardzo bujna, więc ziemia musi być urodzajna.*

Dotarli do celu, lecz teraz, uzbrojeni jedynie w piły i siekiery, mieli przed sobą pierwotny las z gigantycznymi drzewami i trawą bambusową sięgającą pasa. Ścięcie jednego drzewa, wykopanie pniaka i oczyszczenie terenu dookoła zabierało cały dzień. Nie brakowało im ryb, bo w rzece było ich tyle, że mogli je łapać rękami, ale zapas ryżu, soli i pasty sojowej *miso* szybko się wyczerpywał.

W dzień światło słoneczne przedostawało się przez wycięty przez nich wcześniej prześwit wśród drzew, lecz gdy słońce zaczynało się chylić ku zachodowi i zapadała noc, w lesie panowały kompletne ciemności.

Zapas świec, zapalek i oliwy do lampy mogliby uzupełnić w Setanie, ale nie chcieli tracić na to czasu, więc wieczorami nie mogli czytać. Rano kilkanaście minut przeznaczali na czytanie Biblii, ale w nocy mogli jedynie słuchać głosów nieznanymi ptaków i wycia dzikich psów. Żyli w prymitywnych warunkach.

Nie znaczyło to jednak, że mieli czas na próżnowanie. W nienawykłe do tego ręce brali łopaty, piły i krok za krokiem posuwali się powoli karczowaną ścieżką.

Nadeszło lato. Na północy Hokkaido nocami panowały chłody nawet w szczycie sezonu letniego, lecz w dzień temperatura bywała jak w Tokio. Wraz z upałami pojawiły się chmury komarów. Były wielkie i ciemne, inne niż gdzie indziej, a gdy się gromadziły, by zaatakować, ich skrzydełka wydawały inny dźwięk. Klepanie się po twarzy niewiele dawało, bo za chwilę skóra znów była od nich aż czarna. Pewnie pierwszy raz posmakowały ludzkiej krwi i najwidoczniej oszalały z zachwyty.

Nie mogąc tego wytrzymać, Shikata wpadł na pomysł, by moczyć w wodzie pęk suchej trawy, zawieszać go sobie u pasa i zapalać, żeby się tlił. Yojiro nigdy nie tracił towarzysza z oczu, bo zawsze go otaczał unoszący się dym. To rzeczywiście odstraszało komary, ale w chmurze dymu Shikata miał czerwone i spuchnięte oczy.

- Chyba pójdę w twoje ślady - oznajmił po kilku dniach Yojiro i zastosował pomysł Shikaty.

Buchając dymem, z mazołem pracowali w leśnej głuszy. Dwa kłęby dymu zbliżały się do siebie, gdy przesuwali powalone drzewa, i oddalały, kiedy je rąbali.

Shikata przy pracy mówił sam do siebie.

- No to teraz to! I to też! I to! - machał siekierą albo łopatą. Od czasu do czasu prostował plecy, ocierał pot z twarzy i lekko się uśmiechał.

- O co chodzi? - spytał kiedyś spostrzegawczy Yojiro. - Co? A... nic,



nic.

- Myślisz o żonie, prawda?

- O żonie? Nie, wcale nie. - Denerwowało go, że dał się tak łatwo przejrzeć. Czasem myślenie o niej tak go pochłaniało, że gdy podnosił głowę, ze zdziwieniem stwierdzał, że prawie przerażał drzewo i niewiele brakuje, by się na niego zważyło.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, wciskali się w śpiwory i Shikata myślał o Ginko, z żalem, że nie może jej wziąć w ramiona.

Czas płynął monotonnie. Toczyli bój z olbrzymimi drzewami, karczowali korzenie, wrywali trawę bambusową - bez choćby dnia odpoczynku. Nadszedł wrzesień, z nim koniec lata, a oni zdołali oczyścić niecałe pół hektara, w dodatku ziemia nadal była nierówna i wciąż jeszcze nie nadawała się do uprawy.

- Grozi nam głód - powiedział pod koniec września Shikata.

Na karczowisku hulał chłodny jesienny wiatr, poranki i wieczory były zimne. Coś zasiać czy posadzić mogliby dopiero w przyszłym roku.

- Jak spadnie śnieg, odetnie nas od świata - dodał Yojiro, patrząc na zachmurzone niebo.

- Wyglądamy żałośnie - stwierdził Shikata.

W ich brodatych twarzach widać było tylko oczy. Gdyby się w takim stanie pokazali w Tokio, wzięto by ich za włóczęgów albo żebraków.

- Ciekawe, kiedy zacznie padać śnieg.

- Słyszałem, że w listopadzie - i że ma leżeć do końca kwietnia.

- Pewnie głęboki.

- Mówili, że na wysokość człowieka i że to nie jest dużo w porównaniu z resztą Hokkaido.

Yojiro zamilkł. Niewiele więcej mieli sobie do powiedzenia. Byli tylko oni, ziemia i niebo.

- Daleko...

- Co?

- Nic, nic. - Shikata spojrział na chmury. Był ciekaw, jak sobie radzi Ginko. W czasie każdego comiesięcznego pobytu w Setanie wysyłał jej list, ale nie wiedział, ile ich do niej dotarło. Odpowiedź dostał tylko w sierpniu, na list z maja.

- Co robimy? - spytał Yojiro.

- Hm... - Shikata wiedział, co ma na myśli. - W zimie chyba nie damy sobie rady.

- Więc chcesz wracać?

- Tak, i wiosną znów przyjechać.

To oznaczało duże opóźnienie ich planu, zgodnie z którym w pierwszym roku powinni stworzyć podstawy samowystarczalności, a w drugim osiągnąć gotowość do przyjęcia od dwudziestu do trzydziestu wiernych.

- W takim razie będziemy musieli wrócić przed połową października, bo później podróż morską jest zbyt niebezpieczna. - Była niebezpieczna nawet w maju, przy spokojnym morzu.

- No to mamy jeszcze tylko miesiąc.

- Ja zostanę - niespodziewanie powiedział Yojiro. - Wolę to, niż płynąć jeszcze raz. Nie wiem, ile spadnie śniegu, ale pewnie jakoś dam sobie radę, jeśli przywiozę z Setany zapas żywności na zimę.

- Ale sam...

- Zajmę się rzeźbieniem. W końcu jest tu dużo drewna.

Yojiro był wcześniej uczniem w pracowni grawerskiej w Kioto. Shikatę spotkał przypadkowo u swego brata Dentaro w Doshishy. Kiedy usłyszał o planie Shikaty, postanowił mu towarzyszyć. Na Hokkaido w każdej wolnej chwili robił rzeźby i sprzedawał je w Setanie.

- Więc ja też zostanę.

- Nie, ty wrócisz. Jedź, spotkaj się z tymi, którzy czekają na

przyjazd, i powiedz im, jakie jest Hokkaido i jak się powinni przygotować. A poza tym... - przerwał i po chwili dokończył - ... żona czeka na ciebie.

- A jeśli coś się stanie, jak będziesz tu sam?

- Wszystko jedno, czy będę tylko ja, czy my obaj. W razie wielkiego śniegu i mrozu dwaj ludzie zamarzną tak samo jak jeden. Sam łatwiej się wyżywię. Jeśli będę się trzymał obozowiska, pewnie nic mi się nie stanie. Naprawdę nie martw się o mnie. Prawdę mówiąc, to raczej ja powinienem się martwić twoją podróżą statkiem.

Shikata myślał w milczeniu.

- Przez zimę z pewnością uda mi się sporo wyrzeźbić. - Yojiro lekko się uśmiechnął, ale obaj wiedzieli, że tylko stara się dodać sobie animuszu.

Pod koniec października Shikata zostawił Yojiro Maruyamę na Hokkaido i wyruszył do Tokio. W dniu jego przyjazdu Ginko zamknęła klinikę i pojechała powitać go w Jokohamie.

Nie widzieli się sześć miesięcy, ale dla Ginko były one jak lata. Shikata, wyższy od reszty pasażerów o głowę, szedł do niej wielkimi krokami. Pobiegła mu naprzeciw.

- *Sensei...*

- Witaj! - Poczula na ramionach jego wielkie dłonie. - Wróciłeś bezpiecznie! - Wpatrywała się w jego ogorzałą twarz, szukając zmian. Posturę miał jak przedtem, ale jego ciało stwardniało. Dawny Shikata, młodzińczy marzyciel, zmienił się w mężczyznę zahartowanego przez trudy.

Odoczywał tylko przez kilka dni. Potem odwiedzał kościoły, zbierał datki, a na początku następnego roku pojechał do Kioto, żeby się spotkać z bratem Yojiro Dentaro Maruyamą i całą grupą, która miała na wiosnę wyruszyć na Hokkaido.

- Witamy. - Trzydziestu mężczyzn zebranych w domu Dentaro z

uwagą wpatrywało się w wychudzoną twarz Shikaty. - W jakim stanie jest teraz osada?

- Od biedy nadaje się do zamieszkania.

- Co przez to rozumiesz? Jaka tam jest ziemia?

- To trudno dokładnie opisać w kilku słowach. - Tyle rzeczy chciał im powiedzieć, że nie wiedział, od czego zacząć.

- A klimat jaki?

- W dzień mniej więcej taki jak tutaj, ale w nocy szybko robi się chłodno. Lato jest zdecydowanie łagodniejsze.

- Czy jest w pobliżu żywność i woda?

- Oczywiście! Jakieś dwa kilometry stamtąd płynie rzeka Toshibetsu. Z czystą, zimną wodą. Pełno w niej ayu, a jesienią łososi. Uderzysz w wodę kijem i już je masz - to takie łatwe, że prawie jak zabawa. A wystarczy się schylić i można nazrywać lepiężnika i zieleniny do udonu. Są kwitnące paprocie, jest też bylica i mnóstwo dzikich traw, których nazw nie znamy. Niczego nie brakuje.

- Jakie macie domy?

- Jest bardzo dużo drzew i trzciny na strzechy. Kilka chat można szybko zbudować już z tego, cośmy dotychczas wycięli.

- A zwierzęta?

- W okolicy są podobno niedźwiedzie i jelenie, ale niedźwiedzia nigdy nie spotkałem, a ślady widziałem tylko raz. I raz widziałem biegnącego jelenia. Czasem na nasze karczowisko przychodzą zające. Z nich jest dobra zupa.

Słuchający go mężczyźni wyobrazili sobie spokojne życie w sielskim zakątku, lecz Shikata po prostu tylko odpowiadał na ich pytania. Owszem, było tam sielsko, lecz nie potrafił się zmusić, żeby im przedstawić drugą stronę medalu - zaciekle zmagania z niezagospodarowaną ziemią.

- Co było najgorsze?

- Komary. Pewnie po raz pierwszy próbowały ludzkiej krwi, więc przylatywały całymi chmurami.

- Komary najgorsze?

- Tak jest.

Mężczyźni patrzyli po sobie nieco rozczarowani. Jeżeli najgorszą rzeczą dla pionierów zagospodarowujących dziewicze tereny były komary, to gdzie tu przygoda? Rzeczywiste warunki mieli poznać dopiero na miejscu.

- Ile ziemi oczyściliście w czasie tych sześciu miesięcy?

- Pewnie kilka hektarów. - Shikata nie potrafił im powiedzieć, że niecałe pół hektara - jak na pół roku pracy bardzo niewiele.

- Więc już coś posadziliście?

- Tak, trochę ziemniaków. - To też była nieprawda. Shikata się zawahał i po chwili dodał mniej pewnym głosem: - W każdym razie mamy tam wielki teren.

- Jasne, sto tysięcy hektarów - ktoś potwierdził. Wyobrażali sobie ciągnącą się jak okiem sięgnąć równinę. W rzeczywistości, w którą stronę się spojrzano, widać było tylko gęsty las i mały skrawek nieba nad karczowiskiem.

- To co powinniśmy ze sobą zabrać? - spytał Yamazaki, który zamierzał wyruszyć tam w kwietniu z żoną.

- Hm... - Shikata oparł głowę na ręce i się zamyślił. Tyle ubrań i pościeli, ile zdołają unieść. Piły i motyki. Różne przybory i narzędzia. Lekarstwa, ryż... Zdał sobie sprawę, że mógłby tak wyliczać bez końca.

- Cóż, prawdę mówiąc, podstawowa rzecz to pieniądze. - Jeśli będą mieli przynajmniej pieniądze, prawie wszystkie niezbędne rzeczy kupią w Setanie.

- Naprawdę tylko to jest nam potrzebne?

- W gruncie rzeczy nie potrzebujecie niczego.

- Jak to?

- Żeby zagospodarować nową ziemię, trzeba tylko woli i ducha, waszego ciała i chęci do pracy jako słudzy Boga. Wtedy reszta się uda. - Zapadła cisza. Słowa Shikaty wywołały konsternację. - Spójrzcie na moje ręce zniszczone od siekiery i piły. - Pokazał im dłonie pokryte twardymi, białymi odciskami. - Więc w kwietniu zbierzmy jak najwięcej ludzi i wyruszmy do tej czystej krainy rozpocząć nowe życie - zakończył spotkanie w podniosłym tonie.

Mężczyźni rozeszli się po domu. Do Shikaty podszedł Dentaro.

- To, co powiedziałeś, to nie całkiem prawda, co?

- Czemu tak myślisz?

Dentaro spojrzał Shikacie w oczy.

- Brat mi pisał co innego.

- To możliwe. Ja tylko przedstawiłem swój punkt widzenia.

- Kazałeś im uwierzyć w marzenie.

- Ale ono się ziści! Już się po trochu ziszcza.

- Mam nadzieję.

Dentaro nic więcej nie mówił, ale Shikata do końca wizyty czuł się nieswojo.

Z Kioto Shikata pojechał do Kumamoto do swej starszej siostry Shime i jej męża, którzy również planowali, że wiosną wyjadą z nim na Hokkaido. Po powrocie do Tokio rozpoczął spotkania z potencjalnymi sponsorami, a w tokijskim oddziale Komisji do spraw Rozwoju Hokkaido, Ministerstwie Obrony, Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i innych urzędach - starania o sprzęt, narzędzia i żywność.

W lutym już wszystko było załatwione. Na Hokkaido miał wyjechać w kwietniu.

- Pojadę z tobą, jeśli chcesz - powiedziała któregoś dnia pod koniec

lutego Ginko, gdy po raz pierwszy od dłuższego czasu odpoczywali razem w domu. Już od dawna czuła, że powinna mu to zaproponować, ale odkładała rozmowę z dnia na dzień - po części dlatego, że nie było odpowiedniej okazji, gdyż Shikata ciągle biegał po urzędach, lecz także ponieważ się wahała, a trudno jej było to powiedzieć bez przekonania. Prawdę mówiąc, jeszcze się nie zdecydowała na zamknięcie kliniki, ale Shikata przyjął jej słowa za dobrą monetę.

- Proszę cię, zostań tutaj.

- Nawet twoja siostra jedzie. Nie ma powodu, żebym ja, żona, została.

- Gdyby moja siostra została w Kumamoto, nie miałyby nic do roboty. Z tobą to całkiem inna sprawa.

- Nie jestem przywiązana do Tokio i mogę zrezygnować z praktyki lekarskiej. Jeśli powiesz, żebym jechała, pojedę. Wiesz przecież, że też jestem wierząca. - Ginko w głębi duszy dziwiła się sama sobie, że choć ma mieszane uczucia, potrafi tak protestować.

- Wiem, co czujesz, jednak jest jeszcze za wcześnie. Jak stworzę tam trochę lepsze warunki, dam ci znać.

- I ja mogę pracować przy karczowaniu lasu. Potrafię się obchodzić z piłą i motyką.

- Nie, to jeszcze nie jest miejsce dla ciebie. Zniszczyłabyś sobie tam zdrowie.

- Ale ty jedziesz.

- Jestem mężczyzną, mam dużo więcej siły niż ty. A poza tym sam to wszystko zorganizowałem i zaplanowałem.

Ginko wiedziała, jak wyrozumiała jest Shikata, i to ją ośmielało, żeby drążyć temat dalej. Jeszcze nie było pośpiechu, wyjazd nie czekał jej już za kilka dni. - To naprawdę takie straszne miejsce?

- Co innego Setana, ale tam, gdzie pracujemy, nie możesz jechać.

- To czemu z takim entuzjazmem zachęcasz innych, żeby pojechali?

- Muszę to robić.

Ginko spróbowała sobie wyobrazić ogromne drzewa i śnieg, lecz przed oczy napływały jej tylko niewyraźne obrazy rozległej dzikiej przestrzeni.

- Prawdę mówiąc, gdy ujrzałem to miejsce, byłem zaszokowany. Nie mogę tego powiedzieć innym, ale wciąż nie mam pewności, czy nam się uda. Każdy, kto pojedzie tam ze mną, będzie mógł swobodnie podjąć decyzję, czy zostaje. Ponieważ pomysł był mój, więc dotrzmam do końca.

- W takim razie musisz dać z siebie wszystko. - W głębi duszy Ginko pragnęła jednak, żeby zrezygnował.

- Jeśli się teraz wycofam, zmarnuje się cała nasza zeszłoroczna robota. A to byłoby nieuczciwe wobec Yojiro, który tam zimuje sam. Chcemy stworzyć wspólnotę, gdzie będziemy mogli wielbić Boga, więc warto znieść trochę cierpienia, żeby ją zbudować.

- Tak, oczywiście.

- Chcę, żebyś przyjechała, ale nie teraz. - Shikata zastanowił się przez chwilę i podjął decyzję: - Będę ci wdzięczny, jeśli zostaniesz w Tokio jeszcze przez kilka lat, będziesz pracować i dla nas zarabiać.

- Ja?

- Tak. Gdybyśmy mieli trochę więcej pieniędzy, praca byłaby łatwiejsza. Moglibyśmy kupić lepsze narzędzia, jeść ryż, w nocy używać lamp...

- To znaczy, że nie macie tam ryżu ani nawet lamp?

- Tak.

Ginko przyjrzała mu się badawczo. Przez ten jeden rok bardzo się postarzał.

- Narzędzia i żywność, które nam daje na kredyt Komisja do spraw Rozwoju Hokkaido, to za mało. Gdybyśmy mieli więcej pieniędzy, bez



wątpienia oczyścilibyśmy już większy teren i teraz czekali na plony.

- W takim razie oczywiście zrobię, co w mojej mocy.

- Będę ci wdzięczny.

- Nie ma za co. - Ginko zrozumiała, że tylko ona była teraz w stanie pomóc mężowi. Jednocześnie nie mogła przestać myśleć o tym, że dwa dni wcześniej wysunięto jej kandydaturę na stanowisko prezesa Japońskiej Organizacji Chrześcijanek.

W kwietniu 1892 roku, gdy stopniały śniegi, Shikata ponownie wyruszył na Hokkaido, tym razem w towarzystwie pięciu osób, wśród których byli jego starsza siostra i jej mąż. Poprzedniej jesieni zakończono budowę linii kolejowej z Tokio do Aomori na wysuniętym najbardziej na północ krańcu głównej wyspy Japonii, więc pojechali tam pociągiem. Z Aomori popłynęli statkiem do Hakodate na Hokkaido, a stamtąd lądem dostali się do Nakayakeno. W czasie tego etapu podróży, który trwał cztery dni, Shikata szczegółowo opisywał przebytą trasę, z myślą o przyszłych osiedleńcach.

Yojiro Maruyama żył i czekał na nich w Nakayakeno. Przez niemal sześć miesięcy samotnego życia w ciężkich warunkach wyrzeźbił ponad dwadzieścia posągów Daikokutena i innych buddyjskich bóstw.

- Gdybym tak bardzo nie lubił rzeźbienia, pewnie bym zwariował i umarł - powiedział ze śmiechem, lecz policzki miał zapadnięte, a całą twarz, która pod koniec lata była niemal czarna od opalenizny, poszarzała.

- Najbardziej dał mi się we znaki brak żywności - ciągnął. - Jesienią przez czterdzieści dni jadłem tylko lepieźnik gotowany w osolonej wodzie, a w styczniu przez dwa tygodnie z rzędu żywiłem się odrobiną wodnistego ryżu. - Mówił i pożerał w tym czasie słodycze, które mu przywieźli z Tokio.

Było ich teraz siedmioro i od razu przystąpili do pracy. Mniej więcej

w tym samym czasie siedemdziesiąt rodzin z dalekiej prefektury Tokushima rozpoczęło osiedlanie się w pobliskim Osabuchi, w połowie drogi między Setaną a Nakayakeno, a wkrótce potem, w maju 1892 roku, jeszcze bliżej osiadło dwanaście osób z prefektury Fukushima.

Ziemia w dorzeczu Toshibetsu była tak urodzajna, że jesienią Shikata i jego grupa, choć nowicjusze, zdołali zebrać pierwsze plony żyta i ziemniaków. Uprawa ryżu jeszcze przerastała ich możliwości, lecz nie groził im już głód i mogli przetrwać zimę.

Nadszedł rok 1893 i na wiosnę przyjechali trzej następni towarzysze Shikaty. Jednym z nich był Dentaro, brat Yojiro. Po trzech miesiącach wezwali do przyjazdu rodziny.

W czerwcu zjawilo się kilku członków Kościoła episko-palnego, żeby się rozeznac w możliwościach przesiedlenia na Hokkaido grupy współwyznawców. Ich przywódca, Kozaburo Amanuma, słyszał już od profesora Inukai z Doshishy o osadzie Shikaty i teraz zaproponował połączenie sił.

W ich sytuacji liczyła się każda para rąk, więc Shikata natychmiast przedstawił sprawę towarzyszom.

- Chyba będzie ich spora gromada, ale to członkowie Kościoła episkopalnego. Co o tym myślicie? - Grupa Shikaty była z Kościoła kongregacjonalistycznego. Łączyła je ta sama religia, lecz różniły się doktryną i obrządkiem. Jednak w tej głuszy nie mogli sobie teraz pozwolić na zastrzeżenia.

- Kongregacjonałści czy episkopaliści, jedni i drudzy to chrześcijanie. A jeśli obu naszym grupom przyświeca ten sam cel - zasiedlić tę ziemię - to czego chcieć więcej? - odpowiedział Yojiro, a pozostali od razu się z nim zgodzili. W rezultacie w czerwcu dołączyła do nich licząca czternaście rodzin grupa Amanumy, opuściwszy kwatery wynajęte w Datemonbetsu.

Sama grupa Shikaty też rosła. W sierpniu przybyli ludzie z prefektury Hyōgo, w 1894 roku z Setany, a po nich następni z Hyōgo. Pod koniec tego roku osada w Nakayakeno liczyła pięćdziesiąt rodzin.

Latem została oddana do użytku droga z Setany na wschód, do Kunnui. Wąska, tylko na jeden wóz, ale już nie musieli się bać, że zabłądzą, jadąc z Hakodate w głąb wyspy.

Skoro było ich już ponad pięćdziesiąt rodzin, prowizoryczna nazwa Nakayakeno wydawała się nieodpowiednia. Grupa Shikaty naradziła się z grupą Amanumy i zgodnie przyjęto biblijną nazwę Emmanuel, „Bóg z nami”. Ustalono też zasady, które miały być włączone do statutu osady:

*Przyłączyć się do nas i otrzymać 15 000 tsubo ziemi do uprawy będzie miał prawo każdy chrześcijanin bez względu na wyznanie. Jeśli uprawa się uda, jedną dziesiątą zysków przeznaczy dla Kościoła.*

*Osadnicy wyrzekną się alkoholu i będą przestrzegać innych chrześcijańskich zasad etycznych. Złamanie tych zasad spowoduje rozwiązanie umowy z osadą.*

*Wszystkie święta i niedziele będą dniami odpoczynku, czasem modlitwy i pogłębiania wiary.*

*W razie długotrwałej ciężkiej sytuacji będziemy się starali nawzajem sobie pomagać.*

*Zaciąganie kredytu i zadłużanie się jest zabronione.*

*Każdy osadnik powinien się ze wszystkich sił starać uzyskać samowystarczalność.*

Wydawało się, że stworzenie idealnej chrześcijańskiej społeczności rolniczej wreszcie się Shikacie powiodło.

Od wyjazdu Shikaty z Tokio minęły już dwa lata. Ginko co miesiąc dostawała od niego list i potrafiła sobie wyobrazić, jak się rozwija społeczność. Listy niezmiennie kończyły się zdaniem „Wszystko idzie zgodnie z planem”. Jednak znając jego idealizm i wiedząc, że zawsze stara

się jej nie martwić, nie brała tych słów za dobrą monetę. Czasem się zastanawiała, czy powinna się godzić, by Shikata prowadził takie życie. Na końcu każdego listu pisała: „Nie przepracowuj się. Nie ma potrzeby zawsze się spieszyć. Wiem, że dajesz z siebie wszystko. Codziennie się modłę o twoje bezpieczeństwo”.

W czasie tych dwóch lat zaszły również zmiany w sytuacji kraju i w rodzinie Ginko. Japonia znalazła się na krawędzi wojny z Chinami. Jak przewidywał Shikata, w obliczu nadciągającego kryzysu chrześcijańska działalność misyjna zaczęła tracić impet.

Pod koniec 1893 roku zmarł w wieku czterdziestu siedmiu lat Yasuhei. Przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu. Za namową Tomoko Ginko zdecydowała się pojechać na pogrzeb, chciała też odwiedzić groby rodziców, co od dawna odkładała. Jeśli miała dołączyć do Shikaty na Hokkaido, była to także okazja do odwiedzenia rodzinnego domu, być może ostatnia.

Nie musiała już, jak przed dziesięciu laty, jechać rikszą, bo do Tawarase prowadziła teraz linia kolejowa. Pociąg zbliżał się do celu, a jej stawały przed oczami obrazy z poprzedniej wizyty. Z ciężkim sercem wspominała ból, jaki czuła po śmierci matki, i zimne oczy krewnych i sąsiadów.

Tymczasem Tawarase się zmieniło. Zamiast niechęci pojawiła się ciekawość i pełen szacunku podziw. W czasie czuwania przy zmarłym podchodziły do niej dziesiątki osób, żeby się przywitać i porozmawiać. Byli wśród nich dalecy krewni, których twarze pamiętała, ale innych w ogóle nie potrafiła sobie przypomnieć. Cieplesze uczucia okazała jej nawet owdowiała Yai.

- Wszyscy się na ciebie gapią - szepnęła Tomoko.
- Czemu, do licha?
- Przecież jesteś lekarką i sławną chrześcijanką.

- Boże drogi!
- Szanują cię. Pewnie też trochę z ciekawości.
- Mają zabawę.

- To wielka zmiana od czasu śmierci matki, gdy wszyscy cię traktowali, jakbyś była obłąkana. Nie wyłączając naszego nieszczęsnego Yasuhei.

Znów odżyły wspomnienia tamtych dni. Wszyscy bez wyjątku uważali wtedy, że jest nieposłuszną, wyrodną córką.

- Teraz jesteś bogata i sławna, więc świat patrzy na ciebie inaczej.

- Jakie to głupie. - Ginko z niechęcią słuchała jej wyjaśnień, choć musiała przyznać, że Tomoko ma rację.

O ósmej większość gości się rozeszła. Zostali tylko Oginowie, ich krewni i sąsiedzi, którzy pomagali w przygotowaniach do pogrzebu.

- Shikata jeszcze nie wrócił? - spytała Tomoko, gdy wreszcie zostały na kilka chwil same.

- Nie. I nie chce zrezygnować ze swych planów.

- Ty też masz zamiar tam pojechać?

- Możliwe, że w końcu będę musiała.

- Nie rób tego! - powiedziała Tomoko z naciskiem. - Czy to komuś przyniesie jakąś korzyść?

- Korzyść?

- Hokkaido jest dla ludzi, którzy tu nie mogą zarobić na życie albo mają jakiś inny powód, żeby wyjechać. Wszystkich ich coś tam ciągnie. To, że należysz do Kościoła, nie znaczy, że i ty musisz jechać. Robisz dużo dobrego, pracując jako lekarka w Tokio.

Ginko milczała.

- Po co ci towarzystwo nieokrzesanych mężczyzn rąbiących las, chata tonąca w błocie? Jedyne, co możesz z tego mieć, to nadszarpnięte zdrowie.

- Ale jestem Shikaty...

- Żoną? A co takiego dał ci Shikata jako mąż? Opłacasz wszystko, od ślubu po wydatki na życie, a on jest na twoim utrzymaniu. Potem nagle postanawia cię zostawić i jedzie na Hokkaido, a teraz jeszcze chce cię zmusić, żebyś też tam pojechała.

- On chce stworzyć idealną chrześcijańską społeczność rolniczą.

- To śmieszne. Z pewnością potrafi dużo gadać o idealnej społeczności, ale czy w rzeczywistości to nie jest po prostu wycinanie polany w lesie?

- Jeszcze przed ślubem mi powiedział, że to jego marzenie. A teraz je spełnia.

- No dobrze, ma marzenie i pojechał je urzeczywistnić. Ale ty tak długo i ciężko pracowałaś, żeby zostać lekarzem. Dlaczego miałabyś się tego wyrzec?

- To już nasza sprawa - ucięła Ginko chłodno. Tomoko umilkła, a Ginko nagle ogarnęło złe przeczucie.

Rolę głowy domu przejął po Yasuhei jego syn Sanzo, ale odziedziczył niewiele, gdyż po ziemi i pozycji rodziny nie było już śladu. Nawet na pogrzeb przyszło mniej ludzi, niżby się można było spodziewać. Yasuhei miał słaby charakter i rodzinny majątek przeciekł mu przez palce, więc ktoś mógłby powiedzieć, że na to zasłużył. Jednak Ginko nie uważała go za złego człowieka i z tą myślą złożyła go na wieczny spoczynek.

- Inaczej by było, gdyby żyła matka - powiedziała Tomoko, patrząc na ołtarz zbudowany dla brata, niezwykle skromny i prosty w porównaniu z ołtarzem ojca sprzed lat. - To może oznaczać koniec rodu Oginów.

Sanzo, główny żałobnik i nowa głowa rodziny, miał dwadzieścia trzy lata, lecz zawsze był słabego zdrowia i nigdy nie przejawiał

zainteresowania rolnictwem.

- No cóż, chyba teraz nie trzeba już się starać, żeby gospodarstwo zostało w rodzinie? - powiedziała Ginko, przypomniawszy sobie usłyszane przypadkowo słowa Sanzo, który mówił, że chce się przenieść do Tokio i znaleźć tam pracę.

- Ale nowa głowa rodziny ma obowiązek chronić i zachować dom rodzinny w jak najlepszym stanie.

Nawet jeśli racja leżała po stronie Tomoko, Ginko nie była skłonna niczego młodemu Sanzo narzucać. Pomyślała, że skoro również w tej sprawie ma inne zdanie niż siostra, ich drogi chyba faktycznie się rozchodzą.

- Widziałas go? - Tomoko nagle zmieniła temat.

- Kogo?

- To nie wiesz? Był tutaj Kanichiro. - Ginko spojrzała na siostrę gniewnym wzrokiem. - Przyszedł i się ze mną przywitał, więc myślałam, że też rozmawialiście.

Kanichiro i Ginko byli od dawna rozwiedzeni, lecz ponieważ obie rodziny zajmowały w północnej Saitamie wysoką pozycję społeczną, nadal utrzymywały formalne kontakty. Wręcz należało się spodziewać, że Kanichiro przybędzie na pogrzeb głowy rodziny Oginów, choć była to rodzina podupadła. Mimo wszystko kiedyś łączyło go z nią małżeństwo, a mieszkał w odległości zaledwie czterdziestu kilometrów.

- Widzę, że musiał w takim razie przyjść i wyjść, nie podszedłszy do ciebie.

- W ogóle go nie zauważyłam.

- Ale on cię spostrzegł na pewno.

Ginko mogła go nie zauważyć, bo siedziała na skraju grupy krewnych. Albo mogła go widzieć, gdy szedł zapalić świecę, ale z tyłu go nie poznała. Ostatni raz widzieli się przed dwudziestu pięciu laty.

- Jest teraz prezesem banku.

Ginko nie mogła sobie wyobrazić tamtego bladego, cichego młodego człowieka w roli prezesa banku.

- Zdziwił się, jak mu powiedziałam, że wyszłaś za studenta młodszego o trzynaście lat.

- Tomoko, ja naprawdę nie chcę o tym mówić! - Ginko gwałtownie podniosła się z miejsca.

Weszła Yai i gestem zaprosiła Ginko do sąsiedniego pokoju, gdzie jedli i pili mężczyźni.

- Napijesz się z nami sake? Tyle ludzi chce z tobą porozmawiać. Jesteś dumą rodziny Oginów.

- Dołącz do nich chociaż na chwilę - wtrąciła się Tomoko.

- To bardzo miłe, ale z przykrością muszę odmówić, bo jutro wczesnie wstaję. - Ginko odwróciła się zirytowana. *Wiesz się nigdy nie zmieni. Jak zwykle trudno tu wytrzymać.*

19.

Od ostatniego pobytu Shikaty w Tokio Ginko była pogodzona z myślą o wyjeździe na Hokkaido, pozostawało tylko pytanie kiedy. Przygotowała się psychicznie, że wyjedzie natychmiast, gdy tylko Shikata poprosi. Może to będzie tej wiosny? A może latem? Czekwała na wezwanie, lecz nie nadchodziło.

Listy przysyłał jak zwykle raz na miesiąc. W każdym znajdowało się zapewnienie, że mają się dobrze i że praca po trochu posuwa się naprzód. Nigdy jednak nawet nie napomknął, że chce, by przyjechała.

W osadzie była już starsza siostra Shikaty Shime, a jego towarzysze Takabayashi, Dentaro i inni sprowadzili żony. Jedynie Shikata jeszcze tego nie zrobił. Wciąż tylko powtarzał w listach, że jest zdrowy. Ginko w końcu doszła do przekonania, że Shikata nie chce, by żyła tam w ciężkich warunkach.



*Też należę do Kościoła i akceptuję plany Shikaty. Powinnam pojechać, nawet jeśli mnie nie wezwie. Przecież jestem jego żoną. Wykorzystuję jego ostrożność. Takabayashi i Dentaro Maruyama mają tam żony, więc to nie jest miejsce nienadające się dla kobiet. Ciągłe myślę, że różnię się od innych jako lekarka o wysokiej pozycji społecznej. Dzięki temu mogę być w Tokio i mieć czyste sumienie. W rzeczywistości jestem okropnie zarozumiała.*

Była coraz bardziej przekonana, że powinna jechać. Ze wstydem myślała, że wykorzystuje swą szczególną pozycję jako wykręt. *Wszyscy wierzący są równi wobec Boga.* Nie było powodu, żeby tylko ona miała lekkie życie. Zaczęła cierpieć na bezsenność. Pewnej nocy, gdy wiatr trzaskał okiennicami, ułożyła wiersz:

Zbudzona w środku nocy przez burzę  
Wyobrażam sobie, jak musi być zimno  
Na równinie Toshibetsu.  
Nawet jak już wiatr rozpędzi chmury,  
Myślę o porannym i wieczornym niebie  
Nad równiną Toshibetsu.

Zasnęła i zobaczyła Shikatę. Stał samotnie wśród pokrytych śniegiem świętych drzew. Nic nie mówił. Był nieruchomy jak głaz, w rękę trzymał motykę. Patrzył w kierunku Ginko. „Chcesz, żebym przyjechała, prawda?”. Nie odpowiedział, więc spytała jeszcze raz. Tym razem ledwie dostrzegalnie skinął głową, a potem się uśmiechnął, jak tylko on potrafił.

Gdy otworzyła oczy, po burzy nie było ani śladu. Nad Tokio wstawał słoneczny poranek.

- Pojadę.

Teraz, gdy się już ostatecznie zdecydowała, była nawet trochę zła, że Shikata ją tak długo powstrzymywał.

W czerwcu 1894 roku Ginko wyruszyła na Hokkaido do czekającego

na nią męża. Klinikę zamknęła, meble i inne domowe rzeczy podzieliła między pracowników.

- Naprawdę jednak pani jedzie? - Pielęgniarka Moto przyszła na dworzec Ueno, żeby pożegnać Ginko, ale wciąż nie mogła w to uwierzyć.

- Oczywiście.

- Ale... - Opuściła głowę. Ginko była bardzo wymagająca i Moto nieraz myślała o odejściu, lecz teraz wspominała tamte chwile niemal z rozczuleniem. Ginko nauczyła ją tak wiele o tylu rzeczach. Dziś Moto zdawała sobie sprawę, że surowość była wyrazem troski Ginko o nią. - Proszę dbać o siebie - dokończyła smutnym głosem.

Żegnający podchodzili jeden po drugim, pochylali głowy w ukłonie i ściskali dłoń Ginko. Kajiko Yajima z Japońskiej Organizacji Chrześcijańskich, Okubowie, którzy ją poznali z Shikatą, pastorowie z kościołów w Hongo i Reinanzace, młode lekarki, dla których była mentorką, przewodniczący Tokijskiego Stowarzyszenia Medycznego, dziennikarze i inni przedstawiciele prasy, i przyjaciółki z dawnych lat: Ogie Matsumoto i Shizuko Fumichi. Przyszło nawet kilka pacjentek. Było to uroczyste pożegnanie, zupełnie inne niż skromny odjazd Shikaty.

- Co za strata - szepnęła do męża stojąca w tłumie pani Okubo. Dla chrześcijanina czyn Ginko był chwalebny.

W oczach żony chrześcijanina również powinien być godny pochwały. Pani Okubo wiedziała, że należy popierać chrześcijanina, który wkracza na słuszną drogę. Gdyby jednak Ginko została w Tokio, tyle by jeszcze z pewnością dokonała - nie tylko jako lekarka, lecz także jako reformatorka społeczna.

Pani Okubo żałowała, że ta niezwykła przyszłość już Ginko nie czeka. Nie mogła się przemóc, żeby pożegnać Ginko jak Shikatę, i nie mogła się pozbyć uczucia, że ich małżeństwo było strasznym błędem. Nikt spośród zgromadzonych na peronie nie wyrażał głośno żadnych

wątpliwości, lecz wszyscy podzielali jej zastrzeżenia.

Nadeszła pora wsiadania do pociągu. Ginko zajęła miejsce przy oknie, ale zdecydowanie skierowała głowę na wprost i spuściła oczy. Rozległ się dzwonek zapowiadający odjazd.

- Zaraz pęknie mi serce - szepnęła pani Okubo.

- Do widzenia!

- Uważaj na siebie!

Zgromadzeni chórem wypowiadali słowa pożegnania, ale Ginko nie mogła sobie pozwolić na patrzenie w okno. Czuła, że na pewno jej oczy napotkałyby jakąś znajomą twarz. A gdyby zatrzymała wzrok tylko na tej osobie, byłby to nieumyślny afront wobec innych, które ją żegnały.

Pociąg ruszył i wszyscy ucichli. Nagle rozległo się łkanie.

- Pani doktor! - Pielęgniarka Moto biegła po peronie.

Na końcu zawołała jeszcze raz, lecz Ginko nie mogła już jej usłyszeć. Pociąg nabrał prędkości. Dopiero gdy przejechał przez most na Arakawie i zbliżał się do Kawaguchi, dotarło do niej, że teraz jest naprawdę sama, w drodze na Hokkaido.

20.

Ginko sądziła, że jest przygotowana do życia w osadzie, jednak nie było to łatwe. Chata, w której mieszkała z Shikatą, miała przy wejściu klepisko i składała się z dwóch maleńkich izb z podłogą z desek. Poza tym wszystko było na zewnątrz, łącznie ze studnią i wspólną ubikacją.

- Okropnie, prawda?

- Wcale nie. Właśnie tak to sobie wyobrażałam. - Ginko robiła, co mogła, żeby nie okazać zaskoczenia, lecz w głębi duszy była zaszokowana. Żyjąc wygodnie w Tokio, nie była w stanie sobie wyobrazić takich warunków. Teraz rozumiała, dlaczego Shikatą się nie kwapił, by ją prosić o przyjazd.

Posłanie urządzili sobie na słomie rozłożonej na podłodze. Ostatni

raz spali obok siebie przed dwoma laty. Wszystko - podłoga pod nimi i całe otoczenie - wydawało się obce.

- Musimy to wytrzymać jeszcze przez dwa, trzy lata - wymruczał, tuląc ją w ramionach. Jego skóra pachniała trawą i ziemią. Przesiąkł tymi zapachami. Ja też z czasem pewnie nimi przesiąknę - pomyślała. Zamknęła oczy i starała się odpędzić niepewność, skupić się na szczęściu, jakie czuła, będąc znów z Shikatą.

Osadę zamieszkiwali wyłącznie chrześcijanie przestrzegający zasad określonych w jej statucie założycielskim. Wszyscy odpoczywali od pracy w niedziele i wszyscy pracowali, żeby zebrać pieniądze na budowę kościoła.

Praca nie zawsze jednak szła gładko. Zdrowie większości osadników nadszarpnął ciężki wysiłek fizyczny, wielu męczyły napady biegunki, którą prawdopodobnie powodowała pita woda. Najbardziej dawały im się we znaki chmary komarów. Niektórym pomagał sposób Shikaty - tłąca się u pasa słoma - ale ci o bardziej wrażliwej skórze mieli twarze opuchnięte od ukąszeń.

Mimo to nadal pragnęli pracować razem dla wspólnego celu. Choć byli świeżo upieczonymi rolnikami, na szczęście dostali żyzną ziemię. W czasie niewiele dłuższym niż rok zdołali zebrać sto worków ziemniaków, a także trochę żyta i prosa. Wcześniej o takich plonach nawet nie marzyli. To rozbudziło na nowo ich wiarę w siebie i wzmocniło nadzieję na lepszą przyszłość osady.

- Będzie dobrze!

Pozostały jednak inne problemy, a zwłaszcza nieporozumienia między wyznaniem.

Kongregacjoniści Shikaty i episkopaliści Amanumy mieszkali w Emmanuelu razem. Chaty pierwszych stały wokół niewielkiego wzgórza po wschodniej stronie osady, chaty drugich na zachodzie, blisko końca

karczowiska. Wspólna praca przy wyrębie lasu i uprawie ziemi przebiegała dobrze, lecz gdy czasem zaczynali rozmawiać na tematy religijne bądź ideologiczne, grabie stały beczynnne i gorąca dyskusja usuwała na drugi plan wszystko inne. Bywało, że spór trwał aż do zachodu słońca, a robota, już i tak opóźniona, opóźniała się jeszcze bardziej.

Życie, jakie Ginko prowadziła w Emmanuelu, nie mogło się bardziej różnić od jej życia w Tokio. Wstawała o siódmej, ubierała się i jadła śniadanie, o ósmej, tak jak wszyscy, zaczynała pracę w grupie, do której została przydzielona. Kobiety prały i gotowały. W południe sprzątały po obiedzie, potem przez godzinę odpoczywały, a później pracowały do czwartej; o tej godzinie wszyscy zbierali się na modlitwę dziękczynną. W niedzielę o dziesiątej rano u stóp wzgórza rozpoczynało się nabożeństwo, po którym był czas na odpoczynek albo porządki czy naprawy w domu.

Ginko opuściła dom w Tawarase przed ponad dwudziestu laty. Choć jej życie bywało potem bardzo trudne, zawsze toczyło się w tempie, jakie sobie sama narzuciła. Życie w grupie nie było dla niej łatwe.

- Kobiety właściwie nie muszą uczestniczyć w porannych zebraniach - powiedział Shikata, wiedząc, że Ginko jest nocnym markiem.

- Nie powinnam spać, kiedy wszyscy już są na nogach!

- Poranne zebranie wymyślono po to, żeby zjednoczyć oba wyznania, poprawić stosunki między episkopalistami i nami.

- No dobrze, w takim razie będę spała trochę dłużej.

- Świetnie. A oliwy do lampy mamy teraz pod dostatkiem, więc nie musisz oszczędzać - dodał i pokazał jej słoje stojący na ziemi przy wejściu do chaty. Każde gospodarstwo domowe dostawało określoną ilość oliwy, ale Shikata pojechał do Setany i kupił więcej specjalnie dla żony, bo wiedział, że bardzo lubi czytać do późna. Nawet tutaj studiowała

anglojęzyczne wydanie Biblii.

Ginko była mu wdzięczna za troskę o to, żeby się czuła szczęśliwa, ale wahała się, czy może korzystać ze specjalnych względów. Jednocześnie obawiała się, że jeśli w tej głuszy nie będzie mogła czytać, ucierpi na tym jej psychika. Mniej więcej miesiąc po przybyciu Ginko do Emmanuela żona Yamazakiego, jednego z kongregacjonalistów, nagle odrzuciła od siebie niemowlę, wybiegła z chaty i upadła koło studni, gdzie stały inne kobiety. Te zawołały Ginko, która natychmiast przyszła. Kobieta leżała z nogą odsłoniętą aż po udo, jęczała i szarpała ubranie na piersi.

- Czy to malaria?
- Oczy wywróciła białkami do góry.
- Toczy pianę z ust.
- Czy może jej pani pomóc?

Ginko stała w milczeniu wśród osadników, którzy przybiegli na wieść o nagłym wydarzeniu i przyglądali się jęczącej pani Yamazaki.

- Pani doktor, proszę... - błagalnym głosem odezwał się jej mąż. Mieszkańcy Emmanuela byli dumni, że mają wśród siebie dyplomowanego lekarza. To ich wyróżniało nawet w porównaniu z Setaną i było jedną z rzeczy, dzięki którym łatwiej znosili życie w tych prymitywnych warunkach. - Co mam robić?

- Proszę ją zanieść do domu.
- A lekarstwo?
- Proszę jej dawać do picia gotowaną wodę z cukrem. I dzisiaj niech pan przy niej będzie.
- To wszystko?
- Nie ma powodu do obaw. A pozostali niech pomogą.

Wątpili, czy słodka woda wystarczy, ale posłusznie podnieśli kobietę z ziemi.

Ginko i Shikata wrócili do siebie. - Jesteś pewna, że nic więcej nie trzeba?

- Ona nie jest wierząca, prawda? - To było bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Jej mąż jest wierzący, ale możliwe, że ona nie.

- Ona nie potrafi zrozumieć, dlaczego mąż postanowił poddać się woli Boga i wziąć udział w tym wielkim przedsięwzięciu. Pewnie jej tego dokładnie nie wytłumaczył. W każdym razie wyraźnie widać, że nie jest w stanie znieść życia na tym odludziu, gdzie czuje, że nie ma się do kogo zwrócić.

- Chcesz powiedzieć, że z tego powodu oszalała?

- Nie może znieść samotności i histeryzuje. Upadła celowo, tam gdzie wszyscy to mogli zobaczyć, szarpała ubranie, a jak się przewracała, wybrała miękkie miejsce - to klasyczny przypadek hysterii.

- Słyszałem, jak Yamazaki się skarżył, że ostatnio jest smutna i przestała się zajmować domem i dziećmi. Wszystko robi sam, od prania do zmieniania pieluch.

- Płacze i demonstruje niepoczytalność, w nadziei że zostanie odesłana do domu. - Zawodzenie kobiety ucichło, więc pewnie piła osłodzoną wodę przygotowaną przez męża. Z chaty Yamazakiego dobiegał za to teraz płacz dziecka. - Wymagać od niewierzącego, żeby towarzyszył tutaj komuś zagospodarowującemu nowe tereny, to prawdopodobnie zbyt wiele.

- Pewnie tak. - Shikata pokiwał głową. Patrzył, jak za polem osadnicy wypalają zarośla na świeżo wykarczowanym miejscu. - Nie wystarczy tylko być żoną wierzącego.

Ginko żyła wówczas na Hokkaido dopiero od miesiąca, więc nie miała prawa nikogo surowo oceniać. Nie mogła mieć pewności, że sama nie skończy jak żona Yamazakiego, a poza tym innych też dręczyła

tęsknota za domem.

Teraz, sześć miesięcy później, osadzie brakowało pieniędzy. Nie mieli *miso*, sosu sojowego, nawet soli. Yojiro pojechał do Setany sprzedać kilka rzeźb i wrócił z *miso*, ale pokonanie dwunastu kilometrów z biegiem rzeki w czólnie wydrążonym z pnia zabrało mu dwa dni. Przez moczary, gdzie nie dało się płynąć, ciągnął je, brodząc po kolana w wodzie. Zamiast warzyw musiały im wystarczyć dzikie rośliny. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Z końcem lata niektórzy zaczęli podawać w wątpliwość sensowność całego przedsięwzięcia.

- Czyście już wszyscy zapomnieli o naszym zobowiązaniu z Doshishy? I że w 1891 roku Shikata i Maruyama prawie zapracowali się dla nas na śmierć? Komandor Fukushima pojechał sam konno na Syberię, prawda? Porucznik Gunji popłynął na bezludną wyspę i został świętym, prawda? Mielibyśmy się okazać bezwstydnymi słabeuszami, którzy tracą ducha z powodu drobnych kłopotów?

W czasie porannych i wieczornych godzin odpoczynku jeden z członków grupy, Takabayashi, usiłował w ten sposób dodawać serca wahającym się towarzyszom, ale czasem i on miał chęć zrezygnować i uciec. Jego nawoływanie było również próbą wzmocnienia własnej woli.

Jednoczyło ich poranne niedzielne nabożeństwo. Gromadzili się po kolei w różnych domach, modlili, podtrzymywali na duchu, potwierdzali swe zobowiązanie do współpracy i wzajemnej pomocy. „Wszyscy jak jeden mąż zjednoczeni w Bogu” - to była kwintesencja ich obietnicy i więzy.

Ginko uczestniczyła w pracy w miarę sił, teraz bardziej jako żona Shikaty niż lekarka. Nie była w stanie ścinać potężnych drzew czy karczować pniaków, ale mogła pomagać w uprawie już oczyszczonego terenu. Gdy czasem ktoś się zranił, przydawało się jej doświadczenie medyczne.



Większość osadników wytrwale pracowała, lecz niektórzy chorowali albo tracili zapal. Pięć gospodarstw domowych liczących w sumie dwanaście osób, w tym Yamazaki z żoną wciąż cierpiącą na histerię, opuściło osadę. Liczba ludności Emmanuela, która przez dwa lata z rzędu rosła, teraz po raz pierwszy zmalała.

Na początku października, miesiąc po wyjeździe owej dwunastki, znad Morza Japońskiego nadszedł nad Hokkaido tajfun. Zwykle spokojna Toshibetsu wezbrała i zalała równinę. Pola, na których przez cały rok w pocie czoła pracowali osadnicy, pokryły kamienie i muł. Jakby tego było mało, dziesięć dni później ziemię ścisnął mróz.

Była to strata tym bardziej bolesna, że zapowiadały się dobre plony. Wahający się wyrażali teraz swe wątpliwości jeszcze bardziej zdecydowanie. Ginko próbowała dodać osadnikom otuchy: „W Tawarase to się zdarzało stale. Im częściej rzeka wylewa, tym żyzniejsza robi się gleba”, ale ludziom niemającym rolniczego doświadczenia jej słowa nie trafiały do przekonania.

Zaczął się wzajemne obwinianie za opóźnienia. Zima była tuż-tuż. Przez powódź prawie nie zgromadzili zapasów. Rysowała się ponura perspektywa konieczności przetrwania zimy na szczupłych racjach żywnościowych od rządu. Sama wiara w Boga by nie wystarczyła. Gdy pod koniec października spadł pierwszy śnieg, dwadzieścia osiem osób - połowa grupy - postanowiło opuścić Emmanuel.

- Dlaczego musimy znosić to cierpienie? - zapytał Shikata. Stali z Ginko na brzegu Toshibetsu i patrzyli na znikające w oddali postacie odchodzących. W ciągu trzech lat, jakie minęły, od kiedy tu przyjechał, jego okrągła twarz zrobiła się koścista i jak na swój wiek wyglądał staro.

- Kiedyśmy się po raz pierwszy spotkali, z entuzjazmem przedstawiłeś mi swój plan. Wytrwale go realizujesz. Zaszedłeś daleko. - Teraz Ginko starała się dodać ducha Shikacie, wyczerpanemu pionierską

działalnością i niemal gotowemu się poddać.

Gruba warstwa śniegu pokryła rzekę i całą równinę. W środku zimy siostra Shikaty Shime urodziła córeczkę, rodzice dali jej imię Tomi. Dziecko było zdrowe, ale ciężki poród, niedożywienie i przemęczenie matki wydłużyły okres połogu, a gdy przyszło nagle ochłodzenie, Shime zachorowała na zapalenie płuc. Ginko i Shikata przez tydzień opiekowali się nią dniem i nocą, ale dwa miesiące później Shime zmarła.

To była pierwsza śmierć w osadzie. Po kremacji w Setanie pochowali prochy Shime na północno-wschodnim krańcu Emmanuela. Czy po to przyjechała na Hokkaido, żeby umrzeć? - pomyślała Ginko, patrząc na biały słupek ustawiony na grobie.

- A może byśmy tak wzięli Tomi? - spytał Shikata, bacznie obserwując minę Ginko. Od śmierci Shime minął miesiąc.

- To niemożliwe, żeby samotny mężczyzna wychowywał córkę i jednocześnie tu pracował - dodał. Mąż Shime codziennie jeździł do mieszkającej daleko mamki.

- My? Dziecko? - Niespodziewana propozycja zaskoczyła Ginko.

- Tak. Adoptujmy ją.

- A on się zgodzi?

- Rozmawialiśmy o tym pięć dni temu i powiedział, że jeśli ją wychowamy, to nam ją odda. - Najwidoczniej Shikata myślał o tym już od jakiegoś czasu. - Co o tym sądzisz?

Ginko nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Nigdy szczególnie nie lubiła dzieci. Wydawały się urocze, ale zwykle uważała, że to tylko fortel dla zdobycia względów dorosłych, co ją okropnie irytowało. Kiedyś nawet powiedziała to swej przyjaciółce Ogie, a ta jej delikatnie wyjaśniła, że dzieci robią to instynktownie i nie należy ich potępiać za takie zachowanie. Ginko musiała się z tym zgodzić, ale nie nabrała dzięki temu ochoty, żeby mieć własne dziecko.

- Będę ci pomagał się nią opiekować. A jak zdobędziemy więcej pieniędzy, to może wynajmiemy piastunkę.

Ginko milczała. Nie wiedziała, co o tym sądzić. Gdyby wcześniej miała dziecko, nie zostałaby lekarką ani nie mogła działać społecznie. Czy dlatego wydawało się jej, że to nie jest najlepszy pomysł? Może z niechęcią myślała o dzieciach, bo sama nie mogła ich mieć? W końcu tak się to w niej zakorzeniło, że dzieci przestały ją interesować, stały się dla niej obce.

- Jestem tutaj jedynym krewnym tej dziewczynki.

Racja - pomyślała.

- A poza tym nie wygląda na to, żebyśmy kiedyś mieli własne dziecko. - Ginko ciężko westchnęła. - Prawda?

Kiwnęła głową. Shikata patrzył na nią błagalnym wzrokiem, ale to już nie było potrzebne - ustąpiła.

Grupa kongregacjonalistów znacznie zmalała, ale na wiosnę pojawili się przybysze, a wraz z nimi nadzieja. Wszyscy nowi członkowie byli pełni dobrych chęci i głębokiej wiary. Praca zaczęła się gładko posuwać naprzód.

Shikata, po części dla uniknięcia ponownego osłabienia wiary w grupie, bardziej niż dotychczas naciskał na zbudowanie kościoła. W rezultacie latem stanął kryty strzechą kościół Toshibetsu i od tej pory co niedziela odbywały się w nim nabożeństwa. Dopływ dodatkowych pieniędzy i nowych sił umożliwił im też zbudowanie jesienią niewielkiej szkoły. Był to budynek bardzo prosty, ale zaspokajał ich potrzeby. Nauczycielami czytania i arytmetyki zostali niemogący ciężko pracować starsi członkowie. Dwudziestego piątego grudnia w domu Shikaty i Ginko społeczność po raz pierwszy świętowała Boże Narodzenie. Zebrani postanowili, że będą to robić co roku.

Osada w środku lasu zaczęła się stopniowo przeobrażać w wioskę.

Najbliższa agenda rządowa, mieszcząca się w Setanie, przyjęła to do wiadomości, lecz odmówiła jej zarejestrowania pod nazwą Emmanuel. Większość miejscowych nazw pochodziła z języka ajnu, ale władze Hokkaido zarządziły, że mają być dostosowane do pisma kanji preferowanego przez mieszkańców reszty kraju. Obce słowo Emmanuel było niezgodne z polityką nadawania nazw brzmiących jak najbardziej z japońska.

- Ale ta nazwa nie jest z języka ajnu, lecz z Biblii, i wybraliśmy ją my, Japończycy-protestowali osadnicy.

- Słowa obcego pochodzenia są niedopuszczalne. Jeśli nazwy nie da się wyrazić w kanji, trzeba ją zmienić. - Osadnicy poczuli na własnej skórze, co znaczy być traktowanym przez urzędników jak obcy we własnym kraju. Tak samo traktowano Ajnów.

- Wybraliśmy nazwę, która symbolizuje naszą wiarę. Nie możemy jej tak po prostu zmienić! - Shikata i pozostali byli oburzeni, ale mieli przeciwko sobie potężną, bezwładną machinę biurokratyczną.

- A może zmienimy nazwę, żeby zadowolić władze, ale nadal używajmy dotychczasowej, Emmanuel? To im wystarczy - odpowiedziała Ginko rozwścieczonemu Shikacie.

Osadnicy przyznali jej rację i wybrali nazwę Kami-ga-Oka, Wzgórze Boga. Urząd ją zaakceptował jako oficjalną nazwę rejonu, lecz miejscowi do dziś mówią Emmanuel.

Stopniowo wokół Setany wyrastały i były rejestrowane przez lokalne władze kolejne podobne osady. W innych miejscach Hokkaido działo się to samo. Osadnicy przyjeżdżali z całej Japonii. Swym osadom nadawali nazwy na ogół pochodzące od nazwisk przywódców grup lub miejsc, skąd przybyły, a także zjaponizowane miejscowe nazwy ajnowskie. Wielu osadników szukało przygód, niektórzy wywodzili się spośród ludzi będących w niełasce u nowego rządu, jeszcze inni byli

synami rolniczych rodów niemogącymi liczyć na spadek. Tylko nieliczni przyjeżdżali ze względów religijnych, jak członkowie grupy Shikaty.

Dziś wielu spośród owych pierwszych osadników czczą założone przez nich miasta, ale wtedy większość z nich nie była w stanie zarobić na życie gdzie indziej i nie miała dokąd wracać.

Gdy w kwietniu 1895 roku, po podpisaniu traktatu kończącego wojnę chińsko-japońską, zapanował w Tokio nastrój niepohamowanej radości, na Hokkaido osadnicy kontynuowali swą niekończącą się walkę z dziką przyrodą. Jednak w grudniu następnego roku do parlamentu trafił projekt ustawy „Dysponowanie niezagospodarowanymi ziemiami na Hokkaido”, mającej zastąpić obowiązujące od dziesięciu lat „Przepisy o sprzedaży ziemi na Hokkaido”.

Przyjęcie tego projektu oznaczało, że cała ziemia rozdzielona do tej pory na Hokkaido, również ta, którą Tsuyoshi Inukai przekazał kongregacjonalistom Shikaty, stawała się na nowo własnością rządu. Osadnicy musieli się ubiegać bezpośrednio u władz o dzierżawę ziemi, którą już uprawiali. Oznaczało to również, że ziemię jeszcze nieuprawianą przejmował rząd, żeby ją przekazać innym grupom. Perspektywa osiedlenia się w pobliżu Emmanuela ludzi niewierzących niweczyła marzenie Shikaty o kwitnącej społeczności stworzonej wyłącznie przez chrześcijan i dla chrześcijan, nie niepokojonej przez resztę japońskiego społeczeństwa.

W dodatku nasilały się tarcia między kongregacjonalistami Shikaty i episkopalistami Amanumy. Od czasu, gdy do pierwszych osadników Shikaty dołączyła grupa Amanumy, minęły prawie dwa lata. Przez ten okres o statucie osady i innych ważnych sprawach decydowały wspólnie obie grupy, ale w rzeczywistości większe wpływy mieli kongregacjoniści - częściowo dlatego, że osiedlili się tam pierwsi, a także ze względu na większą liczebność. Gdy jednak plony kongregacjonalistów zniszczyła

powódź, wielu z nich wyjechało, a pozostali ustępowali teraz liczebnie episkopalistom. W czasie śnieżnych zimowych miesięcy sytuacja się poprawiła, lecz gdy wraz z wiosenną odwilżą nadszedł czas nowych prac na rzecz osiedla, pogorszyła się na nowo. Coraz trudniej udawało się uzyskać zgodne stanowisko, załagodzić antagonizmy. Było to tym bardziej przykre, że obie grupy miały takie same podstawowe zasady wiary.

Uparty, impulsywny Shikata, nie mogąc się pogodzić z przewagą drugiej grupy, wcześniej czy później musiał się zetrzeć z Amanumą. Zarzewiem konfliktu stała się decyzja episkopalistów, że nie będą uczestniczyć we wspólnych nabożeństwach w kościele Toshibetsu. Różnice, z którymi tak długo potrafili sobie radzić, nagle wywołały zaciekły spór, który szybko wymknął się spod kontroli.

Shikata wiedział, że są w mniejszości i nie wygrają. Poniewczasie zrozumiał, że połączenie się z grupą Amanumy było błędem.

Latem 1896 roku Shikata postanowił opuścić Emmanuel i przenieść się do leżącego o pięćdziesiąt kilometrów na wschód Kunnui.

- Tam jest kopalnia manganu. Zawsze chciałem spróbować swoich sił w czymś takim. - Górnictwo nie było zajęciem dla amatora, ale Shikata, namówiony przez pewnego ryzykanta, już się zapalił do nowego pomysłu.

- A twoje cele religijne? Bo to chyba nie ma z nimi nic wspólnego? - spytała Ginko.

- Mój pobyt tutaj jest bez sensu. - Przyjechał na Hokkaido ze wzniosłym zamiarem stworzenia idealnej chrześcijańskiej społeczności. Jego marzenie miało taką siłę, że zdołał przyciągnąć innych. Ginko, chrześcijanka, przystała na jego plany i go wsparta. Teraz mówił o rozbudowie nowo otwartej kopalni za to, co zostało z pieniędzy przywiezionych przez Ginko. - On twierdzi, że inwestycja zwróci mi się w ciągu dwóch lat.

- Jeśli musimy stąd wyjechać, to czemu nie do Tokio? - zapytała łagodnym głosem.

- Nie mogę tam tak wrócić. - W Shikacie odezwała się duma. - Tym razem mi się uda, a za zarobione pieniądze kupię ziemię i zbuduję miasto.

- Czy to nie jest pochopne postanowienie? Ochłoń, przemyśl wszystko jeszcze raz.

- Dość już o tym myślałem! Przemyślałem do końca i podjąłem decyzję.

- Żeby odnieść sukces, nie wystarczy pasja i siła woli. - Ginko rozumiała zapal Shikaty. Jej ambicja, by zostać lekarzem, była równie lekkomyślna i nieumiarkowana. Nie rozumiała jednak, dlaczego jego ambicje się zmieniają.

- Wiem, ale nie ma sensu siedzieć tu dłużej.

- Byłabym szczęśliwa, gdybym gdzieś mogła znowu otworzyć klinikę.

- Nie. Jadę do Kunnui i już. - *Jestem mężczyzną*, zdawał się mówić.

- Proszę cię tylko, żebyś się zgodziła z moim zdaniem.

Błagam. - Położył dłonie na podłodze i zgiął się w głębokim ukłonie.

Ginko stanęła przed oczami scena sprzed sześciu lat, gdy Shikata prosił ją o rękę. Jego obecna poza była dokładnie taka jak wtedy. Żadnej różnicy! Wszystko robi, jakby się paliło - pomyślała.

Teraz rozumiała, dlaczego znający Shikatę byli przeciwni ich małżeństwu. To, że mieli zastrzeżenia, było zupełnie naturalne i wypływało z dobrych intencji. Jednak niczego nie żałowała. Wtedy czuła się szczęśliwa. Potrzebowała go; nie popełniła błędu. I teraz też go potrzebowała, a on potrzebował jej.

Shikata, z ich już blisko dwuletnią córką Tomi na plecach, opuścił osadę konno. Ginko na drugim koniu jechała za nimi. Do siodeł mieli przytroczone swój dobytek - tylko najpotrzebniejsze rzeczy domowego

użytku.

Na przełęczy Yakumo natknęli się na niedźwiedzia; uniknęli ataku, waląc w rondle i patelnie. Minęli Imakane i pojechali w górę rzeki do Yurapu. Stamtąd, klucząc w gąszczu, ruszyli jedno za drugim wąską przełęczą prowadzącą do Kunnui. W drobnej kobiecie na koniu trudno by było rozpoznać Ginko Ogino, lekarkę, jedną z czołowych tokijskich intelektualistek.

Do celu podróży dotarli bezpiecznie wieczorem.

Wydobywanie manganu w Kunnui, podobnie jak w wielu innych kopalniach w okolicznych górach, rozpoczęło się w latach osiemdziesiątych XIX wieku. Shikata przybył tam bez doświadczenia, mając niewiele oprócz nadziei na sukces. Za zysk z inwestycji, którego był pewien, zamierzał zbudować miasto dla chrześcijan.

Jak przewidywała Ginko, nowe przedsięwzięcie zakończyło się niepowodzeniem.

21.

Wiosną następnego roku Shikata, Ginko i Tomi opuścili Kunnui i przez góry i równinę Toshibetsu wrócili do Setany. Po drodze, dotarwszy do najwyższego punktu na przełęczy, zatrzymali się w bambusowym zagajniku, żeby zjeść obiad.

- Na pewno jesteś zmęczona. - Shikata z niepokojem patrzył na Ginko, gryząc ryżową kulkę. - Ale najgorsze już mamy za sobą.

W oddali, za morzem lasu, skrzył się błękitny ocean. Poniżej, niemal u ich stóp, wiała się wśród drzew biała wstęga rzeki Toshibetsu przecinająca położoną na niewielkim płaskowyżu Setanę i wpadająca do oceanu.

- Nie chce ci się jeść? - Ginko zjadła tylko pół swojej kulki.

Powinna być głodna, ale nie miała apetytu. Zawsze tak było, gdy jeździła konno. - Może się napijesz? - Wodą z bambusowego pojemnika



napełnił kubek i podał go Ginko.

Troskliwość Shikaty była dla Ginko przykra, bo знаła jej powód. Plany związane z Emmanuelem spaliły na panewce, a teraz nie powiodła się inwestycja w kopalnię manganu. Shikata zaczynał wreszcie rozumieć, że życie w świecie marzeń nie jest dla ojca rodziny odpowiednie.

- Dom stoi niedaleko portu, więc to powinien być ruchliwy punkt i niczym nie trzeba się będzie martwić. - Shikata mówił o domku w Setanie, który za jena miesięcznie wynajęli od właściciela pobliskiego sklepu tekstylnego; najwidoczniej chciał Ginko poprawić humor. Urządzenie w takim miejscu kliniki mogło się okazać niełatwe, ale oszczędności, które Ginko przywiozła przed trzema laty na Hokkaido, się wyczerpały. Na nic lepszego nie było ich stać.

- Musimy znaleźć pielęgniarkę i kogoś do sprzątnięcia - ciągnął Shikata.

- Nie będziemy ich potrzebować. - Ginko nie miała biurka, stołu do badania pacjentów ani szafki na lekarstwa, więc wynajęcie personelu nie było dla niej najważniejsze.

- Chciałbym ci pomagać, jeśli tylko potrafisz.

- Ale przecież będziesz zajęty pracą misjonarską. - Ginko zdawała sobie sprawę, że Shikata stracił wiarę w siebie, i starała się chronić jego poczucie godności. W Setanie mógł wrócić do działalności misyjnej, zbudować kościół, założyć szkołę niedzielną. Tylko to mu zostało.

- Znajdę czas między kazaniami. Będę pomagał - rozchmurzył twarz. Poprawił sobie na kolanach Tomi - miała już prawie trzy lata - i podał jej ryżową kulkę.

W Setanie mieszkało już stale około tysiąca rodzin, a w sezonie jej ludność powiększała się o trzy tysiące rybaków przybywających z zewnątrz. Był to duży port rybacki i ruchliwe, kwitnące miasteczko wtulone w pokryte cyprysami podnóże gór w południowo-zachodniej

części Hokkaido. Jednak przetwórstwo śledzi, w którym cały ten rejon miał oparcie, zaczęło niedługo po przyjeździe Ginko i jej rodziny podupadać.

Klinika Ginko, specjalizująca się w ginekologii, położnictwie i pediatrii, mieściła się w dzielnicy Aizu w pobliżu centrum. W Setanie działały już dwie kliniki, ale Ginko zakładała, że ponieważ ludności jest dużo, pacjentów wystarczy dla trzeciej. Sytuacja była jednak zupełnie inna niż wtedy, gdy otwierała klinikę w Tokio. W tym odległym zakątku na północy kraju nikt nie wiedział, że Ginko jest słynną pierwszą japońską lekarką i reformatorką społeczną. W Tokio była popularna dzięki swym osiągnięciom i działalności; tu, w prymitywnym miasteczku wyrosłym na śledziowej hossie, ludzie nie mieli zaufania do lekarza kobiety, zwłaszcza pewnej siebie.

Ginko skupiła się na pracy, nie tracąc czasu na zastanawianie się nad tym, co ludzie o niej myślą. Nie miała już żadnych oszczędności, więc na luksus martwienia się nie mogła sobie pozwolić. Przez pierwsze miesiące pobytu w Setanie byli zmuszeni kupować ryż na filizanki. Ponieważ dla lekarza czy nawet misjonarza byłoby to poniżające, zakupy robiła mała Tomi, która ledwie dorosła do tego, żeby się bawić na podwórku. Do sklepu chodziła z zamówieniem wypisanym na skrawku papieru.

Nie znali nikogo i Ginko nie miała stałych pacjentów. Znów zaczęli od zera. Jeśli ją proszono o wizytę domową, choćby w najbardziej odległym miejscu, wkładała ulubiony czarny płaszcz i wychodziła. Shikata, ze świeżo zapuszczoną brodą i w wysokich butach uplecionych ze słomy, szedł razem z nią, prowadząc jej konia. Tuż za miastem zaczynała się wąska droga wśród drzew i pasiastej trawy bambusowej. Czasem widzieli jelenia, bywało, że niedźwiedzia. Kiedy docierali na miejsce, Ginko szła do pacjenta, a Shikata siadał na pieńku i

czekał na jej powrót. Później pomagał jej wsiąść na konia i prowadził go z powrotem do miasta.

Widząc ich, nikt by nie zgadł, że Shikata był mężem Ginko.

Rok 1897 zbliżał się ku końcowi. Ginko i Shikata czuli się już w mieście bardziej swojsko. Klinika działała od około sześciu miesięcy i liczba pacjentów stopniowo rosła, więc sytuacja finansowa nieco się poprawiła. Ginko odkryli też miejscowi notable i intelektualiści i zaczęli zasięgać jej opinii w różnych sprawach. Rybackie miasto i otaczające je góry dawały rodzinie poczucie spokoju.

Teraz, gdy sytuacja Ginko wreszcie się ustabilizowała, znów odezwało się w niej pragnienie polepszenia losu kobiet. Na wiosnę założyła Towarzystwo Cnót Kobięcych i została jego pierwszym prezesem. Do towarzystwa wstąpiły wszystkie panie z liczących się rodzin tego prowincjonalnego miasta, wśród nich żona burmistrza, naczelnika policji, kapłana ze świątyni w Kotohirze, właściciela sklepu z luksusowymi towarami i sklepu z kimonami. Choć Ginko zorganizowała tę grupę na wzór Japońskiej Organizacji Chrześcijańek, jej cele koncentrowały się w mniejszym stopniu na prawach kobiet i ulepszaniu społeczeństwa, a bardziej na kultywowaniu przyjaźni między członkiniami i wzbogacaniu ich ogólnego wykształcenia.

Ginko uczyła robótek ręcznych i układania kwiatów i wygłaszała wykłady na przeróżne tematy, w których powinna się orientować nowoczesna kobieta: od fizjologii i higieny po leczenie i bandażowanie ran. Szczególnie podkreślała znaczenie subtelności zachowania i cnoty czystości.

Mężczyźni, którzy na początku okresu Meiji uciekli na te tereny, byli przeważnie niewykształceni, podobnie jak kobiety, które ze sobą przywieźli. Kobiety te okazały się jednak głodne wiedzy i z powagą słuchały wszystkiego, co Ginko starała się im przekazać.

- Kto to jest kobieta subtelna? - pytała.

- Kobieta subtelna to kobieta wrażliwa. To nie ma związku z wyglądem.

- A kto to jest kobieta szlachetna?

- Kobieta szlachetna to kobieta o pięknym sercu. To nie ma związku z rangą czy nazwiskiem.

Panie chórem mówiły to, czego Ginko je nauczyła. Mężczyźni zaczęli zauważać, że ich żony uczą się od pewnego czasu dziwnych rzeczy, ale szanowali Ginko.

A ona, zajęta wykładami i nauką rękodziela, więcej czasu spędzała teraz poza domem. W dzień na ogół zajmowała się badaniem pacjentów, więc jej grupa zwykle spotykała się wieczorami. Gdy udawała się gdzieś dalej, zawsze jej towarzyszył Shikata. W związku z tym Tomi często zostawała w domu sama. Początkowo płakała, ale Ginko nie widziała powodu, żeby ją rozpieszczać.

- Ciocia ma coś ważnego do zrobienia i nie może zostać w domu tylko dlatego, że ty tak chcesz - strofowała dziewczynkę, gdy ta protestowała. Potem wychodziła i zamykała drzwi na klucz. Mała Tomi myślała o pracy cioci ze strachem.

Gdy Tomi zaczynała naukę w szkole podstawowej, знаła już na pamięć dwa japońskie alfabety fonetyczne i potrafiła wykonywać proste dodawanie i odejmowanie. Ginko nauczyła ją tego, stosując nagany, a czasem razy.

Shikata po odprowadzeniu Ginko na wykład czy spotkanie zazwyczaj wracał do domu i spędzał wolny czas na zabawie z dziewczynką. Często brał ją za rękę i szli razem popatrzeć na port albo na sterczące z wody trzy wielkie skały. Nosił ją na barana i miauczał jak kot, żeby ją rozbawić. W rezultacie Tomi czuła się najbardziej samotna, gdy go nie było w domu.

Pierwszy cudzoziemiec pojawił się w Setanie w 1894 roku. Był to ojciec Andres, misjonarz z Kościoła episkopalnego, w drodze z pobliskiego Hakodate do Emmanuela. Trzy lata później przybył do miasta misjonarz Roland, kongregacjonalista. W 1898 roku misjonarz Takekuma Udagawa zachęcił kongregacjonalistów z Emmanuela, by zbudowali w Setanie własny kościół, niezależnie od episkopalistów, co przypieczętowało rozłam między dwoma obozami w osadzie.

W 1900 roku na zaproszenie Towarzystwa Cnót Kobietych Roland wrócił do Setany, żeby wygłosić wykład o chrześcijaństwie. Towarzystwo zajęło się wszystkim, od przygotowania sali do usadzania przybyłych gości. Nawet Tomi, która dopiero w następnym roku miała pójść do szkoły, pomagała rozklejać ogłoszenia.

Po wykładzie Roland odpoczywał z Ginko i Shikatą w ich domu.

- Umie pani czytać i pisać po angielsku. Może się pani nauczy również mówić? Wtedy mogłaby pani pojechać za granicę i poznać wiele nowych rzeczy - zwrócił się do Ginko. - Pani się marnuje, zagrzebana w tym zaścianku - ciągnął z entuzjazmem, jakby nie zauważywszy obecności Shikaty. - Jeśli zamierza pani nadal prowadzić praktykę medyczną na Hokkaido, to czemu nie w Sapporo? To stolica wyspy, jest tam szkoła rolnicza i ludzie na pani poziomie, miałyby pani z kim rozmawiać. Napiszę pani list polecający do mojego przyjaciela misjonarza, który tam mieszka. Tutaj będzie pani tylko dawała, nie otrzymując nic w zamian.

Ginko zalała fala wspomnień. W tętniącym życiem Tokio była ośrodkiem zainteresowania. O wszystkim, co powiedziała czy zrobiła, donosiły gazety i czasopisma. Do redakcji lub bezpośrednio do niej przychodziły niemal codziennie listy od czytelników. Ale to było Tokio.

- Yayoi Yoshioka założyła Japońską Żeńską Szkołę Medyczną. A w przyszłym roku ma zostać otwarty Tokijski Uniwersytet dla Kobiet.

- Uniwersytet dla kobiet?

- Czasy się naprawdę zmieniają. Nie ma sensu się zaszywać w takim miejscu jak to.

Trzy lata wcześniej zawiązał się w Tokio ruch na rzecz przyznania kobietom praw wyborczych. W tym samym roku została otwarta szkoła języka angielskiego dla kobiet. Powstała szkoła medyczna dla kobiet, a teraz miano otworzyć uniwersytet. Sen się spełniał. Ginko myślała o Tokio. To miasto nigdy nie zamierało. Gdyby chciała, znów mogłaby być jego częścią.

- W każdym razie proszę o tym pomyśleć. Z przyjemnością pani pomogę, jak tylko potrafię.

Po noclegu w Setanie Roland wczesnym rankiem wyruszył do Emmanuela. Stamtąd łodem udał się Hakodate.

- Co myślisz o tym, żeby spróbować w Sapporo? - Tego wieczoru położyli się późno. Usłyszawszy słowa męża, Ginko chciała zobaczyć jego twarz, ale leżał ukryty w ciemnościach. - Chyba powinnaś zrobić, jak powiedział Roland.

- Jestem zupełnie zadowolona z życia tutaj - skłamała.

- Powinnaś wyjechać. - Tym razem Shikata mówił bardziej zdecydowanie.

- Klinika wreszcie działa gładko.

- Możesz wszystko zostawić i pojechać do Sapporo powiedzmy na rok, sprawdzić, co z tego wyjdzie.

- A ty co byś w tym czasie robił? - Nie widziała powodu, żeby ciągnąć go ze sobą jak służącego, lecz zostawić go tu samego było nie do pomyslenia.

- Może bym wrócił do szkoły.

- Do Doshishy?

- Tak. Zastanawiałem się, czy nie wrócić i jej nie skończyć.

- A zgodziliby się?

- Nie mam pewności, ale może zechcą dać mi szansę.

Minęło dziesięć lat, od kiedy Shikata rzucił studia, wyjechał z Kioto i poprosił Ginko o rękę. Tamten młody mężczyzna, który z miłości postawił wszystko na jedną kartę, teraz zbliżał się do czterdziestki. W jego gęstych czarnych włosach zaczęły się tu i ówdzie pojawiać pasemka siwizny, a na czole zmarszczki, niczym słoje w pniu drzewa.

- No cóż, jeśli jesteś całkiem pewien, że to właśnie powinniśmy zrobić...

- Jestem pewien. Mam dość nie doprowadzania niczego do końca.

Na początku lata 1903 roku Ginko zabrała Tomi i pojechała do Sapporo. Nadal płaciła za wynajem lokalu, w którym się mieściła klinika. Na drzwiach zostawiła napis „Czasowo zamknięte”. Shikata pojechał do Kioto na Uniwersytet Doshisha.

Akacje koło dworca kolejowego w Sapporo były obsypane kwiatami. Na ramiona przechodzących pod nimi Ginko i Tomi sypały się białe płatki. Ginko wynajęła trzypokojowy domek tuż obok jabłoniowego sadu na tyłach szkoły rolniczej. Chodziły do kościoła Kitaichijo, gdzie Ginko uczyła misjonarzy japońskiego, a ci dawali jej w zamian lekcje angielskiego. Czują, że otwierają się przed nią nowe możliwości, podobnie jak wtedy, gdy uzyskała licencję lekarza.

Dyrektorem szpitala w Sapporo był Taro Muya, profesor interny w Kojuin, gdy studiowała tam Ginko. Tydzień po przyjeździe Ginko poszła złożyć mu wizytę. Muya słyszał już wcześniej, że Ginko jest w Setanie i że wybiera się do Sapporo. Rozmawiali o Kojuin. Choć tamten trzyletni okres był dla niej ciężki, okazało się, że dwadzieścia lat później może o nim myśleć z rozczeniem.

Po dwóch miesiącach odwiedziła Muye jeszcze raz, żeby go poinformować, że planuje otworzenie w Sapporo kliniki. Sądziła, że będzie do tego nastawiony pozytywnie, lecz on zmarszczył brwi i się

zamyślił.

- Sapporo może być dla pani trudne - odezwał się w końcu z ociąganiem.

- Wiem. Jestem na to przygotowana.

- Setana nie spełnia pani oczekiwań?

- Cóż... - Opowiedziała, jak bardzo się tam czuła odcięta od świata.

Muya pokiwał głową.

- Proszę mi wybaczyć szczerłość, ale studiowała pani medycynę przed dwudziestu laty, a wyjechała z Tokio przed dziesięciu. W tym czasie dokonał się taki postęp, że na myśl o tym, czego uczyłem w Kojuin, czuję się zakłopotany. Stosowane wtedy sposoby leczenia są już przestarzałe, a młodzi lekarze umieją dziś dużo więcej. Żeby nie zostać w tyle, sam się musiałem bezustannie uczyć. Nie chciałbym być niegrzeczny, ale wątpię, czy po tym, co pani przeszła w czasie ostatnich dziesięciu lat, będzie pani w stanie nadążyć za rozwojem wiedzy medycznej. Mogła sobie pani jakoś radzić na prowincji, ale myślę, że tu, w Sapporo, będzie pani trudno prowadzić praktykę.

Ginko spuściła wzrok. Nie wiedziała, co powiedzieć. To jej wcześniej nie przyszło do głowy. Muya zwrócił uwagę na coś, o czym nie pomyślała. *Byłam beztroska. Wpadłam w pułapkę własnej niefrasobliwości.*

- Przykro mi, ale to, że dwadzieścia lat temu była pani świetną studentką medycyny, nie wystarczy. - Był wtedy jednym z jej nauczycieli i uważał, że teraz nie musi przebierać w słowach.

- Ma pan rację. Nie przemyślałam tego dostatecznie. - Zażenowana tym, że go zmusiła, by ją w ten sposób sprowadził na ziemię, żałowała, że w ogóle mu przedstawiła swe plany.

- Nie, nie. Oczywiście nie twierdzę, że nie może pani tu otworzyć praktyki. W Sapporo wciąż są tacy, którzy pozostali przy starych



metodach. Jednak ludzie trzymają się od nich z daleka. No i jeszcze to, że jest pani kobietą. Medycyna to dziś bardziej nauka i kobiety mają mniej oporów niż kiedyś przed badaniem przez mężczyzn, więc pani płeć nie jest już taką zaletą.

Ginko była upokorzona swą niewiedzą o zmianach, jakie zaszły, kiedy była w Emmanuelu i Setanie.

- Doskonale to rozumiem.

- To tylko moja opinia. Jeśli pani zacznie realizować swój zamiar, naturalnie zrobię, co się da, żeby pomóc.

- Bardzo dziękuję. Jestem wdzięczna za pana troskę i rady.

Wyszła najszybciej, jak mogła, ale wcale nie poczuła się lepiej. Na myśl o swojej nieuzasadnionej pewności siebie zrobiła się czerwona ze wstydu. *Straciłam kontakt ze światem, nawet o tym nie wiedząc.* Idąc przez Sapporo w pierwszych podmuchach jesiennego wiatru, czuła się starsza niż kiedykolwiek przedtem.

Pod koniec września Ginko wróciła do Setany. Do Sapporo wyjechała zaledwie trzy miesiące wcześniej. Jej angielski nie osiągnął jeszcze zadowalającego poziomu, ale zrezygnowała z lekcji. Pojechała tam przede wszystkim po to, żeby sprawdzić możliwość otworzenia kliniki; doskonalenie umiejętności mówienia po angielsku było na drugim miejscu. Teraz nie miała wystarczającego powodu, żeby zostać w tym mieście. Przeliczyła się z możliwościami i czuła się głupio.

Patrząc przez okno pociągu na oświetlone zachodzącym słońcem pola i rosnące tu i ówdzie drzewa, nigdzie nie widziała domów ani ludzi. Wydawało się, jakby pola ciągnęły się w nieskończoność. Tomi zjadła kanapkę kupioną w Otaru i teraz spała obok niej.

*Gdybym nie pojechała do Sapporo i nie odwiedziła Muji, nadal bym wierzyła, że mogę wszystko. Skwapliwie skorzystałam z rady przypadkowo spotkanego cudzoziemca, bo byłam zbyt pewna siebie i*

*zaślepiąca pycha. Zostałam w tyle i mój czas już prawdopodobnie minął.*

Pola się skończyły. Pociąg wjeżdżał w ciemny las.

Ginko jeszcze raz otworzyła klinikę w Setanie. Jeśli nawet medycyna poszła naprzód, ona nie miała innej możliwości zarabiania na życie. Na razie pracowała, zapomniawszy o Sapporo i Tokio.

Wiosną następnego roku Shikata ukończył Dohiszę - był od tej pory w pełni wykwalifikowanym duchownym. Wrócił do Setany, jednak już po dziesięciu dniach został wysłany jako pastor do Urakawy, gdzie obowiązki duszpasterskie pełnił sam. Ginko i on byli teraz skazani na częstą rozłąkę, ale pocieszali się myślą, że tym razem przynajmniej oboje są na Hokkaido.

Ginko i Tomi wiodły w Setanie życie nieciekawe, lecz spokojne. Listy od Shikaty przychodziły jak zwykle mniej więcej raz na miesiąc, Ginko wysyłała odpowiedzi z podobną częstotliwością. W lutym 1904 roku wybuchła wojna rosyjsko-japońska i znów kraj skoncentrował się na konflikcie, lecz na codziennym życiu Ginko właściwie się to nie odbiło. Leczyła pacjentów, w wolnym czasie czytała Biblię i uczyła się angielskiego. Dalej działała też w Towarzystwie Cnót Kobięcych.

W lipcu 1905 roku Shikata zrezygnował z kościelnej funkcji, wrócił do Setany i rozpoczął niezależną pracę duszpasterską w porośniętym cyprysami góskim rejonie wokół Setany. W końcu sierpnia zaczął samotnie wyruszać do odległych osad, głosić ewangelię, rozdawać Biblię.

W połowie września Shikata wrócił z dziesięciodniowej wędrowki po północnej części rejonu. Skarżył się na dreszcze i położył się do łóżka. Przez ponad dziesięć lat małżeństwa Ginko tylko raz widziała go leżącego w łóżku z powodu choroby, gdy podczas zimy, którą spędzali w Kunnui, bardzo się przeziębili.

Zmierzyła mu temperaturę - miał lekką gorączkę. Szybko

przygotowała lekarstwo i zimny kompres. Na drugi dzień gorączka nieco spadła, ale był osłabiony. Ponieważ jednak w południe miało się odbyć w Emmanuelu spotkanie kongregacjonalistów, wstał z łóżka.

- Powinieneś zostać w domu.
- Nie mogę. Wszyscy na mnie czekają.
- A jak się czujesz gorzej?
- Nigdy sobie nie robiłem wolnego z błahych powodów!

Zaśmiał się, jak zwykle pewny swego silnego ciała, i wyszedł. Po południu przywiózł go na koniu Yojiro Maruyama.

Shikata miał czerwoną twarz i szklane oczy. Na pierwszy rzut oka było widać, że ma wysoką gorączkę. Ginko szybko rozłożyła posłanie i kazała mu się położyć. Zamknął oczy, wyglądał na wyczerpanego. Tętno miał bardzo przyspieszone.

Ginko dała mu zastrzyk przeciwgorączkowe lecz temperatura nie spadła. Oddychał z wysiłkiem, szybko i płytko. Osłuchiwała go i stwierdziła, że w płucach jest płyn. Pomyślała, że może to zapalenie płuc, ale nie miała pewności. Nie była specjalistką chorób płuc, a poza tym, zaniepokojona chorobą kogoś tak bliskiego, nie mogła ufać własnemu osądowi.

Yojiro pojechał do kliniki mieszczącej się naprzeciwko szkoły Tomi i przywiózł doktora Nomurę. Ten stwierdził ostre zapalenie płuc i dał Shikacie kolejny zastrzyk i inne lekarstwo. Ginko gotowała wodę i rozgrzewała mu pierś mokrymi ręcznikami. Shikata nie otwierał oczu i w końcu zasnął, ale nadal oddychał płytko i szybko.

Rano gorączka była trochę mniejsza, lecz po południu gwałtownie wzrosła. Shikata był bardzo osłabiony. Oczy i policzki mu się zapadły, włosy wydawały się bardziej siwe. Kiedy kaszłał, we flegmie czasem pojawiała się krew. Wydawało się, jakby jego ciało, które przez lata tyle zniosło, nagle się zużyło. Ginko zmieniała gorące kompresy, przygotowywała lekarstwa i wciąż się modliła.

Czwartego dnia po południu Shikata wyszeptał „Boli” i podniósł rękę, jakby sięgał do czegoś wysoko. Potem w otaczającą go ciemność zawołał „Sensei?” i stracił przytomność.

- Czy nic nie możemy zrobić? - pytała Ginko. Nomura milczał, ze zmarszczonym czołem wpatrując się w twarz Shikaty. - Niech pan coś dla niego zrobi! - prosiła, zapomniawszy, że sama jest lekarzem.

Shikata zmarł tego wieczoru kilka minut po godzinie ósmej. Był dwudziesty trzeci września 1905 roku. Ginko potrząsała mężem i wołała jego imię, lecz się nie zbudził. Miał czterdzieści jeden lat.

Ginko pochowała Shikatę na wzgórzu na północnym krańcu Emmanuela. Mógł stamtąd patrzeć na osadę, którą w takim trudzie stworzył, i na połyskujące białe wody Toshibetsu.

22.

Ginko nigdy nie lubiła dużo mówić, a po śmierci Shikaty mówiła jeszcze mniej. Przestała chodzić na spotkania Towarzystwa Cnót Kobięcych, po pracy z nikim nie utrzymywała kontaktów, czas spędzała na czytaniu Biblii i modlitwie.

Żyła spokojnie z Tomi i myślała o Shikacie. Większość okresu małżeństwa spędzili osobno. Na Hokkaido pojechał bez niej, wrócił na Uniwersytet Doshisha, samotnie pełnił posługę w Urakawie. Przeżyli osobno prawdopodobnie połowę małżeńskich lat. Sądziła wtedy, że przywykła do życia bez Shikaty, jednak tym razem miał już nie wrócić i to było coś całkiem innego. Pustka była znacznie większa i znacznie dotkliwsza. Ginko nie pragnęła już opuścić Setany - chciała być tam, gdzie był Shikata, i po śmierci spocząć obok niego.

Z poczucia samotności nie zwierzała się nikomu. Uważała, że mówienie o tym nie pomoże. Bez względu na okoliczności nie była skłonna do polegania na innych.

Trzy miesiące po śmierci Shikaty Tomoko zaczęła prosić Ginko,

żeby wróciła do Tokio. Rok wcześniej, nie mogąc znieść życia pod jednym dachem z pasierbem i jego żoną, wyjechała z Kumagayi i zamieszkała w Tokio w wynajętym niewielkim domu. Siostry były teraz w podobnej sytuacji - obie samotne, obie postarzałe.

Sanzo Ogino, dziedzic domu w Tawarase, też się przeniósł do Tokio i pracował na poczcie w dzielnicy Omori. Yai, jego matka i wdowa po Yasuhei, mieszkała razem z nim.

„Jak by to było miło, gdybyśmy wszyscy mieszkali w Tokio!”, pisała Tomoko do Ginko.

Lecz teraz Ginko nie chciała tam wracać - w Setanie wreszcie się czuła u siebie. Napisała o tym Tomoko, ale ona wytrwale prosiła, żeby siostra przyjechała i zamieszkała razem z nią.

„Gdybym wróciła do Tokio, Shikata byłby tu zupełnie sam”, napisała w jednym z listów Ginko, jakby chcąc samą siebie przekonać do pozostania.

Niedługo po śmierci Shikaty Ginko się przeziębila i dostała lekkiej gorączki. Nie wyglądałoby to na nic poważnego, gdyby nie tępy ból w podbrzuszu. Mocz był jak zwykle mętny. Ginko zamknęła klinikę i położyła się do łóżka.

Przeziębienie osłabiło jej odporność i dała o sobie znać pozostająca od dawna w uśpieniu rzeżączka. Przez prawie czterdzieści lat była przeważnie w stanie remisji, więc gdy się teraz pojawiły jej objawy, Ginko poczuła dreszcz niepokoju.

Leżała w łóżku, a gotowaniem i sprzątaniami zajmowała się Tomi, która miała teraz jedenaście lat. Kiedy przychodzili pacjenci, według wskazówek Ginko nawet przygotowywała dla nich leki. Była dla Ginko jedynym oparciem.

Po tygodniu Ginko wstała, lecz choroba odebrała jej siły. Nie mogła siedzieć kilka godzin na krześle, boją bolały plecy, i nie czuła się zdolna

do chodzenia po południu z wizytami domowymi. Wracała do zdrowia wolniej niż dawniej.

Nadszedł kolejny rok. We wrześniu porozumienie zawarte w Portsmouth zakończyło wojnę rosyjsko-japońską. Nastrój zwycięstwa dotarł nawet do Setany, ale zdołał tylko na krótko rozproszyć panujące w mieście przygnębienie.

Zimy w Setanie nie były śnieżne, w marcu śnieg na ogół topniał. Wiosnę zapowiadał zwykle powrót ławic śledzi, lecz z roku na rok połowy stawały się coraz mniej obfite. Tej wiosny były szczególnie małe. Setana, miasto powstałe dzięki przemysłowi rybnemu, zaczynała tracić vitalność.

Źle się miało całe zachodnie wybrzeże Hokkaido. Po części było to spowodowane nadmiernymi odłowami, po części zmianami w prądach morskich. Ludzie żyli w oczekiwaniu, że sytuacja się polepszy, lecz brakowało strategii radzenia sobie z problemem. Lata mijały bez żadnej poprawy.

Życie Ginko toczyło się jednak jak zwykle. Pracowała w klinice, znów przyjmowała wezwania do domów, z wyjątkiem niedziel, kiedy szła do kościoła. W wolnych chwilach uczestniczyła, jak kiedyś, w działalności Towarzystwa Cnót Kobięcych. Wieczorami i w nocy uczyła się angielskiego. Jak zawsze kładła się i wstawała późno. Od niedawna prowadziła dziennik, do którego przed pójściem spać wpisywała coś po angielsku.

Lato się skończyło, znad oceanu wiały jesienne wiatry. Pod zachmurzonym niebem trzy skały sterczące z wody w porcie rzucały na jej powierzchnię czarne cienie. Nadchodziła zima, druga zima bez Shikaty. Ginko przywykła do samotności, ale od czasu do czasu stawał jej przed oczami obraz męża, jak spocony i pokryty kurzem wraca ze swej misjonarskiej wędrówki. Tomi czasem mówiła: „Śnił mi się wujek”.

Kiedy zrobiło się zimno, Ginko zaczęły boleć plecy i nogi. Od kilku

lat każdej zimy trochę jej dokuczały, ale w tym roku dużo bardziej. Najgorsze były zimne poranki. Tomi wstawiała pierwsza i przed pójściem do szkoły rozpalala w piecu i gotowała ryż. Ginko budziła się później, płukała usta, myła twarz i siadała przed lustrem. Cesała się, licząc przy tym wypadające włosy. Cera jej ściemniała, na niegdyś pięknej twarzy rzucały się w oczy zmarszczki. Przychodziła pielęgniarzka i zaczynał się dzień pracy. Ginko mogła się skupić na pacjentach, zapomnieć na chwilę o kłopotach. Pewnego śnieżnego dnia na początku grudnia Ginko poszła późnym popołudniem do ratusza, gdzie miała wygłosić wykład dla młodych kobiet na temat małżeństwa. Pośrodku niezbyt dużej sali na piętrze stał pękaty piec na drewno, wokół niego tłoczyło się około trzydziestu słuchaczek.

- Małżeństwo musi się opierać na wzajemnej zgodzie i zrozumieniu dwojga dorosłych ludzi zdrowych na ciele i umyśle. - Ginko się postarzała, ale głos miała jak dawniej dźwięczny i donośny. Pod koniec wykładu poczuła lekki zawrót głowy, ale zgodnie z planem powiedziała kilka zdań podsumowania i zeszła z podium.

- Trochę pani dziś błada - zauważył jeden z pracowników ratusza.

- Przypuszczam, że to tylko zmęczenie - odpowiedziała. Nie skorzystała z zaproszenia na herbatę i powoli ruszyła w stronę domu, odległego o dziesięć minut drogi.

Było przenikliwie zimno, ciemną ulicę pokrywał śnieg. Idąc, słyszała jego chrzęst pod stopami. Na rogu skręciła obok zapalonych lamp, które służyły jako znaki, przeszła jeszcze pół drogi do najbliższej przecznicy i przystanęła, żeby złapać oddech i odpocząć. Nogi ciążyły jej jak ołów. Kilka razy głęboko odetchnęła i podniosła głowę. Ponad dachami domów, niczym czarny grzbiet odpoczywającej bestii, piętrzyło się w oddali pasmo Toshibetsu.

Tam śpi Shikata - pomyślała, a potem poczuła w piersi

przeszywający ból. Chwilę potem jej drobne ciało osunęło się powoli w śnieg.

Muszę wstać - pomyślała. Ledwie przytomna, ujrzała Tokio, później Emmanuel, potem Tawarase. Za polem pokrytym błyszczącymi w słońcu rozwiniętymi jaskrawożółtymi kwiatami zobaczyła rzekę Tone i płynący po niej w kierunku Edo statek z białymi żaglami. Usłyszała głos - znad rzeki szła ku niej, machając ręką, jakaś postać. To była Kayo, jej matka. Ginko nie wiedziała, czy się uśmiecha, czy płacze, lecz patrzyła prosto na nią. Zaczęła do niej biec, wtem coś sobie przypomniała i spojrzała do tyłu. Był tam Shikata, wyglądał na zagubionego.

„Wszystko dobrze?”, spytała matkę, ale ta nie odpowiedziała, tylko stała i patrzyła. Za nią stali Tomoko, Yasuhei i jego żona Yai. Po chwili zobaczyła też Ogie, a obok niej Yorikuniego. Zdziwiło ją, że wszyscy zebrali się nad Tone, ale potem ich postacie stały się mniej wyraźne. Cała scena zaczęła ciemnieć i znikać, a Ginko miała wrażenie, jakby ku niej spokojnie podążała.

Pół godziny później przechodzień znalazł Ginko leżącą bez przytomności w śniegu. W szpitalu, dokąd ją zabrano, lekarze stwierdzili, że miała zawał. Cudem przeżyła, lecz potem była już zbyt słaba, żeby wrócić do wizyt domowych.

Pod koniec 1906 roku Ginko wróciła z Tomi do Tokio, otworzyła klinikę i prowadziła ją aż do śmierci. Zmarła dwudziestego trzeciego czerwca 1913 roku, mając sześćdziesiąt trzy lata.

#### Podziękowania

Autor korzystał z książki Gotaro Matsumoto pod tytułem „Ginko Ogino”, wydanej przez Stowarzyszenie Medyczne Hokkaido, i z pracy „Historia japońskich lekarek” opublikowanej przez Stowarzyszenie Japońskich Lekarek, a także z „Historii Imakane” oraz „Historii wschodniej Setany” - i składa ich autorom podziękowanie. Jest również



wdzięczny za pomoc Tomi Takenoyi, adoptowanej córce Ginko Ogino, a także jej innym krewnym, wśród nich Ikuo Tsunemi.

Tłumacze na język angielski są wdzięczni Deborze Davidson i Towarzystwu Historycznemu Menumy za cenne informacje i wnikliwe spostrzeżenia, dziękują również za pomoc Kiyo Hoshino z Japanese Literature Publishing Project, Shigeko Fujicie, Ginny Tapley i Mannie Iwabuchi.

Za pomoc przy wydaniu tej książki w języku angielskim wydawca wyraża wdzięczność Chrisowi Brahamowi z J-Lit Center.